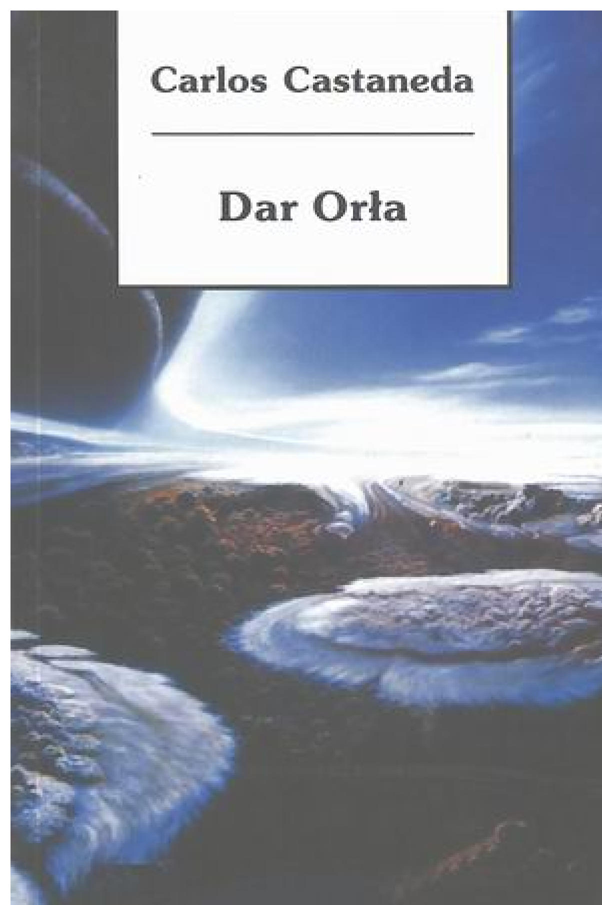
CARLOS CASTANEDA

DAR ORŁA

(The Eagle's Gift / wyd. orygin. 1981)



SPIS TREŚCI:

PROLOG

Chociaż jestem antropologiem, nie jest to praca ściśle antropologiczna – jej korzenie tkwią jednak w antropologii kulturowej, rozpoczęła się bowiem przed wielu laty od badań terenowych związanych z tą dyscypliną wiedzy. W owym czasie interesowało mnie stosowanie ziół leczniczych przez Indian mieszkających na południowym zachodzie Stanów Zjednoczonych oraz w północnym Meksyku.

W ciągu kolejnych lat badania te przeszły ewolucję i zmieniły charakter z powodu własnego rozpędu oraz mojego osobistego rozwoju. Zainteresowanie roślinami o właściwościach leczniczych dało początek studiom nad systemem wierzeń, który, jak mi się wydawało, łączył ze sobą elementy co najmniej dwóch różnych kultur.

Osobą odpowiedzialną za to przesunięcie środka ciężkości moich badań był Indianin Yaqui z północnego Meksyku, don Juan Matus, który później poznał mnie z don Genarem Floresem, Indianinem z plemienia Mazateków mieszkającym w centralnym Meksyku. Obydwaj byli aktywnymi spadkobiercami prastarej wiedzy, która w naszych czasach potocznie określana jest mianem szamanizmu i uważana za prymitywną odmianę medycyny czy psychologii. W rzeczywistości jest to tradycja niezmiernie skomplikowanych praktyk uprawianych przez osoby o wielkiej samodyscyplinie.

Ci dwaj mężczyźni stali się raczej moimi nauczycielami niż informatorami, ale to, co robiłem, wciąż określałem dość ryzykownym mianem badań antropologicznych. Przez całe lata usiłowałem rozszyfrować kulturową matrycę tego systemu wierzeń, opracować jego taksonomię, schemat

klasyfikacji i hipotezę pochodzenia oraz wyznaczyć obszar występowania. Wszystkie moje wysiłki poszły na marne, gdyż wewnętrzna siła tego systemu w końcu zmieniła tor moich intelektualnych poszukiwań i przekształciła mnie w aktywnego uczestnika.

Pod wpływem tych dwóch potężnych ludzi moja praca zmieniła się w autobiografię, bowiem od chwili, gdy stałem się uczestnikiem systemu, zmuszony byłem opisywać to, co się ze mną działo. Jest to autobiografia dość szczególna, gdyż nie piszę o wydarzeniach, które przytrafiają mi się w zwyczajnym życiu jak każdemu człowiekowi, ani też nie zajmuję się subiektywnymi stanami psychiki generowanymi przez codzienne okoliczności. Opisuję wydarzenia w moim życiu, które są bezpośrednim rezultatem tego, że przyjąłem obcy mi zestaw wzajemnie ze sobą powiązanych pojęć i procedur. Inaczej mówiąc, system wierzeń, który pragnąłem zbadać, wchłonął mnie i kontynuowanie relacji okupione zostało ogromnymi kosztami w życiu codziennym, w moim życiu człowieka istniejącego w znanym nam wszystkim świecie.

Dlatego właśnie stanąłem teraz przed szczególnym problemem – powinienem mianowicie wyjaśnić, czym się właściwie zajmuję. Odszedłem bardzo daleko od punktu wyjścia, gdy byłem przeciętnym człowiekiem Zachodu i antropologiem, i przede wszystkim muszę z całą siłą podkreślić, że moja relacja nie jest fikcją literacką. To, o czym piszę, jest nam zupełnie obce i dlatego wydaje się nierzeczywiste.

Zagłębiając się w zawiłości magii, odkryłem, że to, co na początku uważałem za system prymitywnych wierzeń i praktyk, jest ogromnym, skomplikowanym światem. By zaznajomić się z tym światem i móc go opisać, muszę wykorzystywać samego siebie na coraz bardziej skomplikowane i subtelne sposoby. Nie potrafię już przewidzieć, co będzie się ze mną dalej działo, nie jest to też w żaden sposób spójne z wiedzą innych antropologów na temat systemu wierzeń meksykańskich Indian. Znalazłem się więc w trudnym położeniu. Okoliczności pozwalają mi jedynie przedstawiać wszystko, co mi się przydarza, w formie bezpośredniej relacji. Nie potrafię w żaden inny sposób dowieść mojej dobrej woli, mogę tylko zapewnić po raz kolejny, iż nie prowadzę podwójnego życia i że dokładam wszystkich sił, by moje życie codzienne było zgodne z zasadami systemu don Juana.

Gdy już don Juan Matus i Genaro Flores, dwaj opiekujący się mną indiańscy czarownicy z Meksyku, ku swemu zadowoleniu zakończyli przekazywanie mi swej wiedzy, pożegnali się ze mną i odeszli. Stało się dla mnie jasne, że od tej chwili muszę działać na własną rękę i poskładać w całość to, czego się od nich nauczyłem.

By wypełnić to zadanie, wróciłem do Meksyku i tam się przekonałem, że oprócz mnie don Juan i don Genaro mieli jeszcze dziewięciu innych uczniów: pięć kobiet i czterech mężczyzn. Najstarsza z kobiet miała na imię Soledad. Następna według wieku była Maria Elena, nazywana “la Gordą", a pozostałe trzy: Lydia, Rosa i Josefina, były młodsze i nazywano je “siostrzyczkami". Czterej mężczyźni to w kolejności od najstarszego: Eligio, Benigno, Nestor i Pablito. Trzech ostatnich nazywano “Genarami", bo byli bardzo blisko związani z don Genarem.

Wiedziałem już wcześniej, że Nestor, Pablito i Eligio, którego już z nami nie było, byli uczniami, ale dotychczas pozwalano mi wierzyć, że cztery dziewczyny to siostry Pablita, córki Soledad. Znałem Soledad od lat, choć niezbyt dobrze, i zawsze na znak szacunku zwracałem się do niej “dona Soledad", gdyż wiekiem była zbliżona do don Juana. Wcześniej spotkałem także Lydię i Rosę, lecz nasza znajomość była zbyt przelotna, bym mógł zrozumieć, kim są naprawdę. O Josefinie i la Gordzie tylko słyszałem. Znałem też Benigna, nie miałem jednak pojęcia, że coś go łączy z don Juanem i don Genarem.

Wydawało się, że z niezrozumiałych dla mnie powodów wszyscy oni czekali na mój powrót do Meksyku. Powiedzieli mi, że mam zająć miejsce don Juana jako ich przywódca, Nagual, oraz że don Juan i don Genaro zniknęli z tego świata, podobnie jak Eligio. Wierzyli, że tamci trzej nie umarli, lecz przeszli do innego świata, innego niż ten, w którym żyjemy na co dzień, ale równie realnego.

Kobiety, szczególnie dona Soledad, już od pierwszego spotkania ostro się ze mną ścierały, odegrały jednak wielką rolę w doprowadzeniu mnie do stanu katharsis. Kontakt z nimi zaowocował tajemniczym fermentem w moim życiu. Od chwili, gdy je spotkałem, w moim sposobie myślenia i rozumienia zaczęły się dokonywać radykalne zmiany. Nie działo się to jednak na poziomie świadomości – w gruncie rzeczy po pierwszej wizycie u nich chaos w moim umyśle był jeszcze większy niż zwykle, ale pośród tego zamętu odnalazłem zdumiewająco silne fundamenty. Nasze starcia pozwoliły mi odkryć w sobie możliwości, o których istnieniu wcześniej nawet mi się nie śniło.

La Gorda i trzy siostrzyczki znakomicie opanowały śnienie. Dobrowolnie udzielały mi wskazówek i zaprezentowały swoje osiągnięcia. Don Juan określał sztukę śnienia jako umiejętność

wykorzystywania zwykłych marzeń sennych i przekształcania ich w kontrolowaną świadomość przy użyciu szczególnego rodzaju uwagi, którą on i don Genaro nazywali drugą uwagą.

Spodziewałem się, że trzej Genarowie przekażą mi swoje umiejętności dotyczące innego aspektu nauk don Juana i don Genara, sztuki skradania się. Przedstawiono mi ją jako zestaw procedur i postaw, dzięki którym człowiek w każdej sytuacji potrafi uzyskać maksymalne korzyści. Ale to, czego dowiedziałem się o skradaniu od trzech Genarów, nie miało spójności ani siły, jakiej oczekiwałem. Doszedłem do wniosku, że albo ta sztuka nie była ich najmocniejszą stroną, albo też po prostu nie mieli ochoty się ze mną dzielić swoimi osiągnięciami.

Przestałem zadawać pytania, bo chciałem, by mogli się poczuć swobodnie w moim towarzystwie, ale wówczas wszyscy, mężczyźni i kobiety, siedzieli biernie, sądząc, że skoro nie zadaję już pytań, to znaczy, że wreszcie zacząłem się zachowywać jak przystało Nagualowi. Każdy z nich oczekiwał ode mnie przewodnictwa i rady.

By zaspokoić te oczekiwania, musiałem jeszcze raz od początku przyjrzeć się wszystkiemu, czego nauczyli mnie don Juan i don Genaro, i wejść jeszcze głębiej w sztukę czarowników.

1. SKUPIENIE DRUGIEJ UWAGI

Było popołudnie, gdy dotarłem do miejsca, gdzie mieszkała la Gorda i trzy siostrzyczki. Maria Elena była sama, siedziała przed domem i patrzyła na odległe góry. Mój widok wyraźnie nią wstrząsnął. Wyjaśniła, że całkowicie pochłonęło ją jakieś wspomnienie i przez chwilę była bardzo bliska przypomnienia sobie czegoś nieokreślonego, co w jakiś sposób wiązało się ze mną.

Wieczorem tego samego dnia, po kolacji, wszyscy uczniowie i ja usiedliśmy na podłodze w pokoju la Gordy. Kobiety siedziały obok siebie.

Chociaż spędziłem z każdym z nich mniej więcej tyle samo czasu, z jakiejś przyczyny przedmiotem mojego szczególnego zainteresowania stała się la Gorda. Wszyscy pozostali mogliby dla mnie nie istnieć. Sądziłem, że może to z powodu podobieństwa do don Juana. Czułem się przy niej bardzo swobodnie, chociaż ta łatwość nawiązania kontaktu wynikała nie tyle z jej zachowania, ile z moich odczuć.

Wszyscy byli ciekawi, czym się ostatnio zajmowałem. Opowiedziałem im, że niedawno wróciłem z miasta Tulą w Hidalgo, gdzie zwiedziłem starożytne ruiny. Największe wrażenie zrobił na mnie rząd stojących na szczycie piramidy olbrzymich, przypominających kolumny kamiennych postaci, nazywanych Atlantydami.

Każda z tych cylindrycznych figur o wysokości piętnastu stóp i średnicy trzech stóp składa się z czterech pokrytych płaskorzeźbami bazaltowych bloków. Zdaniem archeologów rzeźby te przedstawiają tolteckich wojowników z wojennym ekwipunkiem. Dwadzieścia stóp za pierwszym szeregiem posągów stoi drugi, złożony z czterech prostokątnych kolumn o tej samej wysokości i szerokości, z których każda zbudowana jest również z czterech kamiennych bloków.

Podziw i lęk, jakie wzbudziła we mnie formacja Atlantydów, zwiększyły się jeszcze, gdy usłyszałem słowa przyjaciela, który oprowadzał mnie po tym miejscu. Kustosz ruin opowiadał mi, że nocą Atlantydzi się poruszają – słyszał drżenie ziemi pod ich stopami.

Poprosiłem Genarów o komentarz na ten temat. Wyglądali na skrępowanych, śmiali się nerwowo. Zwróciłem się więc do la Gordy, która siedziała obok mnie, i zapytałem ją o zdanie.

– Nigdy nie widziałam tych posągów – odrzekła. – Nigdy nie byłam w Tuli. Przeraża mnie sama myśl o tym miejscu.

– Czego się boisz, Gorda? – zapytałem.

– Kiedyś coś mi się przydarzyło w ruinach Monte Alban w Oaxaca – wyjaśniła. – Lubiłam się tam włóczyć, chociaż Nagual Juan Matus ostrzegał mnie, żebym się do nich nawet nie zbliżała. Nie wiem dlaczego, ale uwielbiałam to miejsce. Chodziłam tam zawsze, gdy znalazłam się w Oaxaca. Samotne kobiety zawsze ktoś zaczepia, więc zabierałam ze sobą Pablita, który jest bardzo odważny. Lecz kiedyś poszłam z Nestorem i on ujrzał lśnienie na ziemi. Pogrzebaliśmy tam trochę i znaleźliśmy

dziwny kamień, który dobrze mi leżał w dłoni. W kamieniu wywiercony był regularny otwór. Miałam ochotę włożyć tam palec, ale Nestor mnie powstrzymał. Kamień był gładki i bardzo mocno rozgrzewał dłoń. Nie mieliśmy pojęcia, co z nim zrobić. Nestor włożył go do kapelusza i nieśliśmy go jak zwierzątko.

Cała grupa zaczęła się śmiać. Wydawało się, że w opowiadaniu la Gordy kryje się jakiś żart.

– Dokąd go zabraliście? – zapytałem.

– Przynieśliśmy go tu, do tego domu – odrzekła. To stwierdzenie wywołało u pozostałych wybuch niepowstrzymanej wesołości. Kaszleli i krztusili się ze śmiechu.

– Śmiejemy się z la Gordy – wyjaśnił Nestor. – Musisz zrozumieć, że ona jest uparta jak nikt inny na świecie. Nagual ostrzegał ją wcześniej, żeby omijała z daleka kamienie, kości i inne rzeczy, które znajdzie w ziemi. Ale ona wciąż wygrzebywała ukradkiem wszelkiego rodzaju śmiecie. A tamtego dnia w Oaxaca uparła się, żeby zabrać ze sobą to świństwo. Wsiedliśmy z tym do autobusu, przywieźliśmy do miasta i położyliśmy w tym pokoju.

– Kiedy Nagual i Genaro wybrali się gdzieś razem – ciągnęła la Gorda – odważyłam się włożyć palec w otwór i uświadomiłam sobie, że ten kamień przeznaczony jest do trzymania w dłoni. Od razu przeszły na mnie uczucia człowieka, który trzymał go wcześniej. To był kamień mocy. Mój nastrój się zmienił. Przeraziłam się. W ciemnościach zaczęło się czaić coś groźnego, coś, co nie miało żadnego kształtu ani koloru. Od tej pory nie mogłam zostawać sama. Budziłam się z krzykiem, a po kilku dniach już w ogóle nie potrafiłam zasnąć. Wszyscy po kolei dotrzymywali mi towarzystwa, w dzień i w nocy.

– Gdy Nagual i Genaro wrócili – uzupełnił Nestor – Nagual wysłał mnie razem z Genarem w ruiny i kazał położyć kamień dokładnie tam, skąd go wygrzebaliśmy. Genaro przez trzy dni usiłował odnaleźć to miejsce. W końcu mu się udało.

– A co się z tobą działo potem, Gorda? – wypytywałem.

– Nagual zakopał mnie w ziemi. Spędziłam dziewięć dni naga w trumnie z darni.

Cała grupa znów wybuchnęła śmiechem.

– Nagual zabronił jej stamtąd wychodzić – wyjaśnił Nestor. – Biedna Gorda musiała sikać i srać w środku. Nagual umieścił ją w klatce zrobionej z ziemi i gałęzi. Z boku były małe drzwiczki, przez które podawaliśmy jej wodę i jedzenie, a poza tym klatka była zamknięta.

– Dlaczego ją zakopał?

– To jedyny sposób, żeby kogoś ochronić – tłumaczył Nestor. – Gorda musiała przebywać w tej klatce, żeby ziemia mogła ją wyleczyć. Nie ma lepszego uzdrowiciela niż ziemia. Poza tym Nagual musiał odpędzić pozostawione przez kamień uczucie, które skupiło się na Gordzie. Ziemia jest ekranem, który niczego nie przepuszcza, ani w jedną stronę, ani w drugą. Nagual wiedział, że jeśli Gorda pozostanie zakopana przez dziewięć dni, jej stan się nie pogorszy, a najwyżej polepszy. I tak się stało.

– Jak się czułaś, siedząc w tej klatce, Gorda? – dopytywałem się.

– O mało nie oszalałam – odrzekła. – Ale to było tylko folgowanie sobie. Gdyby Nagual mnie tam nie zamknął, to bym umarła. Moc tego kamienia była dla mnie zbyt wielka. Jego właściciel był potężnym, silnym mężczyzną. Czułam, że jego dłoń była dwa razy większa od mojej. Trzymał ten kamień kurczowo, pragnąc ocalić życie, aż w końcu ktoś go zabił. Jego strach mnie przerażał. Czułam, że coś mnie atakuje i chce pożreć moje ciało. To właśnie czuł ten mężczyzna. Był człowiekiem mocy, ale zwyciężyło go coś jeszcze silniejszego.

– Nagual powiedział, że jeśli zabierze się ze sobą taki przedmiot, sprowadza on nieszczęście, bo jego moc łączy się z innymi podobnymi mocami albo prowokuje je do konfrontacji i właściciel takiego przedmiotu staje się prześladowcą lub ofiarą. Nagual twierdził, że w naturze takich przedmiotów leży walka, bo ta część naszej uwagi, która skupia się na nich i daje im moc, jest bardzo niebezpieczna i wojownicza.

– La Gorda jest bardzo zachłanna – dorzucił Pablito. – Sądziła, że skoro znalazła coś, co posiada wielką moc, to wygra, bo w dzisiejszych czasach nikogo nie interesuje prowokowanie mocy.

La Gorda potwierdziła skinieniem głowy.

– Nie wiedziałam, że oprócz drzemiącej w nich mocy takie przedmioty mogą przekazywać również inne uczucia – przyznała. – Gdy po raz pierwszy wsunęłam palec w otwór kamienia, poczułam gorąco w dłoni i całe moje ramię zaczęło wibrować. Poczułam się wielka i silna. Jestem przebiegła, więc nikt

nie zauważył, że trzymam kamień. A po kilku dniach zaczął się prawdziwy koszmar. Czułam, że ktoś czyhał na życie właściciela kamienia. Odczuwałam jego przerażenie. Bez wątpienia był niezwykle potężnym czarownikiem i ten, kto go ścigał, chciał go nie tylko zabić, ale też zjeść jego ciało. To mnie najbardziej przeraziło. Powinnam była wtedy wyrzucić kamień, ale to uczucie było dla mnie tak nowe, że zaciskałam go w dłoni jak ostatnia idiotka. Gdy wreszcie go wypuściłam, było już za późno. Jego moc połączyła się z jakąś częścią mnie. Miałam wizje nacierających na mnie ludzi w dziwnych ubraniach. Czułam, że mnie gryzą, rozdzierają moje nogi ostrymi nożami i zębami. Byłam jak w amoku!

– Jak don Juan wyjaśnił te wizje? – zapytałem.

– Powiedział, że Gorda straciła swoją ochronę – odrzekł Nestor. – I dlatego zawładnęły nią obsesje tego człowieka, jego druga uwaga, przelana na kamień. Gdy go zabijano, ściskał kamień w dłoni, by skupić całą swoją koncentrację. Nagual powiedział, że moc tego człowieka przeszła z jego ciała w kamień. Wiedział, co robi: nie chciał, by wrogowie skorzystali, zjadając jego ciało. Nagual mówił jeszcze, że ci, którzy go zabili, też o tym wiedzieli i dlatego zjadali go żywcem, by przejąć tę moc, która jeszcze w nim została. Musieli zakopać kamień, żeby uniknąć kłopotów. A la Gorda i ja, jak para idiotów, znaleźliśmy go i wygrzebaliśmy z ziemi.

La Gorda z bardzo poważnym wyrazem twarzy kilkakrotnie pokiwała twierdząco głową.

– Nagual powiedział mi, że nie istnieje nic bardziej gwałtownego niż druga uwaga – dodała. – Nie sposób sobie wyobrazić czegoś okropniejszego niż przedmiot, na którym się skupiła.

– Najgorsze jest to, że trzymamy się różnych rzeczy – podjął Nestor. – Właściciel tego kamienia trzymał się kurczowo życia i swojej mocy. Dlatego był przerażony, gdy czuł, że wrogowie zjadają jego ciało. Nagual powiedział, że gdyby ten człowiek odrzucił zaborczość i poddał się śmierci, bez względu na to, jaka była, to nie odczułby ani cienia strachu.

Rozmowa wygasła. Zapytałem pozostałych, czy chcieliby coś dodać. Trzy siostrzyczki popatrzyły na mnie gniewnie. Benigno zachichotał i zakrył twarz kapeluszem.

– Pablito i ja widzieliśmy piramidy w Tuli – powiedział wreszcie. – Odwiedziliśmy wszystkie piramidy w całym Meksyku. Podobały się nam.

– Po co oglądaliście wszystkie piramidy? – spytałem zaciekawiony.

– Naprawdę nie wiem. Może dlatego, że Nagual Juan Matus ostrzegał nas, żebyśmy tego nie robili.

– A co ty powiesz, Pablito? – zapytałem.

– Wybrałem się tam, żeby się czegoś nauczyć – odrzekł Pablito szorstko i się zaśmiał. – Kiedyś mieszkałem w Tuli. Znam te piramidy jak własną kieszeń. Nagual mówił, że on także kiedyś tam mieszkał. Wiedział o piramidach wszystko. On sam był Toltekiem.

W tej chwili uświadomiłem sobie, że nie tylko zwykła ciekawość kazała mi odwiedzić archeologiczne znaleziska w Tuli. Głównym powodem, dla którego przyjąłem zaproszenie przyjaciela, było to, że podczas pierwszego spotkania z la Gordą i resztą grupy usłyszałem coś, o czym don Juan nigdy mi nie wspominał, mianowicie, że uważał się on za kulturowego spadkobiercę Tolteków. Tulą w starożytności stanowiła centrum tolteckiego imperium.

– Czy rzeczywiście myślisz, że Atlantydzi chodzą w nocy? – zapytałem Pablita.

– Jasne, że tak – odrzekł. – To wszystko stoi tam od wielu stuleci. Nikt nie wie, kto zbudował piramidy. Nagual Juan Matus mówił mi, że Hiszpanie nie byli pierwszymi ludźmi, którzy je odkryli, i że przed nimi byli tam inni. Bóg jeden wie, jak wielu.

– Co twoim zdaniem przedstawiają te kamienne posągi?

– To nie mężczyźni, lecz kobiety – wyjaśnił. – Ta piramida to centrum porządku i stabilności. Posągi stojące w jej czterech rogach – to cztery wiatry, cztery strony świata. Są one fundamentem, podstawą piramidy. Muszą to być kobiety, kobiety o męskich cechach. Sam wiesz, że my, mężczyźni, nie mamy w sobie tyle żaru. Jesteśmy dobrym spoiwem, klejem, który łączy rzeczy, i niczym więcej. Nagual Juan Matus mówił, że tajemnica piramidy leży w jej strukturze. Cztery rogi są równie wysokie jak wierzchołek. Sama piramida to mężczyzna wspierany przez kobiety wojowników; mężczyzna, który wyniósł swoje podpory aż na sam szczyt. Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

Na mojej twarzy musiało się odbijać zupełne niezrozumienie, bo Pablito zaśmiał się uprzejmie.

– Nie, Pablito, nie rozumiem, o co ci chodzi – odrzekłem. – Ale to dlatego, że don Juan nigdy ze mną o tym nie rozmawiał. Ten temat jest dla mnie zupełnie nowy. Proszę, powiedz mi wszystko, co wiesz.

– Atlantydzi są nagualem; są śniącymi. Przedstawiają porządek drugiej uwagi wyprowadzonej na pierwszy plan, dlatego właśnie budzą lęk i są tak tajemniczy. Są istotami wojny, ale nie zniszczenia. Kolumny w drugim rzędzie, te prostokątne, przedstawiają porządek pierwszej uwagi, czyli tonalu. Są to zwiadowcy, dlatego te posągi pokryte są płaskorzeźbami. Są bardzo pokojowo nastawieni i mądrzy, w przeciwieństwie do pierwszego rzędu.

Pablito umilkł i spojrzał na mnie wyzywająco, po czym się uśmiechnął. Sądziłem, że teraz wyjaśni mi to bardziej szczegółowo, on jednak milczał, jak gdyby czekał na mój komentarz.

Powiedziałem, że czuję się kompletnie zagubiony, i poprosiłem, żeby mówił dalej. Przez chwilę się wahał, patrząc na mnie, aż wreszcie wziął głęboki oddech. Ledwie jednak zaczął mówić, wszyscy pozostali podnieśli głos w burzy protestów.

– Nagual wyjaśniał te sprawy nam wszystkim – rzekła niecierpliwie la Gorda. – Po co każesz mu to powtarzać?

Próbowałem ich przekonać, że naprawdę nie mam pojęcia, o czym mówi Pablito. Nalegałem, żeby kontynuował wyjaśnienia, ale podniosła się kolejna fala dezaprobaty. Wszyscy mówili jednocześnie. Sądząc po gniewnym wzroku, jakim obrzuciły mnie siostrzyczki, były bardzo rozzłoszczone, szczególnie Lydia.

– Nie mamy ochoty rozmawiać na ten temat – odezwała się la Gorda pojednawczo. – Sama myśl o kobietach z piramidy wprawia nas w nerwowy nastrój.

– Co się z wami wszystkimi dzieje? – zdziwiłem się. – Dlaczego się tak zachowujecie?

– Sami nie wiemy – odrzekła la Gorda. – Po prostu wszyscy mamy podobne wrażenie. Czujemy dziwny niepokój. Wszystko było dobrze, dopóki nie zacząłeś pytać o te kobiety.

Słowa la Gordy podziałały na całą grupę jak sygnał alarmowy. Wszyscy podnieśli się z miejsc i otoczyli mnie złowróżbnym kręgiem, mówiąc głośno.

Dużo czasu upłynęło, zanim udało mi się ich uspokoić i namówić, by usiedli. Siostrzyczki były bardzo zdenerwowane i zdawało się, że ich nastrój udzielił się także la

Gordzie. Mężczyźni wykazywali więcej opanowania. Zwróciłem się do Nestora i poprosiłem, żeby mi wyjaśnił, dlaczego kobiety są takie niespokojne. Było oczywiste, że nieświadomie zrobiłem coś, co je rozgniewało.

– Nie mam pojęcia, co to takiego – powiedział. – Jestem pewien, że żadne z nas nie wie, co się z nami dzieje, ale wszyscy czujemy smutek i zdenerwowanie.

– Czy to dlatego, że rozmawiamy o piramidach? – zapytałem.

– To musi być to – odrzekł posępnie. – Ja sam też nie wiedziałem, że te postacie to kobiety.

– Oczywiście, że wiedziałeś, idioto – prychnęła Lydia. Wydawało się, że jej wybuch onieśmielił Nestora, który skurczył się i spojrzał na mnie nieśmiało.

– Może i tak – zgodził się. – Przechodzimy bardzo dziwny etap. Nikt z nas nie jest już niczego pewien. Od czasu, gdy wszedłeś w nasze życie, nie znamy siebie samych.

Zapanował przygnębiający nastrój. Upierałem się, że jedyny sposób, by go rozproszyć, to rozmawiać o tych tajemniczych kolumnach na szczycie piramid. Kobiety zaczęły gorąco protestować. Mężczyźni milczeli. Miałem wrażenie, że w zasadzie byli tego samego zdania co one, ale w głębi ducha pragnęli rozmawiać na ten temat, podobnie jak ja.

– Czy don Juan powiedział ci coś jeszcze o piramidach, Pablito? – zapytałem.

Chciałem odciągnąć rozmowę od Atlantydów, ale pozostać blisko tego tematu.

– Mówił, że jedna z piramid w Tuli jest przewodnikiem – odrzekł natychmiast.

Po tonie jego głosu poznałem, że naprawdę miał ochotę o tym mówić. Wszyscy inni uczniowie przysłuchiwali się nam uważnie, z czego wywnioskowałem, że w skrytości ducha oni także pragnęli wymienić opinie na temat piramid.

– Nagual mówił, że to był przewodnik do drugiej uwagi – ciągnął Pablito – ale piramida została splądrowana i wszystko uległo zniszczeniu. Mówił, że niektóre z tych piramid są gigantycznym nie-

działaniem. Nikt tam nie mieszkał, to były miejsca, gdzie wojownicy przychodzili, by śnić i ćwiczyć drugą uwagę. To, co robili, było zapisywane na ścianach za pomocą rysunków i liczb. A potem musieli się tam pojawić zupełnie inni wojownicy, którym nie podobało się to, czego tamci czarownicy dokonywali, stosując drugą uwagę, i oni właśnie zniszczyli piramidę i wszystko, co się w niej znajdowało.

Nagual uważał, że ci nowi wojownicy musieli być wojownikami trzeciej uwagi, podobnie jak on sam. Dla nich zło kryjące się w skupianiu drugiej uwagi było odrażające. Czarownicy piramidy byli zbyt pochłonięci swoimi sprawami, by sobie uświadomić, co się dzieje. Gdy wreszcie to zauważyli, było już za późno.

Wszyscy w pokoju, włącznie ze mną, słuchali Pablita zafascynowani. Rozumiałem, o czym mówi, gdyż don Juan wcześniej wyjaśniał mi niektóre pojęcia.

Don Juan twierdził, że nasza kompletna istota składa się z dwóch dostrzegalnych części. Pierwsza to ciało fizyczne, które wszyscy umiemy postrzegać; druga to ciało świetliste, kokon, który widzą tylko czarownicy, a który sprawia, że wyglądamy jak ogromne świetliste jaja. Mówił także, że jednym z najważniejszych zadań czarownika jest dotarcie do świetlistego kokonu. Cel ten osiąga się przez subtelne praktyki śnienia i rygorystyczne, systematyczne wysiłki w tym, co nazywał nie-działaniem. Zdefiniował nie-działanie jako nie znaną nam czynność, która angażuje całą naszą istotę, zmuszając ją do uświadomienia sobie istnienia własnej świetlistej części.

Aby wyjaśnić te pojęcia, don Juan podzielił ludzką świadomość na trzy różnej wielkości składniki. Najmniejszy z nich nazwał pierwszą uwagą i wyjaśnił, że jest to świadomość, którą każdy człowiek musiał w sobie rozwinąć, by poradzić sobie w codziennym życiu – w niej zawiera się świadomość fizycznego ciała. Następna, większa część, to druga uwaga. Określił ją jako świadomość niezbędną do tego, by człowiek mógł dostrzec swój świetlisty kokon i działać jak świetlista istota. Powiedział, że druga świadomość pozostaje w cieniu przez całe nasze życie, chyba że zostanie wysunięta na pierwszy plan przez celowy trening lub przypadkowe traumatyczne doświadczenie i że zawiera się w niej świadomość świetlistego ciała. Ostatnią i największą z trzech części don Juan nazwał trzecią uwagą – jest to nieskończona świadomość, która włącza w siebie niedefiniowalne aspekty świadomości ciała fizycznego i świetlistego.

Pytałem go, czy on sam doświadczył stanu trzeciej uwagi. Odrzekł, że znajduje się na jej skraju, i gdyby kiedyś wszedł w nią całkowicie, natychmiast bym to zauważył, gdyż cały zmieniłby się w to, czym jest naprawdę – w wybuch energii. Dodał, że druga uwaga to pole walki wojownika: jest to coś w rodzaju poligonu do ćwiczeń prowadzących do osiągnięcia stanu trzeciej uwagi. Trudno ten stan osiągnąć, ale dotarcie do niego jest niezmiernie owocne.

– Piramidy są szkodliwe – ciągnął Pablito. – Szczególnie dla czarowników pozbawionych ochrony, takich jak my. Jeszcze gorszy wpływ mają na wojowników bez kształtu, takich jak la Gorda. Nagual mówił, że nie ma nic bardziej niebezpiecznego niż negatywne skupienie drugiej uwagi. Gdy wojownicy nauczą się skupiać na słabej stronie swojej drugiej uwagi, nic nie może im stanąć na przeszkodzie. Stają się łowcami ludzi, upiorami. Nawet po śmierci mogą sięgać po swoją ofiarę poprzez czas, jakby byli obecni tu i teraz, a wchodząc do którejś z piramid, stajemy się ofiarami. Nagual nazwał piramidy pułapkami drugiej uwagi.

– Co właściwie może się wtedy zdarzyć? – zapytała la Gorda.

– Nagual mówił, że może wystarczyłoby nam sił na jedną wizytę w piramidach – wyjaśnił Pablito. – Przy drugiej poczulibyśmy dziwny smutek, coś w rodzaju chłodnego wiatru. Stalibyśmy się niespokojni i zmęczeni, a to zmęczenie szybko by się przekształciło w pecha. Nie wiadomo kiedy spadłoby na nas przekleństwo i zaczęłyby nam się przytrafiać najrozmaitsze katastrofy. Nagual powiedział nawet, że te okresy w życiu, gdy prześladował nas pech, spowodowane były chęcią odwiedzenia owych ruin wbrew jego ostrzeżeniom. Na przykład Eligio zawsze był posłuszny Nagualowi. Za nic by się tam nie zbliżył, podobnie jak ten Nagual, i ci dwaj zawsze mieli szczęście, podczas gdy nas wszystkich prześladował zły los, szczególnie la Gordę i mnie. Czy nie pogryzł nas ten sam pies? I te same belki stropu w kuchni dwukrotnie przegniły i spadły na nas!

– Nagual nigdy mi tego nie wyjaśnił – powiedziała la Gorda.

– Oczywiście, że wyjaśnił! – zawołał Pablito.

– Gdybym wiedziała, jak wielkie jest ryzyko, moja noga nigdy by nie stanęła w żadnym z tych przeklętych miejsc – upierała się la Gorda.

– Nagual wszystkim nam mówił to samo – rzekł Nestor. – Problem w tym, że nikt nie słuchał go uważnie, albo raczej, że każdy z nas słuchał go na własny sposób i słyszał to, co chciał usłyszeć. Nagual mówił, że skupienie drugiej uwagi ma dwie strony. Pierwsza i łatwiejsza do osiągnięcia to oblicze zła. Pojawia się ono, gdy śniący używa śnienia do skupienia drugiej uwagi na sprawach doczesnych, takich jak pieniądze czy władza nad ludźmi. Drugą stronę trudniej jest osiągnąć. Śniący może tego dokonać, jeśli skupia drugą uwagę na tym, co nie pochodzi z tego świata ani do niego nie należy, na przykład na podróży w krainę nieznanego. By dotrzeć do tej strony, wojownik musi być absolutnie nieskazitelny.

Byłem pewien, że don Juan wybiórczo ujawniał pewne sprawy jednym z nas, a drugim – inne. Powiedziałem im to. Ja na przykład nie przypominałem sobie, by kiedykolwiek rozmawiał ze mną o złej stronie drugiej uwagi. Powtórzyłem im, co don Juan powiedział mi ogólnie na temat skupiania uwagi.

Podkreślał, że wszystkie starożytne ruiny w Meksyku, a szczególnie piramidy, mają szkodliwy wpływ na współczesnego człowieka. Twierdził, że są to obce sposoby wyrażania myśli i działań. Każda ich część, każdy wzór był świadomą próbą zapisania aspektów uwagi, które dla nas są zupełnie obce. Zdaniem don Juana niebezpieczeństwo kryło się nie tylko w ruinach minionych kultur – wszystko, co kiedykolwiek było przedmiotem czyjegoś obsesyjnego zainteresowania, kryło w sobie niebezpieczny potencjał.

Kiedyś rozmawialiśmy o tym szczegółowo. Była to reakcja don Juana na coś, co powiedziałem. Stwierdziłem, że nie mam pojęcia, jakie miejsce byłoby najbezpieczniejsze do przechowywania moich notatek z terenu. Zazdrośnie ich strzegłem i ich zabezpieczenie stało się moją obsesją.

– Co powinienem zrobić? – zapytałem don Juana.

– Genaro kiedyś podpowiedział ci rozwiązanie – odrzekł. – Jak zwykle myślałeś, że żartuje. On nigdy nie żartuje. Mówił, że powinieneś pisać palcem, a nie ołówkiem. Nie zwróciłeś na to uwagi, bo nie mieści ci się w głowie, że to jest nie-działanie w sporządzaniu notatek.

Upierałem się, że to musi być żart. Uważałem siebie za naukowca zajmującego się naukami społecznymi i sądziłem, że muszę zapisywać wszystko, co się dzieje czy zostaje powiedziane w mojej obecności, by móc potem dojść do weryfikowalnych wniosków. Lecz dla don Juana jedno zupełnie nie wiązało się z drugim. Bycie poważnym studentem nie miało nic wspólnego ze sporządzaniem notatek. Ja sam nie widziałem żadnego rozwiązania. Uznałem sugestię don Genara za dowcip, a nie realną możliwość.

Don Juan dalej uzasadniał swój punkt widzenia. Powiedział, że sporządzanie notatek pozwala zaangażować pierwszą uwagę w zadanie zapamiętywania – spisuję je po to, by pamiętać, co się działo i co zostało powiedziane. Zalecenie don Genara nie było żartem, gdyż pisanie palcem na kartce, jako nie-działanie w sporządzaniu notatek, zmusiłoby moją drugą uwagę do skupienia się na zapamiętywaniu, a nie gromadziłbym przy tym arkuszy papieru. Don Juan uważał, że w rezultacie moja pamięć stałaby się potężniejsza i dokładniejsza niż notatki. Nigdy nie słyszał, by ktoś próbował robić coś takiego, ale zasada wydawała mu się słuszna.

Nalegał, bym przez jakiś czas spróbował tej metody. Irytowało mnie to. Oprócz tego, że notatki były dla mnie środkiem mnemonicznym, ich sporządzanie wpływało na mnie uspokajająco. Były moją najporęczniejszą protezą. Gromadzenie arkuszy zapisanego papieru dawało mi poczucie celowości i równowagi.

– Gdy martwisz się o to, co zrobić ze swoimi papierami – wyjaśnił don Juan – skupiasz na nich bardzo niebezpieczną część własnej osoby. Wszyscy mamy w sobie tę niebezpieczną stronę, tę obsesję. Im silniejsi się stajemy, tym bardziej jest ona groźna. Wojownicy nie powinni skupiać swojej mocy na żadnym przedmiocie materialnym, tylko na duchu, na prawdziwym locie w nieznane, a nie na trywialnych tarczach ochronnych. W twoim wypadku taką tarczą są notatki. Nie pozwolą ci zaznać spokoju.

Byłem zupełnie szczerze przekonany, że w żaden sposób nie potrafię się rozstać z moimi notatkami. Wtedy don Juan wymyślił dla mnie zadanie zastępcze zamiast właściwego nie-działania. Powiedział, że dla kogoś obdarzonego tak silnym poczuciem własności jak ja najlepszym sposobem uwolnienia się od władzy notatników byłoby ich ujawnienie, wyciągnięcie na światło dzienne, napisanie książki. Uznałem wówczas, że jest to żart jeszcze bardziej niedorzeczny niż propozycja pisania czubkiem palca.

– Twój wewnętrzny przymus posiadania rzeczy, trzymania się ich kurczowo nie jest niczym wyjątkowym – przyznał. – Każdy, kto chce podążać ścieżką wojownika, drogą czarownika, musi się

uwolnić od tej manii. Mój dobroczyńca mówił, że kiedyś wojownicy posiadali przedmioty, na których skupiali swoje obsesje. I wtedy rodziło się pytanie, czyje przedmioty są potężniejsze albo najpotężniejsze ze wszystkich. Niektóre z tych przedmiotów, pozostałości z wyścigu o władzę, nadal istnieją na świecie. Nikt nie wie, jakie skupiły się na nich obsesje. Ludzie nieskończenie potężniejsi od ciebie przelewali na nie wszelkie aspekty swojej uwagi. Ty dopiero zacząłeś skupiać swoje drobne troski na notatkach. Jeszcze nie dotarłeś do innych poziomów uwagi. Pomyśl, jakie by to było okropne, gdybyś znalazł się na końcu ścieżki wojownika i wciąż dźwigał na plecach wór notatek. Do tego czasu papiery by ożyły, zwłaszcza gdybyś się nauczył pisać palcem, ale wciąż gromadził arkusze papieru. W tej sytuacji nie byłbym zdziwiony, gdyby się okazało, że twoje notatki same wychodzą na spacer.

– Ja bez trudu potrafię zrozumieć, dlaczego Nagual Juan Matus nie chciał, żebyśmy posiadali przedmioty – skomentował Nestor. – Wszyscy jesteśmy śniącymi. Nie chciał, by nasze śniące ciała skupiały się na słabej stronie drugiej uwagi. Na początku nie rozumiałem, o co mu chodzi. Nie podobało mi się to, że kazał mi się pozbyć wszystkiego, co mam. Uważałem, że to niesprawiedliwe. Byłem przekonany, że nie chce, by Pablito i Benigno mi zazdrościli, bo oni sami nic nie mieli. W porównaniu z nimi byłem zamożny. Wtedy nawet nie przychodziło nil do głowy, że chce w ten sposób chronić moje śniące ciało.

Don Juan opisywał mi śnienie na różne sposoby. Teraz sądzę, że najmniej jasny z tych opisów najlepiej definiuje istotę rzeczy. Mówił, że śnienie zasadniczo jest nie-działaniem dotyczącym marzeń sennych. Dlatego śnienie pozwala uczniom wykorzystywać tę część życia, którą spędzamy pogrążeni we śnie. Przez to śniący właściwie nigdy nie śpi, nie prowadzi to jednak do żadnej choroby. Śniącym nie brakuje snu, chociaż rezultatem śnienia jest zwiększenie ilości czasu, jaki spędzają na jawie, dzięki temu, że używają dodatkowego ciała, śniącego data.

Don Juan wyjaśnił mi, że śniące ciało czasami nazywa się “sobowtórem" albo “tym drugim", gdyż jest ono wiernym odbiciem ciała śniącej osoby. Zasadniczo jest to energia świetlistego ciała, biaława widmowa emanacja, którą skupienie drugiej uwagi zmusza do przybrania kształtu trójwymiarowego ciała. Don Juan tłumaczył, że śniące ciało nie jest duchem – jest ono równie rzeczywiste jak wszystko, z czym mamy do czynienia w realnym świecie. Mówił, że nasza druga uwaga w nieuniknioný sposób zostaje przyciągnięta i skupiona na polu energetycznym naszej całkowitej istoty i może przekształcić tę energię w cokolwiek. Najprościej jest, oczywiście, przekształcić ją w obraz ciała fizycznego, które przecież znamy bardzo dobrze z codziennego życia i stąd, że należy ono do obszaru pierwszej uwagi. Czynnikiem, który skupia energię całej naszej istoty i zmusza ją do przyjęcia dowolnej formy, jaka mieści się w granicach możliwości, jest wola. Don Juan nie potrafił określić, dokąd sięgają te granice, powiedział tylko, że na poziomie świetlistych istot zakres możliwości jest tak wielki, iż wszelkie wysiłki zmierzające do wyznaczenia granic są daremne. Oznacza to, że energia świetlistej istoty może być przekształcona przez wolę praktycznie we wszystko.

– Nagual mówił, że śniące ciało może się stopić i połączyć ze wszystkim – rzekł Benigno. – Ale to nie ma

żadnego sensu. Uważał, że mężczyźni są słabsi od kobiet, bo śniące ciało mężczyzny jest bardziej zaborcze. Siostrzyczki potwierdziły to skinieniem głów. La Gorda spojrzała na mnie z uśmiechem.

– Nagual mówił mi, że ty jesteś królem posiadania. Genaro twierdził, że żegnasz się nawet ze swoim gównem, zanim je spłuczesz wodą.

Siostrzyczki zatoczyły się ze śmiechu. Genarowie wyraźnie usiłowali powstrzymać wesołość. Siedzący obok Nestor poklepał mnie po kolanie.

– Nagual i Genaro opowiadali o tobie znakomite historie – rzekł. – Przez całe lata zabawiali nas opowieściami o pewnym dziwnym człowieku. Teraz wiemy, że chodziło o ciebie.

Poczułem zażenowanie. Miałem wrażenie, że don Juan i don Genaro zdradzili mnie, wyśmiewając się ze mnie przed innymi uczniami. Zacząłem się użalać nad sobą i narzekać. Powiedziałem, że z góry nastawiono ich wszystkich przeciwko mnie, każąc im myśleć, że jestem głupcem.

– To nieprawda – zaprotestował Benigno. – Bardzo się cieszymy, że jesteś z nami.

– Naprawdę? – prychnęła Lydia.

Zaczęli się kłócić. Kobiety i mężczyźni mieli odmienne zdania. La Gorda nie poparła żadnej grupy. Wciąż siedziała przy mnie, podczas gdy pozostali podnieśli się i krzyczeli na siebie.

– Przechodzimy trudny okres – wyjaśniła la Gorda przyciszonym głosem. – Dużo śniliśmy, ale to jeszcze za mało jak na nasze potrzeby.

– A czego potrzebujecie, Gorda? – zapytałem.

– Sami nie wiemy – odrzekła. – Mamy nadzieję, że ty nam to powiesz.

Siostrzyczki i Genarowie znów usiedli, by posłuchać tego, co mówi la Gorda.

– Potrzebujemy przywódcy – ciągnęła. – Ty jesteś Nagualem, ale nie jesteś przywódcą.

– Trzeba dużo czasu, by stać się doskonałym Nagualem – wtrącił Pablito. – Nagual Juan Matus mówił mi, że on sam w młodości był do niczego, aż do czasu, gdy coś go wytrąciło ze stanu samozadowolenia.

– Nie wierzę! – zawołała Lydia. – Mnie nigdy tego nie mówił.

– Mówił, że był bardzo słaby – dodała cicho la Gorda.

– Nagual powiedział mi, że w młodości uważał się za przeklętego, tak jak ja – dorzucił Pablito. – Jego dobroczyńca także zabronił mu zbliżać się do piramid, i to wystarczyło, by praktycznie tam zamieszkał, dopóki nie przepędziła go horda widm.

Wyglądało na to, że nikt inny nie zna tej historii. Wszyscy poruszyli się z ciekawością.

– Zupełnie o tym zapomniałem – wyjaśnił Pablito. – Przypomniałem sobie dopiero w tej chwili. Trochę to jest podobne do przeżyć la Gordy. Gdy Nagual w końcu stał się wojownikiem bez kształtu, pewnego dnia zaczęły go ścigać obsesje wojowników, którzy uprawiali w piramidach śnienie i inne formy nie-działania. Dopadły go, gdy pracował w polu. Opowiadał mi, że zobaczył rękę, która wysunęła się ze świeżo zaoranej skiby i chciała pochwycić go za nogawkę od spodni. Pomyślał, że to jakiś inny robotnik, którego przypadkiem przysypała ziemia, i próbował go wyciągnąć, ale potem uświadomił sobie, że dogrzebuje się do zakopanej w ziemi klatki, w której był jakiś mężczyzna. Nagual mówił, że ten człowiek był bardzo chudy, ciemny i nie miał włosów. Nagual gorączkowo próbował przysypać klatkę ziemią. Nie chciał, żeby inni robotnicy to zauważyli, i nie chciał też zaszkodzić temu człowiekowi, wyciągając go na powierzchnię wbrew jego woli. Inni robotnicy zgromadzili się wokół niego, ale był tak pochłonięty kopaniem, że nawet ich nie zauważył. W końcu wierzch klatki zapadł się i ciemny mężczyzna pojawił się rozciągnięty na ziemi, zupełnie nagi. Nagual próbował go podnieść i poprosił innych, żeby mu pomogli, ale oni zaczęli się śmiać. Myśleli, że jest pijany i ma delirium, bo na polu nie było żadnego człowieka, klatki w ziemi ani niczego takiego.

– Nagual mówił, że był wstrząśnięty, ale nie odważył się opowiedzieć o tym swojemu dobroczyńcy – ciągnął. – Nie miało to znaczenia, bo w nocy przyszło do niego całe stado zjaw. Ktoś zapukał do drzwi domu i gdy poszedł otworzyć, do środka wpadła banda nagich ludzi ze złowróżbnie błyszczącymi żółtymi oczami. Przewrócili go na podłogę i rzucili się na niego. Zmiażdżyliby mu wszystkie kości, gdyby jego dobroczyńca szybko nie zadziałał. Zobaczył zjawy i zaciągnął Naguala w bezpieczne miejsce, do jamy w ziemi, którą na wszelki wypadek miał przygotowaną za domem. Zakopał w niej Naguala, a zjawy okrążyły ją i siedziały dokoła w kucki, czyhając na okazję. Nagual mówił, że był tak wystraszony, iż jeszcze długo po tym, jak zjawy zniknęły, każdego wieczoru dobrowolnie wracał do tej jamy i kładł się w niej spać.

Pablito umilkł. Wydawało się, że wszyscy są gotowi do odejścia. Poruszali się nerwowo i zmieniali pozycje, jakby chcieli pokazać, że zmęczyło ich siedzenie.

Powiedziałem im wtedy, że poczułem dziwny niepokój, gdy mój przyjaciel opowiedział mi o Atlantydach wędrujących w nocy dokoła piramid w Tuli. Aż do tego dnia nie uświadamiałem sobie, jak głęboko zaakceptowałem wszystko, czego nauczyli mnie don Juan i don Genaro. Zupełnie odrzuciłem wszelkie rozumowe osądy, choć jasno zdawałem sobie sprawę, że założenie, iż te olbrzymie kamienne posągi mogą chodzić, nie należy do dziedziny poważnych rozważań. Moja reakcja była dla ronię zupełnym zaskoczeniem.

Wyjaśniłem im szczegółowo, że myśl o przechadzających się nocą Atlantydach jest jasnym przykładem skupienia drugiej uwagi. Doszedłem do tego wniosku na podstawie kilku przesłanek. Po pierwsze, nie jesteśmy po prostu tacy, jakimi się widzimy w zwierciadle zdrowego rozsądku. W rzeczywistości jesteśmy świetlistymi istotami i potrafimy to sobie uświadomić. Po drugie, jako świetliste istoty, które uświadamiają sobie własną naturę, możemy dotrzeć do różnych aspektów naszej świadomości, czy też, jak nazywał ją don Juan, uwagi. Po trzecie, można to osiągnąć przez celowy wysiłek, czego właśnie próbowaliśmy dokonać, albo też przypadkowo, za sprawą fizycznego, traumatycznego przeżycia. Po czwarte, kiedyś czarownicy z rozmysłem skupiali różne aspekty swojej uwagi na przedmiotach materialnych. Po piąte, Atlantydzi, sądząc po ich budzącym cześć i grozę ustawieniu, musieli być obiektami skupiania uwagi czarowników z jakiejś innej epoki.

Powiedziałem, że kustosz, który przekazał mojemu przyjacielowi tę informację, bez wątpienia nawiązał łączność z inną częścią swojej uwagi – mógł nieświadomie, choćby nawet przez krótką chwilę, odbierać projekcje drugiej uwagi starożytnych czarowników. Wydawało mi się więc możliwe, że zwizualizował ich obsesję.

Jeśli owi czarownicy reprezentowali tradycję, z której wywodzili się także don Juan i don Genaro, to musieli praktykować ją w nieskazitelny sposób, a w takim wypadku ich dokonania osiągnięte przez skupianie drugiej uwagi nie mogły mieć żadnych granic. Jeśli chcieli sprawić, by Atlantydzi poruszali się nocą, to tak właśnie było.

Widziałem, że trzy siostrzyczki są coraz bardziej rozgniewane. Gdy skończyłem mówić, Lydia oskarżyła mnie, że nie robię nic innego, tylko gadam. Potem wstały i wyszły bez pożegnania. Mężczyźni ruszyli za nimi, lecz zatrzymali się w drzwiach i pożegnali mnie uściskiem dłoni. Zostałem w pokoju z la Gordą.

– Z tymi kobietami jest coś bardzo nie w porządku – zauważyłem.

– Nie. Po prostu są zmęczone gadaniem – odrzekła. – Oczekują od ciebie jakichś działań.

– To dlaczego Genarowie nie są zmęczeni gadaniem? – odparowałem.

– Bo są głupsi od kobiet – wyjaśniła.

– A ty, Gorda? Czy ty też masz dość gadania?

– Sama nie wiem – powiedziała poważnie. – Gdy jestem tylko z tobą, nie czuję zmęczenia, ale gdy jesteśmy razem z siostrzyczkami, jestem śmiertelnie zmęczona, tak jak one.

W ciągu następnych dni, które spędziłem w ich towarzystwie, nie wydarzyło się nic istotnego, przekonałem się jednak, że siostrzyczki są do mnie nastawione wrogo. Genarowie mnie tolerowali, ale traktowali mnie bezceremonialnie. Wydawało się, że tylko la Gorda stoi po mojej stronie. Zacząłem się zastanawiać nad przyczynami tej sytuacji. Przed wyjazdem do Los Angeles zapytałem o to la Gordę.

– Nie wiem, jak to możliwe, ale przyzwyczaiłam się do ciebie – wyjaśniła. – Mam wrażenie, że ty i ja jesteśmy razem, podczas gdy siostrzyczki i Genarowie żyją w innym świecie.

2. WSPÓLNE WIDZENIE

Po powrocie do Los Angeles przez kilka tygodni odczuwałem dziwne dolegliwości, zawroty głowy albo nagłą utratę oddechu, które wyjaśniałem sobie jako efekt wysiłku fizycznego. Pewnej nocy doszło do tego, że obudziłem się przerażony, nie mogąc złapać tchu. Lekarz, do którego poszedłem, zdiagnozował moje kłopoty jako hiperwentylację, spowodowaną najprawdopodobniej napięciem. Zapisał mi środek uspokajający i doradził, bym oddychał do papierowej torby, jeśli atak znów się powtórzy.

Postanowiłem wrócić do Meksyku, by poszukać rady u la Gordy. Gdy powtórzyłem jej diagnozę lekarza, zapewniła mnie spokojnie, że nie jest to żadna choroba, tylko w końcu zaczynam tracić swoje tarcze ochronne. Jej zdaniem to, czego doświadczałem, związane było z “utratą ludzkiego kształtu" i wejściem w nowy stan oddzielenia od ludzkich spraw.

– Nie walcz z tym – powiedziała. – Walka z tym jest naszą naturalną reakcją. Ale opór hamuje przemianę. Porzuć strach i przejdź krok po kroku cały proces utraty ludzkiego kształtu.

Powiedziała, że w jej wypadku dezintegracja ludzkiej postaci zaczęła się od podbrzusza. Objawiła się silnym bólem i nieregularnymi skurczami, które powoli rozprzestrzeniały się jednocześnie w dwóch kierunkach, w stronę stóp i gardła. Dodała jeszcze, że skutki są odczuwalne natychmiast.

Chciałem zanotować każdy niuans procesu przechodzenia w ten nowy stan. Przygotowałem się do spisania szczegółowej relacji z tego, co miało zajść, lecz ku mojej irytacji nic więcej się nie wydarzyło. Po kilku dniach bezowocnych oczekiwań odrzuciłem wyjaśnienia la Gordy i stwierdziłem, że diagnoza lekarza była prawidłowa. Nie byłem nią zdziwiony – ciążyła na mnie odpowiedzialność, która stała się przyczyną nieznośnego napięcia. Przyjąłem na siebie przywództwo, które zdaniem innych uczniów do mnie należało, ale nie miałem najmniejszego pojęcia, w jaki sposób mam ich poprowadzić. Obecne w moim życiu napięcie wywołało także inne, poważniejsze skutki. Mój poziom energii systematycznie opadał. Don Juan powiedziałby, że tracę osobistą moc i w końcu stracę życie. Nauczył mnie żyć

wyłącznie za sprawą osobistej mocy; rozumiałem ją jako sposób istnienia, związek porządkowy między podmiotem a wszechświatem, którego nie wolno zakłócać, gdyż nieuchronnie prowadzi to do śmierci. Ponieważ nie potrafiłem wymyślić żadnego sposobu wyjścia z tej sytuacji, doszedłem do wniosku, że moje życie dobiega kresu. Moje przekonanie, że jestem skazany, doprowadzało pozostałych uczniów do furii. Postanowiłem opuścić ich na kilka dni, w nadziei, że zmniejszy to napięcie i pomoże mi się pozbyć ponurego nastroju.

Gdy wróciłem, wszyscy stali przed drzwiami domu siostrzyczek, jakby przez cały czas na mnie czekali. Nestor podbiegł do samochodu i zanim jeszcze zdążyłem zgasić silnik, poinformował mnie, że Pablito uciekł. Poszedł umrzeć, twierdził Nestor, do miasta Tulą, gdzie mieszkali jego przodkowie. Ogarnęła mnie groza. Czułem się winny.

La Gorda nie podzielała moich uczuć. Promieniała zadowoleniem.

– Jeśli ten mały alfons umrze, tym lepiej – stwierdziła. – Teraz wszyscy możemy żyć razem w harmonii, tak jak być powinno. Nagual mówił, że wprowadzisz zmiany w nasze życie, i tak się stało. Pablito już nie będzie zawracał nam głowy. Pozbyłeś się go. Zobacz, jacy jesteśmy szczęśliwi. Lepiej nam bez niego.

Jej okrucieństwo napełniło mnie odrazą. Z całą mocą, na jaką potrafiłem się zdobyć, oświadczyłem, że don Juan żmudnie przekazywał nam wszystkim zasady życia wojownika. Podkreśliłem, że nieskazitelność wojownika wymaga ode mnie, bym nie dopuścił do śmierci Pablita.

– I jak ci się wydaje, co możesz zrobić? – zapytała la Gorda.

– Zabiorę kogoś z was, by z nim zamieszkał – odrzekłem – aż do dnia, gdy wszyscy, wraz z nim, będziecie mogli się stąd wynieść.

Śmiali się ze mnie, nawet Nestor i Benigno – najbardziej, jak mi się wydawało, zaprzyjaźnieni z Pablitem. La Gorda śmiała się dłużej niż pozostali, wyraźnie mnie prowokując.

Zwróciłem się do Nestora i Benigna, szukając u nich moralnego wsparcia. Odwrócili wzrok.

Odwołałem się do wyższej świadomości la Gordy. Błagałem ją. Używałem wszystkich argumentów, jakie tylko przyszły mi do głowy. Patrzyła na mnie z najwyższą pogardą.

– Chodźmy już – powiedziała do pozostałych. Obdarzyła mnie nic nie wyrażającym uśmiechem, wzruszyła ramionami i wydęła usta. – Możesz pójść z nami – zwróciła się do mnie – pod warunkiem, że nie będziesz zadawał pytań ani mówił o tym małym alfonsie.

– Jesteś wojownikiem bez kształtu, Gorda – odrzekłem. – Sama mi o tym mówiłaś. Dlaczego więc osądzasz Pablita?

Nie odpowiedziała, ale widziałem, że cios jest celny. Zmarszczyła czoło, unikając mojego wzroku.

– La Gorda jest po naszej stronie! – wykrzyknęła piskliwie Josefina.

Trzy siostrzyczki otoczyły la Gordę i wciągnęły ją do domu. Poszedłem za nimi. Nestor i Benigno także weszli do środka.

– Co chcesz zrobić, zabrać kogoś z nas siłą? – zapytała la Gorda.

Oznajmiłem, że uważam za swój obowiązek pomóc Pablitowi i że zrobiłbym to samo dla każdego z nich.

– Naprawdę myślisz, że ten numer przejdzie? – zawołała la Gorda z oczami błyszczącymi gniewem.

Miałem ochotę krzyczeć z wściekłości, jak już kiedyś zdarzyło mi się w ich obecności, ale tym razem okoliczności były inne i nie mogłem sobie na to pozwolić.

– Wezmę ze sobą Josefinę – stwierdziłem. – Jestem Nagualem.

La Gorda zagarnęła wszystkie siostrzyczki, zasłaniając je swoim ciałem. Zauważyłem, że mają zamiar spleść dłonie w łańcuch. Przebłysk intuicji uświadomił mi, że jeśli to zrobią, ich połączona moc stanie się przerażająco wielka i moje wysiłki, by zabrać ze sobą Josefinę, nie zdadzą się na nic. Jedyną moją szansą było uderzyć, zanim zdążą się połączyć. Pchnąłem Josefinę otwartymi dłońmi, aż zatoczyła się na środek pomieszczenia. Zanim kobiety znów zdążyły zebrać się w gromadę, uderzyłem Lydię i Rosę. Obydwie zgięły się wpół z bólu. Następnie la Gorda natarła na mnie z furią, jakiej nigdy jeszcze u niej nie widziałem. Wyglądało to jak atak dzikiej bestii. Cała jej koncentracja skupiona była na jednym rzucie ciała. Gdyby udało jej się we mnie trafić, zginąłbym, ale cios o kilka cali minął moją pierś. Pochwyciłem ją wpół od tyłu i razem zwaliliśmy się na podłogę. Tarzaliśmy się w

uścisku, aż poczuliśmy skrajne wyczerpanie. Jej ciało rozluźniło się, zaczęła pieszczotliwie gładzić grzbiety moich dłoni splecionych mocno na jej brzuchu.

Zauważyłem Nestora i Benigna, którzy stali przy drzwiach. Wyglądali, jakby zbierało im się na mdłości. La Gorda uśmiechnęła się nieśmiało i szepnęła mi do Ucha, że cieszy się, iż udało mi sieją pokonać.

Zabrałem Josefinę do Pablita. Sądziłem, że jedynie ona z całej grupy naprawdę potrzebuje kogoś, kto by się nią opiekował, a Pablito czuł do niej mniejszą niechęć niż do innych. Byłem pewien, że jego rycerskość zmusi go do zajęcia się nią, gdy będzie potrzebowała pomocy.

Miesiąc później znów pojechałem do Meksyku. Pablito i Josefina już wrócili. Mieszkali w domu don Genara, razem z Benignem i Rosą. Nestor i Lydia mieszkali w domu Soledad, a la Gorda została sama w domu siostrzyczek.

– Dziwi cię ten nowy układ? – zapytała la Gorda.

Moje zaskoczenie musiało być bardzo wyraźne. Chciałem wiedzieć, co oznacza to przeorganizowanie.

La Gorda poinformowała mnie sucho, że o ile jej wiadomo, nic ono nie oznacza. Postanowili zamieszkać parami, choć nie byli nimi w tradycyjnym tego słowa znaczeniu. Dodała, że wbrew temu, co może mi się wydawać, wszyscy są nieskazitelnymi wojownikami.

Ten nowy układ był całkiem sympatyczny. Wszyscy sprawiali wrażenie rozluźnionych. Skończyły się kłótnie i próby sił. Poza tym zaczęli się ubierać w sposób charakterystyczny dla Indian z tych okolic. Kobiety nosiły suknie z marszczonymi szerokimi spódnicami do kostek. Ramiona okrywały ciemnymi szalami, a włosy splatały w warkocze. Wyjątkiem była Josefina, która zawsze nosiła kapelusz. Mężczyźni ubierali się w cienkie, podobne do piżamy spodnie i koszule i nosili słomkowe kapelusze. Wszyscy chodzili w ręcznie robionych sandałach.

Zapytałem la Gordę o powody tej zmiany w sposobie ubierania. Odrzekła, że cała grupa przygotowuje się do opuszczenia tej okolicy. Prędzej czy później, z moją pomocą lub na własną rękę zamierzają porzucić dolinę i wyruszyć w nowy świat, rozpocząć nowe życie. Gdy ten dzień nadejdzie, przyjmą zmianę do wiadomości, a im dłużej będą chodzić w indiańskich strojach, tym bardziej radykalna okaże się ich metamorfoza po nałożeniu miejskich ubrań. Dodała, że wszystkich ich uczono płynności, nieskrępowanego zachowania w każdej możliwej sytuacji i że tego samego uczono także mnie. Moje zadanie polegało na tym, by zachowywać się swobodnie wobec reszty grupy bez względu na to, jak oni będą się odnosić do mnie. Oni z kolei musieli opuścić tę dolinę i osiedlić się w jakimś innym miejscu, by się przekonać, czy potrafią osiągnąć płynność, jaka powinna charakteryzować wojownika.

Poprosiłem ją o szczerą opinię co do naszych szans powodzenia. Odrzekła, że na wszystkich twarzach widzi zapowiedź porażki.

Nagle zmieniła temat i opowiedziała mi o tym, co widziała w śnieniu. Patrzyła na niezmiernie głęboki i wąski kanion między dwiema wielkimi, okrągłymi górami. Miała wrażenie, że skądś je zna. Poprosiła, bym ją zawiózł do pobliskiego miasteczka. Nie wiedziała dlaczego, ale wydawało jej się, że te dwie góry znajdują się właśnie tam i że zgodnie z przekazem zawartym w śnieniu powinniśmy tam pojechać obydwoje.

Wyruszyliśmy tuż przed świtem. Kiedyś już przejeżdżałem przez to miasteczko. Było niewielkie, a w okolicy nie zauważyłem niczego, co choć z grubsza przypominałoby wizję la Gordy – miasteczko otoczone było tylko zniszczonymi erozją wzgórzami. Przekonaliśmy się, że tych dwóch wzniesień rzeczywiście tam nie ma, a jeśli nawet są, to nie udało nam się ich odnaleźć.

Spędziliśmy w miasteczku dwie godziny i przez cały czas obydwoje nie potrafiliśmy się pozbyć wrażenia, że coś wiemy. Chwilami to odczucie przechodziło w pewność, a potem znowu zapadało się w mrok, pozostawiając tylko zdenerwowanie i frustrację. Wizyta w miasteczku w tajemniczy sposób wytrąciła nas z równowagi, czy też raczej z nieznanych powodów wprawiła nas w stan dziwnego podniecenia. Przeżywałem absurdalny konflikt wewnętrzny. Nie przypominałem sobie, bym kiedykolwiek zatrzymywał się w tym mieście, a jednak mógłbym przysiąc, że nie tylko w nim byłem, ale nawet mieszkałem tam przez jakiś czas. Nie był to wyraźny obraz – nie pamiętałem ulic ani domów. Miałem niejasne, lecz silne wrażenie, że za chwilę coś wypłynie na powierzchnię mojego umysłu. Nie byłem pewien, co to takiego, może jakieś wspomnienie. Chwilami to mgliste wrażenie przybierało na sile, szczególnie gdy zobaczyłem dom, przed którym zaparkowałem samochód. La

Gorda i ja wpatrywaliśmy się w ten budynek może przez godzinę, nie wychodząc z auta, ale żadne z nas nie zaproponowało, żebyśmy wysiedli i weszli do środka.

Obydwoje byliśmy bardzo spięci. Zaczęliśmy rozmawiać ojej wizji dwóch gór. Rozmowa szybko zmieniła się w kłótnię. La Gorda uważała, że nie potraktowałem jej śnienia poważnie. Napięcie rosło i w końcu zaczęliśmy na siebie krzyczeć, nie tyle ze złości, ile ze zdenerwowania. Przyłapałem się na tym i umilkłem.

W drodze powrotnej zatrzymałem samochód na poboczu polnej drogi. Wysiedliśmy, żeby rozprostować nogi, i przez chwilę spacerowaliśmy, wiał jednak silny wiatr i spacer nie był przyjemny. La Gorda wciąż okazywała niepokój. Wróciliśmy do samochodu.

– Gdybyś tylko przypomniał sobie to, co wiesz... – powiedziała błagalnym tonem. – Wtedy wiedziałbyś, że utrata ludzkiej postaci...

Urwała w pół zdania. Zauważyła, że marszczę brwi, i chyba uświadomiła sobie moją wewnętrzną walkę. Gdybym miał jakąś wiedzę, którą mógłbym świadomie przywołać, zrobiłbym to już wcześniej.

– Ale przecież jesteśmy świetlistymi istotami – dodała tym samym błagalnym tonem. – Mamy w sobie tak wiele rzeczy, o których nie wiemy. A ty jesteś Nagualem. To oznacza jeszcze więcej.

– Co twoim zdaniem powinienem zrobić? – zapytałem.

– Musisz zrezygnować z pragnienia kurczowego trzymania się czegokolwiek – odrzekła. – Ze mną było tak samo. Byłam przywiązana do różnych rzeczy, na przykład do jedzenia, które mi smakowało, do gór, gdzie mieszkałam, do ludzi, z którymi lubiłam rozmawiać. Ale przede wszystkim trzymałam się pragnienia, by inni mnie lubili.

Powiedziałem jej, że ta rada jest dla mnie bezużyteczna, bo nie zauważam w sobie żadnych przywiązań. La Gorda jednak upierała się, że dobrze wiem, iż wznoszę w sobie bariery, które nie pozwalają mi się pozbyć ludzkiej postaci.

– Nasza uwaga jest wytresowana w taki sposób, że skupia się na czymś na polecenie, jak pies – mówiła. – Dzięki temu udaje nam się podtrzymywać świat. Twoja pierwsza uwaga przywykła do skupiania się na czymś, co mnie jest zupełnie obce, lecz tobie bardzo dobrze znajome.

Wyjaśniłem jej, że mój umysł karmi się abstrakcjami – nie takimi, jak na przykład matematyka, lecz raczej założeniami opartymi na logice.

– Nadeszła pora, by to wszystko porzucić – powiedziała. – Musisz się pozbyć tego balastu, by utracić ludzką postać. Przeciwwaga w tobie jest tak silna, że sam siebie paraliżujesz.

Nie byłem w nastroju do sporów. To, co la Gorda nazywała pozbyciem się ludzkiej postaci, było dla mnie zbyt niejasne, bym miał się nad tym zastanawiać. Interesowało mnie raczej to, co przeżyliśmy w miasteczku. Ona jednak nie chciała o tym mówić.

– Ważne jest tylko to, żebyś odzyskał dostęp do całej swojej wiedzy – upierała się. – Potrafisz to zrobić w razie potrzeby, tak jak tamtego dnia, gdy Pablito uciekł, a ty się ze mną pobiłeś.

Powiedziała, że to, co się wtedy zdarzyło, było przykładem “odzyskiwania własnej wiedzy". Nie uświadamiając sobie do końca, co właściwie robię, wykonałem skomplikowane manewry wymagające widzenia.

– Nie chodzi mi po prostu o to, że nas zaatakowałeś – wyjaśniła. – Ty widziałeś.

Do pewnego stopnia miała rację. Tamtego dnia wydarzyło się coś niezwykłego. Długo się nad tym zastanawiałem, uznałem jednak, że to czysto osobiste spekulacje. Nie potrafiłem wyjaśnić swojego zachowania w zadowalający sposób, mogłem tylko powiedzieć, że emocjonalne napięcie chwili wywołało moją nieprzewidywalną reakcję.

Gdy wszedłem do domu i stanąłem twarzą w twarz z czterema kobietami, w ułamku sekundy zdałem sobie sprawę, że potrafię zmienić swój zwykły sposób postrzegania. Widziałem przed sobą cztery amorficzne bąble intensywnego bursztynowego światła. Jeden z nich promieniował blaskiem łagodniejszym i przyjemniejszym niż pozostałe, w których pojawiały się ostre, nieprzyjazne, białobursztynowe rozbłyski. Łagodniejsze światło to była la Gorda. Pozostałe trzy otaczały ją złowróżbnie.

Białawy bąbelek światła najbliżej mnie, czyli Josefina, wydawał się nieco wytrącony z równowagi. Pochylił się na bok, więc popchnąłem go lekko. Pozostałe dwa kopnąłem w zagłębienia po prawej stronie. Na poziomie świadomości nie miałem pojęcia, że właśnie tam powinienem je kopnąć. Po prostu to miejsce było najporęczniejsze – jakoś zachęcało do tego, by wsunąć tam stopę. Rezultat był

przerażający. Lydia i Rosa zasłabły. Kopnąłem każdą z nich w prawe udo. Uderzenie nie było na tyle silne, by złamać kość – ja tylko lekko trąciłem stopą majaczące przede mną pęcherzyki światła. Skutek był jednak taki, jakbym z całej siły wymierzył cios w najwrażliwsze miejsce ciała każdej z nich.

La Gorda miała rację. Przywołałem wówczas jakąś wiedzę, której posiadania nie byłem świadomy. Jeśli to właśnie nazywało się widzeniem, mój intelekt musiał wysnuć logiczną konkluzję, że widzenie jest wiedzą ciała. To, że naszym dominującym zmysłem jest wzrok, wpływa na tę cielesną świadomość i przez to wydaje się, że jest ona powiązana z oczami. Ale to, czego doświadczyłem, nie do końca było wrażeniem wizualnym. W moim widzeniu świetlistych bąbli brał udział, poza oczami, jeszcze jakiś inny organ, gdyż przez cały czas cztery kobiety znajdowały się w zwykłym polu mojego postrzegania. Te dwa zestawy obrazów istniały oddzielnie, choć jednocześnie. Jeszcze bardziej komplikowała wszystko kwestia czasu. Całe zdarzenie trwało tylko kilka sekund. Jeśli nawet przerzucałem uwagę z jednej sceny na drugą, musiało się to odbywać tak szybko, że przestawało mieć jakiekolwiek znaczenie, i dlatego pamiętam tylko tyle, że postrzegałem jednocześnie dwie odrębne sceny.

Gdy kopnąłem dwa bąble światła, zbliżył się do mnie trzeci, ten łagodniejszy – la Gorda. Nie podchodził prosto w moim kierunku, lecz od chwili, gdy zaczął się poruszać, zbaczał nieco na lewo. Wyglądało na to, że mnie wyminie, więc gdy przesuwał się obok mnie, pochwyciłem go. Tarzając się z nim po podłodze, czułem, że się z nim stapiam. Była to jedyna chwila, kiedy rzeczywiście zatraciłem wrażenie ciągłości. Znów poczułem siebie, gdy la Gorda zaczęła gładzić grzbiety moich dłoni.

– W śnieniu siostrzyczki i ja nauczyłyśmy się splatać dłonie – wyjaśniła la Gorda. – Potrafimy utworzyć łańcuch. Problem polegał na tym, że nigdy wcześniej nie tworzyłyśmy łańcucha poza naszym pokojem. Dlatego właśnie siostrzyczki wciągnęły mnie do środka. Twoje ciało wiedziało, co się stanie, jeśli uda nam się połączyć ręce. Gdybyśmy to zrobiły, znalazłabym się pod ich kontrolą. One mają w sobie więcej gwałtowności niż ja. Ich ciała są szczelnie zamknięte, ich nie interesuje seks, a mnie tak. Dlatego jestem słabsza. Jestem pewna, że właśnie zainteresowanie seksem przeszkadza ci odzyskać wiedzę.

La Gorda jeszcze przez chwilę mówiła o upośledzeniach, jakie powoduje seks. Czułem się nieswojo. Próbowałem skierować rozmowę na inne tematy, ona jednak wciąż do tego wracała, nie zważając na moją niechęć.

– Pojedźmy do Mexico City – powiedziałem zdesperowany.

Sądziłem, że będzie zdumiona tą propozycją. Nie odpowiedziała, tylko wydęła usta, mrużąc jednocześnie oczy. Ściągnęła mięśnie podbródka i wysunęła górną wargę, aż pod nosem utworzyła się jej fałda a twarz wykrzywił niezwykły grymas. Zauważyła moje zaskoczenie i rozluźniła mięśnie twarzy.

– Tak, Gorda – powtórzyłem. – Pojedźmy do Mexico City.

– Jasne. A dlaczego nie? – odrzekła. – Czego będę potrzebować?

Nie spodziewałem się takiej reakcji i w ostatecznym rozrachunku to ja byłem zdumiony.

– Niczego – odpowiedziałem. – Pojedźmy tak jak stoimy.

Bez słowa opadła na fotel i ruszyliśmy w stronę Mexico City. Było wcześnie, jeszcze nie minęło południe. Zapytałem, czy odważyłaby się pojechać ze mną do Los Angeles. Zastanawiała się przez chwilę.

– Zadałam to pytanie mojemu świetlistemu ciału – powiedziała wreszcie.

– I co ono odrzekło?

– Powiedziało, że muszę mieć przyzwolenie mocy.

W jej głosie brzmiało takie bogactwo uczuć, że zatrzymałem samochód i uścisnąłem ją. Moje uczucie do niej w tej chwili było tak głębokie, że poczułem lęk. Nie miało to nic wspólnego z seksem ani z potrzebą emocjonalnego wsparcia; to uczucie było silniejsze od wszystkiego, co dotychczas znałem.

Obejmując la Gordę, znów poczułem, że głęboko we mnie, w zakamarkach pamięci, do których moja świadomość nie ma dostępu, tkwi coś, co za chwilę wynurzy się na powierzchnię. W tamtej chwili niemal wiedziałem, co to takiego, ale gdy sobie to uświadomiłem, wrażenie zniknęło.

Wczesnym wieczorem dotarliśmy do miasta Oaxaca. Zaparkowałem samochód na bocznej uliczce i poszliśmy na plac położony w centrum miasta. Znaleźliśmy ławeczkę, na której zwykle siadali don

Juan i don Genaro. Była wolna. Usiedliśmy na niej w pełnym uszanowania milczeniu. Po jakimś czasie la Gorda powiedziała, że była tu wiele razy z don Juanem, a także z kimś, kogo nie może sobie przypomnieć. Nie była pewna, czy jej się to po prostu nie przyśniło.

– Co robiłaś z don Juanem na tej ławce? – zapytałem.

– Nic. Po prostu siedzieliśmy tu, czekając na autobus albo na ciężarówkę z drewnem, która podwiozłaby nas w góry.

Powiedziałem jej wtedy, że gdy ja siadywałem na tej ławce z don Juanem, całymi godzinami rozmawialiśmy.

Opowiedziałem jej o wielkim upodobaniu don Juana do poezji i o tym, jak czytywałem mu wiersze, gdy nie było nic innego do roboty. Gdy chodziło o wiersze, don Juan wyznawał zasadę, że warto czytać tylko pierwszą, czasem jeszcze drugą zwrotkę. Resztę uważał za objaw folgowania sobie przez poetę. Spośród setek wierszy, jakie mu przeczytałem, jedynie kilku dosłuchał do końca. Na początku czytałem mu to, co lubiłem ja sam – najbardziej podobała mi się abstrakcyjna, kwiecista, uroczysta poezja. Później don Juan kazał mi wciąż na nowo czytać to, co się jemu podobało. Jego zdaniem wiersz Powinien być krótki i zwięzły, zbudowany z precyzyjnych, celnych obrazów o wielkiej prostocie.

Był pewien wiersz Cesara Valleja, który dla don Juana najlepiej chyba opisywał pewien szczególny rodzaj tęsknoty odczuwanej zawsze, gdy późnym popołudniem siadywaliśmy na tej ławce w Oaxaca. Wyrecytowałem go teraz la Gordzie. Robiłem to właściwie nie dla niej, lecz dla siebie samego.

Ciekaw jestem, co teraz robi moja słodka Rita z Andów
wśród trzcin i dzikich czereśni.
W chwili, gdy dławię się zmęczeniem, a krew drzemie
w moich żyłach jak leniwa brandy.

Ciekaw jestem, co robią jej dłonie, które popołudniami
pokutniczo prasowały wykrochmaloną biel.
W chwili, gdy deszcz odbiera mi ochotę do dalszej
wędrówki.

Ciekaw jestem, co się dzieje z jej obszywaną
koronkami spódnicą;
z jej narzędziami; z jej wdzięcznymi ruchami;
z zapachem wiosennej trzciny cukrowej z tamtych
okolic.

Na pewno jest przy drzwiach
i patrzy na płynącą szybko chmurę.
Z gontów dachu rozlegnie się krzyk dzikiego ptaka
a ona w końcu powie, drżąc: “Jezu, jak zimno!"

Wspomnienie o don Juanie było niesłychanie wyraźne. Nie pojawiło się ono na poziomie myśli ani świadomych uczuć. Przypłynęło z jakiegoś nie znanego mi miejsca. Zacząłem łkać. Łzy płynęły mi z oczu strumieniem, ale nie przynosiły ulgi.

Ostatnie godziny popołudnia zawsze miały dla don Juana szczególne znaczenie. Zaakceptowałem jego szacunek dla tej pory dnia i przekonanie, że jeśli ma mi się przydarzyć coś ważnego, na pewno nastąpi to właśnie o tej porze.

La Gorda położyła głowę na moim ramieniu, a ja na jej głowie oparłem swoją. Siedzieliśmy tak przez chwilę. Poczułem się odprężony, obawa i podniecenie znikły. Dziwne było to, że samo zetknięcie naszych głów przyniosło mi taki spokój. Chciałem zażartować, że powinniśmy związać sobie głowy razem, ale pomyślałem, że ona mogłaby to potraktować najzupełniej poważnie. Moje ciało zatrzęsło się od śmiechu i uświadomiłem sobie, że śpię, chociaż oczy miałem otwarte – mógłbym wstać, gdyby mi na tym zależało. Nie miałem jednak ochoty się poruszać, siedziałem więc tak, całkiem przytomny, a jednak uśpiony. Widziałem przechodzących obok ludzi, którzy się nam przyglądali, ale nie miałem nic przeciwko temu. Normalnie przeszkadzałoby mi to, że inni zwracają na mnie uwagę. A potem nagle, w jednej chwili, wszyscy ludzie w zasięgu wzroku zmienili się w wielkie bąble białego światła. Po raz pierwszy w życiu udało mi się zatrzymać obraz świetlistych jaj! Don Juan mówił mi, że dla kogoś, kto widzi, ludzkie istoty przypominają świetliste jaja. Zdarzało mi się miewać przebłyski takiego widzenia, ale nigdy jeszcze nie potrafiłem skupić na nich wzroku tak, jak robiłem to teraz.

W pierwszej chwili bąble światła wydawały się zupełnie bezkształtne, jakby mój wzrok nie był ustawiony na właściwą ostrość. Zaraz jednak zacząłem widzieć ostro i bąble białego światła zmieniły

się w podłużne świetliste jaja. Były wielkie, naprawdę olbrzymie, wysokie na jakieś siedem stóp, a szerokie co najmniej na cztery.

W pewnej chwili zauważyłem, że jaja przestały się Poruszać. Widziałem przed sobą jednolitą świetlistą masę. Jaja obserwowały mnie, złowróżbnie przyczajone nad moją głową. Poruszyłem się i usiadłem prosto. La Gorda Wciąż mocno spała, oparta na moim ramieniu. Otaczała nas grupa wyrostków, którzy chyba sądzili, że jesteśmy pijani, i złośliwie nas przedrzeźniali. Najśmielszy z nich obmacywał piersi la Gordy. Obudziłem ją, potrząsając za ramię. Podnieśliśmy się i szybko odeszliśmy stamtąd. Chłopcy szli za nami, szyderczo wykrzykując obsceniczne słowa. Dopiero widok policjanta na rogu ulicy zniechęcił ich do dalszych prześladowań. W całkowitym milczeniu szliśmy z rynku do miejsca, gdzie zostawiłem samochód. Naraz la Gorda pochwyciła mnie za ramię. Usta miała otwarte, a w jej oczach błyszczało szaleństwo.

– Patrz! Patrz! – krzyczała, wskazując na coś palcem. – To Nagual i Genaro!

Zobaczyłem dwóch mężczyzn, którzy właśnie skręcili za róg jedną przecznicę przed nami. La Gorda ruszyła pędem. Biegnąc za nią, zapytałem, czy jest pewna, że się nie pomyliła. Była jak oszalała. Odkrzyknęła, że gdy podniosła głowę, obydwaj na nią patrzyli, a gdy pochwycili jej wzrok, ruszyli przed siebie.

Skręciliśmy za róg, za którym zniknęli mężczyźni, i zobaczyliśmy ich w tej samej odległości co przedtem. Nie mogłem rozróżnić rysów ich twarzy. Ubrani byli jak meksykańscy wieśniacy. Na głowach mieli słomkowe kapelusze. Jeden był krępy jak don Juan, drugi zaś chudy jak don Genaro. Skręcili za następny róg, a my znów pobiegliśmy za nimi. Ulica, w którą weszli, była wyludniona i prowadziła na przedmieścia, skręcając lekko w lewo. Mężczyźni znajdowali się akurat na zakręcie. Wówczas zobaczyłem coś, co sprawiło, iż rzeczywiście byłem w stanie uwierzyć, że to don Juan i don Genaro. Był to gest niższego mężczyzny, który odwrócił się do nas i przechylił głowę, jakby nakazując nam iść za sobą. Takie gesty wykonywał don Genaro, gdy byliśmy w lesie. Zawsze szedł przede mną, zachęcając mnie ruchem głowy, bym starał się z nim zrównać.

– Nagual! Genaro! Poczekajcie! – wykrzyknęła głośno la Gorda i pobiegła naprzód. Ja zostałem z tyłu. Mężczyźni szli bardzo szybkim krokiem w stronę jakichś baraków, ledwo widocznych w półmroku. Musieli wejść do któregoś z nich albo skręcić w jedną z licznych alejek, bo nagle zniknęli nam z oczu.

La Gorda stanęła w miejscu, bez żadnego zażenowania wołając ich po imieniu. Ludzie wyszli z domów, żeby zobaczyć, kto tak krzyczy. Objąłem ją i trzymałem, dopóki się nie uspokoiła.

– Byli tuż przede mną – powiedziała z płaczem. – O niecałe dziesięć stóp. Gdy zawołałam i zwróciłam ci na nich uwagę, w jednej chwili oddalili się o całą przecznicę.

Próbowałem ją uspokoić. Była bardzo zdenerwowana. Przywarła do mnie, drżąc. Z jakiegoś powodu miałem absolutną pewność, że ci mężczyźni nie byli don Juanem i don Genarem, toteż nie potrafiłem dzielić jej podniecenia. Stwierdziła, że musimy wracać do domu, bo moc nie pozwoliłaby jej pojechać ze mną do Los Angeles, ani nawet do Mexico City. Nie nadszedł jeszcze czas na taką podróż. Była przekonana, że ujrzenie tych mężczyzn to omen. Znikając, wskazali na wschód, w stronę jej rodzinnego miasta.

Nie miałem nic przeciwko temu, żeby natychmiast wyruszyć w drogę powrotną. Po tym wszystkim, co wydarzyło się w ciągu dnia, powinienem być śmiertelnie zmęczony, a jednak w moim ciele wibrowała niezwykła energia. Czułem się tak jak kiedyś, gdy przebywając w towarzystwie don Juana, miałem wrażenie, że mógłbym burzyć mury.

Gdy szliśmy do samochodu, znów ogarnęła mnie fala głębokich uczuć do la Gordy. Wiedziałem, że nigdy nie będę w stanie wystarczająco odwdzięczyć jej się za pomoc. Cokolwiek zrobiła, by pomóc mi zobaczyć świetliste jaja, poskutkowało. Wykazała niezwykłą odwagę, ryzykując ośmieszenie, a nawet obrażenia fizyczne, gdy siedzieliśmy na ławce. Podziękowałem jej głośno. Ona jednak popatrzyła na mnie jak na wariata i wybuchnęła głębokim, wibrującym śmiechem.

– Ja to samo myślałam o tobie – wyznała. – Byłam pewna, że zrobiłeś to dla mnie. Ja też widziałam świetliste jaja. Dla mnie też był to pierwszy raz. Udało nam się wspólne widzenie! Nagual i Genaro tak robili.

Kiedy otwierałem przed nią drzwiczki samochodu, w pełni uświadomiłem sobie to, czego dokonaliśmy. Aż do tej chwili byłem trochę odrętwiały i odbierałem wszystko w zwolnionym tempie. Teraz jednak ogarnęła mnie euforia równie silna jak wcześniejsze podniecenie la Gordy. Miałem ochotę biec ulicą i krzyczeć na cały głos. Teraz ona z kolei próbowała mnie powstrzymać. Przykucnęła i rozmasowała mi łydki. Dziwne, ale natychmiast się uspokoiłem. Odkryłem, że mówienie sprawia mi

trudność. Myśli biegły zbyt szybko i słowa nie nadążały za nimi. Nie chciałem od razu wracać do naszego miasteczka. Wydawało mi się, że mamy jeszcze bardzo wiele do zrobienia. Ponieważ nie potrafiłem wyraźnie powiedzieć, o co mi chodzi, niemal siłą zaprowadziłem oporną la Gordę z powrotem na rynek, ale o tej porze nie znaleźliśmy tam żadnej wolnej ławki. Byłem bardzo głodny, więc zaciągnąłem ją do restauracji. Wydawało jej się, że nie będzie w stanie niczego przełknąć, ale gdy przyniesiono nam jedzenie, okazało się, że jest równie głodna jak ja. Jedzenie pomogło nam się odprężyć.

Później, wieczorem, znów usiedliśmy na tej samej ławce. Aż do tamtej chwili powstrzymywałem się od mówienia o tym, co się nam przydarzyło. Początkowo la Gorda nie chciała wygłaszać żadnych komentarzy. Mój umysł był w stanie szczególnego uniesienia. Przeżywałem już podobne chwile z don Juanem, ale z reguły były one następstwem zażywania roślin halucynogennych.

Zacząłem od opowiedzenia la Gordzie o tym, co widziałem. Największe wrażenie wywarł na mnie sposób, w jaki świetliste jaja się poruszały. One nie chodziły, lecz jakby płynęły w powietrzu, choć jednocześnie opierały się na ziemi. Ich ruchy nie były przyjemne dla oka, sprawiały wrażenie sztywnych, mechanicznych i urywanych. Poruszające się jajo stawało się mniejsze i bardziej zaokrąglone, podskakiwało, trzęsło się i bardzo szybko podrygiwało w górę i w dół. Rezultatem było irytujące, nerwowe drżenie. Nieprzyjemne fizyczne uczucie, jakiego doświadczałem, patrząc na ich ruchy, najlepiej chyba odda porównanie z wrażeniem towarzyszącym oglądaniu filmu puszczonego w przyśpieszonym tempie.

Poza tym zaintrygowało mnie to, że nie zauważyłem żadnych nóg. Kiedyś widziałem spektakl baletowy, w którym tancerze naśladowali ruchy żołnierzy jeżdżących na łyżwach. Nosili luźne tuniki do ziemi, które zupełnie zakrywały stopy – stąd wrażenie, że ślizgają się po lodzie. Świetliste jaja przesuwające się przed moimi oczami również wyglądały tak, jakby ślizgały się po nierównej powierzchni. Jasne światło, którym emanowały, drgało w pionie. Drganie to było niemal niedostrzegalne, ale wystarczyło, bym poczuł mdłości. Gdy jaja znajdowały się w spoczynku, stawały się bardziej wydłużone. Niektóre z nich były tak długie i sztywne, że przywodziły na myśl drewniane rzeźby.

Jeszcze bardziej irytującą cechą świetlistych jaj był brak oczu. Nigdy dotychczas nie uświadamiałem sobie tak wyraźnie, jak bardzo oczy żywych istot przyciągają naszą uwagę. Świetliste jaja były na wskroś żywe, obserwowały mnie z wielką ciekawością. Widziałem, jak podrygują, pochylając się nade mną, by mi się przyjrzeć, ale nie miały oczu.

Dolna połowa wielu z nich była pokryta dużymi, czarnymi plamami. Na innych takich plam nie zauważyłem. La Gorda wyjaśniła mi, że na ciała zarówno mężczyzn, Jak i kobiet wpływa rozmnażanie, powodując powstawanie dziur w ciele poniżej żołądka. Jednak plamy, które widziałem, nie kojarzyły mi się z dziurami. Były to miejsca pozbawione świetlistości i głębi. Jaja, które miały czarne plamy, wydawały się przygaszone i zmęczone. Brzegi jajowatego kształtu w porównaniu do reszty świetlistego obszaru wyglądały na przywiędłe i matowe. Z kolei te jaja, które nie miały plam, były oślepiająco jaskrawe. Wydawało mi się, że są niebezpieczne. Aż wibrowały energią i bielą.

La Gorda powiedziała, że w chwili, gdy oparłem głowę na jej głowie, ona także wpadła w stan, który przypominał śnienie. Nie spała, ale nie była w stanie się poruszyć. Zdawała sobie sprawę, że wokół nas kręcą się ludzie. Potem spostrzegła, że zamieniają się oni w świetliste bąble, a w końcu w istoty o jajowatym kształcie. Na początku myślała, że kontroluję sytuację, ale w pewnej chwili nacisk mojej głowy stał się mocniejszy i wtedy zupełnie przytomnie uświadomiła sobie, iż ja także widzę. Ja z kolei dopiero wówczas zrozumiałem, że z nią dzieje się to samo, co ze mną, gdy się wyprostowałem i zwróciłem uwagę na młodego chłopaka, który ją obmacywał.

Nasze wizje różniły się tym, że la Gorda potrafiła odróżnić mężczyzn od kobiet po wyglądzie niektórych włókien światła, które nazywała “korzeniami". Powiedziała, że kobiety mają grube wiązki włókien przypominające ogon lwa. Wyrastają one z genitaliów i są skierowane w stronę środka ciała. Wyjaśniła, że te włókna to dawcy życia. Rozwijający się embrion przyczepia się do jednego z takich odżywczych korzeni i zżera go, pozostawiając dziurę. Mężczyźni z kolei mają krótkie, ruchliwe włókna, które unoszą się w powietrzu, niemal zupełnie oddzielone od świetlistej masy ciała.

Zapytałem, co jej zdaniem było przyczyną naszego wspólnego widzenia. Nie chciała tego komentować, ale zachęcała mnie do wysuwania przypuszczeń. Przyszedł mi do głowy tylko jeden, oczywisty powód: musiały na to wpłynąć emocje.

Po południu, gdy la Gorda i ja usiedliśmy na ulubionej ławce don Juana i wyrecytowałem wiersz, który mu się podobał, byłem bardzo naładowany emocjami. Emocje musiały przygotować ciało. Lecz

należało też wziąć pod uwagę to, że ćwicząc śnienie, nauczyłem się osiągać stan zupełnego wyciszenia. Potrafiłem wyłączyć wewnętrzny dialog i pozostawać jakby w kokonie, wyglądając na zewnątrz przez niewielki otwór. W tym stanie mogłem albo częściowo odrzucić kontrolę i rozpocząć śnienie, albo też utrzymać kontrolę, pozostając biernym, bez myśli i pragnień. Nie sądziłem jednak, by był to czynnik decydujący. Wierzyłem, że la Gorda odegrała rolę katalizatora, a moje uczucia do niej stworzyły odpowiednie warunki, bym mógł zobaczyć.

Gdy przedstawiłem la Gordzie te wnioski, zaśmiała się niepewnie.

– Nie zgadzam się z tobą – odparła. – Myślę, że twoje ciało po prostu zaczęło sobie przypominać.

– Co chcesz przez to powiedzieć, Gorda?

Zapadła cisza. Nie wiedziałem, czy próbuje się przełamać i powiedzieć coś, czego nie ma ochoty mówić, czy też szuka odpowiedniego słowa.

– Tak wiele wiem – odezwała się wreszcie – a jednak sama nie wiem, co wiem. Przypomina mi się tak wiele, że w końcu niczego już nie pamiętam. Myślę, że z tobą jest podobnie.

Zapewniłem ją, że nie mam takich odczuć, ale nie chciała mi uwierzyć.

– Czasami naprawdę myślę, że nie wiesz – rzekła. – Innym razem mam wrażenie, że ty tylko grasz. Nagual mówił mi, że on sam nie jest tego pewien. Teraz wraca do mnie wiele rzeczy, które mówił o tobie.

– Co to znaczy, że moje ciało zaczęło sobie przypominać? – nalegałem.

– Nie pytaj mnie o to – odrzekła z uśmiechem. – Nie wiem, co masz sobie przypomnieć ani jak masz to zrobić. Ja sama nigdy tego nie robiłam. Tyle w każdym razie wiem na pewno.

– Czy którykolwiek z uczniów mógłby mi to powiedzieć?

– Żaden – potrząsnęła głową. – Wydaje mi się, że jestem twoim kurierem, który tym razem może ci przekazać tylko połowę wiadomości.

Podniosła się i poprosiła, bym zawiózł ją z powrotem do miasteczka. Ja jednak ciągle czułem się zbyt podniecony, by już wyjeżdżać. Zaproponowałem, byśmy się przeszli dokoła rynku. W końcu usiedliśmy na innej ławce.

– Nie wydaje ci się dziwne, że wspólne widzenie poszło nam tak łatwo? – zapytała la Gorda.

Nie wiedziałem, jak mam to rozumieć, i zawahałem się.

– Co byś powiedział na to, że moim zdaniem już wcześniej zdarzało nam się widzieć rażeni? – zapytała znów, ostrożnie dobierając słowa.

Nie rozumiałem, co ma na myśli. Powtórzyła pytanie, ale dalej nie wiedziałem, o co jej chodzi.

– Kiedy wcześniej mogliśmy widzieć razem? – zapytałem. – Twoje pytanie nie ma sensu.

– W tym rzecz – przyznała. – To nie ma sensu, a jednak mam wrażenie, że już wcześniej widzieliśmy razem.

Podniosłem się, czując na plecach zimny dreszcz. Znów przypomniałem sobie wrażenie, jakie ogarnęło mnie w tamtym miasteczku. La Gorda otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale urwała w pół słowa. Patrząc na mnie z osłupieniem, przyłożyła dłoń do moich ust i niemal siłą zaciągnęła mnie do samochodu.

Jechałem całą noc. Chciałem rozmawiać, analizować, ale ona usnęła, jakby specjalnie po to, by uniknąć dyskusji. Rzecz jasna miała rację. Z nas dwojga to ona wyczuła, że nadmiar słów grozi zniszczeniem nastroju.

Podjechałem przed jej dom. Wysiadając z auta, powiedziała, że nie wolno nam rozmawiać o tym, co się zdarzyło w Oaxaca.

– Dlaczego, Gorda? – zapytałem.

– Nie chcę, żebyśmy tracili moc – odrzekła. – To zasada czarowników. Nigdy nie należy marnować tego, co się zyskało.

– Ale jeśli o tym nie porozmawiamy, to nigdy się nie dowiemy, co się nam naprawdę zdarzyło – zaprotestowałem.

– Musimy milczeć co najmniej przez dziewięć dni – nalegała.

– Nie możemy porozmawiać o tym tylko we dwoje?

– Właśnie tego przede wszystkim powinniśmy unikać – stwierdziła. – Jesteśmy zbyt podatni. Musimy dać sobie czas na uleczenie.

3. QUASI-WSPOMNIENIA DRUGIEGO “JA"

– Czy możesz nam wyjaśnić, co się dzieje? – zapytał Nestor, gdy wieczorem usiedliśmy wszyscy razem. – Gdzie wy dwoje byliście wczoraj?

Zapomniałem, że la Gorda nie chciała, byśmy rozmawiali o tym, co nam się zdarzyło. Powiedziałem, że najpierw pojechaliśmy do pobliskiego miasteczka i tam znaleźliśmy niezwykle intrygujący dom.

Wydawało się, że wszystkich przebiegł nagły dreszcz. Poruszyli się nerwowo, spoglądając po sobie, a potem wpatrzyli się w la Gordę, jakby czekali na jej relację.

– Co to był za dom? – zapytał Nestor.

La Gorda nie dopuściła mnie do głosu. Zaczęła coś mówić, szybko i chaotycznie. Jasne było dla mnie, że improwizuje. Używała nawet słów i wyrażeń w języku Mazateków. Od czasu do czasu rzucała na mnie ukradkowe spojrzenia, które błagały, bym nie wspominał o naszej wyprawie.

– A jak ci idzie śnienie, Nagual? – zapytała. Znalazła wyjście z sytuacji i w jej głosie zabrzmiała ulga. – Chcielibyśmy usłyszeć o wszystkim, co robisz. Myślę, że to bardzo ważne, byś nam opowiedział.

Niby przypadkiem pochyliła się w moją stronę i szepnęła mi do ucha, że z powodu tego, co nam się przydarzyło w Oaxaca, muszę im opowiedzieć o moim śnieniu.

– Dlaczego to jest dla was ważne? – zapytałem głośno.

– Wydaje mi się, że jesteśmy już bardzo blisko końca – odrzekła poważnie. – Teraz wszystko, co zrobisz czy powiesz, ma wielkie znaczenie.

Opowiedziałem im o tym, co uważam za swoje prawdziwe śnienie. Don Juan mówił, że nie ma sensu skupiać się na próbach. Podał mi złotą zasadę: jeśli ta sama wizja powtórzy się trzy razy, to powinienem zwrócić na nią szczególną uwagę – w innym wypadku są to zaledwie wysiłki neofity, etap pośredni w procesie budowania drugiej uwagi.

Kiedyś śniłem, że się budzę i wyskakuję z łóżka, po czym zobaczyłem siebie samego wciąż śpiącego w łóżku. Patrzyłem na siebie i wystarczyło mi samokontroli, by pamiętać, że śnię. Postępowałem według wskazówek don Juana, który zalecił mi unikać nagłych wstrząsów, nie dziwić się niczemu i traktować wszystko z odrobiną dystansu. Don Juan twierdził, że śniący musi się zaangażować w eksperyment, zachowując jednocześnie postawę neutralnego obserwatora. Zamiast przyglądać się swemu uśpionemu ciału, śniący powinien wyjść z pokoju. Naraz znalazłem się na zewnątrz, nie wiedząc, jak to się stało. Wiedziałem bez żadnych wątpliwości, że to przeniesienie odbyło się w jednej chwili. Gdy stanąłem za drzwiami, ujrzałem olbrzymi korytarz i schody. Jeśli cokolwiek rzeczywiście mnie przeraziło tej nocy, to właśnie wielkość tych konstrukcji, które w codziennym życiu zawsze były najzupełniej zwyczajne: korytarz miał około pięćdziesięciu stóp długości, a schody składały się z szesnastu stopni.

Nie miałem pojęcia, jak mam przebyć te ogromne przestrzenie, które widziałem przed sobą. Zawahałem się, a potem coś sprawiło, że się poruszyłem. Nie szedłem jednak, nie czułem poszczególnych kroków. Naraz zauważyłem, że trzymam dłoń na poręczy. Widziałem swoje dłonie i ramiona, ale ich nie czułem. Trzymałem poręcz za sprawą jakiejś siły, która, jak mi się wydawało, nie miała nic wspólnego z mięśniami. To samo wrażenie powtórzyło się, gdy próbowałem zejść po schodach. Nie wiedziałem, jak powinienem się poruszać. Nie potrafiłem uczynić ani jednego kroku, jakby ktoś zespawał mi nogi. Widziałem je, gdy się pochyliłem, ale nie potrafiłem nimi poruszać ani do przodu, ani na boki, nie mogłem też unieść kolan do piersi. Utknąłem na najwyższym stopniu. Czułem się jak nadmuchiwana plastikowa lalka, którą można pochylać we wszystkie strony, ale gdy położy sieją poziomo, natychmiast wstaje za sprawą obciążenia w okrągłej podstawie.

Z trudem ruszyłem naprzód. Przeskakiwałem ze stopnia na stopień, odbijając się jak niezgrabna piłka. Dotarcie na parter wymagało niesłychanej uwagi i koncentracji. Nie potrafię tego inaczej określić. Jakaś forma uwagi była konieczna, by utrzymać granice wizji i nie pozwolić jej na zdezintegrowanie się w przelotne obrazy zwykłego snu.

W końcu dotarłem do drzwi prowadzących na ulicę, ale nie mogłem ich otworzyć. Wszelkie desperackie próby okazały sę bezskuteczne. Po chwili jednak przypomniałem sobie, że wydostałem się z pokoju, wyślizgując się na zewnątrz, tak jakby drzwi były otwarte. Wystarczyło, że przywołałem w myślach to wrażenie i natychmiast znalazłem się na ulicy. Była ciemna, spowita szczególną, ołowianą szarością, w której nie potrafiłem rozróżnić żadnych barw. Moją uwagę natychmiast przyciągnęła olbrzymia laguna światła znajdująca się tuż przede mną, na poziomie wzroku. Doszedłem do wniosku, że musi to być światło latarni ulicznej, wiedziałem bowiem, że latarnia znajduje się na rogu, o dwadzieścia stóp nad ziemią. Jednocześnie zdałem sobie sprawę, że nie jestem w stanie zorientować się w przestrzeni i określić, co jest na górze, co na dole, co bliżej, a co dalej. Wszystko wydawało się niezwykle obecne. Zatraciłem mechanizm, który w codziennym życiu pozwala nam uporządkować doznania zmysłowe. Wszystko znajdowało się na pierwszym planie, a mnie brakowało siły woli, by zastosować jakiś sposób selekcji wrażeń.

Stałem na ulicy oszołomiony. W pewnej chwili poczułem, że lewituję. Przytrzymałem się metalowego słupa, na którym umocowana była latarnia i znak drogowy.

Unosił mnie silny wiatr. Ślizgałem się w górę po słupie, aż zauważyłem tuż przed sobą tabliczkę z nazwą ulicy: Ashton.

Kilka miesięcy później, gdy znów patrzyłem w śnieniu na swoje uśpione ciało, miałem już przygotowaną listę tego, co mogę zrobić. Regularne ćwiczenia w śnieniu przekonały mnie, że w tym stanie największe znaczenie ma siła woli, a fizyczna rzeczywistość ciała jest nieistotna. Bez wahania wyśliznąłem się z pokoju, nie próbując już wykonywać żadnych ruchów, by otworzyć drzwi czy stawiać kroki. Korytarz i klatka schodowa nie wydawały mi się tak olbrzymie, jak za pierwszym razem. Bez trudu wyśliznąłem się na zewnątrz i znalazłem się na ulicy. Tam zapragnąłem znaleźć się o trzy przecznice dalej. Uświadomiłem sobie, że światła niezmiernie mnie irytują. Gdy skupiałem na nich wzrok, stawały się olbrzymimi plamami jasności. Pozostałe elementy tego śnienia kontrolowałem bez trudu. Budynki wydawały się większe niż normalnie, ale ich kształty były znajome. Zastanawiałem się, co robić. A potem, zupełnie przypadkowo, zauważyłem, że jeśli nie skupiam na niczym wzroku, obrzucając jedynie otoczenie szybkimi spojrzeniami, tak jak robimy to w zwykłym świecie, to potrafię uporządkować postrzeganie przestrzeni. Inaczej mówiąc, gdy wiernie trzymałem się wskazówek don Juana i traktowałem śnienie jako stan naturalny, mogłem używać sposobów postrzegania wypracowanych w codziennym życiu. Chociaż otoczenie nie stało się do końca znajome, już po chwili potrafiłem się po nim poruszać bez problemów.

Następnym razem w podobnym śnieniu poszedłem do mojej ulubionej kawiarenki na rogu. Wybrałem to miejsce, bo chodziłem tam codziennie wcześnie rano. W śnieniu ujrzałem kelnerkę, która zawsze tam pracowała na nocnej zmianie, rząd ludzi, którzy coś jedli, siedząc przy kontuarze, a przy samym jego końcu zauważyłem szczególną postać, człowieka, którego widywałem niemal codziennie, jak przechadzał się bez celu po miasteczku akademickim UCLA. Tylko on jeden na mnie spojrzał. Miałem wrażenie, że wyczuł moją obecność od pierwszej chwili, gdy wszedłem do środka. Obrócił się i wpatrzył we mnie.

Kilka dni później, już na jawie, spotkałem go w tej kawiarni wczesnym rankiem. Spojrzał na mnie i chyba mnie poznał. Sprawiał wrażenie przerażonego i uciekł, zanim zdążyłem z nim porozmawiać.

Jeszcze raz wróciłem w śnieniu do tej samej kawiarni i wtedy właśnie treść wizji się zmieniła. Patrzyłem na kawiarnię, stojąc po drugiej stronie ulicy, gdy nagle obraz się zmienił i nie widziałem już znajomych budynków, tylko scenerię sprzed wielu tysięcy lat. Zamiast nocy był jasny dzień. Patrzyłem na kipiącą zielenią dolinę. Wszędzie rosły wilgotne, ciemnozielone, podobne do trzcin rośliny. Obok mnie wznosiła się skalna półka wysoka na osiem do dziesięciu stóp. Siedział na niej wielki tygrys szablozęby. Osłupiałem na jego widok. Przez dłuższą chwilę wpatrywaliśmy się w siebie nieruchomo. Tygrys był olbrzymi, ale nie wyglądał groteskowo ani nieproporcjonalnie. Miał wspaniałą głowę, wielkie oczy koloru ciemnego miodu, potężne łapy i ogromną klatkę piersiową. Największe wrażenie zrobił na mnie kolor jego futra o dziwnie długim włosie: jednolicie ciemnobrązowy, niemal czekoladowy, jak polakierowane ziarna palonej kawy. Futro nie było zbite ani skłębione, nie przypominało futra pumy, wilka ani niedźwiedzia polarnego. Niczego takiego wcześniej nie widziałem.

Od tamtej pory widywanie tygrysa stało się dla mnie rutyną. Czasami było pochmurno i chłodno, w dolinie padał rzęsisty deszcz. Kiedy indziej krajobraz był skąpany w słońcu. Często widywałem tam

inne tygrysy szablozębe i słyszałem ich do niczego niepodobny, skrzypiący ryk – od tych dźwięków zbierało mi się na mdłości.

Tygrys nigdy mnie nie dotknął. Patrzyliśmy na siebie z odległości kilkunastu stóp. Wiedziałem jednak, czego chce. Uczył mnie szczególnego sposobu oddychania. Po jakimś czasie nauczyłem się naśladować jego sposób oddychania tak dobrze, że miałem wrażenie, iż sam zmieniam się w tygrysa. Powiedziałem uczniom, że w efekcie tego śnienia moje ciało stało się bardziej muskularne. Po wysłuchaniu mojej opowieści Nestor nie mógł się nadziwić, jak bardzo ich śnienie różniło się od mojego. Oni w śnieniu otrzymywali konkretne zadania. On sam miał znaleźć lekarstwa na wszelkie choroby nękające ludzkie ciało. Zadanie Benigna polegało na przepowiadaniu, przewidywaniu i znajdowaniu rozwiązania wszystkich ludzkich kłopotów. Pablito miał się nauczyć budowania. Nestor powiedział, że właśnie z powodu śnienia on sam zaczął się zajmować leczniczymi ziołami, Benigno sporządził wyrocznię, a Pablito został cieślą. Dodał, że jak dotychczas udało im się zgłębić zaledwie powierzchnię śnienia i nie mogą jeszcze opowiedzieć mi nic ciekawego.

– Może myślisz, że wiele dokonaliśmy – mówił – ale tak nie jest. Genaro i Nagual robili wszystko za nas i za te cztery kobiety. My sami niczego jeszcze nie osiągnęliśmy.

– Wydaje mi się, że Nagual zaprogramował cię inaczej – dodał Benigno powolnym, rozważnym tonem. – Zapewne kiedyś byłeś tygrysem i jest oczywiste, że znów się nim staniesz. To właśnie zdarzyło się Nagualowi: kiedyś był krukiem i w tym życiu ponownie się zmieniał w kruka.

– Problem w tym, że takich tygrysów już nie ma – rzekł Nestor. – Nigdy nie słyszeliśmy, co się dzieje w takim wypadku.

Poruszył głową, ogarniając spojrzeniem całą grupę.

– Ja wiem, co się wtedy dzieje – powiedziała la Gorda. – Pamiętam, że Nagual Juan Matus nazywał to śnieniem o duchach. Powiedział, że żadne z nas nigdy nie śniło o duchach dlatego, że nie ma w nas agresji ani potrzeby niszczenia. Jemu też nigdy się to nie zdarzyło. Mówił, że ci, którzy to robią, są skazani przez los na to, by mieć pomocników i sprzymierzeńców w postaci duchów.

– Co to znaczy, Gorda? – zapytałem.

– To znaczy, że nie jesteś taki jak my – odrzekła poważnie.

Wydawała się mocno czymś zaniepokojona. Wstała i zaczęła przechadzać się po pokoju. Przeszła w jedną i w drugą stronę jakieś pięć razy, zanim wreszcie znowu usiadła obok mnie.

Rozmowa urwała się na chwilę. Josefina wymamrotała coś niezrozumiale. Ona także wyglądała na zdenerwowaną. La Gorda spróbowała ją uspokoić, uścisnęła ją i poklepała po plecach.

– Josefina ma ci do powiedzenia coś o Eligiu – zwróciła się do mnie.

Wszyscy spojrzeli na Josefinę pytająco.

– Chociaż Eligio zniknął z powierzchni ziemi – mówiła la Gorda – nadal jest jednym z nas. I Josefina przez cały czas z nim rozmawia.

Wszyscy zaczęli słuchać z wielką uwagą. Popatrzyli po sobie, a potem utkwili wzrok we mnie.

– Spotykają się w śnieniu – dorzuciła dramatycznie la Gorda.

Josefina wzięła głęboki oddech. Była bardzo zdenerwowana. Jej ciałem wstrząsnął spazmatyczny dreszcz. Pablito położył ją na podłodze, przykrył swoim ciałem i zaczai mocno oddychać przeponą. Unosił ją i wciągał, zmuszając dziewczynę, by zaczęła oddychać w jednym rytmie z nim.

– Co on robi? – zapytałem la Gordę.

– Co on robi! Nie widzisz? – zawołała ostro.

Szepnąłem, że wiem o tym, iż Pablito usiłuje uspokoić Josefinę, ale ten sposób był dla mnie nowością. La Gorda wyjaśniła, że Pablito dodaje Josefinie energii, przykładając swój brzuch, w którym mężczyźni mają jej nadmiar, do jej podbrzusza, gdzie gromadzą ją kobiety.

Josefina usiadła i uśmiechnęła się do mnie. Wydawało się, że jest już zupełnie rozluźniona.

– Spotykam się z Eligiem przez cały czas – wyjaśniła. – On codziennie na mnie czeka.

– Dlaczego nigdy nam o tym nie powiedziałaś? – zapytał zdyszany Pablito.

– Mnie mówiła – przerwała mu la Gorda i zaczęła obszernie wyjaśniać, co dla nas wszystkich oznacza możliwość kontaktu z Eligiem. Dodała, że czekała na mój znak, by móc wyjawić jego słowa.

– Przestań kluczyć, kobieto! – wykrzyknął Pablito. – Powtórz nam słowa Eligia.

– Nie są przeznaczone dla ciebie! – odparowała la Gorda.

– W takim razie dla kogo?

– One są dla Naguala! – wykrzyknęła, wskazując na mnie. Przeprosiła za to podniesienie głosu i wyjaśniła, że to, co powiedział Eligio, jest tajemnicze i skomplikowane, że ona sama nic z tego nie rozumie. – Po prostu go słuchałam – ciągnęła. – Tyle tylko mogłam zrobić.

– Czy chcesz powiedzieć, że ty także spotykasz się z Eligiem? – zapytał Pablito tonem, w którym ciekawość mieszała się z gniewem.

– Tak – potwierdziła la Gorda szeptem. – Nie mogłam o tym wcześniej mówić, bo musiałam poczekać na niego. – Wskazała na mnie i pchnęła mnie dłońmi. Straciłem równowagę i upadłem na bok.

– Co to ma znaczyć? Co robisz? – zapytał Pablito gniewnie. – Czy to ma być indiański sposób okazywania miłości?

Spojrzałem na la Gordę. Ruchem ust nakazała mi milczenie.

– Eligio mówi, że ty jesteś Nagualem, ale nie jesteś dla nas – rzekła Josefina.

Zapadła cisza. Nie miałem pojęcia, jak mam to rozumieć. Musiałem poczekać, aż odezwie się ktoś inny.

– Czy czujesz ulgę? – szturchnęła mnie la Gorda.

Powiedziałem im, że nie wiem, co o tym myśleć. Wyglądali jak gromadka oszołomionych dzieci. La Gorda przybrała pozę zażenowanej gospodyni wieczoru.

Nestor podniósł się, stanął twarzą do niej i powiedział coś po mazatecku. Brzmiało to jak komenda albo nagana.

– Powiedz nam wszystko, co wiesz, Gorda – ciągnął, przechodząc na hiszpański. – Nie masz prawa bawić się z nami w chowanego i zatrzymywać dla siebie tak ważnych wiadomości.

La Gorda zaprotestowała gorąco. Wyjaśniła, iż utrzymywała to w tajemnicy wyłącznie dlatego, że tak Eligio jej nakazał. Josefina potwierdziła skinieniem głowy.

– Czy on to wszystko mówił tobie, czy Josefinie? – zapytał Pablito.

– Byłyśmy razem – odrzekła la Gorda ledwo słyszalnym szeptem.

– Chcesz powiedzieć, że ty i Josefina śniłyście razem! – zawołał Pablito bez tchu.

Zdumienie, które przebijało w jego głosie, widoczne było także na twarzach wszystkich obecnych.

– Co właściwie powiedział wam Eligio? – zapytał Nestor, gdy nieco ochłonęli.

– Powiedział, że powinnam pomóc Nagualowi przypomnieć sobie jego lewą stronę – wyznała la Gorda.

– Wiesz, o czym ona mówi? – zapytał mnie Nestor.

Nie miałem najmniejszego pojęcia. Powiedziałem, że każdy z nich powinien sam poszukać odpowiedzi. Nikt jednak nie miał żadnych sugestii.

– Eligio mówił Josefinie jeszcze inne rzeczy, ale ona ich nie pamięta – odezwała się la Gorda. – Jednym słowem, utknęliśmy. Eligio twierdzi, że na pewno jesteś Nagualem i musisz nam pomóc, ale nie jesteś dla nas.

Dopiero wtedy, gdy przypomnisz sobie swą lewą stronę, będziesz mógł nas zabrać tam, dokąd musimy pójść.

Nestor zwrócił się do Josefiny, prosząc ją ojcowskim tonem, by sobie przypomniała, co powiedział Eligio, zamiast się upierać, że to ja powinienem przypomnieć sobie coś, co musiało być w jakiś sposób zakodowane, gdyż żadne z nas nie potrafiło pojąć tej wiadomości.

Josefina skrzywiła się i zmarszczyła czoło, jakby przygniatał ją wielki ciężar. Wyglądała jak szmaciana lalka, którą ktoś mocno ściska. Patrzyłem na nią zafascynowany.

– Nie mogę sobie przypomnieć – rzekła w końcu. – Gdy Eligio do mnie mówi, rozumiem wszystko, ale teraz nie wiem, co to takiego. Te słowa nie chcą do mnie przyjść.

– Czy pamiętasz jakiekolwiek słowo? – nie ustępował Nestor. – Chociaż jedno? Wystawiła język, kręcąc głową. Krzyknęła.

– Nie, nie potrafię – rzekła po chwili.

– W jaki sposób śnisz, Josefino? – zapytałem.

– W jedyny, jaki znam – prychnęła.

– Opowiedziałem ci, jak wygląda moje śnienie. Teraz powiedz mi, jak wygląda twoje – prosiłem.

– Zamykam oczy i widzę ścianę – odrzekła. – Przypomina ścianę mgły. Czeka tam na mnie Eligio. Przeprowadza mnie na drugą stronę i chyba pokazuje mi różne rzeczy. Nie wiem, co robimy, ale robimy coś razem. Potem znów przyprowadza mnie do ściany i wypuszcza na tę stronę. A ja wracam i zapominam, co robiłam.

– Jak to się stało, że byłaś razem z la Gorda? – zapytałem.

– Eligio kazał mi ją przyprowadzić. Obydwoje czekaliśmy na la Gordę, a gdy zaczęła śnić, zabraliśmy ją i przeciągnęliśmy przez tę ścianę. Robiliśmy to dwa razy.

– Jak ją pochwyciliście?

– Nie wiem! – zawołała Josefina. – Ale mogę na ciebie poczekać i gdy zaczniesz śnić, zabiorę cię. Wtedy się dowiesz.

– Czy możesz tam zabrać każdego, kogo zechcesz? – dopytywałem się.

– Jasne – odrzekła z uśmiechem. – Ale nie robię tego, bo to marnotrawstwo. Zabrałam la Gordę dlatego, że Eligio mnie o to prosił. Mówił, że chce jej coś powiedzieć, bo ona jest rozsądniejsza ode mnie.

– To znaczy, że Eligio mówił jej to samo, co tobie, Gorda – rzekł Nestor ze stanowczością, jakiej jeszcze u niego nie słyszałem.

La Gorda wykonała niezwykły gest: opuściła głowę, rozchyliła kąciki ust, wzruszyła ramionami i uniosła je nad głowę.

– Josefina właśnie wam wyjaśniła, co się stało – mruknęła. – W żaden sposób nie mogę sobie przypomnieć. Eligio mówi z inną szybkością. Mówi, ale moje ciało go nie rozumie. Nie. Nie. Moje ciało nie pamięta i już. Pamiętam tylko tyle, że ten Nagual ma sobie przypomnieć i zabrać nas tam, dokąd musimy pójść. Eligio nie mógł powiedzieć mi nic więcej, bo było mnóstwo do powiedzenia, a bardzo niewiele czasu. Mówił, że ktoś, ale nie pamiętam kto, czeka zwłaszcza na mnie.

– Czy to wszystko? – nalegał Nestor.

– Za drugim razem, gdy go widziałam, powiedział, że wszyscy będziemy musieli przypomnieć sobie swoją lewą stronę, jeśli chcemy dostać się tam, gdzie mamy pójść. Ale to on ma sobie przypomnieć pierwszy.

Wskazała na mnie i znów mnie popchnęła tak samo jak wcześniej. Siła tego pchnięcia sprawiła, że potoczyłem się jak piłka.

– Po co to robisz, Gorda? – zapytałem, trochę poirytowany.

– Próbuję ci pomóc przypomnieć sobie – odrzekła. – Nagual Juan Matus mówił, że od czasu do czasu potrzebujesz lekkiego pchnięcia, by coś się w tobie poruszyło. –

Niespodziewanie uścisnęła mnie. – Pomóż nam, Nagual – prosiła. – Jeśli tego nie zrobisz, to lepiej byłoby dla nas, gdybyśmy byli martwi.

Byłem bliski łez. Nie z powodu ich problemu, ale dlatego, że czułem coś czającego się w głębi mojej psychiki. To coś próbowało wynurzyć się na powierzchnię od dnia, gdy pojechaliśmy do tamtego miasteczka.

Jej błaganie poruszyło mnie do głębi. Znów przeżyłem atak hiperwentylacji. Oblałem się zimnym potem i zrobiło mi się niedobrze. La Gorda zajęła się mną niesłychanie delikatnie.

Zgodnie ze swoim zwyczajem nieujawniania ważnych odkryć od razu la Gorda kategorycznie sprzeciwiała się opowiedzeniu innym o naszym wspólnym śnieniu w Oaxaca. Przez kilka dni zachowywała się z rezerwą i okazywała wyraźny brak zainteresowania tym tematem. Nie chciała nawet rozmawiać o mojej chorobie. Podobnie było z innymi kobietami. Don Juan zwykł podkreślać, że należy czekać na odpowiednią chwilę, by wyjawić coś, co wiemy. Rozumiałem motywy postępowania

la Gordy, chociaż uważałem, że jej upór jest irytujący i że w tej sytuacji nie powinniśmy czekać. Nie mogłem pozostać w Meksyku zbyt długo, zażądałem więc, byśmy zebrali się wszyscy i podzielili tym, co wiemy. La Gorda jednak była nieugięta.

– Musimy poczekać – powiedziała. – Musimy dać naszym ciałom szansę znalezienia rozwiązania. Naszym zadaniem jest przypomnieć sobie nie myślami, lecz ciałem. Wszyscy rozumieją, że tak musi być.

Popatrzyła na mnie pytająco. Wydawało się, że szuka jakiegoś znaku świadczącego o tym, że ja także właściwie zrozumiałem swoje zadanie. Przyznałem, że poruszam się jak we mgle, gdyż jestem osobą z zewnątrz. Byłem sam, oni zaś mogli się nawzajem wspierać.

– To jest milczenie wojowników – zaśmiała się i dodała tonem pocieszenia: – To nie oznacza, że nie możemy porozmawiać o czymś innym.

– Może powinniśmy wrócić do naszej rozmowy o utracie ludzkiego kształtu – zaproponowałem.

W jej oczach pojawił się błysk irytacji, wyjaśniłem więc, że szczególnie wtedy, gdy wchodzą w grę obce mi pojęcia, potrzebuję nieustannego ich uściślania.

– Co właściwie chcesz wiedzieć? – zapytała.

– Wszystko, co tylko możesz mi powiedzieć.

– Nagual twierdził, że pozbycie się ludzkiej postaci przynosi wolność – powiedziała. – Ja w to wierzę. Ale jeszcze nie poczułam tej wolności.

Zapadła cisza. La Gorda najwyraźniej oceniała moją reakcję.

– Co to za wolność, Gorda?

– Wolność, dzięki której przypominasz sobie siebie – wyjaśniła. – Nagual mówił, że utrata ludzkiej postaci jest jak spirala. Daje ci wolność, by pamiętać, a to z kolei daje ci jeszcze więcej wolności.

– Dlaczego więc jeszcze nie poczułaś tej wolności?

Klasnęła językiem, wzruszając jednocześnie ramionami. Wydawało się, że nie wie, co odpowiedzieć, albo może nie miała ochoty ciągnąć tej rozmowy.

– Jestem uwiązana do ciebie – wyjaśniła. – Dopóki nie pozbędziesz się ludzkiej postaci i nie odzyskasz pamięci, ja nie poznam tej wolności. Ale może nie uda ci się utracić ludzkiej postaci, dopóki nie odzyskasz pamięci. Zresztą nie powinniśmy o tym rozmawiać. Może pójdziesz pogadać z Genarami?

Powiedziała to tonem, jakim matka wysyła dziecko, żeby poszło się pobawić. Nie uraziło mnie to. U kogoś innego uznałbym taki ton za arogancki i pogardliwy. Różnica polegała na tym, że lubiłem towarzystwo la Gordy.

Znalazłem Pablita, Nestora i Benigna w domu Genara. Byli zajęci dziwną grą. Pablito wisiał jakieś cztery stopy nad ziemią w czymś w rodzaju zaczepionej pod pachami ciemnej skórzanej uprzęży, przypominającej grubą, skórzaną kamizelkę. Gdy przyjrzałem jej się z bliska, zauważyłem, że stopy Pablita są włożone w pętle z grubych pasów i przyczepione do kamizelki jak strzemiona. Wisiał pośrodku pokoju na dwóch linach przeciągniętych na grubej, okrągłej belce podtrzymującej dach. Liny były przywiązane do metalowych pierścieni zamocowanych na uprzęży pod ramionami Pablita.

Nestor i Benigno trzymali końce lin. Stali zwróceni twarzami do siebie i utrzymywali Pablita w powietrzu siłą własnych ramion. Pablito całą mocą trzymał się dwóch długich, cienkich tyczek, wbitych w ziemię i dopasowanych do jego zaciśniętych dłoni. Nestor stał po jego lewej stronie, a Benigno po prawej.

Zabawa była czymś w rodzaju potrójnego przeciągania liny: zawieszony zażarcie walczył z tymi, którzy ciągnęli za końce lin. Gdy wszedłem do środka, w pomieszczeniu słychać było tylko ciężkie oddechy Nestora i Benigna. Mięśnie ich ramion i karków nabrzmiały od wysiłku. Pablito obserwował ich kątem oka, zatrzymując szybkie spojrzenia raz na jednej twarzy, raz na drugiej. Wszyscy trzej byli tak zaabsorbowani rozgrywką, że zupełnie nie zwrócili na mnie uwagi, a jeśli nawet mnie zauważyli, to nie mogli się ze mną przywitać, jednocześnie się przy tym nie rozpraszając.

Nestor i Benigno przez jakieś dziesięć do piętnastu minut patrzyli na siebie w zupełnym milczeniu. Potem Nestor wykonał ruch, jakby zamierzał puścić linę. Benigno nie dał się nabrać, ale Pablito tak. Mocniej zacisnął lewą dłoń i oparł stopy na żerdziach, wzmacniając swoją pozycję. Benigno wykorzystał tę chwilę na atak i pociągnął za linę akurat wtedy, gdy Pablito rozluźnił uchwyt.

Pociągnięcie Benigna zaskoczyło Nestora i Pablita. Benigno zawisł na linie całym ciężarem ciała. Nestor został przechytrzony. Pablito rozpaczliwie próbował złapac równowagę, ale jego wysiłki były bezcelowe. Benigno wygrał rundę.

Pablito wyplątał się z uprzęży i podszedł do mnie. Zapytałem go o zasady tej niezwykłej gry. Wydawało się, że nie ma ochoty udzielać mi wyjaśnień. Nestor i Benigno poskładali przyrządy i dołączyli do nas. Nestor powiedział, że to Pablito wymyślił tę grę na podstawie konstrukcji, którą ujrzał w śnieniu. Na początku służyła ona do wzmacniania mięśni dwóch mężczyzn jednocześnie. Zmieniali się, po kolei wchodząc w uprząż. Ale potem śnienie Benigna nasunęło im pomysł gry, w której wszyscy trzej jednocześnie mogli wzmacniać mięśnie i wyostrzać sprawność wzroku, zachowując czujność, czasami przez wiele godzin.

– Benigno uważa teraz, że to ćwiczenie pomaga naszym ciałom odzyskać pamięć – ciągnął Nestor. – Na przykład la Gorda gra w to bardzo dziwnie. Za każdym razem wygrywa, niezależnie od tego, na której pozycji gra. Benigno sądzi, że to dlatego, iż jej ciało pamięta.

Zapytałem, czy ich także obowiązuje zasada zachowania milczenia. Roześmiali się. Pablito powiedział, że la Gorda najbardziej na świecie pragnie być podobna do Naguala Juana Matusa. Naśladuje go celowo, aż do najbardziej błahych szczegółów.

– Czy to znaczy, że możemy porozmawiać o tym, co zaszło wczoraj wieczorem? – zapytałem oszołomiony, gdyż la Gorda niezwykle mocno podkreślała ten zakaz.

– Nam jest wszystko jedno – odrzekł Pablito. – To ty jesteś Nagualem!

– Benigno właśnie przypomniał sobie coś bardzo, bardzo dziwnego – dorzucił Nestor, nie patrząc na mnie.

– Mnie się wydaje, że to tylko poplątany sen – rzekł Benigno. – Ale Nestor jest innego zdania.

Czekałem niecierpliwie. Ruchem głowy kazałem im mówić dalej.

– Któregoś dnia przypomniał sobie, jak uczyłeś go znajdować ślady w miękkiej ziemi – rzekł Nestor.

– To musiał być sen – stwierdziłem. Chciało mi się śmiać z absurdalności tego pomysłu, ale wszyscy trzej patrzyli na mnie błagalnie.

– To nonsens – mruknąłem.

– W każdym razie chcę ci powiedzieć, że ja mam podobne wspomnienie – rzekł Nestor. – Zabrałeś mnie gdzieś między skałki i uczyłeś, jak się ukrywać. To nie był sen. Nie spałem. Któregoś dnia szedłem z Benignem, szukając ziół, i nagle przypomniałem sobie, jak mnie uczyłeś, więc ukryłem się zgodnie z twoimi wskazówkami i śmiertelnie go przestraszyłem.

– Ja cię uczyłem! Jak to możliwe? Kiedy? – zapytałem.

Zaczynałem odczuwać zdenerwowanie. Wyglądało na to, że nie żartują.

– Kiedy? No właśnie – powiedział Nestor. – Nie potrafimy do tego dojść. Ale Benigno i ja jesteśmy pewni, że to byłeś ty.

Poczułem ucisk, jakby przygniatał mnie jakiś ciężar. Z trudem łapałem oddech. Obawiałem się, że za chwilę znów zasłabnę, i zdecydowałem, że opowiem im, co la Gorda i ja wspólnie widzieliśmy. Mówienie o tym rozluźniło mnie. Zanim skończyłem relację, odzyskałem kontrolę nad sobą.

– Nagual Juan Matus zostawił nas w pewnym stopniu otwartymi – rzekł Nestor. – Każdy z nas potrafi trochę widzieć. Widzimy dziury w ludziach, którzy mają dzieci, i od czasu do czasu widzimy w nich też trochę światła. Ponieważ ty w ogóle nie widzisz, wygląda na to, że Nagual zostawił cię zupełnie zamkniętym, żebyś sam się otworzył od środka. Teraz, gdy pomogłeś la Gordzie, ona albo widzi od środka, albo po prostu jedzie na twoich plecach.

Powiedziałem im, że to, co się zdarzyło w Oaxaca, to mógł być szczęśliwy traf.

Pablito zaproponował, żebyśmy poszli do ulubionego kamienia don Genara i usiedli tam, stykając się głowami. Dwaj pozostali uznali to za świetny pomysł. Ja też się nie sprzeciwiałem. Siedzieliśmy tam długo. Nic się nie zdarzyło, ale bardzo się odprężyliśmy.

Gdy siedzieliśmy na kamieniu, opowiedziałem im o dwóch mężczyznach, których la Gorda uznała za don Juana i don Genara. Wszyscy trzej natychmiast ześliznęli się na ziemię i niemal siłą zaciągnęli mnie do domu la Gordy. Nestor był tak podniecony, że nie mógł składnie mówić. Udało mi się wydobyć z nich tylko tyle, że czekali właśnie na tego rodzaju znak.

La Gorda oczekiwała nas przed wejściem. Wiedziała, co im opowiedziałem.

– Chciałam tylko dać czas swojemu ciału – rzekła, zanim jeszcze którykolwiek z nas się odezwał. – Musiałam mieć absolutną pewność, a teraz już ją mam. To byli Nagual i Genaro.

– Co jest w tych barakach? – zapytał Nestor.

– Oni nie weszli do środka – wyjaśniła la Gorda. – Skierowali się na otwartą przestrzeń, na wschód. W stronę tego miasta.

Wydawało się, że za wszelką cenę chce ich uspokoić. Prosiła, żeby zostali, ale nie chcieli. Wymówili się czymś i odeszli. Byłem pewien, że czują się nieswojo w jej obecności. Wyglądała na bardzo rozgniewaną. Lubiłem jej wybuchy temperamentu, co było u mnie zupełnie niezwykłe, bo zawsze czułem się bardzo spięty w towarzystwie osób zdenerwowanych. La Gorda była tajemniczym wyjątkiem.

Wczesnym wieczorem cała grupa zebrała się w pokoju la Gordy. Wszyscy wydawali się czymś zaabsorbowani. Siedzieli w milczeniu, patrząc w podłogę. La Gorda próbowała zacząć rozmowę. Powiedziała, że nie traciła czasu, dodała dwa do dwóch i wpadła na pewne rozwiązanie.

– Nie chodzi tylko o to, żeby dodać dwa do dwóch – rzekł Nestor. – Rzecz w tym, żeby ciało odzyskało pamięć.

Z potakiwania pozostałych wynikało, że rozmawiali już między sobą na ten temat. La Gorda i ja byliśmy tu autsajderami.

– Lydia także coś pamięta – powiedział Nestor. – Uważała to za własną głupotę, ale gdy usłyszała, co sobie przypomniałem, powiedziała, że ten Nagual zabrał ją do uzdrowiciela i zostawił tam, by wyleczono jej oczy.

La Gorda i ja spojrzeliśmy na Lydię, która pochyliła głowę, skrępowana, mamrocząc coś pod nosem. Wydawało się, że to wspomnienie jest dla niej bolesne. Powiedziała, że gdy don Juan ją znalazł, miała zainfekowane oczy i nic nie widziała. Ktoś zawiózł ją samochodem bardzo daleko do uzdrowiciela, który ją wyleczył. Zawsze była przekonana, że tym, kto ją zawiózł, był don Juan, ale gdy usłyszała mój głos, uświadomiła sobie, że to byłem ja. Niespójność tego wspomnienia nie dawała jej spokoju od pierwszego naszego spotkania.

– Moje uszy nie mogą kłamać – dodała po długiej chwili ciszy. – To ty mnie tam zawiozłeś.

– Niemożliwe! Niemożliwe! – zawołałem.

Moim ciałem zaczęły wstrząsać dreszcze. Miałem wrażenie dwoistości. Moje racjonalne “ja", niezdolne kontrolować całej reszty, przyjęło pozycję obserwatora. Obserwowało wstrząs innej części mojego “ja".

4. PRZEKRACZANIE GRANIC UCZUCIA

– Co się z nami dzieje, Gorda? – zapytałem, gdy pozostali poszli do siebie.

– Nasze ciała przypominają sobie, ale nie potrafię ci powiedzieć, co – odrzekła.

– Wierzysz we wspomnienia Lydii, Nestora i Benigna?

– Oczywiście. To bardzo poważni ludzie. Nie mówią tylko po to, żeby gadać.

– Ale to niemożliwe, by mówili prawdę. Wierzysz mi przecież, Gorda, tak?

– Wierzę, że nie pamiętasz, ale z drugiej strony...

Nie dokończyła. Podeszła do mnie i zaczęła mi szeptać do ucha. Powiedziała, że jest coś, o czym wie, ale Nagual Juan Matus wymógł na niej przyrzeczenie, że zatrzyma to dla siebie, dopóki nie nadejdzie właściwa chwila. Jest to as atutowy, którego wolno jej użyć tylko w sytuacji, gdy nie będzie żadnego innego wyjścia. Dodała dramatycznym szeptem, że Nagual przewidział nowy dobór współmieszkańców, który wynikł z tego, iż zabrałem Josefinę do Tuli, by zajęła się Pablitem.

Stwierdziła, że mamy jeszcze cień szansy na odniesienie sukcesu całą grupą, jeśli będziemy przestrzegać naturalnego porządku tej organizacji. Wyjaśniła, że ponieważ jesteśmy podzieleni na pary, tworzymy jeden żywy organizm. Jesteśmy wężem, grzechotnikiem. Wąż składa się z czterech segmentów, a wzdłuż dzieli się na dwie części, męską i żeńską. La Gorda i ja tworzymy pierwszy segment węża – głowę. Jest to chłodna, trzeźwo rozumująca, trująca głowa. Drugi segment, utworzony przez Nestora i Lydię, to mocne i sprawiedliwe serce węża. Trzeci to brzuch – podstępny, podatny na zmienne nastroje, niegodny zaufania brzuch, na który składają się Pablito i Josefina. A czwarta część, ogon, gdzie umieszczone są grzechotki, to para, która w prawdziwym życiu całymi godzinami potrafi grzechotać w swoim języku, Tzotzil: Benigno i Rosa.

La Gorda podniosła się z kucek, wyprostowała plecy, obdarzyła mnie uśmiechem i poklepała po ramieniu.

– W końcu wróciło do mnie coś, co powiedział Eligio – dodała. – Josefina zgadza się ze mną, że w kółko powtarzał słowo “ścieżka". Musimy pójść ścieżką!

Nie zostawiając mi czasu na pytania, powiedziała, że musi się trochę przespać, a potem zbierze wszystkich i wyruszymy na wyprawę.

Wyruszyliśmy przed północą w jasnym świetle księżyca. W pierwszej chwili wszyscy odnieśli się do tego pomysłu z niechęcią, ale la Gorda przekonała ich bardzo zręcznie, nakreślając pozostawiony przez don Juana opis węża. Zanim ruszyliśmy, Lydia zaproponowała, żebyśmy wzięli zapasy żywności na wypadek, gdyby miała to być dłuższa wyprawa. La Gorda jednak odrzuciła tę propozycję, twierdząc, że nie mamy pojęcia, jak długo może potrwać nasza wycieczka. Powiedziała, że Nagual Juan Matus wskazał jej kiedyś początek ścieżki i powiedział, że w odpowiedniej chwili powinniśmy tam stanąć i pozwolić, by jej moc sama się przed nami odkryła. Dodała jeszcze, że nie jest to zwykła ścieżka wydeptana przez kozy, lecz naturalna linia na ziemi. Nagual twierdził, że przysporzy nam ona sił i wiedzy, jeśli tylko będziemy potrafili nią podążać i stopić się z nią w jedno.

Szliśmy pod mieszanym przewodnictwem. La Gorda dostarczyła impulsu, a Nestor znał teren. La Gorda zaprowadziła nas w pewne miejsce w górach. Tam dowodzenie przejął Nestor, który odnalazł ścieżkę. Nasza formacja była oczywista: najpierw szła głowa, pozostali ustawili się według anatomicznego modelu węża: serce, Wnętrzności i ogon. Mężczyźni szli po prawej, a kobiety po lewej stronie; każda para trzymała się pięć stóp za poprzednią.

Staraliśmy się poruszać jak najszybciej i jak najciszej. Przez jakiś czas dobiegało nas szczekanie psów, a gdy znaleźliśmy się wyżej w górach, słychać było już tylko głosy świerszczy. Szliśmy dość długo. Naraz la Gorda zatrzymała się i pochwyciła mnie za ramię, wskazując na coś, co znajdowało się przed nami. Dwadzieścia lub trzydzieści stóp od nas na samym środku ścieżki zauważyłem sylwetkę przysadzistego mężczyzny. Miał ponad siedem stóp wzrostu i blokował nam przejście. Zbiliśmy się w ciasną gromadę, nie spuszczając wzroku z ciemnego kształtu. Mężczyzna się nie poruszył. Po chwili Nestor zrobił kilka kroków do przodu. Dopiero wtedy postać się poruszyła i zaczęła do nas zbliżać. Choć była gigantyczna, ruchy miała bardzo zwinne.

Nestor wrócił biegiem. W chwili gdy dołączył do grupy, mężczyzna się zatrzymał. La Gorda śmiało postąpiła krok do przodu i wtedy mężczyzna także uczynił krok w naszą stronę. Było oczywiste, że jeśli nadal będziemy próbowali iść naprzód, to się z nim zderzymy. Bez względu na to, co to było, nie mieliśmy szans, by się z tym mierzyć. Nie czekałem, by to sprawdzić. Przejąłem inicjatywę i pociągnąłem wszystkich z powrotem, chcąc jak najszybciej oddalić się od tego miejsca.

Wróciliśmy do domu la Gordy w zupełnym milczeniu. Cała wyprawa trwała kilka godzin. Byliśmy kompletnie wyczerpani. Gdy siedzieliśmy już bezpiecznie w pokoju, la Gorda zaczęła mówić.

– Jesteśmy przeklęci – powiedziała do mnie. – Nie chciałeś, żebyśmy wyruszyli. To coś, co widzieliśmy na ścieżce, to był jeden z twoich sprzymierzeńców, prawda? Oni wychodzą ze swoich kryjówek, gdy ich stamtąd wyciągniesz.

Nie odpowiedziałem. Nie było sensu protestować. Przypomniałem sobie, jak wiele razy byłem przekonany, że don Juan i don Genaro są w zmowie. Sądziłem wtedy, że gdy don Juan rozmawia ze mną w ciemnościach, don Genaro nakłada przebranie, żeby mnie przestraszyć, a Nagual upiera się, że to sprzymierzeniec. Pomysł, że na świecie istnieją byty czy sprzymierzeńcy uchodzący naszej zwykłej uwagi, był dla mnie zbyt śmiały. Po jakimś czasie przekonałem się jednak, że sprzymierzeńcy, których opisywał don Juan, naprawdę istnieją. Tak jak mówił, na tym świecie można było spotkać najrozmaitsze istoty.

W rzadkim u mnie przypływie władczości wstałem i oświadczyłem la Gordzie i wszystkim pozostałym, że mam dla nich propozycję. Mogą ją przyjąć albo odrzucić, jak wolą. Jeśli są gotowi do

opuszczenia tej okolicy, zgadzam się przyjąć na siebie odpowiedzialność i zabrać ich gdzieś indziej. Jeśli jednak nie czują się gotowi, to ja uważam się za zwolnionego z wszelkich dalszych wobec nich zobowiązań.

Poczułem się pewny siebie i pełen optymizmu. Nikt się nie odezwał. Patrzyli na mnie w milczeniu, jakby oceniając w duchu wiarygodność moich słów.

– Ile czasu potrzebujecie, żeby się spakować? – zapytałem.

– Nie mamy nic do pakowania – odrzekła la Gorda. – Możemy ruszać tak jak stoimy, nawet w tej chwili, jeśli to konieczne. Ale byłoby o wiele lepiej, gdybyśmy mogli zaczekać jeszcze trzy dni.

– A co z waszymi domami?

– Soledad się nimi zajmie.

Imię doni Soledad nie padło jeszcze ani razu od dnia, gdy widziałem się z nią po raz ostatni. Tak mnie to zaintrygowało, że zapomniałem o dramatyzmie sytuacji i usiadłem. La Gorda odpowiadała na moje pytania dotyczące doni Soledad z pewnym wahaniem. Nestor wyręczył ją i wyjaśnił, że dona Soledad jest gdzieś w pobliżu, ale co Porabia – nikt nie wie. Pojawia się i znika bez uprzedzenia. Zawarli umowę, że będą się nawzajem opiekować swoimi domami. Dona Soledad wiedziała, że wcześniej czy później cała grupa będzie musiała odejść, a wtedy jej przypadnie odpowiedzialność za zrobienie wszystkiego, co konieczne, by pozbyć się ich posiadłości.

– Jak ją powiadomicie? – zapytałem.

– To działka la Gordy – rzekł Nestor. – My nie wiemy, gdzie jej szukać.

– Gorda, gdzie jest dona Soledad?

– A skąd ja mam, do diabła, wiedzieć? – prychnęła.

– Przecież to ty się z nią kontaktujesz – zauważył Nestor.

La Gorda zerknęła na mnie. Przeszył mnie dreszcz. Znałem to spojrzenie, ale z czym mi się ono kojarzyło? Coś drgnęło w głębi mojego ciała; poczułem niezwykłą twardość w splocie słonecznym. Moja przepona parła w górę jakby z własnej inicjatywy. Zastanawiałem się, czy powinienem się położyć, gdy nagle ze zdziwieniem zauważyłem, że stoję.

– La Gorda tego nie wie – powiedziałem. – Tylko ja wiem, gdzie jest dona Soledad.

Wszyscy byli wstrząśnięci, a najbardziej chyba ja sam. Wypowiedziałem to zdanie bez żadnego logicznego uzasadnienia, ale w chwili, gdy je wypowiadałem, byłem absolutnie szczerze przekonany, że wiem, gdzie szukać doni Soledad. Moją świadomość rozświetlił nagły przebłysk wizji. Zobaczyłem górzystą okolicę, nad którą wznosiły się poszarpane, nagie szczyty – była to ziemia jałowa, bezludna i zimna. Ledwie jednak wypowiedziałem te słowa, przyszło mi do głowy, że musiałem widzieć taki krajobraz na jakimś filmie, a presja wytwarzana przez całą grupę powoli doprowadza mnie do nerwowego załamania.

Przeprosiłem za to, że wprowadziłem ich w błąd tak bezczelnie, choć bez złych intencji, i usiadłem.

– To znaczy, że nie wiesz, dlaczego to powiedziałeś? – zapytał Nestor.

Starannie dobierał słowa. Naturalne byłoby, w każdym razie dla mnie, gdyby zapytał: “Więc tak naprawdę nie wiesz, gdzie ona jest?". Wyjaśniłem, że naszło mnie coś dziwnego. Opisałem okolicę, którą ujrzałem, oraz odczuwaną pewność, że dona Soledad znajduje się właśnie tam.

– Nam się to zdarza dosyć często – skomentował Nestor.

Spojrzałem na la Gordę. Gdy ona także skinęła głową, poprosiłem o wyjaśnienie.

– Ciągle przychodzą nam do głowy takie dziwne, pomieszane rzeczy – powiedziała. – Zapytaj Lydię, Rosę albo Josefinę.

Od czasu, gdy zaczęli mieszkać w nowym składzie, dziewczęta niewiele ze mną rozmawiały. Ograniczały się do pozdrowień i okazjonalnych uwag na temat wody czy jedzenia.

Lydia, omijając mnie wzrokiem, wymamrotała, że czasami ma wrażenie, jakby coś jej się przypominało.

– Są chwile, gdy naprawdę cię nienawidzę – mówiła – bo myślę, że udajesz głupiego. A potem przypominam sobie, że przez nas byłeś bardzo chory. Czy to byłeś ty?

– Oczywiście, że on – włączyła się Rosa. – Ja też pamiętam różne rzeczy. Pamiętam kobietę, która była dla mnie dobra. Nauczyła mnie schludności, a ten Nagual po raz pierwszy obciął mi włosy. Ta pani mnie podtrzymywała, bo się bałam. Ona mnie kochała. Ciągle mnie ściskała i obejmowała. Była bardzo wysoka. Pamiętam, że gdy mnie ściskała, dotykałam twarzą jej brzucha. To była jedyna osoba, której kiedykolwiek na mnie zależało. Chętnie oddałabym dla niej życie.

– Kim była ta pani, Rosa? – zapytała la Gorda, wstrzymując oddech.

Rosa ruchem głowy wskazała na mnie. W tym geście było przygnębienie i lekceważenie.

– On wie – powiedziała.

Wszyscy wpatrzyli się we mnie, czekając na moją odpowiedź. Rozzłościłem się i zacząłem krzyczeć na Rosę, że nie ma prawa mówić czegoś, co na dobrą sprawę jest oskarżeniem. Powiedziałem, że ich nie okłamuję.

Rosy nie poruszył mój wybuch. Spokojnie wyjaśniła, że pamięta, jak ta pani mówiła jej, iż wrócę któregoś dnia, gdy wyzdrowieję. Rosa wywnioskowała z tego, że ta pani zajmowała się mną i pielęgnowała mnie, gdy wracałem do zdrowia, a ponieważ już wyzdrowiałem, muszę wiedzieć, kim ona była i gdzie jest teraz.

– Co to była za choroba, Rosa? – zapytałem.

– Zachorowałeś, bo nie byłeś w stanie dotrzymać słowa – wyjaśniła z głębokim przekonaniem. – Ktoś mi mówił, było to chyba bardzo dawno temu, że nie zostałeś stworzony dla nas, tak jak Eligio powiedział Gordzie w śnieniu. Dlatego nas zostawiłeś i Lydia nigdy ci tego nie wybaczyła. Będzie cię nienawidzić jeszcze po opuszczeniu tego świata.

Lydia zaprotestowała. Stwierdziła, że jej uczucia wobec mnie nie mają nic wspólnego z tym, o czym mówi Rosa. Po prostu jest niecierpliwa i łatwo wpada w złość z powodu mojej głupoty.

Zapytałem Josefinę, czy ona także mnie pamięta.

– Jasne, że tak – odrzekła z uśmiechem. – Ale znasz mnie. Jestem zwariowana. Nie możesz mieć do mnie zaufania. Nie należy mi wierzyć.

La Gorda nalegała, byśmy posłuchali, co pamięta Josefina, ta jednak nie chciała nic mówić. Przez chwilę się spierały. W końcu Josefina zwróciła się do mnie.

– Jaki sens ma ta rozmowa o pamiętaniu? To tylko nic niewarte gadanie.

Tym zdaniem podsumowała uczucia wszystkich. Nie było nic więcej do powiedzenia. Przesiedzieliśmy jeszcze kilka minut w milczeniu, po czym cała grupa zaczęła się zbierać do wyjścia.

– Pamiętam, że kupowałeś mi piękne ubrania – powiedziała nagle Josefina. – Przypominasz sobie, jak kiedyś spadłam ze schodów w sklepie? O mało nie złamałam sobie nogi. Musiałeś mnie wynieść na zewnątrz.

Wszyscy znów usiedli, nie spuszczając z niej wzroku.

– Pamiętam też pewną wariatkę – ciągnęła. – Chciała mnie pobić i ganiała mnie dokoła, aż rozzłościłeś się i ją przepędziłeś.

Poczułem irytację. Wszyscy traktowali słowa Josefiny ze śmiertelną powagą, chociaż ona sama ostrzegała nas, że nie można na niej polegać, bo jest trochę zwariowana. Miała rację. Jej wspomnienia wydawały mi się zupełnie absurdalne.

– Wiem też, dlaczego zachorowałeś – mówiła. – Byłam tam. Ale nie pamiętam, gdzie to było. Zabrali cię za ścianę mgły, żebyś znalazł tę głupią Gordę. Przypuszczam, że musiała się zgubić. Nie miałeś siły wrócić. Gdy cię przynieśli, byłeś niemal martwy.

Po tych rewelacjach zapadło ciężkie milczenie. Obawiałem się zapytać o cokolwiek.

– Nie pamiętam, po co ona tam polazła, ani kto cię przyniósł z powrotem – ciągnęła Josefina. – Ale pamiętam, że byłeś chory i że mnie nie poznawałeś. Ta głupia Gorda przysięga, że cię nie znała, gdy kilka miesięcy temu pojawiłeś się tutaj po raz pierwszy. Ja poznałam cię od razu. Pamiętałam, że byłeś Nagualem, który zachorował. Powiedzieć ci coś? Myślę, że te kobiety po prostu sobie folgują. Mężczyźni zachowują się podobnie, szczególnie ten głupi Pablito. Muszą pamiętać, przecież °ni także tam byli.

– Nie możesz sobie przypomnieć, gdzie byliśmy? – zapytałem.

– Nie, nie mogę. Ale jeśli mnie tam zabierzesz, poznam to miejsce. Wtedy gdy wszyscy tam byliśmy, nazywano nas pijakami, bo byliśmy zamroczeni. Ja byłam najtrzeźwiejsza ze wszystkich, więc pamiętam dość dobrze.

– Kto nas nazywał pijakami?

– Ciebie nie, tylko nas – poprawiła Josefina. – Nie wiem, kto. Chyba Nagual Juan Matus.

Powiodłem wzrokiem dokoła, ale wszyscy unikali mojego spojrzenia.

– Docieramy do końca – wymamrotał Nestor jakby do siebie. – Nasz kres zagląda nam w oczy. Wydawało się, że jest bliski łez.

– Powinienem być dumny i szczęśliwy, że dotarliśmy do końca – ciągnął. – Ale czuję smutek. Czy możesz to wyjaśnić, Nagualu?

Naraz wszyscy posmutnieli, nawet wojownicza Lydia.

– Co się z wami dzieje? – zapytałem swobodnym tonem. – O jakim końcu mówisz?

– Myślę, że wszyscy wiemy, co to za koniec – rzekł Nestor. – Ostatnio często miałem dziwne wrażenie. Coś nas przywołuje. A my nie pozwalamy wielu sprawom odejść, chociaż powinniśmy. Trzymamy się ich.

Pablito w przypływie rycerskości powiedział, że w ich gronie jedynie la Gorda nie trzyma się niczego. Zapewnił mnie, że wszyscy pozostali to beznadziejni egocentrycy.

– Nagual Juan Matus powiedział, że gdy nadejdzie czas, by wyruszyć, dostaniemy znak – rzekł Nestor. – Coś, co naprawdę się nam spodoba, ma się pojawić i nas zabrać.

– Mówił, że to nie musi być nic wielkiego – uzupełnił Benigno. – Wystarczy cokolwiek, co się nam spodoba.

– Dla mnie tym znakiem mają być ołowiane żołnierzyki, których nigdy nie miałem – mówił Nestor. – Szereg huzarów na koniach przybędzie i zabierze mnie ze sobą. A co to ma być dla ciebie?

Przypomniałem sobie, jak don Juan powiedział mi kiedyś, że śmierć może się kryć absolutnie we wszystkim, nawet w kropce na moich notatkach. Podał mi ostateczną metaforę mojej śmierci. Opowiadałem mu, jak kiedyś, spacerując po Hollywood Boulevard w Los Angeles, usłyszałem dźwięk trąbki, na której ktoś grał starą, idiotyczną, popularną melodię. Muzyka dochodziła ze sklepu z płytami po drugiej stronie ulicy. Nigdy nie słyszałem piękniejszego dźwięku. Melodia zauroczyła mnie tak, że musiałem usiąść na krawężniku. Klarowny, metaliczny głos trąbki przenikał mój mózg na wylot. Czułem go tuż nad prawą skronią. Nasiąkałem nim, aż poczułem się pijany. Gdy melodia ucichła, wiedziałem, że w żaden sposób nie uda mi się powtórzyć tego doznania. Miałem tyle samokontroli, by nie pobiec do sklepu i nie kupić tej płyty wraz ze stereofonicznym gramofonem, na którym mógłbym ją odtwarzać.

Don Juan powiedział, że był to znak dany mi przez moce rządzące przeznaczeniem człowieka. Gdy nadejdzie dla mnie czas opuszczenia tego świata, usłyszę ten właśnie dźwięk trąbki, tę samą idiotyczną melodię, tego samego niezrównanego trębacza.

Następny dzień był wypełniony szaleńczym pośpiechem. Wszyscy mieli nieskończoną ilość rzeczy do zrobienia. La Gorda powiedziała, że są to wyłącznie sprawy o osobistym charakterze i każdy musi je wykonać bez niczyjej pomocy. Cieszyłem się z tego, że mogę być sam. Ja także miałem kilka spraw do załatwienia. Pojechałem do pobliskiego miasteczka, które tak mocno mnie poruszyło. Poszedłem prosto do domu, który zafascynował la Gordę i mnie, i zastukałem do drzwi. Otworzyła mi jakaś kobieta. Opowiedziałem jej zmyśloną historyjkę, że mieszkałem w tym domu w dzieciństwie i chciałbym go jeszcze raz odwiedzić. Kobieta była bardzo uprzejma. Pozwoliła mi przejść przez cały dom, przepraszając przy tym za nie istniejący bałagan.

Wszędzie wyczuwałem ciężar ukrytych wspomnień. Były tam, czułem ich obecność, ale niczego nie potrafiłem sobie przypomnieć.

Następnego dnia o świcie la Gorda zniknęła. Spodziewałem się, że nie będzie jej przez cały dzień, ale pojawiła się w południe. Wyglądała na bardzo zdenerwowaną.

– Soledad wróciła i chce się z tobą zobaczyć – powiedziała bezbarwnym tonem i bez dalszych wyjaśnień zabrała mnie do domu doni Soledad. Dona Soledad stała przy drzwiach. Wyglądała na młodszą i silniejszą niż podczas naszego ostatniego spotkania. Prawie nie przypominała kobiety, którą poznałem przed wielu laty.

La Gorda była bliska łez. Stan napięcia, w którym byliśmy, sprawiał, że doskonale rozumiałem przyczyny jej nastroju. Wyszła, nie mówiąc ani słowa.

Dona Soledad powiedziała, że ma bardzo mało czasu na rozmowę ze mną i chce wykorzystać każdą minutę. Okazywała mi niezwykły szacunek. W każdym wypowiadanym przez nią słowie dźwięczała uprzejmość.

Przerwałem jej gestem. Ciekawiło mnie, gdzie była dotychczas, i chciałem o to zapytać, ona jednak bardzo delikatnie przywołała mnie do porządku. Powiedziała, że każde jej słowo zostało starannie przemyślane, bo brak czasu pozwala jej powiedzieć tylko to, co najistotniejsze.

Patrzyła mi w oczy przez chwilę, która wydawała się nienaturalnie długa. Zirytowało mnie to, bo przez ten czas mogła ze mną porozmawiać i odpowiedzieć na kilka pytań. Gdy wreszcie przerwała milczenie, zaczęła mówić coś, co dla mnie brzmiało absurdalnie. Powiedziała, że w dniu, gdy po raz pierwszy przekroczyliśmy równoległe linie, zaatakowała mnie, tak jak ją o to prosiłem, i ma nadzieję, że atak był skuteczny i spełnił swój cel. Miałem ochotę zawołać, że nigdy nie wyrażałam takiego życzenia. Nie miałem pojęcia, co to za równoległe linie. Wszystko, co mówiła, wydawało mi się nonsensowne.

Położyła dłoń na moich ustach, a ja się odruchowo uchyliłem. Wydawała się smutna. Powiedziała, że nie możemy rozmawiać, bo w tej chwili znajdujemy się na dwóch równoległych liniach i żadne z nas nie ma dość energii, by je przekroczyć – jedynie wzrokiem może przekazać mi swój nastrój.

Bez żadnego konkretnego powodu poczułem się odprężony. Coś się we mnie rozluźniło. Zdałem sobie sprawę, że po moich policzkach płyną łzy. I wtedy na chwilę ogarnęło mnie zupełnie niewiarygodne wrażenie. Była to krótka chwila, wystarczyła jednak, by wstrząsnąć podstawami mojej świadomości, całej mojej osoby, czy też tego, co odbierałem jako własne “ja". Przez tę krótką chwilę czułem, że jesteśmy sobie bardzo bliscy pod względem temperamentu i celów. Znajdowaliśmy się w podobnej sytuacji. Chciałem jej przekazać, że nasza walka była bardzo ciężka i jeszcze nie dobiegła końca. Nigdy nie miała się skończyć. Dona Soledad żegnała się ze mną, gdyż będąc wojownikiem bez skazy wiedziała, że nasze ścieżki więcej się nie przetną. Dotarliśmy do końca drogi. Z jakiegoś niepojętego, ciemnego zakamarka mojej psychiki nadpłynęła fala zapomnianego poczucia pokrewieństwa, więzi. Był to nagły błysk, coś w rodzaju wyładowania elektrycznego przebiegającego przez ciało. Objąłem donę Soledad. Poruszałem ustami, wypowiadając jakieś słowa, które dla mnie samego nie miały żadnego sensu. Jej oczy się rozświetliły. Ona także mówiła coś, czego nie rozumiałem. Jedyne wrażenie, jakie odczuwałem wyraźnie, mianowicie, że kiedyś przeciąłem równoległe linie, nie miało pragmatycznego znaczenia. Nagromadzone we mnie cierpienie parło na zewnątrz. Jakaś niewytłumaczalna siła rozdzierała mnie na dwoje. Zabrakło mi tchu i wszystko wokół okryło się mrokiem.

Poczułem, że ktoś mną lekko potrząsa i w polu mojego widzenia pojawiła się twarz la Gordy. Leżałem w łóżku doni Soledad, a la Gorda siedziała obok. Byliśmy sami.

– Gdzie ona jest? – zapytałem.

– Odeszła – usłyszałem w odpowiedzi.

Chciałem jej o wszystkim opowiedzieć, ale powstrzymała mnie i otworzyła drzwi. Za progiem czekali pozostali uczniowie, ubrani w swe najlepsze stroje. La Gorda wyjaśniła, że wszystko inne podarli. Było późne popołudnie. Spałem kilka godzin. W milczeniu poszliśmy do domu la Gordy, przed którym stał mój samochód. Cała grupa stłoczyła się w środku niczym dzieci gotowe do niedzielnej przejażdżki.

Zanim usiadłem za kierownicą, przez chwilę stałem obok auta i patrzyłem na dolinę. Moje ciało obracało się powoli, aż zatoczyło pełny krąg, jakby obdarzone było własną wolą i celem. Miałem wrażenie, że wchłaniam w siebie esencję tego miejsca. Chciałem ją zatrzymać, bo nie miałem cienia wątpliwości, że już nigdy w życiu nie zobaczę tej doliny.

Inni chyba zrobili to już wcześniej i zdążyli otrząsnąć się z melancholii. Śmiali się i przekomarzali.

Zapaliłem silnik i ruszyłem. Gdy dotarliśmy do ostatniego zakrętu, słońce właśnie zachodziło. La Gorda zawołała, żebym się zatrzymał. Wysiadła, podbiegła do niewielkiego wzgórza przy drodze, wspięła się na szczyt i po raz ostatni spojrzała na swoją dolinę. Wyciągnęła w jej stronę ramiona i wdychała ją w siebie.

Zjazd z gór był dziwnie krótki. Po drodze nic się nie wydarzyło. Wszyscy siedzieli cicho. Próbowałem nawiązać rozmowę z la Gorda, ale uprzejmie odmówiła. Powiedziała, że góry są

zaborcze i uważają ich za swoją własność, toteż jeśli nie będą oszczędzać energii, góry nigdy ich stąd nie wypuszczą.

Gdy zjechaliśmy na niziny, cała grupa się ożywiła.

La Gorda wręcz kipiała energią. Zaczęła nawet z własnej woli udzielać mi informacji, nie musiałem jej do tego namawiać. Powiedziała między innymi, że Nagual Juan Matus mówił coś, co później potwierdziła Soledad, mianowicie, iż wszyscy mamy swoją drugą stronę. Pozostali zareagowali na te słowa pytaniami i komentarzami. Wszystkich niepokoiły dziwne wspomnienia zdarzeń, które logicznie rzecz biorąc, nie mogły mieć miejsca. Ponieważ niektórzy z nich poznali mnie dopiero przed kilku miesiącami, nie mieściło im się w głowie, jak mogli mnie pamiętać z odległej przeszłości.

Opowiedziałem im o swoim spotkaniu z doną Soledad, o wrażeniu, że już wcześniej znałem ją bardzo blisko i że bez wątpienia przekroczyłem to, co ona nazywała równoległymi liniami. Byli poruszeni – chyba słyszeli to określenie już wcześniej, ale nie byłem pewien, czy rozumieją, co ono oznacza. Dla mnie była to metafora, nie przysiągłbym jednak, czy oni również tak to traktują.

Gdy dojeżdżaliśmy do miasta Oaxaca, poprosili, żebym pokazał im miejsce, gdzie według słów la Gordy i moich zniknęli don Juan i don Genaro. Pojechałem na tę ulicę. Wszyscy wybiegli z samochodu i próbowali się zorientować w terenie. Węszyli w powietrzu, szukając jakichś wskazówek. La Gorda wskazała kierunek, w którym odeszli obaj mężczyźni.

– Popełniłaś okropny błąd, Gorda – powiedział głośno Nestor. – To nie jest wschód, tylko północ.

La Gorda zaprotestowała. Kobiety i Pablito byli tego samego zdania, co ona. Benigno pozostawał neutralny, patrzył na mnie, jakbym to ja miał dostarczyć odpowiedzi. Zrobiłem tak. Sprawdziłem na planie miasta Oaxaca, który miałem w samochodzie. Kierunek, który wskazywała la Gorda, to rzeczywiście była północ.

Nestor zauważył, że przez cały czas miał wrażenie, iż wyjazd z miasteczka nie był przedwczesny ani w żaden sposób wymuszony. Nadeszła odpowiednia chwila. Inni nie mieli tej pewności, a powodem ich wahania była pomyłka la Gordy. Wierzyli, podobnie jak wcześniej ona sama, że Nagual wskazywał w stronę ich rodzinnego miasta, co oznaczałoby, że powinni zostać na miejscu. Po namyśle przyznałem, że w ostatecznym rozrachunku wina spada na mnie, gdyż choć miałem plan, nie użyłem go wtedy.

Przyszło mi do głowy coś jeszcze. Wcześniej zapomniałem im powiedzieć, że jeden z mężczyzn, ten, który wydał mi się podobny do don Genara, przywołał nas ruchem głowy. Gdy teraz o tym wspomniałem, la Gorda szeroko otworzyła oczy, szczerze zdumiona, a nawet zaniepokojona. Powiedziała, że ona nie zauważyła tego gestu. Genaro przywoływał tylko mnie.

– To jest to! – wykrzyknął Nestor. – Nasz los został przypieczętowany!

Zwrócił się do pozostałych. Wszyscy mówili jednocześnie. Nestor szaleńczo pomachał rękami, żeby ich uspokoić.

– Mam tylko nadzieję, że zrobiliście wszystko co trzeba, na wypadek, gdybyśmy już nigdy nie mieli wrócić – powiedział. – Bo nigdy już nie wrócimy.

– Czy mówisz prawdę? – zapytała mnie Lydia z ogniem w oczach, podczas gdy pozostali patrzyli na mnie wyczekująco.

Zapewniłem ich, że nie mam żadnego powodu, by zmyślać. To, że widziałem ruch głowy tego człowieka, dla mnie nie miało absolutnie żadnego znaczenia. Poza tym nawet nie byłem do końca przekonany, czy ci mężczyźni to rzeczywiście byli don Juan i don Genaro.

– Jesteś bardzo przebiegły – stwierdziła Lydia. – Może powiedziałeś to tylko po to, żebyśmy poszli za tobą bez protestów.

– Zaraz, zaczekaj – wtrąciła la Gorda. – Nawet jeśli ten Nagual naprawdę jest przebiegły, nigdy nie zrobiłby czegoś takiego.

Wszyscy znów zaczęli mówić jednocześnie. Próbowałem odgrywać rolę mediatora. Przekrzykując ich, zawołałem, że przecież to, co widziałem, niczego nie zmienia.

Nestor wyjaśnił mi bardzo uprzejmie, iż Genaro uprzedził ich, że gdy nadejdzie czas opuszczenia doliny, da im znak ruchem głowy. Uciszyli się wreszcie, gdy powiedziałem, że to wydarzenie przypieczętowuje ich los, podobnie jak mój: wszyscy musimy pojechać na północ.

Nestor poprowadził nas do miejsca, gdzie mieliśmy się zatrzymać. Był to pensjonat, w którym on sam zwykle nocował, gdy miał coś do załatwienia w mieście. Wszyscy byli w bardzo dobrym nastroju

– w zbyt dobrym, jak na mój gust. Nawet Lydia objęła mnie i przeprosiła za to, że sprawiała mi kłopoty. Wyjaśniła, że uwierzyła la Gordzie i dlatego nie przyłożyła się należycie do przecięcia wszystkich więzów. Josefina i Rosa kipiały entuzjazmem i wciąż poklepywały mnie po plecach. Chciałem porozmawiać z la Gorda, przedyskutować kolejność naszych działań, ale tego wieczoru nie udało mi się zostać z nią sam na sam.

Nestor, Pablito i Benigno wyszli wcześnie rano pozałatwiać jakieś sprawy. Lydia, Rosa i Josefina wybrały się na zakupy. La Gorda poprosiła, żebym pomógł jej kupić nowe ubrania. Chciała, bym znalazł dla niej idealną sukienkę, która dałaby jej pewność siebie, jaka powinna cechować płynnego wojownika. Kupiliśmy nie tylko sukienkę, ale także wszystkie niezbędne dodatki: buty, pończochy i bieliznę.

Potem zabrałem la Gordę na spacer. Przechadzaliśmy się po centrum miasta jak dwoje turystów, obserwując Indian w tradycyjnych strojach. La Gorda jako wojownik bez kształtu czuła się już zupełnie swobodnie w swojej eleganckiej sukni. Wyglądała olśniewająco, jakby nigdy w życiu nie ubierała się inaczej. Z nas dwojga to ja nie Potrafiłem do tego przywyknąć.

Chciałem dowiedzieć się od niej wielu rzeczy, nie potrafiłem jednak sformułować pytań, które powinny wylać się ze mnie strumieniem. Nie miałem pojęcia, o co zapytać. Zupełnie poważnie przyznałem, że jestem pod wrażeniem jej nowego wyglądu. Odrzekła bardzo trzeźwo, iż tak naprawdę poruszyło mnie przekroczenie granic.

– Ostatniej nocy przekroczyliśmy granice – mówiła. – Soledad uprzedziła mnie, czego mam się spodziewać, więc byłam przygotowana, w przeciwieństwie do ciebie.

Powoli i spokojnie zaczęła mi tłumaczyć, że ostatniej nocy przekroczyliśmy niektóre granice uczuć. Wyraźnie akcentowała każdą sylabę, jakby mówiła do dziecka albo do cudzoziemca. Nie potrafiłem się jednak skupić. Wróciliśmy do pensjonatu. Potrzebowałem odpoczynku, ale skończyło się na tym, że znów wyszedłem do miasta. Lydia, Rosa i Josefina nie znalazły niczego odpowiedniego i chciały kupić coś, co by przypominało strój la Gordy.

Wróciliśmy do pensjonatu po południu. Podziwiałem siostrzyczki w nowych ubraniach. Rosa miała kłopoty z chodzeniem w butach na wysokim obcasie. Żartowaliśmy sobie z jej stóp, gdy drzwi otworzyły się powoli i w progu pojawił się Nestor ubrany w granatowy garnitur, jasnoróżową koszulę i niebieski krawat. Włosy miał schludnie uczesane i lekko puszyste, jakby wysuszył je suszarką. Spojrzał na kobiety, a one wpatrzyły się w niego. Po chwili wszedł Pablito, a za nim Benigno. Obydwaj wyglądali olśniewająco: mieli nowe buty, a garnitury wyglądały jak szyte na miarę.

Nie mogłem się nadziwić tej przemianie. Wszyscy wyglądali znakomicie w miejskich ubraniach i bardzo przypominali mi don Juana. Mój szok na widok trzech Genarów był nie mniejszy niż wówczas, gdy zobaczyłem don Juana w garniturze, natychmiast jednak zaakceptowałem tę przemianę. Z drugiej strony choć transformacja kobiet mniej mnie zdziwiła, jakoś nie potrafiłem się do niej przyzwyczaić.

Pomyślałem, że Genarowie musieli mieć szczęście czarowników, by znaleźć tak doskonale dopasowane ubrania. Roześmiali się, gdy usłyszeli, że mówię o szczęśliwym trafie. Nestor wyjaśnił, że krawiec uszył im te ubrania już przed kilkoma miesiącami.

– Każdy z nas ma jeszcze jeden garnitur – rzekł. – Mamy nawet skórzane walizki. Wiedzieliśmy, że nasz czas w tych górach dobiega końca. Jesteśmy gotowi do drogi! Oczywiście, najpierw musisz nam powiedzieć, dokąd mamy pojechać. A także, jak długo tam zostaniemy.

Wyjaśnił, że ma tu jeszcze stare interesy, które musi zakończyć, i potrzebuje na to czasu. Wtedy wtrąciła się la Gorda. Z wielką pewnością, tonem nie dopuszczającym sprzeciwu oznajmiła, że tego wieczoru pojedziemy tak daleko, jak tylko pozwoli nam moc, dlatego też wszyscy muszą pozałatwiać swoje sprawy do końca dnia. Nestor i Pablito zawahali się przy drzwiach i spojrzeli na mnie, szukając potwierdzenia. Pomyślałem, że z pewnością winien im jestem szczerość, i zamierzałem powiedzieć, że nie mam najmniejszego pojęcia, co dokładnie będziemy robić. La Gorda jednak nie dopuściła mnie do głosu.

– Spotkamy się o zmroku przy ławce Naguala – powiedziała. – Stamtąd wyruszymy. Do tej pory możemy robić wszystko, co tylko zechcemy albo co musimy zrobić, wiedząc, że w tym życiu nie wrócimy tu już nigdy.

Wszyscy wyszli. Zostałem sam z la Gorda. Niezręcznym, szybkim ruchem usiadła mi na kolanach. Była tak lekka, że gdy napinałem mięśnie łydek, jej szczupłe ciało zaczynało drżeć. Jej włosy dziwnie pachniały. Śmiała się i podskakiwała, gdy nagle nie wiadomo skąd napłynęło do mnie wrażenie – wspomnienie? Naraz miałem na Kolanach inną la Gordę, dwukrotnie większą od tej, którą znałem.

Miała okrągłą twarz, a ja droczyłem się z nią na temat zapachu jej włosów. Miałem wrażenie, że jestem jej opiekunem.

Pod wpływem tego wspomnienia wstałem nagle. La Gorda z hałasem upadła na podłogę. Opowiedziałem jej, co mi się przypomniało. Powiedziałem, że tylko raz widziałem ją w czasach, gdy była gruba, i trwało to tak krótko, że nie zdążyłem zauważyć jej twarzy, a jednak właśnie przed chwilą miałem wizję jej twarzy z czasów, gdy była tęga.

Nie skomentowała tego ani słowem. Zdjęła suknię i znów narzuciła na siebie stare ubranie.

– Nie jestem jeszcze na to gotowa – powiedziała, wskazując na nowy strój. – Musimy zrobić jeszcze jedno, zanim staniemy się zupełnie wolni. Zgodnie z poleceniem Naguala Juana Matusa wszyscy musimy usiąść na wybranym przez niego miejscu mocy.

– A gdzie jest to miejsce?

– Gdzieś w górach, niedaleko stąd. Przypomina drzwi. Nagual mówił mi, że znajduje się tam naturalne pęknięcie w skale. Powiedział, że niektóre miejsca mocy to dziury w tym świecie. Ten, kto nie ma już ludzkiego kształtu, może przejść przez taką dziurę w nieznane, do innego świata. Tamten świat i ten, w którym żyjemy, znajdują się na dwóch równoległych liniach. Możliwe, że wszystkich nas kiedyś zabierano na drugą stronę, ale tego nie pamiętamy. Eligio jest właśnie w tym drugim świecie. Czasami można tam dotrzeć w śnieniu. Oczywiście, z nas wszystkich najlepsza w śnieniu jest Josefina. Przekracza te linie codziennie, ale ponieważ to wariatka, zachowuje się obojętnie, nawet tępo, więc Eligio pomógł mi przekroczyć te linie w nadziei, że okażę się inteligentniejsza. Tymczasem wyszło na to, że jestem równie tępa. Eligio chciał, żebyśmy przypomnieli sobie lewą stronę. Soledad mówiła mi, że lewa strona to linia równoległa do tej, na której żyjemy teraz. Więc skoro on chce, żebyśmy pamiętali tę stronę, to znaczy, że kiedyś tam byliśmy, i to nie w śnieniu. Dlatego wszystkim nam co jakiś czas przypominają się dziwne rzeczy.

Biorąc pod uwagę założenia, z których wychodziła, jej wnioski należało uznać za zupełnie logiczne. Wiedziałem, o czym mówi: te oderwane, pojawiające się spontanicznie wspomnienia przepełnione były realiami codziennej egzystencji, a jednak nie potrafiliśmy ich umiejscowić w czasie ani znaleźć dla nich miejsca w kontinuum naszego życia.

La Gorda położyła się na łóżku. W jej oczach błyszczał smutek.

– Nie mam pojęcia, co powinniśmy zrobić, by znaleźć to miejsce mocy – wyznała. – Bez tego nie możemy nigdzie wyruszyć.

– A mnie martwi to, że nie wiem, dokąd mam was wszystkich zabrać i co z wami począć – odrzekłem.

– Soledad mówiła mi, że pojedziemy na północ aż do granicy – mówiła la Gorda. – Niektórzy z nas może jeszcze dalej. Ale ty nie będziesz mógł nam towarzyszyć do końca. Ciebie czeka inny los.

Na mojej twarzy musiał odbić się przestrach. Uśmiechnęła się.

– Soledad mówiła mi jeszcze, że jesteś zatkany – ciągnęła. – Zdarzają się chwile, gdy jesteś Nagualem. Ale przez resztę czasu zachowujesz się jak szaleniec, który miewa przebłyski jasności umysłu, a potem znów wycofuje się w obłęd.

Dona Soledad użyła właściwej metafory do określenia mojego stanu. Potrafiłem ją zrozumieć. Jej zdaniem osiągnąłem zapewne jasność umysłu w chwili, gdy ogarnęło mnie przekonanie, że przekroczyłem równoległe linie. Ten sam moment według moich standardów był najbardziej niedorzeczny ze wszystkich. Dona Soledad i ja zdecydowanie znajdowaliśmy się na dwóch równoległych liniach myślenia.

– Co jeszcze ci powiedziała? – zapytałem la Gordę.

– Mówiła, że powinnam się zmusić, by odzyskać pamięć. Wyczerpała wszystkie siły, próbując przywołać moje wspomnienia, i dlatego nie była już w stanie zająć się tobą.

La Gorda wstała, gotowa do wyjścia. Zabrałem ją na spacer po mieście. Wydawała się bardzo szczęśliwa. Chodziła od miejsca do miejsca, oglądając wszystko, ciesząc oczy obrazami świata. To określenie podsunął mi kiedyś don Juan. Powiedział, że wojownik zdaje sobie sprawę, że czeka, i wie także, na co czeka, a czekając, cieszy swe oczy obrazami świata. Dla niego najwyższym osiągnięciem wojownika była radość. Tamtego dnia w Oaxaca la Gorda wypełniała jego nauki co do joty.

Późnym popołudniem, tuż przed zmierzchem, usiedliśmy na ławce don Juana. Benigno, Pablito i Josefina przyszli pierwsi. Po kilku minutach dołączyła do nas pozostała trójka. Pablito usiadł między

Josefiną a Lydią i otoczył je ramionami. Znów mieli na sobie stare ubrania. La Gorda wstała i zaczęła im opowiadać o miejscu mocy.

Nestor się roześmiał, a za nim pozostali.

– Już nigdy nie damy się nabrać i nie pozwolimy ci sobą rządzić – powiedział. – Uwolniliśmy się od ciebie. Ostatniej nocy przekroczyliśmy granice.

Na la Gordzie nie zrobiło to żadnego wrażenia, ale inni wpadli w złość. Musiałem się wtrącić. Powiedziałem głośno, że chciałbym się dowiedzieć więcej o tych granicach, które przekroczyliśmy. Nestor wyjaśnił, że to dotyczy tylko ich. La Gorda była innego zdania. Wyglądało na to, że za chwilę się pobiją. Odciągnąłem Nestora na bok i kazałem mu opowiedzieć o tych granicach.

– Nasze uczucia stwarzają granice wokół wszystkiego – wyjaśnił. – Im bardziej kochamy, tym silniejsze one są. Tym razem kochaliśmy nasz dom. Zanim go opuściliśmy, musieliśmy zdjąć z niego swoje uczucia. Nasze uczucia do domu powędrowały na szczyty gór na zachód od doliny. Tam była granica i gdy przejechaliśmy na drugą stronę gór, wiedząc, że nigdy już nie wrócimy, przekroczyliśmy ją.

– Ale ja też wiedziałem, że już tam nie wrócę – zaprotestowałem.

– Ty nie kochałeś tych gór tak jak my – odrzekł Nestor.

– To się jeszcze okaże – powiedziała la Gorda tajemniczo.

– Byliśmy pod jej wpływem – rzekł Pablito, wstając i wskazując na la Gordę. – Trzymała nas wszystkich w garści. Teraz widzę, jak głupi byliśmy przez nią. Nie ma sensu płakać nad rozlanym mlekiem, ale nigdy już nie damy się tak nabrać.

Lydia i Josefina przyłączyły się do Nestora i Pablita. Benigno i Rosa sprawiali wrażenie, jakby ta utarczka już ich nie dotyczyła.

W tej chwili ogarnęła mnie kolejna fala pewności i poczucia władzy. Wstałem i ni stąd, ni zowąd oznajmiłem, że przejmuję przywództwo i zwalniam la Gordę z obowiązku wygłaszania komentarzy czy przedstawiania swoich pomysłów jako jedynego rozwiązania. Gdy skończyłem, sam byłem zdumiony własną śmiałością. Wszyscy, włącznie z la Gorda, robili wrażenie zachwyconych.

Siła kryjąca się za moim wybuchem w pierwszej chwili przejawiła się w postaci fizycznego wrażenia otwierania zatok. Zaraz potem poczułem bez cienia wątpliwości, że wiem, co don Juan chciał powiedzieć i gdzie dokładnie znajduje się miejsce, do którego musimy pojechać, zanim będziemy mogli stać się wolni. Gdy moje zatoki się otworzyły, uzyskałem wizję domu, który tak mnie intrygował.

Powiedziałem im, dokąd musimy się wybrać. Akceptowali moje polecenia bez sprzeciwu, a nawet bez komentarzy. Zapłaciliśmy rachunek w pensjonacie i poszliśmy na kolację. Potem spacerowaliśmy po rynku. Około jedenastej przyprowadziłem samochód, wszyscy hałaśliwie usadowili się w środku i ruszyliśmy. La Gorda nie spała i dotrzymywała mi towarzystwa. Pozostali zapadli w drzemkę. Potem Nestor przejął kierownicę, a ja i la Gorda usnęliśmy.

5. BANDA ROZGNIEWANYCH CZAROWNIKÓW

Tuż przed świtem dotarliśmy do miasta. Przejąłem kierownicę i pojechałem w stronę tajemniczego domu. La Gorda poprosiła, bym się zatrzymał kilka przecznic wcześniej. Wysiadła z samochodu i ruszyła pieszo chodnikiem, który wystawał ponad poziom ulicy. Cała grupa także wysiadła i poszła za nią. Pablito stanął obok mnie i powiedział, że powinienem zaparkować auto na rynku, o jedną przecznicę dalej.

Gdy dostrzegłem la Gordę wychodzącą zza rogu, od razu zauważyłem, że dzieje się z nią coś złego. Była bardzo blada. Podeszła do mnie i szepnęła, że ma ochotę pójść na poranną mszę. Lydia także chciała to uczynić. Obydwie przeszły przez plac i zniknęły we wnętrzu kościoła.

Pablito, Nestor i Benigno byli niezwykle poważni. Nigdy jeszcze nie widziałem ich w takim nastroju. Rosa wyglądała na przestraszoną: usta miała rozchylone, oczy utkwione nieruchomo w jeden punkt. Patrzyła w stronę domu. Tylko Josefina promieniała.

– Udało nam się, ty sukinsynu! – zawołała, po kumplowsku poklepując mnie po plecach. – Wytrząsnąłeś z nich wszystkie bebechy!

Śmiała się, aż zabrakło jej tchu.

– Czy to jest to miejsce? – zapytałem.

– Jasne, że tak – odpowiedziała. – La Gorda zawsze chodziła tu do kościoła. Wtedy była wielką dewotką. Wskazałem na interesujący nas budynek.

– Pamiętasz ten dom?

– To dom Silvia Manuela.

Na dźwięk tego nazwiska wszyscy drgnęliśmy nerwowo. Poczułem w kolanach coś w rodzaju lekkiego szoku elektrycznego. Byłem pewien, że nigdy wcześniej nie słyszałem tego nazwiska, ale na jego dźwięk zareagowało całe moje ciało. Silvio Manuel to było bardzo rzadkie nazwisko; brzmiało niezwykle melodyjnie.

Trzej Genarowie i Rosa byli równie wstrząśnięci jak ja. Zauważyłem, że pobledli. Sądząc po tym, co czułem, musiałem być tak samo blady jak oni.

– Kim jest Silvio Manuel? – udało mi się w końcu wykrztusić.

– Tu mnie masz – uśmiechnęła się Josefina. – Nie wiem.

Po raz kolejny powtórzyła, że jest wariatką i nie należy brać poważnie niczego, co mówi. Nestor jednak prosił ją, żeby opowiedziała nam wszystko, co tylko potrafi sobie przypomnieć.

Josefina zaczęła się zastanawiać, nie należała jednak do osób, które potrafią sprawnie działać pod presją. Wiedziałem, że dowiemy się więcej, jeśli nie będziemy na nią naciskać. Zaproponowałem, żebyśmy poszukali jakiejś piekarni albo restauracji.

– Pamiętam, że w tym domu nie pozwalali mi prawie nic robić – powiedziała nagle Josefina i obróciła się dokoła, jakby czegoś szukała albo próbowała się zorientować w otoczeniu.

– Czegoś tu brakuje! – zawołała. – Przedtem było tu trochę inaczej.

Próbowałem jej pomóc, zadając pytania, które wydawały mi się odpowiednie, na przykład, czy brakuje jakiegoś domu albo czy któryś został przemalowany, albo może zbudowano jakiś nowy. Josefina nie potrafiła jednak powiedzieć, co wygląda inaczej.

Znaleźliśmy piekarnię i kupiliśmy słodkie bułeczki. Gdy wracaliśmy na rynek, gdzie mieliśmy zaczekać na la Gordę i Lydię, Josefina plasnęła się w czoło, jakby nagle coś sobie przypomniała.

– Wiem, czego tu brak! – wykrzyknęła. – Tej głupiej ściany mgły! Wtedy tu była, a teraz jej nie ma.

Wszyscy jednocześnie zarzuciliśmy ją pytaniami, ona jednak mówiła dalej, nie zwracając na nic uwagi, jakby w ogóle nas tam nie było.

– Ta ściana mgły sięgała aż do nieba. Była właśnie tutaj. Widziałam ją za każdym razem, gdy odwracałam głowę. Doprowadzała mnie do szaleństwa. Tak właśnie było, niech to diabli. Nie byłam wariatką. Zwariowałam przez tę ścianę. Widziałam ją i z zamkniętymi oczami, i z otwartymi. Wydawało mi się, że ta mgła chce mnie dopaść.

Jej oczy na chwilę straciły naturalny blask i pojawiła się w nich rozpacz. Widywałem taki wzrok u ludzi ogarniętych chwilową psychozą. Pośpiesznie podsunąłem jej bułkę. Natychmiast się uspokoiła i zaczęła jeść.

– Co o tym myślisz, Nestor? – zapytałem.

– Boję się – odrzekł cicho.

– Może ty coś pamiętasz?

Potrząsnął głową. Spojrzałem na Pablita i Benigna, uniesieniem brwi pytając ich o to samo, ale obydwaj zaprzeczyli ruchem głowy.

– A ty, Rosa?

Rosa drgnęła. Zdawało się, że nie potrafi wydobyć z siebie ani słowa. Wpatrywała się w trzymaną w ręku bułkę, jakby nie wiedziała, co ma z nią zrobić.

– Oczywiście, że pamięta – zaśmiała się Josefina – tylko jest śmiertelnie przestraszona. Nie widzisz, że siki lecą jej z uszu?

Josefina uważała chyba, że to znakomity żart. Zgięła się wpół ze śmiechu i upuściła bułkę na ziemię. Podniosła ją, otrzepała i zjadła.

– Wariaci jedzą wszystko – śmiała się, poklepując mnie po plecach.

Nestor i Benigno czuli się chyba nieswojo wobec tych wygłupów, Pablito jednak był zachwycony. W jego oczach zabłysnął podziw. Potrząsnął głową i klasnął językiem, jakby nie mógł uwierzyć, że można się zachowywać z takim wdziękiem.

– Wejdźmy do tego domu – popędzała nas Josefina. – Tam wam coś opowiem.

Uważałem, że powinniśmy poczekać na la Gordę i Lydię; poza tym wciąż jeszcze było zbyt wcześnie, by zawracać głowę czarującej damie, która tam mieszkała. Pablito powiedział, że bywał w tym mieście, gdy pracował jako cieśla, i że zna miejsce, w którym pewna rodzina przygotowuje posiłki dla przyjezdnych. Josefina nie chciała czekać; twierdziła, że powinniśmy albo zaraz iść do domu Silvia Manuela, albo zjeść śniadanie. Ja byłem za tym, żeby coś zjeść. Chciałem wysłać Rosę do kościoła po la Gordę i Lydię, ale Benigno zaofiarował się szarmancko, że poczeka na nie i przyprowadzi je na śniadanie. Widocznie on również wiedział, gdzie to jest.

Pablito nie zaprowadził nas tam od razu. Na moją prośbę poszliśmy okrężną drogą. Na skraju miasta był stary most, któremu miałem ochotę przyjrzeć się bliżej. Widziałem go z samochodu tego dnia, gdy przyjechałem tu z la Gordą. Konstrukcja wyglądała na pochodzącą z czasów kolonialnych. Weszliśmy na most i na środku nagle się zatrzymaliśmy. Zapytałem stojącego tam mężczyznę, czy most jest bardzo stary. Odrzekł, że widział go tu przez całe życie, a ma już ponad pięćdziesiąt lat. Sądziłem, że most zafascynował tylko mnie, ale patrząc na moich towarzyszy, zauważyłem, że oni także są poruszeni. Nestor i Rosa dyszeli, jakby nie mogli złapać tchu. Pablito trzymał się blisko Josefiny; ona z kolei próbowała się schować za mną.

– Pamiętasz coś, Josefino? – zapytałem.

– Po drugiej stronie jest ten diabeł Silvio Manuel – odrzekła wskazując na drugi koniec mostu, od którego dzieliło nas jakieś trzydzieści stóp.

Spojrzałem na Rosę. Potwierdziła skinieniem głowy i szepnęła, że kiedyś przeszła przez ten most w wielkim strachu, bo coś czekało na drugim końcu, by ją pochłonąć.

Ze strony mężczyzn nie otrzymałem żadnej pomocy. Patrzyli na mnie oszołomieni i jednomyślnie stwierdzili, że boją się bez żadnego powodu. Musiałem się z nimi zgodzić. Czułem, że za żadne pieniądze nie odważyłbym się przejść przez ten most w nocy, chociaż nie miałem pojęcia, dlaczego.

– Co jeszcze pamiętasz, Josefino? – zapytałem.

– Moje ciało jest teraz bardzo przestraszone – odrzekła. – Nic więcej nie mogę sobie przypomnieć. Ten diabeł Silvio Manuel zawsze kryje się w ciemnościach. Zapytaj Rosę.

Ruchem głowy poprosiłem Rosę o komentarz. Skinęła głową trzy czy cztery razy, ale nie mogła wykrztusić ani słowa. Napięcie, które ja też odczuwałem, było realne, choć brało się nie wiadomo skąd. Staliśmy całą grupą w połowie mostu i nie byliśmy w stanie postąpić nawet o krok dalej w kierunku wskazanym przez Josefinę. W końcu ona sama przejęła inicjatywę i wycofała się. Wróciliśmy do centrum miasta. Pablito zaprowadził nas do dużego domu. La Gorda, Lydia i Benigno już tam byli i jedli śniadanie; zamówili także jedzenie dla nas. Nie czułem głodu. Pablito, Nestor i Rosa byli jak nieprzytomni, tylko Josefina jadła z apetytem. Zaległo złowieszcze milczenie. Próbowałem nawiązać rozmowę, ale wszyscy unikali mojego wzroku.

Po śniadaniu poszliśmy do budynku, który tak mnie intrygował. Nikt nie odzywał się ani słowem. Zapukałem do drzwi i gdy otworzyła nam ta sama kobieta, wyjaśniłem jej, że chciałbym pokazać dom przyjaciołom.

Kobieta się zawahała, a wtedy La Gorda dała jej trochę pieniędzy i przeprosiła za zakłócanie spokoju.

Josefina od razu poprowadziła nas do tylnej części domu, której nie widziałem podczas mojej poprzedniej wizyty. Znajdowało się tam brukowane patio otoczone pierścieniem pokoi. W zadaszonych korytarzach leżały narzędzia rolnicze. Wydawało mi się, że kiedyś widziałem ten

dziedziniec, gdy był pusty. Dokoła niego było osiem pokoi, dwa po każdej stronie. Nestor, Pablito i Benigno wyglądali, jakby zbierało im się na mdłości. La Gorda pociła się obficie. Obydwie z Josefina usiadły w niszy przy ścianie. Lydia i Rosa weszły do jednego z pokoi, Nestor, który chciał chyba czegoś poszukać, zniknął w innym. Pablito i Benigno poszli za nim.

Zostałem sam z właścicielką domu. Chciałem z nią porozmawiać, zadać jej kilka pytań, dowiedzieć się, czy zna Silvia Manuela, ale brakowało mi energii, by się odezwać. Żołądek miałem skurczony, dłonie spocone. Przytłaczał mnie nieuchwytny smutek, tęsknota za czymś nierzeczywistym, nieokreślonym.

Nie mogłem tego znieść. Miałem już zamiar pożegnać się ze starszą panią i wyjść z domu, gdy obok mnie pojawiła się la Gorda. Szepnęła, że powinniśmy usiąść w dużym pokoju, do którego prowadził korytarz odchodzący od dziedzińca. Pokój było widać z miejsca, w którym się znajdowaliśmy. Był bardzo duży i pusty, z wysokim, belkowanym sufitem. Panował w nim półmrok, lecz nie było duszno.

La Gorda zwołała tam całą grupę. Właścicielka tylko na nas popatrzyła, ale nie poszła za nami. Wydawało się, że każdy doskonale wie, gdzie ma usiąść. Trzej Genarowie usadowili się przy ścianie po prawej stronie drzwi, a la Gorda i trzy siostrzyczki naprzeciwko nich, po lewej. Wszyscy siedzieli blisko ścian. Choć miałem ochotę usiąść obok la Gordy, zostałem pośrodku pokoju. Wydawało mi się, że to właściwe miejsce. Nie wiedziałem, dlaczego, ale miałem wrażenie, że te miejsca wyznaczyła nam jakaś ukryta siła.

Gdy tak siedziałem, przepływały przeze mnie dziwne wrażenia. Byłem bierny i rozluźniony. Wyobrażałem sobie, że jestem ruchomym ekranem w kinie, na który projektowane są z zewnątrz uczucia smutku i tęsknoty. Nie pojawiło się jednak żadne wyraźne wspomnienie. Siedzieliśmy w tym pokoju ponad godzinę. W pewnej chwili zaczęło mi się wydawać, że jestem na krawędzi odkrycia, skąd bierze się ten nieziemski smutek, który doprowadzał mnie do niepohamowanego szlochu. Ale wtedy, znów jakby kierowani jakąś nieznaną siłą, wszyscy wstaliśmy i opuściliśmy dom. Nawet nie podziękowaliśmy właścicielce ani się z nią nie pożegnaliśmy.

Na rynku zbiliśmy się w gromadę. La Gorda natychmiast stwierdziła, że jako wojownik bez kształtu nadal będzie nam przewodzić. Powiedziała, że powodem tego są wnioski, do jakich doszła w domu Silvia Manuela. Wydawało się, że czeka na pytania. Milczenie pozostałych było dla mnie nie do zniesienia. W końcu poczułem, że muszę coś powiedzieć.

– Do jakich wniosków doszłaś, Gorda? – zapytałem.

– Myślę, że wszyscy wiemy, do jakich – odrzekła wyniośle.

– Nie wiemy – zaprzeczyłem. – Nikt jeszcze nic nie powiedział.

– Ponieważ wiemy, nie musimy gadać – odparowała.

Upierałem się, że nie można uznawać tak ważnej sprawy za oczywistą i że powinniśmy porozmawiać o naszych uczuciach. Jeśli o mnie chodziło, wyniosłem z tego domu tylko druzgocące wrażenie smutku i rozpaczy.

– Nagual Juan Matus miał rację – rzekła la Gorda. – Musieliśmy usiąść na tym miejscu mocy, żeby się uwolnić. Ja już jestem wolna. Nie wiem, jak to się stało, ale gdy tam siedziałam, coś ze mnie opadło.

Pozostałe trzy kobiety zgodziły się z nią, mężczyźni zaś mieli inne wrażenia. Nestor stwierdził, że niewiele brakowało, a przypomniałby sobie jakieś twarze, ale choć skupiał się na tym ze wszystkich sił, coś go powstrzymywało. Doświadczył jedynie tęsknoty i smutku, a powodem tych uczuć była świadomość, że wciąż znajduje się na tym świecie. Pablito i Benigno powiedzieli mniej więcej to samo.

– Teraz rozumiesz, co miałem na myśli? – zwróciłem się do la Gordy.

Sprawiała wrażenie urażonej – jeszcze nigdy nie widziałem, żeby się tak nadęła. A może już kiedyś, gdzieś, widziałem ją podobnie zdegustowaną? Wygłosiła do nas przemowę. Nie potrafiłem się skupić na treści jej słów, bo pochłonęło mnie jakieś niejasne wspomnienie, które już-już miało się wynurzyć na powierzchnię świadomości. Do podtrzymania tego stanu potrzebny mi był głos la Gordy. Jego brzmienie i dźwięczący w nim gniew przywodziły mi coś na pamięć. W pewnej chwili, gdy trochę przycichła, zacząłem na nią krzyczeć, że się rządzi, i natychmiast znów wpadła w złość. Patrząc na nią, przypomniałem sobie inny czas i inną Gordę: rozgniewaną grubą kobietę, która biła mnie pięściami w pierś, a ja śmiałem się z jej gniewu, droczyłem się z nią jak z dzieckiem. Gdy jej głos ucichł, wspomnienie natychmiast odpłynęło. Chyba zrozumiała, co robię, i umilkła.

Powiedziałem, że sytuacja jest niepewna – czyha na nas coś nieznanego.

– To wcale na nas nie czyha – skomentowała sucho. – To już w nas uderzyło. I myślę, że ty dobrze wiesz, co to takiego.

– Nie wiem, i wydaje mi się, że mówię w imieniu wszystkich mężczyzn.

Trzej Genarowie skinęli głowami.

– Mieszkaliśmy w tym domu, gdy byliśmy po lewej stronie – wyjaśniła la Gorda. – Siadałam w tej alkowie i płakałam, bo nie miałam pojęcia, co robić. Gdybym mogła dzisiaj zostać tam jeszcze chwilę dłużej, to chyba wszystko bym sobie przypomniała. Ale coś mnie stamtąd wypchnęło. Czasem siedziałam w tym pokoju, gdy było tam więcej ludzi, ale nie mogę sobie przypomnieć ich twarzy. Za to inne sprawy stały się dla mnie dzisiaj jasne. Jestem wojownikiem bez kształtu. Przychodzą do mnie różne rzeczy, dobre i złe. Na przykład wróciła do mnie dawna arogancja i skłonność do melancholii. Ale także inne, dobre rzeczy.

– Do mnie też – powiedziała Lydia ochryple.

– Jakie są te dobre rzeczy? – zapytałem.

– Myślę, że niepotrzebnie cię nienawidzę – odrzekła. – Moja nienawiść nie pozwala mi odlecieć. Mówili mi to w tym pokoju, mężczyźni i kobiety.

– Jacy mężczyźni i jakie kobiety? – zapytał Nestor z lękiem.

– Wiem tylko tyle, że byłam tam, gdy i oni tam byli – wyjaśniła Lydia. – Ty też tam byłeś. Wszyscy tam byliśmy.

– Kim byli ci mężczyźni i te kobiety, Lydio? – zapytałem.

– Wiem tylko tyle, że byłam tam, gdy i oni tam byli – powtórzyła.

– A ty, Gorda?

– Już ci mówiłam, że nie pamiętam żadnych twarzy ani niczego konkretnego. Ale wiem jedno: wszystko, co robiliśmy w tym domu, odbywało się wyłącznie po lewej stronie. Przekraczaliśmy równoległe linie albo ktoś nas przez nie przeciągał. Dziwne wspomnienia, jakie nas nawiedzają, pochodzą z tamtego czasu, z tamtego świata.

Nie uzgadniając niczego słowami, opuściliśmy rynek i ruszyliśmy w stronę mostu. La Gorda i Lydia pobiegły przodem. Gdy dotarliśmy tam, stały dokładnie w miejscu, w którym my także zatrzymaliśmy się wcześniej.

– Silvio Manuel jest ciemnością – szepnęła do mnie la Gorda, nie spuszczając oczu z drugiego krańca mostu.

Lydia się trzęsła. Ona także próbowała coś do mnie powiedzieć, ale tylko bezgłośnie poruszała ustami. Nie mogłem zrozumieć słów.

Odciągnąłem wszystkich z mostu. Przyszło mi do głowy, że jeśli poskładamy razem to, co każdy z nas wie o tym miejscu, to może wyłoni się jakaś całość, która pozwoli nam zrozumieć, co się tu dzieje.

– Kim jest Silvio Manuel? – zapytałem la Gordę.

– Nigdy wcześniej nie słyszałam tego nazwiska – odrzekła. – Nie znam tego mężczyzny, a jednak go znam. Gdy usłyszałam jego nazwisko, coś do mnie przypłynęło. Josefina je wymieniła, gdy byliśmy w tym domu. Od tej chwili różne rzeczy zaczęły mi się pojawiać w głowie i na języku, tak jak Josefinie. Nigdy nie myślałam, że mogę się stać podobna do Josefiny.

– Dlaczego powiedziałaś, że Silvio Manuel jest ciemnością?

– Nie mam pojęcia. Ale wszyscy wiemy, że to prawda.

Poprosiła kobiety, by się wypowiedziały, żadna jednak nie przerwała milczenia. Spojrzałem na Rosę. Już trzy czy cztery razy otwierała usta, chcąc coś powiedzieć. Oskarżyłem ją, że coś przed nami ukrywa. Jej drobne ciało przebiegł dreszcz.

– Szliśmy przez ten most, a Silvio Manuel czekał na nas po drugiej stronie – wykrztusiła ledwo słyszalnym głosem. – Ja szłam ostatnia. Słyszałam krzyki innych, których pożerał. Chciałam uciec, ale ten diabeł Silvio Manuel był na obu końcach mostu. Nie było gdzie uciec.

La Gorda, Lydia i Josefina potwierdziły. Zapytałem, czy jest to tylko ich niejasne wrażenie, czy też wyraźne wspomnienie. La Gorda twierdziła, podobnie jak dwie pozostałe, że dokładnie pamięta to, o czym mówiła Rosa.

Zastanawiałem się na głos, co się wtedy działo z ludźmi mieszkającymi w pobliżu mostu. Jeśli kobiety rzeczywiście krzyczały, jak twierdziła Rosa, to przechodnie musieli je słyszeć. Krzyki powinny wywołać zamieszanie. Przeszło mi przez myśl, że całe miasto musiało być wciągnięte w spisek, i poczułem zimny dreszcz. Obróciłem się do Nestora i głośno wyraziłem swój lęk.

Nestor powiedział, że Nagual Juan Matus i Genaro naprawdę byli wojownikami niezwykłej miary i dlatego lubili samotność. Kontaktowali się tylko z pojedynczymi osobami. Było niemożliwe, by wciągnęli w intrygę całe miasto czy choćby tylko ludzi mieszkających w pobliżu mostu. W takim wypadku, mówił Nestor, wszyscy ci ludzie musieliby być wojownikami, co było absolutnie nieprawdopodobne.

Josefina zaczęła krążyć wokół mnie. Mierzyła mnie wzrokiem, prychając przy tym z pogardą.

– Ależ ty masz tupet – stwierdziła. – Udajesz, że nic nie wiesz, a przecież to byłeś ty. Ty nas tu przyprowadziłeś! Ty nas wpychałeś na ten most!

W oczach kobiet pojawiły się złowróżbne błyski. Spojrzałem na Nestora, szukając pomocy.

– Nic nie pamiętam – powiedział. – Wiem tylko, że to miejsce mnie przeraża.

Skierowanie uwagi na Nestora było znakomitym posunięciem z mojej strony. Wszystkie kobiety rzuciły się teraz na niego.

– Oczywiście, że pamiętasz! – krzyknęła Josefina. – Wszyscy tu byliśmy. Ależ z ciebie głupi osioł!

Musiałem wprowadzić w te dociekania jakiś porządek. Odsunąłem wszystkich od mostu. Sądziłem, że jako osoby z natury aktywne, poczują się bardziej rozluźnieni w ruchu i w przeciwieństwie do mnie łatwiej im będzie rozmawiać idąc, niż siedząc.

Już po kilku krokach gniew kobiet zniknął równie niespodziewanie, jak się pojawił. Nawet Lydia i Josefina stały się rozmowniejsze. Wciąż powtarzały, że w ich wspomnieniach Silvio Manuel budzi grozę. Mimo to żadna z nich nie pamiętała, by odniosła jakieś fizyczne obrażenia. Przypominały sobie tylko paraliżujący strach.

Rosa nie odezwała się ani słowem, tylko gestami potwierdzała wszystko, co mówiły. Zapytałem, czy wtedy, gdy próbowały przejść przez most, była noc. Zarówno Lydia, jak i Josefina stwierdziły, że był to dzień. Rosa odchrząknęła i szepnęła, że to była noc. La Gorda wyjaśniła tę rozbieżność, mówiąc, że było to o świcie albo tuż przed.

Doszliśmy do końca krótkiej uliczki i odruchowo znów zawróciliśmy w stronę mostu.

– Wszystko jest jasne – rzekła naraz la Gorda, jakby właśnie skończyła porządkować myśli. – Przechodziliśmy przez równoległe linie, albo raczej Silvio Manuel zmuszał nas do ich przekraczania. Ten most to miejsce mocy, dziura w tym świecie, drzwi do innego świata. Przechodziliśmy przez nią. Musiało to być bolesne, bo moje ciało odczuwa strach. Silvio Manuel czekał na nas po drugiej stronie. Nikt z nas nie pamięta jego twarzy, bo Silvio Manuel jest mrokiem i nigdy jej nie pokazuje. Widzieliśmy tylko jego oczy.

– Jedno oko – poprawiła cicho Rosa, odwracając wzrok.

– Wszyscy, włącznie z tobą– ciągnęła la Gorda, zwracając się do mnie – wiemy, że twarz Silvia Manuela znajduje się w mroku. Można usłyszeć tylko jego głos – miękki, jak stłumiony kaszel.

La Gorda umilkła i przyjrzała mi się w taki sposób, że poczułem zakłopotanie. Wyraz jej oczu przypominał mi wzrok zwierzęcia schwytanego w pułapkę. Wydawało mi się, że zachowała dla siebie coś jeszcze. Zapytałem ją o to. Wyparła się, ale przyznała, że ma wiele niejasnych, nieugruntowanych wrażeń, o których wolałaby nie mówić. Próbowałem na nią naciskać, a potem zażądałem, by kobiety spróbowały sobie przypomnieć, co im się przydarzyło po drugiej stronie mostu. Wszystkie jednak pamiętały tylko krzyki pozostałych.

Genarowie nie włączali się do rozmowy. Zapytałem Nestora, czy wie, co się wtedy zdarzyło. Odrzekł posępnie, że to wszystko przekracza jego rozumienie.

Szybko podjąłem decyzję. Przyszło mi do głowy, że jedyne, co możemy zrobić, to przejść przez ten most. Zawróciłem wszystkich i powiedziałem, że całą grupą przejdziemy na drugą stronę. Mężczyźni zgodzili się natychmiast, kobiety zaprotestowały. Wyczerpałem wszelkie argumenty i w końcu musiałem siłą ciągnąć za sobą Lydię, Rosę i Josefinę. La Gorda odniosła się do mojego pomysłu

niechętnie, wyglądała jednak na zaintrygowaną. Szła obok, nie próbując mi pomóc w przeprowadzeniu kobiet. Genarowie zachowywali się podobnie: obserwowali moje wysiłki z nerwowym śmiechem, ale nawet nie kiwnęli palcem, by mnie wesprzeć. Doszliśmy do miejsca, w którym zatrzymaliśmy się wcześniej. Krzyknąłem do la Gordy, by mi pomogła. Bez przekonania spróbowała pochwycić Lydię, grupa jednak się rozsypała i wszyscy oprócz la Gordy uciekli, potykając się i dysząc, na bezpieczną ulicę. Staliśmy we dwoje pośrodku mostu, jakby ktoś nas tam przykleił. Nie byliśmy w stanie pójść naprzód, ale też nie mieliśmy ochoty wracać.

La Gorda szepnęła mi do ucha, że nie powinienem się niczego obawiać, bo przecież to ja wtedy czekałem na nich po drugiej stronie. Dodała, że jej zdaniem dobrze wiem, iż byłem pomocnikiem Silvia Manuela, tylko nie odważyłem się tego przed nikim ujawnić.

Całym moim ciałem wstrząsnął dreszcz wściekłości. Poczułem, że la Gorda nie ma prawa wygłaszać takich uwag ani mieć tego typu wrażeń. Pochwyciłem ją za włosy i obróciłem dokoła. Naraz opamiętałem się, przeprosiłem ją i uścisnąłem. Uratowała mnie trzeźwa myśl. Powiedziałem, że rola przewodnika grupy działa mi na nerwy – w miarę naszych poczynań napięcie stawało się coraz większe. La Gorda nie zgodziła się z moim wyjaśnieniem i stanowczo podtrzymywała swoją interpretację. Uważała, że Silvio Manuel i ja byliśmy sobie bardzo bliscy i że mój gniew wywołało wspomnienie mistrza. Całe szczęście, że powierzono ją mojej opiece, mówiła, bo w innym wypadku prawdopodobnie zepchnąłbym ją z mostu.

Zawróciliśmy. Cała grupa stała w bezpiecznej odległości i patrzyła na nas z wyraźnym przestrachem. Miałem wrażenie, że jesteśmy zanurzeni w dziwnej bezczasowości. Dokoła nas nie było nikogo. Spędziliśmy na moście co najmniej pięć minut, ale przez cały ten czas nikt inny nie próbował przezeń przejść ani nawet nie pojawił się w zasięgu wzroku. A potem w jednej chwili dokoła zaroiło się od ludzi i otoczył nas tłum przechodniów, gęsty jak na głównej ulicy w godzinie szczytu.

Bez słowa wróciliśmy na rynek. Byliśmy niebezpiecznie osłabieni. Odczuwałem niejasne pragnienie, by pozostać w tym mieście trochę dłużej, ale wsiedliśmy do samochodu i ruszyliśmy na wschód, w stronę wybrzeża Atlantyku. Nestor i ja prowadziliśmy na zmianę, zatrzymując się tylko po to, by zatankować benzynę i coś zjeść. Tak dotarliśmy do Veracruz. To miasto stanowiło dla nas neutralny teren. Ja byłem tu wcześniej tylko raz; pozostali – jeszcze nigdy. Zdaniem la Gordy takie nieznane miasto było odpowiednim miejscem do zrzucenia starych ubrań. Zarejestrowaliśmy się w hotelu i tam wszyscy podarli stare odzienie na strzępy. Podniecenie nowym miastem znakomicie podniosło ich na duchu i poprawiło samopoczucie.

Naszym następnym przystankiem było Mexico City. Zatrzymaliśmy się obok parku Alameda, w hotelu, w którym mieszkałem kiedyś z don Juanem. Przez dwa dni zachowywaliśmy się jak wzorowi turyści. Chodziliśmy na zakupy i zwiedzaliśmy wszystkie możliwe turystyczne atrakcje. Kobiety wyglądały olśniewająco. Benigno kupił w lombardzie aparat fotograficzny i, nie zakładając filmu, zrobił czterysta dwadzieścia pięć zdjęć. W pewnym miejscu, gdzie podziwialiśmy przepiękne mozaiki na ścianach, strażnik uznał mnie za przewodnika wycieczki i zapytał, skąd pochodzą te zachwycające cudzoziemki. Powiedziałem, że są ze Sri Lanki. Uwierzył mi, dziwił się tylko, że tak bardzo są podobne do Meksykanek.

Następnego dnia o dziesiątej rano poszliśmy do biura linii lotniczych, do którego wepchnął mnie kiedyś don Juan. Wszedłem wtedy do środka przez jedne drzwi, a wyszedłem przez inne, nie na ulicę, przy której znajdowało się biuro, lecz na plac targowy położony o milę dalej, gdzie obserwowałem ludzi.

La Gorda wysnuła teorię, że biuro linii lotniczych także było miejscem mocy, drzwiami, przez które można przejść z jednej linii równoległej na drugą. Powiedziała, że Nagual na pewno chciał mnie przepchnąć przez szczelinę, ale ja ugrzązłem między dwoma światami, pomiędzy liniami – dlatego mogłem obserwować ruch na targu, nie stając się jego częścią. Nagual oczywiście chciał mnie przepchnąć do końca, ale na przeszkodzie jego wysiłkom stanął mój opór i w rezultacie znalazłem się na tej samej linii, co poprzednio, w zwyczajnym świecie.

Sprzed biura linii lotniczych poszliśmy na targ, a potem do parku Alameda, w którym siedziałem z don Juanem po przygodzie w biurze. Wielokrotnie byłem tam z don Juanem i teraz to miejsce wydało mi się najodpowiedniejsze do rozmowy o tym, co powinniśmy robić dalej.

Chciałem podsumować wszystko, czego dotychczas dokonaliśmy, i pozwolić, by moc tego miejsca zadecydowała o naszym następnym kroku. Po świadomej próbie przejścia przez most bezskutecznie usiłowałem wymyślić jakiś sposób, by poradzić sobie z grupą moich towarzyszy. Gdy usiedliśmy na kamiennych schodkach, powiedziałem, że dla mnie wiedza nierozdzielnie się łączy ze słowami. Byłem

głęboko przekonany, że jeśli wydarzenie lub doświadczenie nie zostanie ujęte w werbalnych pojęciach, skazane jest na rozpłynięcie się w nicości, dlatego poprosiłem, by każdy z osobna podsumował sytuację.

Pablito odezwał się pierwszy. Zdziwiło mnie to, gdyż aż do tej chwili był bardzo cichy. Przeprosił za to, że przedstawi nam nie wspomnienie czy wrażenie, lecz wniosek oparty na całej zgromadzonej dotychczas wiedzy. Stwierdził, że to, co kobiety opowiadały o wydarzeniu na moście, dla niego jest doskonale zrozumiałe. Jego zdaniem celem było wówczas przejście z prawej strony, tonalu, na lewą, nagual. Strach, jaki wszyscy odczuwali, brał się stąd, że ktoś inny kontrolował sytuację i zmuszał ich do przejścia. Również Pablito wierzył bez zastrzeżeń w to, że byłem wtedy pomocnikiem Silvia Manuela. Na poparcie tej tezy przypomniał, że zaledwie przed dwoma dniami widział, jak robiłem to samo: wpychałem wszystkich na most. Tym razem jednak po drugiej stronie nie było nikogo, kto mógłby mi pomóc – nie czekał tam żaden Silvio Manuel.

Chcąc zmienić temat, zacząłem im wyjaśniać, że ten rodzaj utraty pamięci, jaki się nam przydarzył, nazywa się amnezją. Wiedziałem o amnezji niewiele, za mało, by rzucić jakiekolwiek światło na nasz przypadek, jednak wystarczająco dużo, by żywić przekonanie, że nie potrafilibyśmy zapomnieć wszystkiego na komendę. Uważałem, że ktoś, być może don Juan, coś z nami zrobił. Nie miałem jednak pojęcia, co, i tego właśnie chciałem się dowiedzieć.

Pablito utrzymywał, że najważniejsze jest, bym zrozumiał, iż rzeczywiście współdziałałem z Silviem Manuelem. Dodał jeszcze, iż Lydia i Josefina opowiedziały mu, jaka była moja rola w zmuszeniu ich do przekroczenia równoległych linii.

Nie czułem się swobodnie, rozmawiając na ten temat. Powiedziałem, że po raz pierwszy usłyszałem o równoległych liniach w rozmowie z doną Soledad. Zaakceptowałem to pojęcie bez oporów. Natychmiast zrozumiałem, co ono oznacza. Byłem nawet przekonany, że sam przekroczyłem te linie. Wszyscy oprócz la Gordy twierdzili, że po raz pierwszy usłyszeli o równoległych liniach ode mnie. La Gorda powiedziała, że dowiedziała się o nich od doni Soledad tego samego dnia, co ja.

Pablito znów próbował skierować rozmowę na mój związek z Silviem Manuelem. Przerwałem mu. Powiedziałem, że gdy wszyscy próbowaliśmy przejść przez most, nie zdawałem sobie sprawy, że ja sam – a prawdopodobnie oni też – wkroczyłem w inną rzeczywistość. Uświadomiłem sobie zmianę dopiero wtedy, gdy zauważyłem, że na moście nie ma nikogo oprócz nas. Stała tam tylko nasza ośmioosobowa grupa. Dzień był widny, ale naraz niebo się zachmurzyło i światło przedpołudnia przeszło w zmrok. Byłem wtedy tak zaabsorbowany swoimi obawami i personalistycznymi teoriami, że nie zauważyłem tej przerażającej zmiany. Gdy cofnęliśmy się na ulicę, dokoła znów pojawili się ludzie. Ale co się z nimi działo, kiedy byliśmy na moście?

La Gorda i wszyscy pozostali nie zauważyli niczego – prawdę mówiąc, nie zdawali sobie sprawy z tych zmian, dopóki o nich nie wspomniałem. Wpatrywali się we mnie z mieszaniną irytacji i lęku. Pablito znów przejął inicjatywę i oskarżył mnie, że próbuję ich wmanewrować w coś, czego wcale nie chcą. Nie sprecyzował, o co mu chodzi, ale jego elokwencja wystarczyła, by wszyscy go poparli, i nagle okazało się, że mam przeciwko sobie bandę rozgniewanych czarowników. Dużo czasu minęło, zanim wytłumaczyłem im moją potrzebę zbadania pod każdym możliwym kątem tak dziwnego i absorbującego przeżycia, jakim było wydarzenie na moście. Uspokoili się w końcu, ale nie dlatego, że ich przekonałem – powodem było raczej wyczerpanie emocjonalne. Wszyscy, włącznie z la Gordą, z całego serca popierali punkt widzenia Pablita.

Nestor zaczął od innej strony. Zasugerował, że mogę być nieświadomym wysłannikiem, który nie do końca zdaje sobie sprawę z wagi własnych poczynań. Dodał, iż w przeciwieństwie do pozostałych on sam nie potrafi uwierzyć, bym miał świadomość tego, że moje zadanie ma polegać na wprowadzeniu ich w błąd. Jego zdaniem ja sam nie wiem o tym, iż prowadzę ich do destrukcji, chociaż to właśnie robię. Sądził, że równoległe linie można przekraczać na dwa sposoby: dzięki mocy cudzej lub własnej. Końcowy wniosek był taki, że Silvio Manuel zmuszał ich do przekroczenia linii, wzbudzając w nich tak wielki strach, że później zupełnie wymazali to wydarzenie z pamięci. Teraz ich zadanie polegało na przekroczeniu linii za sprawą własnej mocy, ja zaś miałem dokładać wysiłków, by im to uniemożliwić.

Następnie odezwał się Benigno. Powiedział, że jego zdaniem ostatnią rzeczą, jaką zrobił don Juan przed odejściem, było to, że pomógł mężczyznom przekroczyć równoległe linie, zmuszając ich do skoku w przepaść. Benigno uważał, że wiemy już bardzo wiele o przekraczaniu linii, ale nie nadszedł jeszcze czas, by znów tego próbować. Na moście nikt nie potrafił postąpić ani o krok dalej, bo nie była to odpowiednia chwila. Mieli jednak rację, wierząc, że próbuję ich zniszczyć, zmuszając do przejścia na drugą stronę. Benigno był zdania, że przekroczenie równoległych linii z pełną świadomością jest

dla nich wszystkich ostatecznym krokiem, na który mogą się poważyć dopiero wtedy, gdy będą gotowi zniknąć z tego świata.

Potem odezwała się Lydia. Nie przedstawiła żadnych teorii, lecz kazała mi przypomnieć sobie, jak po raz pierwszy podstępem zaciągnąłem ją na most. Śmiało oświadczyła, że nie jestem uczniem Naguala Juana Matusa, lecz Silvia Manuela, i że Silvio Manuel i ja pożarliśmy wzajemnie swoje ciała.

Znów ogarnęła mnie wściekłość, podobnie jak wcześniej na moście, ale opamiętałem się w porę. Pomogła mi się uspokoić logiczna myśl. Powtarzałem sobie w kółko, że interesuje mnie analiza problemu.

Wyjaśniłem Lydii, że nie ma sensu ubliżać mi w ten sposób, ale ona nie miała zamiaru przestać. Krzyczała, że Silvio Manuel jest moim mistrzem i dlatego właśnie nie należę do ich grupy. Rosa dodała, że Silvio Manuel dał mi wszystko, czym jestem.

Zakwestionowałem jej dobór słów. Moim zdaniem powinna była raczej powiedzieć, iż Silvio Manuel dał mi wszystko, co mam. Rosa jednak upierała się, że Silvio Manuel dał mi to, czym jestem. Nawet la Gorda ją poparła. Przypomniała sobie, że kiedyś byłem bardzo chory, tak wyczerpany, że nie pozostała mi ani odrobina siły. Silvio Manuel zajął się mną wtedy i tchnął w moje ciało nowe życie. La Gorda stwierdziła, że lepiej, bym poznał swoje prawdziwe pochodzenie, niż bym miał nadal wierzyć, tak jak dotychczas, że pomógł mi Nagual Juan Matus. Jej zdaniem moje przywiązanie do tego Naguala wynikało z jego upodobania do słów. Silvio Manuel był milczącą ciemnością. By za nim pójść, musiałbym przekroczyć równoległe linie. Ale po to, by stać się naśladowcą Naguala Juana Matusa, wystarczyło mi gadanie o nim.

Wszystko, co usłyszałem, brzmiało jak jeden wielki nonsens. Chciałem wygłosić na ten temat jakąś uwagę, moim zdaniem bardzo celną, ale raptem tok mojego rozumowania rozsypał się w jednej chwili. Nie potrafiłem sobie przypomnieć, co mam powiedzieć, choć jeszcze sekundę wcześniej wiedziałem to niezmiernie jasno. Przypłynęło do mnie przedziwne wspomnienie. Nie było to wrażenie czy odczucie, lecz konkretna, szczegółowa pamięć wydarzenia. Przypomniałem sobie, jak kiedyś rozmawiałem z don Juanem i jeszcze jednym mężczyzną, którego twarzy nie potrafiłem sobie przypomnieć, o czymś, co postrzegałem jako cechę otoczenia. To coś znajdowało się o trzy czy cztery jardy na prawo ode mnie. Była to niezwykła ściana żółtawej mgły, która, jak mi się wydawało, dzieliła świat na dwoje. Rozciągała się od ziemi aż do samego nieba. Podczas rozmowy połowa świata po mojej lewej stronie pozostawała nietknięta, a druga, po prawej – skryta we mgle. Przypomniałem sobie, że gdy próbowałem odnaleźć charakterystyczne cechy otoczenia, by się zorientować w przestrzeni, zauważyłem, iż zasłona mgły przebiega ze wschodu na zachód. Na północ od tej linii znajdował się świat taki, jaki znałem. Zapytałem don Juana, co się stało ze światem na południe od ściany mgły, a on kazał mi się obrócić o kilka stopni w prawo. Odwracając głowę, zauważyłem, że ściana mgły także się obraca. Na jakiejś płaszczyźnie, która przekraczała granice intelektu, świat dzielił się na dwie części. Ten podział wydawał się jak najbardziej namacalny, granica jednak nie przebiegała na planie fizycznym – musiała się znajdować we mnie. Ale czy rzeczywiście tak było?

Przypomniało mi się coś jeszcze. Ten drugi mężczyzna powiedział, że gdy wojownik potrafi podzielić świat na dwoje, jest to wielkie osiągnięcie, ale jeszcze większym jest zatrzymanie ruchu ściany mgły mocą swojego spokoju i kontroli. Powiedział, że ta ściana nie znajduje się w naszym wnętrzu – z całą pewnością istnieje w realnym świecie i dzieli go na dwoje, obracając się wraz z ruchem głowy, jakby była przyklejona do naszej prawej skroni. Jeśli wojownikowi uda się zatrzymać obroty ściany, może stanąć do niej twarzą, co pozwala mu przez nią przejść za każdym razem, gdy tego zapragnie.

Po wysłuchaniu moich wspomnień kobiety były pewne, że drugim mężczyzną był Silvio Manuel. Josefina, jako ekspert w sprawach dotyczących ściany mgły, dodała, że przewaga Eligia nad nami wszystkimi polega na tym, iż potrafi on unieruchomić ścianę i może przez nią przechodzić, kiedy tylko zechce. Powiedziała, że łatwiej jest przemknąć przez ścianę mgły w śnieniu, bo wtedy trwa ona nieruchomo.

Wydawało się, że la Gordę także ogarnęły jakieś bolesne wspomnienia. Jej ciało przebiegła fala skurczów, a w końcu wybuchnęła potokiem słów. Powiedziała, że już dłużej nie potrafi negować przekonania, iż byłem pomocnikiem Silvia Manuela. Sam Nagual ostrzegał ją, że jeśli nie będzie ostrożna, zniewolę ją. Nawet Soledad mówiła jej, by na mnie uważała, bo mój duch bierze innych w niewolę i używa ich jako sług, a do czegoś takiego byłby zdolny tylko Silvio Manuel. On uwięził mnie, a ja z kolei zniewolę każdego, kto się do mnie za bardzo zbliży. La Gorda zapewniła, że żyła pod moim urokiem aż do chwili, gdy usiadła w domu Silvia Manuela. Tam dopiero poczuła, jak z jej ramion spada wielkie brzemię.

Wstałem, zataczając się pod ciężarem jej słów. W żołądku miałem dziwną pustkę. Dotychczas byłem przekonany, że mogę liczyć na poparcie la Gordy w każdych okolicznościach, toteż poczułem się zdradzony. Miałem ochotę wyrazić te uczucia na głos, ale uratował mnie przypływ trzeźwości umysłu. Powiedziałem, że jako wojownik doszedłem do obiektywnego przekonania, iż don Juan zmienił moje życie na lepsze. Wiele razy zastanawiałem się nad tym, co ze mną uczynił, i wniosek zawsze był ten sam. Dał mi wolność. Wolność jest wszystkim, co znam, jedynym, czym mogę obdarzyć każdego, kto do mnie przyjdzie.

Nestor gestem wyraził solidarność ze mną i zaapelował do kobiet, by porzuciły wrogie nastawienie. W jego wzroku czytałem, że nie rozumie tego wszystkiego, choć chciałby. Powiedział, że rzeczywiście nie należę do ich grupy; jestem samotnikiem. Byłem im potrzebny przez jakiś czas, by mogli przełamać bariery uczuć i rutyny. Teraz, gdy są już wolni, nic ich nie ogranicza. Pozostanie ze mną z pewnością sprawiłoby im przyjemność, ale byłoby zgubne w skutkach.

Wydawał się głęboko poruszony. Stanął obok mnie i kładąc mi rękę na ramieniu, powiedział, że czuje, iż nie zobaczymy się już nigdy więcej na tym świecie. Wyraził żal, że rozstajemy się w tak małostkowy sposób, ujadając, narzekając i oskarżając się wzajemnie. Poprosił mnie, bym ich opuścił, gdyż nie możemy już być razem. Zaznaczył jednak, że nie mówi w imieniu własnym, lecz innych. Śmiał się z la Gordy, gdy opowiedziała im o wężu tworzonym przez naszą grupę, zmienił jednak zdanie i ten pomysł nie wydaje mu się już niedorzeczny. Była to nasza ostatnia okazja, by odnieść wspólny sukces.

Don Juan nauczył mnie przyjmować własny los z pokorą.

– Przeznaczenia wojownika nie da się zmienić – powiedział kiedyś. – Ważne jest to, jak daleko uda mu się zajść i na ile nieskazitelny potrafi pozostać w obrębie tych sztywnych granic. Jeśli na ścieżce wojownika pojawiają się przeszkody, stara się je przezwyciężyć, postępując nieskazitelnie. Jeśli napotka na swojej ścieżce nieznośne trudności i cierpienia, łka, ale żadna ilość łez nie może nawet o włos zmienić jego przeznaczenia.

Moje pierwotne postanowienie, by podążyć drogą wskazaną przez moc tego miejsca, okazało się słuszne. Wstałem. Wszyscy odwrócili głowy. La Gorda podeszła do mnie i jak gdyby nigdy nic powiedziała, że muszę wyjechać, ona zaś spotka się ze mną później. Miałem ochotę odrzec, że nie widzę żadnego powodu, by miała do mnie dołączać, skoro sama wybrała pozostanie z resztą grupy. Chyba wyczuła, że czuję się zdradzony. Spokojnie zapewniła mnie, że musimy wypełnić nasz los razem jak wojownicy, a nie jak małostkowi ludzie, którymi jesteśmy.

6. UTRATA LUDZKIEGO KSZTAŁTU

Przez kilka następnych miesięcy La Gorda pomagała pozostałym osiedlić się w różnych częściach Meksyku, a potem sama przeprowadziła się na stałe do Arizony. Wówczas przystąpiliśmy do rozwikłania najdziwniejszej i najbardziej frapującej części naszego terminowania. Na początku stosunki między nami były dość napięte. Bardzo trudno było mi przezwyciężyć uczucia, jakie pozostały we mnie po rozstaniu w parku Alameda. Chociaż la Gorda wiedziała, co się dzieje z innymi członkami grupy, nigdy o tym nie wspominała. Uważała, że znajomość ich poczynań jest mi zupełnie niepotrzebna.

Na pozór nasze kontakty układały się jak najlepiej. Czułem jednak do niej gorzką niechęć za to, że stanęła przeciwko mnie, biorąc stronę innych. Nigdy nie wyraziłem tych uczuć, ale one we mnie były. Pomagałem la Gordzie i oddawałem jej rozmaite przysługi, jakby nic się nie zdarzyło, ale robiłem to tylko po to, by zachować nieskazitelność własnych poczynań. Był to mój obowiązek – chętnie poświęciłbym życie, by go wypełnić. Zająłem się wprowadzeniem jej we wszelkie niuanse życia we współczesnym mieście. Zaczęła nawet uczyć się angielskiego i czyniła w tym fenomenalne postępy.

Nie wiadomo kiedy minęły trzy miesiące. Pewnego dnia, gdy byłem akurat w Los Angeles, obudziłem się wcześnie rano, czując nieznośny ucisk w głowie. Nie był to zwykły ból głowy – czułem się raczej tak, jakbym miał coś bardzo ciężkiego w uszach. Czułem ten ciężar także na powiekach i na podniebieniu. Miałem podwyższoną temperaturę, ale gorączka ograniczała się tylko do głowy.

Niepewnie spróbowałem usiąść. Przeszło mi przez Myśl, że może to być udar mózgu. W pierwszej chwili chciałem wołać o pomoc, ale udało mi się jakoś uspokoić. Próbowałem pozbyć się lęku. Po chwili ucisk w głowie zmniejszył się, ale jednocześnie przesunął w stronę gardła. Z trudem łapałem oddech. Przez jakiś czas kaszlałem i krztusiłem się. Potem ucisk powoli przesunął się na klatkę piersiową, żołądek, podbrzusze, nogi, stopy i wreszcie zniknął.

Cokolwiek to było, trwało około dwóch godzin i całkowicie mnie wyczerpało. Przez cały ten czas miałem wrażenie, że coś w moim ciele przesuwa się w dół i wychodzi na zewnątrz. W wyobraźni widziałem, jak to coś zwija się niczym dywan. Inny obraz, jaki mi się nasunął, przedstawiał kroplę jakiejś cieczy poruszającą się wewnątrz mojego ciała. Odrzuciłem go jednak na korzyść pierwszego: wrażenie zwijania w rulon było wyraźniejsze. Podobnie jak zwijany dywan, w miarę przesuwania się w dół to coś stawało się coraz cięższe i bardziej bolesne. Szczególnie w dwóch miejscach ból był nie do wytrzymania: w kolanach i stopach, szczególnie prawej, która pozostała gorąca jeszcze przez trzydzieści pięć minut po tym, jak ucisk i inne nieprzyjemne wrażenia zniknęły.

Gdy opowiedziałem o tym la Gordzie, stwierdziła, że tym razem na pewno utraciłem ludzką postać i pozbyłem się swoich tarcz ochronnych, przynajmniej większości z nich. Miała rację. Nie wiedząc, jak to się stało, ani nawet nie uświadamiając sobie, co się właściwie zdarzyło, wszedłem w zupełnie nowy dla mnie stan. Czułem się niezaangażowany i obiektywny. Wcześniejsze postępowanie la Gordy nie było już ważne. Nie chodziło po prostu o to, że wybaczyłem jej naganne zachowanie wobec mnie; miałem wrażenie, że nigdy nie było w nim ani cienia zdrady. Nie pozostała we mnie żadna uraza, jawna czy ukryta, do la Gordy ani do nikogo innego. To, co czułem, nie było narzuconą sobie siłą woli obojętnością ani niechęcią do działania, nie była to też alienacja ani pragnienie samotności. Było to raczej dziwne uczucie dystansu, umiejętność absolutnej koncentracji na chwili obecnej, która nie pozostawiała we mnie miejsca na żadne inne myśli. Uczynki innych ludzi nie mogły mnie dotknąć, bo nie miałem żadnych oczekiwań. Dominującą siłą w moim życiu stał się dziwny spokój ducha. Czułem, że przyswoiłem sobie jedno z pojęć wyznaczających kurs życia wojownika – dystans. La Gorda stwierdziła, że nie tylko przyswoiłem je sobie, ale wręcz stałem się jego ucieleśnieniem.

Swego czasu don Juan i ja wiele rozmawialiśmy o tym, że pewnego dnia może mi się przydarzyć coś takiego. Don Juan mówił, że uzyskanie dystansu nie oznacza automatycznie osiągnięcia mądrości, chociaż jest korzystne, gdyż pozwala wojownikowi zatrzymać się na chwilę, by oszacować sytuację i zastanowić się nad swoją pozycją. Wojownik musi jednak przez całe życie toczyć nieugiętą walkę o to, by konsekwentnie i skutecznie wykorzystywać ten dodatkowy moment.

Wpadałem w rozpacz na myśl, że nigdy nie doświadczę tego stanu. O ile wiedziałem, nie dało się tu improwizować. Nie było sensu rozważać możliwości jego nadejścia ani rozmyślać o dobroczynnych skutkach. W ciągu kolejnych lat znajomości z don Juanem więzy łączące mnie ze światem stopniowo słabły, odbywało się to jednak na płaszczyźnie intelektualnej. W życiu codziennym pozostawałem nie zmieniony aż do czasu, gdy straciłem ludzką postać.

Wspólnie z la Gordą doszliśmy do wniosku, że pojęcie “utraty ludzkiego kształtu" jest określeniem stanu fizycznego, który uczeń osiąga po przekroczeniu pewnego Progu nauki. Być może mieliśmy rację, dziwne jednak było to, że utrata ludzkiego kształtu nie tylko przyniosła mnie i la Gordzie z dawna wyczekiwane i upragnione poczucie dystansu, ale umożliwiła nam także wypełnienie nieuchwytnego zadania, które polegało na odzyskaniu pamięci. Również tu rola intelektu była jedynie minimalna.

Jednego wieczoru rozmawialiśmy o pewnym filmie. La Gorda wybrała się na film pornograficzny i chciałem usłyszeć jej opinię. Film jej się nie spodobał. Stwierdziła, że to doświadczenie ją osłabiło, gdyż wojownik powinien prowadzić ascetyczne życie w całkowitym celibacie, tak jak to robił Nagual Juan Matus.

Ja jednak byłem pewien, iż don Juan lubił kobiety i nie żył w celibacie. Bardzo mi się to w nim podobało. Powiedziałem o tym la Gordzie.

– Chyba zwariowałeś! – wykrzyknęła z rozbawieniem w głosie. – Nagual był doskonałym wojownikiem. Nie krępowały go żadne więzy zmysłowości.

Ciekawa była, skąd się wzięło moje przekonanie, że don Juan nie żył w celibacie, opowiedziałem jej więc o pewnym wydarzeniu, które miało miejsce w Arizonie w początkach mojego terminowania. Pewnego dnia odpoczywałem w domu don Juana po wyczerpującej wspinaczce. Don Juan wydawał się dziwnie zdenerwowany – wciąż podchodził do drzwi i wyglądał na zewnątrz. Miałem wrażenie, że na kogoś czeka. Naraz powiedział, że widzi na zakręcie samochód zmierzający w stronę domu. Wyjaśnił, że jedzie tu dziewczyna, jego przyjaciółka, która obiecała mu przywieźć koce. Nigdy jeszcze

nie widziałem go zażenowanego i poczułem wielki smutek, widząc, iż jest tak zdenerwowany, że nie wie, co zrobić. Sądziłem, że nie chce, żebym się spotkał z tą dziewczyną. Przyszło mi do głowy, żeby się gdzieś schować, w pokoju nie było jednak odpowiedniego miejsca. Don Juan kazał mi się położyć na podłodze i przykrył mnie trzcinową matą. Usłyszałem odgłos wyłączanego silnika, a potem przez szpary w macie dostrzegłem stojącą w progu dziewczynę. Była wysoka, szczupła i bardzo piękna. Don

Juan mówił coś do niej cichym, poufałym tonem. Potem odwrócił się i wskazał na mnie.

– Carlos chowa się pod matą – powiedział do dziewczyny głośno i wyraźnie. – Przywitaj się z nim.

Dziewczyna z przyjaznym uśmiechem pomachała mi ręką. Poczułem się głupio. Byłem zły na don Juana za to, że postawił mnie w tak kłopotliwej sytuacji. Uznałem, że próbuje w ten sposób rozładować swoje zdenerwowanie, albo, co byłoby jeszcze gorsze, że się przede mną popisuje.

Gdy dziewczyna odjechała, gniewnie poprosiłem o wyjaśnienia. Don Juan odrzekł słodko, że poniosło go, bo było widać moje stopy, i nie wiedział, co zrobić. Gdy to usłyszałem, cały jego manewr wydał mi się jasny: chciał się przede mną pochwalić młodą przyjaciółką. Miałem zgięte nogi, więc nie mogły wystawać spod maty. Roześmiałem się pobłażliwie, a don Juan poczuł się w obowiązku wyjaśnić, że lubi kobiety, a szczególnie tę dziewczynę.

Dobrze pamiętałem to wydarzenie. Don Juan nigdy do niego nie wracał. Gdy o nim wspominałem, zawsze mnie uciszał. Ta młoda kobieta ciekawiła mnie ogromnie, niemal obsesyjnie. Miałem nadzieję, że może kiedyś przeczyta moje książki i mnie odnajdzie.

La Gordę ogarnęło podniecenie. Przez cały czas, gdy mówiłem, nerwowo chodziła po pokoju. Zbierało jej się na płacz. Wyobrażałem sobie najrozmaitsze, skomplikowane sieci powiązań, które mogły tu wchodzić w grę. Uznałem, że la Gorda jest zaborcza i reaguje typowo – jak kobieta, która czuje się zagrożona przez inną kobietę.

– Czy jesteś zazdrosna, Gorda? – zapytałem.

– Nie bądź głupi – odrzekła gniewnie. – Jestem wojownikiem bez kształtu. Nie ma już we mnie zawiści ani zazdrości.

Wspomniałem, że Genarowie mówili mi kiedyś, iż la Gorda była kobietą Naguala.

– Chyba tak było – odrzekła ledwie słyszalnym głosem i usiadła na łóżku, patrząc na mnie nieprzytomnie. – Mam wrażenie, że byłam jego kobietą. Ale nie wiem, na czym to polegało. W tym życiu Nagual Juan Matus był dla mnie tym samym, co dla ciebie. Nie patrzyłam na niego jak na mężczyznę. Był Nagualem. Nie interesował go seks.

Zapewniłem ją, że na własne uszy słyszałem, jak don Juan mówi, iż podoba mu się ta kobieta.

– Czy powiedział, że łączy ich seks? – zapytała la Gorda.

– Nie, ale to jasno wynikało ze sposobu, w jaki o niej mówił.

– Chciałbyś, żeby Nagual był taki jak ty, prawda? – prychnęła. – Ale on był wojownikiem bez skazy.

Uważałem, że się nie mylę, i nie widziałem potrzeby, by rewidować swoją opinię. Chciałem jednak jakoś rozpogodzić la Gordę i wyłącznie dlatego powiedziałem, że skoro ta młoda kobieta nie była kochanką don Juana, to może była po prostu jego uczennicą.

Zapadła cisza. To, co powiedziałem, zburzyło mój spokój. Aż do tej chwili nigdy nie brałem pod uwagę takiej możliwości. Ograniczyłem się do powziętego z góry przekonania, nie zostawiając miejsca na żadne wątpliwości.

La Gorda zapytała mnie o wygląd tamtej dziewczyny. Nie potrafiłem jej opisać. Prawdę mówiąc, nawet nie spojrzałem na jej twarz. Byłem zbyt zirytowany i zażenowany, by się jej przyjrzeć. Wydawało się, że ona także wyczuła niezręczność sytuacji i pośpiesznie opuściła dom.

La Gorda powiedziała, że bez żadnego logicznego powodu wydaje jej się, iż ta młoda kobieta była kluczową postacią w życiu don Juana. Przez kilka następnych godzin usiłowaliśmy poskładać w całość wszystko, co wiedzieliśmy o jego znajomych. Opowiedziałem jej o różnych ceremoniach pejotlowych, na które zabierał mnie don Juan, i opisałem wszystkich, których wówczas spotkałem. La Gorda jednak nie przypominała sobie żadnej z tych osób. Uświadomiłem sobie, że chyba znam więcej ludzi związanych z don Juanem niż ona. Moje opowiadanie jednak przywiodło jej coś na myśl. Przypomniała sobie, że jakaś młoda kobieta przywiozła kiedyś do jej domu Naguala i Genara małym, białym samochodem. Zostawiła obydwu przy drzwiach i zanim odjechała, przyjrzała się gospodyni. La Gorda uznała wtedy, że była to po prostu przypadkowa osoba, która podwiozła Naguala i Genara. Na to z kolei ja sobie przypomniałem, że gdy wygrzebałem się spod mat w domu don Juana, zdążyłem

jeszcze zauważyć odjeżdżającego białego volkswagena. Wspomniałem jeszcze o pewnym epizodzie związanym z jednym z przyjaciół don Juana. Spotkałem tego człowieka na targu w pewnym mieście w północnym Meksyku. Podarował mi kilka roślin pejotlu. To wspomnienie także prześladowało mnie całymi latami. Ten człowiek nazywał się Vicente. Gdy la Gorda usłyszała to imię, zadrżała, jakbym dotknął obnażonego nerwu w jej ciele. Ostrym, przenikliwym głosem poprosiła, bym powtórzył to imię i opisał owego mężczyznę, ale ja znów nie potrafiłem tego zrobić. Widziałem go tylko raz, przez kilka minut, przed ponad dziesięciu laty.

Przez jakiś czas obydwoje byliśmy bliscy wybuchu. Nie był to gniew skierowany na siebie nawzajem, lecz na to coś, co nie pozwalało nam się wyzwolić.

Wydarzenie, które ostatecznie pozwoliło nam w pełni odzyskać pamięć, miało miejsce pewnego dnia, gdy byłem przeziębiony i miałem wysoką gorączkę. Leżałem w łóżku, na przemian zapadając w drzemkę i budząc się z głową pełną chaotycznych myśli. Przez cały dzień dźwięczała mi w głowie melodia starej meksykańskiej piosenki. W pewnej chwili przyśniło mi się, że ktoś gra ją na gitarze. Poskarżyłem się, że melodia jest monotonna, a wówczas ta osoba zamierzyła się na mnie gitarą, celując w brzuch. Odskoczyłem, by uniknąć ciosu, trafiłem głową w ścianę i obudziłem się. Sen nie był szczególnie wyraźny, ale nie mogłem się uwolnić od tej melodii. Prześladował mnie nieustannie przewijający się w moich myślach dźwięk gitary. Wsłuchiwałem się weń, na wpół drzemiąc. Miałem wrażenie, że wchodzę w śnie-nie – przed moimi oczami pojawiła się wyraźna scena. Obok mnie siedziała młoda kobieta. Widziałem jej twarz z najdokładniejszymi szczegółami. Nie wiedziałem, kim jest, ale na jej widok przeżyłem wstrząs i natychmiast się obudziłem. Niepokój wywołany tą wizją był tak silny, że wstałem i bezmyślnie zacząłem chodzić po pokoju. Byłem spocony, ale bardzo się bałem wyjść z sypialni. Nie mogłem nawet zadzwonić do la Gordy po pomoc, bo wybrała się na kilka dni do Meksyku, by odwiedzić Josefinę. Obwiązałem się w pasie prześcieradłem, ściskając je mocno. Pomogło to stłumić przebiegające przez moje ciało fale nerwowej energii.

Gdy tak chodziłem w jedną i w drugą stronę, obraz w moim umyśle zaczął się rozpływać, ale nie przeszedł w spokojne zapomnienie, jak bym sobie życzył, lecz rozwinął się w pełne, wyraziste wspomnienie. Przypomniałem sobie, jak kiedyś siedziałem na workach pszenicy czy też jęczmienia ułożonych jeden na drugim w skrzyni na zboże, a ta właśnie młoda kobieta grała na gitarze i śpiewała meksykańską piosenkę, którą wciąż słyszałem w myślach. Gdy zażartowałem z jej gry, szturchnęła mnie w żebra gryfem gitary. Razem ze mną była tam la Gorda i dwóch mężczyzn. Znałem tych mężczyzn bardzo dobrze, ale wciąż nie mogłem sobie przypomnieć, kim była owa kobieta. Wszelkie wysiłki wydawały się beznadziejne.

Znów się położyłem, zlany zimnym potem. Chciałem przez chwilę odpocząć, a potem zmienić przemoczoną piżamę. Gdy oparłem głowę wysoko na poduszce, wspomnienie stało się jeszcze wyraźniejsze i po chwili już wiedziałem, kim była gitarzystka. Była kobietą Nagualem, dla mnie i la Gordy najważniejszą istotą na świecie. Była kobiecym odpowiednikiem mężczyzny Naguala – nie jego żoną czy kobietą, lecz partnerką. Emanował z niej spokój i autorytet urodzonego przywódcy. Ponieważ była kobietą, opiekowała się nami.

Nie odważyłem się rozgrzebywać tych wspomnień zbyt głęboko. Intuicyjnie wyczuwałem, że brakuje mi siły, by znieść wszystko, co mogło się w nich kryć. Zatrzymałem się na poziomie abstrakcji. Wiedziałem, że ta kobieta była uosobieniem najczystszych, najbardziej obiektywnych i najgłębszych uczuć, jakie mogą istnieć na świecie. Najwłaściwiej byłoby powiedzieć, że la Gorda i ja kochaliśmy kobietę Naguala bardziej niż samo życie. Cóż więc stało się z nami, że o niej zapomnieliśmy?

Tej nocy, gdy leżałem na łóżku, ogarnęło mnie takie podniecenie, że obawiałem się o własne życie. Zacząłem nucić jakieś słowa, które prowadziły mnie i dodawały mi siły. Dopiero później, gdy udało mi się uspokoić, przypomniałem sobie, że te wielokrotnie powtarzane słowa także wróciły do mnie tej nocy: było to zaklęcie, pieśń, która miała mnie przeprowadzić przez zamęt, taki jak ten, przez który właśnie przechodziłem.

Oddałem się mocy, która kieruje moim losem.
Nie mam nic, więc niczego nie muszę bronić.
Nie ma we mnie myśli i dlatego widzę.
Nie boję się niczego, więc pamiętam siebie.

Była tam jeszcze jedna linijka, której wówczas nie potrafiłem zrozumieć.

Samotny i swobodny,
przemknę się za plecami Orla i stanę się wolny.

Choroba i gorączka stały się dla mnie pewnego rodzaju tarczą ochronną – chyba złagodziły trochę siłę tego, czego dokonałem, czy raczej co do mnie przyszło, bo przecież nie zrobiłem niczego świadomie ani celowo.

Gdybym przeanalizował zasób moich życiowych doświadczeń, aż do tej nocy potrafiłbym odnaleźć w nich ciągłość. Mgliste wspomnienia związane z la Gordą, czy wrażenie, że mieszkałem kiedyś w domu położonym w górach centralnego Meksyku, w pewien sposób stanowiły realne zagrożenie dla tej ciągłości, ale były niczym w porównaniu ze wspomnieniem o kobiecie Nagualu. Nie chodziło przy tym o same emocje, które wspomnienie owo obudziło, ale o to, że zupełnie o niej zapomniałem, i to nie w ten sposób, w jaki zapomina się nazwisko czy melodię. Aż do tej chwili objawienia w mojej świadomości nie było po niej ani śladu. Zupełnie nic! Potem coś do mnie wróciło, czy też odpadło ze mnie, i nagle przypomniałem sobie ogromnie ważną osobę, o której istnieniu aż do tej chwili moje doświadczające ‚ja" nie miało pojęcia.

Musiałem poczekać jeszcze dwa dni, do powrotu la Gordy, by jej o tym opowiedzieć. Kiedy opisałem jej kobietę Naguala, la Gorda także ją sobie przypomniała – jej świadomość była w jakiś sposób uzależniona od mojej.

– Dziewczyna, którą widziałam w białym samochodzie, to była właśnie kobieta Nagual! – wykrzyknęła. – Wróciła do mnie, ale nie pamiętałam, kim jest.

Usłyszałem te słowa i zrozumiałem ich znaczenie, lecz upłynęło sporo czasu, zanim udało mi się na nich skupić. Miałem wrażenie, że moja uwaga faluje, jakbym patrzył prosto w światło, które chwilami przygasa. Wydawało mi się, że jeśli nie przezwyciężę tego falowania, to za chwilę umrę. Naraz poczułem skurcz i uświadomiłem sobie, że w tej chwili udało mi się połączyć dwie części mnie samego, które wcześniej były rozdzielone – zrozumiałem, że młoda kobieta, którą widziałem w domu don Juana, była kobietą Nagualem.

La Gorda w żaden sposób nie pomogła mi przejść przez tę chwilę emocjonalnego zamętu. Udzielił mi się jej nastrój. Łkała niepohamowanie. Emocjonalny wstrząs, jakim stało się wspomnienie kobiety Naguala, był dla niej zbyt bolesny.

– Jak mogłam o niej zapomnieć? – wzdychała. Gdy na mnie spojrzała, zauważyłem w jej wzroku podejrzliwy błysk.

– Nie miałeś pojęcia o jej istnieniu, prawda? – zapytała.

W każdych innych okolicznościach uznałbym to pytanie za impertynencję i obrazę. Rzecz w tym, że ja miałem w związku z nią podobne wątpliwości. Przychodziło mi do głowy, że la Gorda być może wie więcej, niż ujawnia.

– Nie – odrzekłem. – A ty, Gorda? Wiedziałaś o jej istnieniu?

Wyraz niewinności i zaskoczenia, który pojawił się na jej twarzy, rozproszył wszelkie moje wątpliwości.

– Nie – zapewniła. – Aż do dzisiaj nic o niej nie wiedziałam. Ale teraz jestem pewna, że siadywałam z nią i z Nagualem Juanem Matusem na tamtej ławce na placu w Oaxaca. Zawsze to pamiętałam i pamiętałam rysy jej twarzy, ale myślałam, że tylko mi się to przyśniło. Wiedziałam wszystko, a jednak nic nie wiedziałam. Ale dlaczego uznałam to za sen?

Ogarnął mnie przypływ paniki, ale zaraz zastąpiło ją niesłychanie wyraźne fizyczne wrażenie, że słowa la Gordy otwierają jakiś kanał w moim ciele. Nagle poczułem pewność, że ja też siedziałem na tej ławce z don Juanem i kobietą Nagualem. Powróciły do mnie uczucia, jakich wówczas doświadczałem: fizyczne zadowolenie, szczęście, niewyobrażalna pełnia. Uważałem don Juana i kobietę Naguala za istoty doskonałe, a siebie za wielkiego szczęściarza, gdyż mogłem przebywać w ich towarzystwie. Siedząc na tej ławce i mając po obu stronach dwie najdoskonalsze istoty żyjące na ziemi, doświadczałem kwintesencji najwznioślejszych ludzkich uczuć. Któregoś razu powiedziałem don Juanowi z pełnym przekonaniem, że chciałbym umrzeć w tej chwili, by zachować te uczucia czyste, nietknięte, niczym nie zakłócone.

Opowiedziałem swoje wspomnienia la Gordzie. Powiedziała, że mnie rozumie. Przez chwilę milczeliśmy. Siła wspomnień niebezpiecznie niosła nas w stronę smutku i rozpaczy. Musiałem z całej mocy kontrolować emocje, by nie wybuchnąć płaczem. La Gorda szlochała, zakrywając twarz ramieniem.

W końcu obydwoje trochę się uspokoiliśmy. La Gorda wpatrywała się we mnie. Wiedziałem, o czym myśli. Potrafiłem w jej wzroku wyczytać te same pytania, które obsesyjnie prześladowały mnie

od wielu dni. Kim była kobieta Nagual? Gdzie ją poznaliśmy? Do którego fragmentu pasowała? Czy inni także ją znali?

Już chciałem wyartykułować te pytania na głos, ale la Gorda była szybsza.

– Naprawdę nie wiem – powiedziała, wyprzedzając mnie. – Liczyłam na to, że ty mi powiesz. Nie mam pojęcia, dlaczego, ale mam wrażenie, że potrafisz mi powiedzieć, co jest co.

Liczyła na mnie, a ja liczyłem na nią. Roześmialiśmy się z ironii sytuacji. Poprosiłem, by opowiedziała mi wszystko, co tylko jest w stanie przypomnieć sobie o kobiecie Nagualu. Dwa czy trzy razy uczyniła wysiłek, by się odezwać, ale wydawało się, że nie potrafi zebrać myśli.

– Naprawdę nie wiem, od czego zacząć – rzekła w końcu. – Wiem tylko, że ją kochałam.

Powiedziałem, że ja też mam takie wrażenie. Za każdym razem, gdy myślałem o tej kobiecie, chwytał mnie nieziemski smutek. Gdy to mówiłem, zacząłem się trząść.

– Obydwoje ją kochaliśmy – rzekła la Gorda. – Nie wiem, dlaczego tak mówię, ale wiem, że do niej należeliśmy.

Poprosiłem, by to wyjaśniła, ona jednak nie miała pojęcia, skąd jej to przyszło do głowy. Mówiła nerwowo, rozwodząc się nad swymi uczuciami. Nie potrafiłem skupić się na jej słowach. Poczułem dziwne drganie w splocie słonecznym i w umyśle zaczął mi się formować niejasny obraz kobiety Naguala. Poprosiłem la Gordę, by mówiła dalej, nie przerywając, nawet gdyby miała się powtarzać. Dźwięk jej głosu wprowadzał mnie w inny wymiar, w inną czasoprzestrzeń. Podskoczyło mi ciśnienie. Czułem wszędzie drobne ukłucia, a potem pojawiło się fizyczne wspomnienie. Moje ciało przypomniało sobie, że kobieta Nagual była dopełnieniem Naguala. Przynosiła mu spokój, pełnię, wrażenie ochrony i wyzwolenia.

Powiedziałem, że moim zdaniem kobieta Nagual była partnerką don Juana. La Gorda spojrzała na mnie ze zdumieniem i powoli potrząsnęła głową.

– Ona nie miała nic wspólnego z Nagualem Juanem Matusem, ty idioto – stwierdziła autorytatywnie. – Ona była dla ciebie. Dlatego właśnie ty i ja do niej należeliśmy.

Patrzyliśmy sobie w oczy. Byłem pewien, że la Gorda nieświadomie wypowiada coś, czego racjonalnie nie rozumie.

– Co to znaczy, że była dla mnie? – zapytałem po długiej chwili.

– Była twoją partnerką – odrzekła. – Razem stanowiliście drużynę. A ja byłam jej podopieczną. Zostawiła mnie z tobą, żebyś pewnego dnia znów mnie do niej przyprowadził.

Prosiłem la Gordę, by powiedziała mi wszystko, co pamięta, ale wyglądało na to, że nie wie już nic więcej. Poczułem wyczerpanie.

– Dokąd ona odeszła? – zapytała nagle la Gorda. – Tego właśnie nie potrafię się domyślić. Była z tobą, nie z Nagualem. Powinna zostać tutaj, z nami.

Znów ogarnęła ją fala niedowierzania i lęku. Oskarżyła mnie, że ukrywam kobietę Naguala w Los Angeles. Próbowałem rozwiać jej podejrzenia. Ze zdumieniem słuchałem własnego głosu – mówiłem do la Gordy jak do dziecka. Na pozór słuchała mnie uważnie, ale oczy miała puste, a spojrzenie nieobecne. Przyszło mi do głowy, że może ona używa mojego głosu tak, jak ja jej, jako przewodnika. Wiedziałem, że ona także jest tego świadoma. Mówiłem, dopóki nie wyczerpałem tematu. Wówczas zdarzyło się jeszcze coś: zauważyłem, że ja sam też wsłuchuję się we własny głos. Mówiłem do la Gordy bez żadnego udziału woli. Słowa, dotychczas we mnie uwięzione, teraz uwolniły się i przyniosły ze sobą nieopisane absurdy. Gadałem i gadałem, aż w końcu coś kazało mi zamilknąć. Przypomniałem sobie, jak kiedyś, gdy siedzieliśmy razem na tej ławce w Oaxaca, don Juan opowiadał kobiecie Nagualowi i mnie o pewnej osobie, której obecność stanowiła dla niego syntezę wszystkiego, do czego dążył i czego oczekiwał w kontaktach z ludźmi. Ta kobieta była dla niego tym, czym kobieta Nagual dla mnie: partnerką, odpowiedniczką. Opuściła go, podobnie jak kobieta Nagual opuściła mnie. Jego uczucia do niej nie zmieniły się ani na jotę – melancholia, którą wywoływały w nim niektóre wiersze, rozbudzała je na nowo.

Przypomniałem sobie także, że to właśnie kobieta Nagual dawała mi zbiory poezji. Woziła ich całe sterty w bagażniku samochodu. To był jej pomysł, żeby czytać wiersze don Juanowi. Fizyczne wspomnienie kobiety Naguala siedzącej obok mnie na ławce stało się naraz tak wyraźne, że nieświadomie wziąłem głęboki oddech, wypinając pierś. Ogarnęło mnie przytłaczające poczucie straty, silniejsze niż wszelkie emocje, jakie dotychczas znałem. Poczułem rozdzierający ból w prawej łopatce.

Zgiąłem się wpół. Było coś jeszcze, co wiedziałem, jakieś wspomnienie, od którego częściowo nie mogłem się uwolnić.

Usiłowałem się trzymać resztek ochronnej tarczy intelektu. Był to jedyny sposób na odzyskanie równowagi. Powtarzałem sobie w kółko, że la Gorda i ja przez cały czas działaliśmy na dwóch zupełnie różnych płaszczyznach. Ona pamiętała o wiele więcej niż ja, ale nie była zbyt dociekliwa. Nie miała wprawy w zadawaniu pytań innym ani sobie samej. Po chwili jednak uderzyła mnie myśl, że wcale nie jestem lepszy – dotychczas nie pozbyłem się bezmyślności, którą kiedyś zarzucał mi don Juan. Zawsze pamiętałem, że czytałem mu wiersze, ale nawet mi przez myśl nie przeszło, by zastanowić się nad tym, że przecież nigdy w życiu nie miałem tomiku hiszpańskiej poezji ani nie woziłem niczego podobnego w samochodzie.

Z rozważań tych wyrwała mnie la Gorda. Bliska histerii krzyknęła, że właśnie przyszło jej do głowy, iż kobieta Nagual musi znajdować się gdzieś bardzo blisko. Nas wszystkich pozostawiono z zadaniem odnalezienia siebie nawzajem, ona zaś z kolei ma odszukać nas. Siła logiki la Gordy niemal mnie przekonała, ale coś we mnie wiedziało, że to nie jest prawda. To było właśnie to wspomnienie w mojej duszy, którego nie ośmieliłem się wyciągnąć na powierzchnię.

Miałem chęć wdać się w dyskusję, ale nie miałoby to żadnego sensu. Moja tarcza intelektu i słów nie wystarczała, by zamortyzować siłę wspomnienia o kobiecie Nagualu. Był to wstrząs, który poruszył mnie nawet bardziej niż lęk przed śmiercią.

– Kobieta Nagual uratowała się z tonącego statku – Powiedziała la Gorda bojaźliwie. – Na pewno siedzi na jakiejś bezludnej wyspie, a my nic nie robimy, żeby jej pomóc.

– Nie! Nie! – zawołałem. – Jej tu już nie ma.

Nie wiedziałem dokładnie, dlaczego to mówię, ale byłem pewien, że to prawda. Przez chwilę tonęliśmy w głębinach melancholii, których nie sposób było przeniknąć racjonalnie. Myśląc o sobie takim, jakiego znałem, po raz pierwszy poczułem prawdziwy, bezgraniczny smutek i przerażającą niekompletność. Otworzyła się we mnie jakaś głęboka rana. Tym razem nie potrafiłem się schronić, jak robiłem to wielokrotnie w przeszłości, za zasłoną tajemnicy i niewiedzy. W przeszłości niewiedza była dla mnie błogosławieństwem. Zacząłem popadać w niebezpieczne przygnębienie, ale na ratunek przyszła mi la Gorda.

– Wojownik to człowiek, który szuka wolności – szepnęła mi do ucha. – Smutek nie jest wolnością. Musimy się z niego wyrwać.

Don Juan powiedział, że poczucie dystansu daje nam tę możliwość, by w każdej chwili się zatrzymać i ocenić sytuację. W całym moim smutku rozumiałem, co to oznacza. Ten dystans był we mnie i ode mnie tylko zależało, czy zdobędę się na to, by właściwie wykorzystać ową chwilę przerwy.

Nie byłem pewien, czy moja wola odegrała tu jakąś rolę, ale niespodziewanie cały smutek zniknął, jakby go nigdy nie było. Mój nastrój zmienił się tak szybko i diametralnie, że poczułem zaniepokojenie.

– Teraz jesteś tam gdzie ja! – wykrzyknęła la Gorda, gdy opowiedziałem jej, co się ze mną dzieje. – Przez wszystkie te lata jeszcze nie nauczyłam się odpowiednio posługiwać własną bezkształtnością. Bezradnie przechodzę od jednego uczucia do drugiego. Bezkształtność pozwoliła mi pomóc siostrzyczkom, ale z tego samego powodu pozostawałam zdana na ich łaskę. Każda z nich miała dość siły, by przerzucić mnie z jednej skrajności w drugą. Problem polegał na tym, że ja utraciłam ludzką postać wcześniej niż ty. Gdybyśmy przeszli przez to razem, potrafilibyśmy pomóc sobie nawzajem, a tak to tylko huśtałam się w górę i w dół w takim tempie, że nie chce mi się nawet tego wspominać.

Musiałem przyznać, że nigdy nie wierzyłem, by naprawdę utraciła ludzki kształt. W moim rozumieniu z utratą ludzkiej postaci nierozłącznie wiązało się osiągnięcie spójności charakteru, która pozostawała poza zasięgiem la Gordy. Patrząc na jej emocjonalne wzloty i upadki, nie można było mieć co do tego wątpliwości. Z tego powodu osądzałem ją surowo i niesprawiedliwie. Teraz, gdy ja także utraciłem ludzką postać, potrafiłem zrozumieć, że ten stan nie zwiększa, lecz zmniejsza trzeźwość umysłu i rozsądek. Nie pociąga on automatycznie za sobą żadnej siły emocjonalnej. Poczucie dystansu oraz umiejętność absolutnego zaangażowania się w cokolwiek, co się robi, rozciąga się na wszelkie zachowania, włącznie z tymi, które są niekonsekwentne i małostkowe. Zaletą stanu bezkształtności jest to, że pozwala on nam zatrzymać się na chwilę – ale po to, by tę chwilę wykorzystać, konieczna jest samodyscyplina i odwaga.

Wcześniejsze zachowanie la Gordy wreszcie stało się dla mnie zrozumiałe. Już przed laty utraciła ludzką postać, ale ponieważ brakowało jej koniecznej dyscypliny, zdana była na łaskę drastycznych zmian nastroju. Stąd brał się niewiarygodny rozdźwięk między celami a metodami jej działania.

Po tym, jak przypomnieliśmy sobie kobietę Naguala, zebraliśmy wszystkie siły i przez wiele dni próbowaliśmy dotrzeć do innych wspomnień. Wydawało się jednak, że nic więcej już tam nie ma. Wróciłem do punktu, w którym się znajdowałem przed tym, zanim zacząłem sobie cokolwiek przypominać. Intuicyjnie wiedziałem, że w głębi mej pamięci kryje się jeszcze wiele spraw, ale nie potrafiłem do nich dotrzeć. Mój umysł był pusty i nie pojawiały się w nim żadne, nawet najbardziej niejasne przeczucia innych wspomnień.

La Gorda i ja przeszliśmy okres wielkiej niepewności i zwątpienia. W naszym wypadku bezkształtność oznaczała, że zżera nas najgorsza nieufność, jaką można sobie wyobrazić. Wydawało nam się, że jesteśmy królikami eksperymentalnymi w rękach don Juana, istoty niby nam znajomej, ale o której w rzeczywistości nie wiemy nic. Nawzajem karmiliśmy się wątpliwościami i lękami. Najpoważniejszą sprawą była oczywiście kobieta Nagual. Gdy skupialiśmy na niej uwagę, nasze wspomnienia stawały się tak wyraźne, iż nie potrafiliśmy pojąć, jak to możliwe, byśmy mogli o niej zapomnieć. To zaś wciąż na nowo kazało nam się zastanawiać, co właściwie uczynił z nami don Juan. Z kolei te rozważania wywoływały w nas pewność, iż zostaliśmy wykorzystani. Do furii doprowadzał nas nieunikniony wniosek, że don Juan manipulował nami, sprawił, że staliśmy się bezradni i przestaliśmy znać samych siebie.

Gdy gniew się wyczerpał, zawisł nad nami strach – musieliśmy bowiem stanąć twarzą w twarz z potwornym przypuszczeniem, że być może don Juan uczynił z nami coś jeszcze gorszego.

7. WSPÓLNE ŚNIENIE

Pewnego dnia, chcąc choćby na krótki czas rozładować nasze przygnębienie, zaproponowałem, byśmy się zajęli śnieniem. Ledwie to powiedziałem, uświadomiłem sobie, że potrafię rozproszyć ponury nastrój, który prześladował mnie od wielu dni, przez samą chęć jego zmiany. W tej chwili stało się dla mnie oczywiste, na czym polega problem mój i la Gordy. Niemądrze skupiliśmy się na lęku i braku zaufania, jakby były to jedyne znane nam uczucia, chociaż przez cały czas, nie uświadamiając sobie tego, mieliśmy alternatywę: mogliśmy się skoncentrować na tajemnicy i cudowności tego, co się nam zdarzyło.

Powiedziałem la Gordzie, do jakich wniosków doszedłem. Zgodziła się ze mną. Od razu bardzo się ożywiła i jej ponury nastrój rozwiał się w ciągu kilku sekund.

– Jakiego rodzaju śnienie proponujesz? – zapytała.

– A ile jest rodzajów? – zdziwiłem się.

– Możemy spróbować wspólnego śnienia – wyjaśniła. – Moje ciało mówi mi, że już to robiliśmy. Wchodziliśmy w śnienie razem. To będzie dla nas pestka, podobnie jak było ze wspólnym widzeniem.

– Ale nie wiemy, jaka jest procedura wspólnego śnienia – odrzekłem.

– Nie wiedzieliśmy, jak trzeba widzieć razem, a jednak widzieliśmy. Jestem pewna, że się nam uda, jeśli tylko spróbujemy, bo w niczym, co robi wojownik, nie ma określonych kroków. Jest tylko własna moc. Akurat teraz ją mamy. Powinniśmy zacząć śnienie w dwóch różnych miejscach, znajdując się tak daleko od siebie, jak to tylko możliwe. To z nas, które wejdzie w śnienie pierwsze, poczeka na drugie. Gdy się już odnajdziemy, pochwycimy się za ramiona i razem wejdziemy głębiej.

Powiedziałem, że nie mam pojęcia, jak mam na nią zaczekać w wypadku, gdybym wszedł w śnienie pierwszy. La Gorda nie potrafiła mi wyjaśnić, jak się to robi, ale powiedziała, że Josefina określiła czekanie na drugiego śniącego jako “porywanie" go. La Gorda dwukrotnie została porwana przez Josefinę.

– Josefina nazwała to porwaniem dlatego, że jedna z nas musiała pochwycić drugą za ramię – wyjaśniła.

Splotła swoje lewe przedramię z moim prawym w ten sposób, że każde z nas trzymało tego drugiego pod łokciem.

– Ale jak możemy zrobić to w śnieniu? – dopytywałem się, bo zawsze uważałem śnienie za jeden z najbardziej intymnych stanów, jakie można sobie wyobrazić.

– Nie wiem jak, ale cię pochwycę – odrzekła la Gorda. – Moje ciało chyba wie, jak to zrobić. Tylko że im więcej o tym mówimy, tym trudniejsze się to wydaje.

Rozpoczęliśmy śnienie, przebywając w dwóch różnych miejscach. Uzgodniliśmy jedynie porę, kiedy się położymy, gdyż nie sposób było przewidzieć, w którym dokładnie momencie wejdziemy w śnienie. Byłem bardzo zaniepokojony myślą, że to ja będę musiał zaczekać na la Gordę, i nie udało mi się wejść w śnienie ze zwykłą łatwością. Po jakichś dziesięciu czy piętnastu minutach niespokojnego wyczekiwania w końcu udało mi się wejść w stan, który można nazwać zrelaksowanym czuwaniem.

Wiele lat wcześniej, jeszcze zanim zdobyłem pewne doświadczenie w śnieniu, pytałem don Juana, czy istnieją jakieś określone etapy, jednakowe dla wszystkich. Don Juan stwierdził, że w gruncie rzeczy każdy przypadek jest inny. Rozmawiając z la Gorda, odkryłem jednak wiele podobieństw w naszych doświadczeniach ze śnieniem i na tej podstawie spróbowałem sporządzić schemat klasyfikacji poszczególnych etapów.

Zrelaksowane czuwanie to stan przygotowawczy, w którym zmysły zapadają w drzemkę, ale człowiek nie traci świadomości. Ja sam zawsze dostrzegałem wówczas zalew czerwonawego światła, podobnego do tego, które widzimy, z mocno zaciśniętymi powiekami zwracając twarz ku słońcu.

Drugi etap śnienia nazwałem czuwaniem dynamicznym. W tym stanie czerwonawe światło rozprasza się jak mgła i człowiek widzi przed sobą statyczną scenę, coś w rodzaju tableau. Jest to trójwymiarowy obraz, zastygły fragment większej całości – krajobraz, ulica, dom, osoba, twarz, cokolwiek.

Trzeci etap nazwałem bierną obserwacją. Śniący nie patrzy już na zastygły obraz, lecz obserwuje, jako widz, rozgrywające się wydarzenie. Pierwszeństwo zmysłów wzroku i słuchu na tym etapie śnienia sprawia, że należy on przede wszystkim do oczu i uszu.

Na czwartym etapie byłem wciągany w akcję. Byłem zmuszony coś przedsięwziąć, podjąć jakieś kroki, maksymalnie wykorzystać czas. Ten etap nazwałem stanem dynamicznej inicjatywy.

Propozycja, że la Gorda na mnie zaczeka, dotyczyła drugiego i trzeciego etapu naszego wspólnego śnienia. Gdy wszedłem w drugi etap, dynamiczne czuwanie, zobaczyłem scenę przedstawiającą don Juana i różne inne osoby, w tym grubą Gordę. Zanim zdążyłem się zastanowić nad tym, co widzę, coś mocno szarpnęło mnie za ramię i uświadomiłem sobie, że “prawdziwa" Gorda znajduje się przy moim boku. Stojąc po mojej lewej stronie, lewą ręką chwyciła mnie za prawe przedramię, a moją dłoń położyła na swoim przedramieniu, tak że nasze ramiona splotły się ze sobą. W następnej chwili przeszedłem do trzeciego etapu śnienia – biernej obserwacji. Słyszałem głos don Juana, który mówił mi, że muszę się opiekować la Gorda i troszczyć się o nią jak najbardziej egoistycznie – to znaczy tak, jak o siebie samego.

Zachwyciła mnie ta gra słów. Poczułem się nieziemsko szczęśliwy, mogąc przebywać w towarzystwie don Juana i innych. Powiedział jeszcze, że mój egoizm można znakomicie wykorzystać i że okiełznanie go wcale nie jest niemożliwe.

Pomiędzy zgromadzonymi tam ludźmi wyczuwałem braterską atmosferę. Śmiali się z tego, co mówił do mnie don Juan, ale nie był to śmiech złośliwy. Don Juan powiedział, że najpewniej można opanować egoizm w zwykłych, codziennych sytuacjach oraz że jestem skuteczny we wszystkim, co robię, bo nikt mi nie daje porządnie popalić, ale nie jest to dla mnie żadne wyzwanie – polecieć jak strzała w pojedynkę. Jeśli jednak będę musiał zaopiekować się la Gordą, moja niezależność i skuteczność rozpadną się na kawałki, i chcąc przetrwać, będę musiał rozszerzyć swoją egoistyczną troskę o siebie także na nią. Tylko pomagając jej, wywodził don Juan z wielkim naciskiem, odnajdę wskazówki, jak mam wypełnić swoje prawdziwe zadanie.

La Gorda zarzuciła mi na szyję tłuste ramiona. Don Juan musiał zamilknąć – śmiał się tak bardzo, że nie mógł wykrztusić ani słowa. Wszyscy pokładali się ze śmiechu.

Byłem zażenowany i zły na Gordę. Próbowałem uwolnić się z uścisku, ale ona mocno splotła ramiona na mojej szyi. Don Juan uspokoił mnie gestem i oznajmił, że niewielkie skrępowanie, które odczuwam, jest niczym w porównaniu z tym, co mnie jeszcze czeka.

Ryk śmiechu był ogłuszający. Czułem się bardzo szczęśliwy, chociaż martwiło mnie to, że będę miał na karku la Gordę, gdyż nie miałem pojęcia, co to może praktycznie oznaczać.

W tej chwili zmienił się mój punkt widzenia, czy też raczej powinienem powiedzieć, że jakaś siła wyrwała mnie z tej sceny i zacząłem rozglądać się dokoła jako widz. Znajdowaliśmy się w domu w północnym Meksyku – mogłem to określić na podstawie otoczenia. W oddali dostrzegałem góry. Pamiętałem, co znajduje się v? bezpośrednim sąsiedztwie budynku. Byliśmy na tyłach, pod dachem

otwartej po bokach werandy. Kilka osób siedziało na twardych krzesłach, ale większość stała lub siedziała na podłodze. Rozpoznałem wszystkich. Razem było tam szesnaście osób. La Gorda stała obok mnie, zwrócona twarzą do don Juana.

Uświadomiłem sobie, że potrafię utrzymywać w umyśle dwa różne wrażenia jednocześnie. Mogłem wejść w wyśnioną scenę i pozwolić, by owładnęły mną dawno zapomniane uczucia, albo też patrzeć na nią z mojego aktualnego punktu widzenia. Gdy wchodziłem w wyśnioną scenę, czułem się bezpieczny i chroniony; patrząc na nią przez filtr obecnych uczuć, czułem zagubienie, brak poczucia bezpieczeństwa, bolesne rozdarcie. Nie podobał mi się ten stan, więc zagłębiłem się całkowicie w scenę ze śnienia.

Ponad śmiechem wszystkich zgromadzonych gruba la Gorda zapytała don Juana, czy zostanę jej mężem. Zapadło milczenie. Wydawało się, że don Juan zastanawia się nad odpowiedzią. Poklepał la Gordę po głowie i rzekł, że on sam może mówić w moim imieniu i że byłbym zachwycony, mogąc się z nią ożenić. Pozostali znów ryknęli szaleńczym śmiechem. Śmiałem się wraz z nimi. Całe moje ciało trzęsło się od szczerego rozbawienia, ale nie śmiałem się z la Gordy. Nie traktowałem jej jak klowna czy głupka. Była po prostu dzieckiem. Don Juan powiedział do mnie, że powinienem szanować la Gordę bez względu na to, jak ona będzie się zachowywać Wobec mnie, i że przez kontakty z nią mam wyćwiczyć ciało tak, bym potrafił czuć się swobodnie nawet w obliczu najtrudniejszych sytuacji. Zwracając się do całej grupy, dodał, że o wiele łatwiej jest dobrze sobie radzić w warunkach maksymalnego stresu niż zachować nie-skazitelność w zwyczajnych okolicznościach, takich jak na przykład kontakty z kimś w rodzaju la Gordy. Dodał, że w żadnym wypadku nie wolno mi się na nią złościć, gdyż w gruncie rzeczy jest ona moim dobroczyńcą – tylko przez relację z nią uda mi się zwalczyć egoizm.

Ta scena pochłonęła mnie do tego stopnia, że zapomniałem, iż jestem śniącym. Przypomniał mi o tym nieoczekiwany ucisk na ramieniu. Poczułem, że la Gorda znajduje się obok mnie, chociaż jej nie widziałem. Istniała tylko jako dotyk na moim ramieniu. Skupiłem na nim uwagę. Najpierw poczułem mocny uścisk, a potem zmaterializowała się cała la Gorda, jakby składała się z nałożonych na siebie klatek filmu fotograficznego. Przypominało to trickowe ujęcie w kinie. Scena, którą obserwowałem, rozproszyła się. La Gorda i ja patrzyliśmy na siebie, wciąż ze splecionymi ramionami.

W tej samej chwili obydwoje znów skoncentrowaliśmy się na scenie ze śnienia. Wiedziałem bez cienia wątpliwości, że obydwoje widzimy to samo. Don Juan mówił coś do la Gordy, ale nie słyszałem słów. Moja uwaga oscylowała między trzecim etapem śnienia, stanem biernej obserwacji, a drugim, dynamicznym czuwaniem. Przez chwilę przebywałem w towarzystwie don Juana, grubej la Gordy i szesnastu innych osób, a w następnym momencie patrzyłem na zastygłą scenę, mając obok siebie prawdziwą la Gordę.

Poczułem gwałtowny wstrząs w całym ciele i wskoczyłem na jeszcze inny poziom uwagi: usłyszałem trzask, jakby ktoś złamał kawałek suchego drewna. Dźwięk był niezbyt głośny i przypominał trzask wyłamywanych stawów dłoni. Znalazłem się w pierwszym stadium śnienia, na etapie zrelaksowanego czuwania. Spałem, a mimo to byłem zupełnie przytomny. Odczuwałem wielki spokój i chciałem pozostać w tym stanie jak najdłużej, ale rozbudził mnie kolejny wstrząs. Uświadomiłem sobie nagle, że la Gorda i ja śniliśmy razem.

Musiałem z nią natychmiast porozmawiać. Ona czuła to samo. Obydwoje pośpieszyliśmy ku sobie. Gdy już się uspokoiliśmy, poprosiłem, by opisała mi wszystko, co sję jej zdarzyło w naszym wspólnym śnieniu.

– Długo na ciebie czekałam – powiedziała. – Wydawało mi się, że musiałam się z tobą minąć, ale intuicyjnie wiedziałam, że jesteś zdenerwowany i masz jakieś problemy, więc czekałam.

– Gdzie czekałaś, Gorda? – zapytałem.

– Nie wiem. Wiem, że wyszłam z czerwonego światła, ale nie mogłam nic dostrzec. Teraz wydaje mi się, że utraciłam wzrok i poruszałam się po omacku. Możliwe, że wciąż byłam w czerwonym świetle, tylko że nie było ono już czerwone. To miejsce, gdzie byłam, miało jasno-brzoskwiniową barwę. Potem otworzyłam oczy i zobaczyłam ciebie. Wyglądałeś, jakbyś miał zamiar odejść, więc pochwyciłam cię za ramię. Później rozejrzałam się i zobaczyłam Naguala Juana Matusa, ciebie, siebie samą i innych ludzi w domu Vicente. Ty byłeś młodszy, a ja gruba.

Wzmianka o domu Vicente sprawiła, że naraz coś sobie uświadomiłem. Opowiedziałem la Gordzie, jak kiedyś, gdy przejeżdżałem przez Zacatecas w północnym Meksyku, poczułem dziwny impuls, by odwiedzić Vicente, jednego z przyjaciół don Juana. Nie rozumiałem wtedy, że wkraczam przez to w zakazany obszar, gdyż don Juan nigdy mnie z nim nie poznał. Vicente, podobnie jak kobieta Nagual,

należał do innego obszaru, innego świata. Nic dziwnego, że la Gorda była wstrząśnięta, gdy opowiedziałem jej o tych odwiedzinach. Znaliśmy Vicente bardzo dobrze – był nam równie bliski jak don Genaro, może nawet bliższy. Ale zapomnieliśmy go, tak jak zapomnieliśmy kobietę Naguala.

W tym momencie znacznie odbiegliśmy od głównego wątku naszych dociekań. Razem przypomnieliśmy sobie, że Vicente, Genaro i Silvio Manuel byli przyjaciółmi don Juana, jego wspólnikami. Wiązała ich wszystkich pewnego rodzaju przysięga. Nie mogliśmy sobie przypomnieć, co dokładnie łączyło ich ze sobą. Vicente nie by} Indianinem. W młodości pracował jako farmaceuta. To on był uczonym w grupie don Juana, prawdziwym uzdrowicielem, który dbał o zdrowie wszystkich. Pasjonował się botaniką. Nie miałem ani cienia wątpliwości, że wiedział o roślinach więcej niż ktokolwiek z ludzi. La Gorda i ja pamiętaliśmy, że to właśnie Vicente uczył wszystkich, włącznie z don Juanem, używania roślin leczniczych. Szczególnie wiele uwagi poświęcał Nestorowi i wszyscy sądziliśmy, że Nestor stanie się podobny do niego.

– Wspomnienie Vicente sprawia, że zaczynam myśleć o sobie – powiedziała la Gorda. – Myślę o tym, jaką byłam nieznośną kobietą. Najgorsze, co może się przydarzyć kobiecie, jest to, że mając już dzieci, mając dziury w ciele, nadal się zachowuje jak mała dziewczynka. Na tym polegał mój problem. Chciałam być czarująca, a byłam pusta. A oni pozwalali mi robić z siebie idiotkę, zachęcali mnie, bym się zachowywała po błazeńsku.

– Kto to są oni, Gorda? – zapytałem.

– Nagual, Vicente i wszyscy ci ludzie, którzy byli w domu Vicente, gdy zachowałam się wobec ciebie tak głupio.

Obydwoje jednocześnie coś sobie uświadomiliśmy. Wszyscy ci ludzie pozwalali jej się zachowywać nieznośnie tylko wobec mnie. Nikt inny nie dopuszczał do takich nonsensów, chociaż la Gorda próbowała swoich sztuczek na każdym.

– Vicente ze mną wytrzymywał – stwierdziła. –Bawił się ze mną. Nawet nazywałam go wujkiem. Gdy spróbowałam nazwać wujkiem Silvia Manuela, tymi swoimi rękami jak szpony o mało nie zdarł mi skóry pod pachami.

Próbowaliśmy się skupić na Silviu Manuelu, ale nie mogliśmy sobie przypomnieć jego wyglądu. Czuliśmy jego obecność w naszych wspomnieniach, nie była to jednak osoba, raczej wrażenie.

Co do sceny ze śnienia, pamiętaliśmy, że była wiernym powtórzeniem czegoś, co naprawdę się zdarzyło w naszym życiu w jakimś miejscu i czasie; dalej jednak nie potrafiliśmy sobie przypomnieć, kiedy to było. Wiedziałem tylko, że opiekowałem się la Gorda po to, by przygotować się do pokonywania trudności w kontaktach z ludźmi. Było absolutnie konieczne, bym nauczył się nie tracić swobody w obliczu trudnych sytuacji międzyludzkich, a nikt nie mógł być tu lepszym trenerem niż ona. Niewyraźne wspomnienia tłustej Gordy, które od czasu do czasu pojawiały się w moim umyśle, pochodziły właśnie stąd, wypełniałem bowiem polecenia don Juana co do joty.

La Gorda powiedziała, że nie czuła się dobrze, wchodząc w scenę ze śnienia. Wolałaby pozostać tylko widzem, ja jednak wepchnąłem ją w dawne uczucia, które teraz wzbudzały w niej odrazę. Czuła się tak źle, że celowo ścisnęła moje ramię, by wydostać nas oboje z sytuacji, która wywoływała w niej taką niechęć.

Ustaliliśmy, że następnego dnia odbędzie się kolejna sesja wspólnego śnienia. La Gorda znajdowała się w swojej sypialni, a ja w moim mieszkaniu, ale nic się nie wydarzyło. Same próby wejścia w śnienie całkowicie nas wyczerpały. Przez kilka następnych tygodni próbowaliśmy powtórzyć pierwszy sukces, ale bez rezultatu. Po każdej porażce stawaliśmy się coraz bardziej zdesperowani i zachłanni.

W obliczu tego impasu uznałem, że lepiej będzie, jeśli odłożymy wspólne śnienie na jakiś czas, a w zamian przyjrzymy się bliżej samemu procesowi śnienia, zanalizujemy związane z nim pojęcia i procedurę. Na początku la Gorda nie zgadzała się ze mną. Jej zdaniem analiza tego, co wiedzieliśmy o śnieniu, byłaby tylko innym sposobem poddania się rozpaczy i zachłanności. Wolałaby nadal próbować, nawet bez skutku. Ja jednak upierałem się przy swoim i la Gorda w końcu zaakceptowała mój punkt widzenia, przede wszystkim dlatego, że czuła się bardzo zagubiona.

Pewnego wieczoru usiedliśmy i zaczęliśmy omawiać wszystko, co wiedzieliśmy o śnieniu, starając się przy tym zachowywać jak najswobodniej. Szybko stało się oczywiste, że są tu pewne ważne punkty, na które don Juan zwracał szczególną uwagę.

Pierwszą taką sprawą był sam stan śnienia. Zaczynał się on jako niezwykły stan, który osiągaliśmy, skupiając resztki świadomości, jakie człowiek ma podczas snu, na poszczególnych elementach czy cechach zwykłych snów.

Te resztki świadomości, które don Juan nazywał drugą uwagą, można było aktywnie wykorzystać, zyskując nad nimi kontrolę przez ćwiczenia w nie-działaniu. Uznaliśmy, że niezbędnym środkiem do wejścia w śnienie jest stan wyciszenia umysłu, który don Juan nazywał “zatrzymaniem wewnętrznego dialogu" albo nie-działaniem w gadaniu do siebie". Aby mnie tego nauczyć, kazał mi chodzić na wielomilowe spacery, podczas których miałem, nie skupiając na niczym spojrzenia, utrzymywać wzrok na poziomie tuż nad horyzontem, co wzmacniało widzenie peryferyjne. Ta metoda przyniosła mi dwojakie korzyści. Po latach wysiłków pozwoliła mi przerwać wewnętrzny dialog oraz wyćwiczyła koncentrację. Zmuszając mnie do skupienia uwagi na widzeniu peryferyjnym, don Juan wzmocnił moją umiejętność koncentrowania się przez dłuższy czas na jednej czynności.

Później, gdy już potrafiłem kontrolować uwagę i nie rozpraszając się, wykonywać jedną czynność przez wiele godzin, do czego nigdy wcześniej nie byłem zdolny, don Juan powiedział mi, że najlepszym sposobem na wejście w stan śnienia jest skupienie uwagi na górnej części brzucha, w miejscu, gdzie kończy się mostek. Powiedział, że z tego obszaru wychodzi uwaga niezbędna do śnienia. Energia konieczna do tego, by się poruszać i odnajdywać różne rzeczy w śnieniu, pochodzi z miejsca położonego o cal lub dwa poniżej pępka. Don Juan określał tę energię jako wolę lub moc selekcji i łączenia elementów. U kobiet zarówno koncentracja, jak i energia potrzebna do śnienia pochodzą z macicy.

– Śnienie kobiety musi pochodzić z podbrzusza, bo tam jest jej centrum – powiedziała la Gorda. – Jeśli chcę wejść w śnienie lub wyjść z niego, muszę jedynie skupić uwagę na macicy. Nauczyłam się czuć jej wnętrze. Przez chwilę widzę czerwonawe światło, a potem ruszam.

– Ile czasu potrzebujesz, żeby zobaczyć to światło? – zapytałem.

– Kilka sekund. Chwila, gdy skupiam uwagę na macicy, już należy do śnienia – ciągnęła. – Nigdy nie muszę się z tym męczyć. Kobiety już takie są. Kobiecie najtrudniej jest się nauczyć, jak ma zacząć. Zabrało mi to kilka lat, zanim nauczyłam się przerywać wewnętrzny dialog, koncentrując uwagę na macicy. Może właśnie dlatego kobieta zawsze potrzebuje kogoś, kto by ją popchnął. Nagual Juan Matus kładł mi na brzuchu zimne, mokre kamyki z rzeki, żebym poczuła to miejsce. Czasem kładł tam coś ciężkiego – znalazł mi taki kawałek ołowiu. Kazał mi zamykać oczy i skupiać się na miejscu, gdzie leżał ciężarek. Za każdym razem zasypiałam, ale on się tym nie przejmował. Jeśli uwaga pozostaje skupiona na macicy, to zupełnie nieistotne jest, co się robi. W końcu nauczyłam się koncentrować na tym miejscu, nawet gdy nic na nim nie leżało. Któregoś dnia sama, bez pomocy, weszłam w śnienie. Czułam swój brzuch, miejsce, gdzie Nagual tyle razy kładł ciężarek, i naraz usnęłam tak jak zwykle, tylko że od razu coś wciągnęło mnie w głąb macicy. Zobaczyłam czerwonawy poblask i potem miałam bardzo piękny sen. Gdy jednak spróbowałam go opowiedzieć Nagualowi, uświadomiłam sobie, że to nie był zwykły sen. Nie było sposobu, by mu opowiedzieć, czym był ten sen – po prostu czułam się bardzo silna i szczęśliwa. Nagual powiedział, że to było śnienie. Od tej pory nigdy już nie kładł mi na brzuchu ciężarka. Pozwalał mi wchodzić w śnienie bez pomocy. Od czasu do czasu prosił, bym mu o tym opowiedziała, a potem udzielał mi wskazówek. Tak właśnie powinno się uczyć innych śnienia.

La Gorda dodała jeszcze, że don Juan mówił jej, iż wszystkiego można użyć jako nie-działania pomocnego w śnieniu, pod warunkiem, że zmusza to do koncentracji uwagi. Na przykład kazał jej i innym uczniom wpatrywać się w liście i skały, a także zachęcał Pablita, by skonstruował własne urządzenie do nie-działania. Pablito zaczął nie-działanie od chodzenia tyłem. Poruszał się rzucając szybkie spojrzenia na boki, by kierować swoimi krokami i uniknąć przeszkód na drodze. Podsunąłem mu pomysł używania lusterka wstecznego, on zaś rozbudował go w konstrukcję składającą się z drewnianego hełmu, do którego doczepione były dwa małe lusterka, jakieś sześć cali od twarzy i dwa poniżej poziomu oczu. Lusterka nie przeszkadzały mu patrzeć przed siebie, a dzięki kątowi nachylenia, obejmowały swym zasięgiem cały obszar za jego plecami. Pablito chwalił się, że może oglądać świat w promieniu 360 stopni. Przy pomocy tego urządzenia mógł iść tyłem dowolnie długo i dowolnie daleko.

Pozycja, jaką przyjmuje się do śnienia, także była bardzo ważna.

– Nie wiem, dlaczego Nagual nie powiedział mi na samym początku – rzekła la Gorda – że kobieta powinna zaczynać, siadając ze skrzyżowanymi nogami, a potem, gdy uwaga skupi się już na śnieniu, pozwolić ciału upaść. Nagual powiedział mi o tym dopiero w jakiś rok po tym, jak zaczęłam śnić. Teraz wystarczy, że posiedzę tak przez chwilę i poczuję swoją macicę – i już jestem w śnieniu. Na początku,

podobnie jak la Gorda, wchodziłem w śnienie, leżąc na plecach, aż kiedyś don Juan powiedział mi, że najlepsze wyniki osiągnę, siadając na miękkiej, cienkiej macie, tak by podeszwy moich stóp stykały się ze sobą, a uda dotykały maty. Dodał, że ponieważ mam elastyczne stawy ud, powinienem je wyćwiczyć jak najbardziej, tak bym siedząc w tej pozycji, potrafił położyć je zupełnie płasko na macie. Twierdził, że jeśli w tej pozycji uda mi się wejść w śnienie, moje ciało nie będzie się chwiało ani przesuwało na boki, lecz tułów opadnie do przodu i czoło oprze się na stopach.

Kolejną bardzo istotną sprawą był wybór najlepszej pory na śnienie. Don Juan powiedział nam, że zdecydowanie najlepszy jest późny wieczór lub wczesny ranek. Powodem takiego wyboru było, jak to nazywał, praktyczne zastosowanie wiedzy czarownika. Uważał, że skoro musimy śnić w otoczeniu zwykłego świata, to powinniśmy przynajmniej robić to w możliwie najlepszych warunkach, w samotności, upewniając się, że nikt nam nie przeszkodzi. Przez przeszkadzanie miał na myśli uwagę innych ludzi, a nie ich fizyczną obecność. Zdaniem don Juana wycofanie się ze świata i ukrywanie nie miałoby sensu, bo nawet przebywając w odludnym, odizolowanym miejscu, jesteśmy narażeni na zakłócenia ze strony innych ludzi, gdyż nie potrafimy się odgrodzić od skupienia ich pierwszej uwagi. Tylko w porze, gdy większość ludzi śpi, można na krótki czas tę uwagę od siebie odwrócić. W tych godzinach pierwsza uwaga ludzi dokoła nas pozostaje uśpiona.

To doprowadziło don Juana do opisu drugiej uwagi. Wyjaśniał nam, że za wszelką cenę należy skupić uwagę, która jest niezbędna na początkowym etapie śnienia, na jakimś konkretnym przedmiocie pojawiającym się we śnie. Tylko unieruchamiając w ten sposób naszą uwagę, możemy przekształcić zwykłe sny w śnienie.

Mówił dalej, że mechanizmy skupiania uwagi w śnieniu są takie same jak w zwykłym życiu. Nasza pierwsza uwaga została wyćwiczona w intensywnym koncentrowaniu się na różnych obiektach i dzięki temu potrafimy przekształcić nasze amorficzne, chaotyczne spostrzeżenia w uporządkowany świat świadomości.

Don Juan mówił nam także, że druga uwaga pełni rolę wabika, magnesu przyciągającego możliwości. Im częściej ją ćwiczymy, tym większe mamy szansę na osiągnięcie pożądanych rezultatów. Jest to zresztą zadanie uwagi w ogóle, tylko że w codziennym życiu uważamy je za oczywiste, a przez to przestajemy zauważać skutki tego oddziaływania: jeśli przytrafi nam się fortunne wydarzenie, mówimy o nim w kategoriach przypadku czy zbiegu okoliczności i nie przychodzi nam do głowy, że przyciągnęła je nasza uwaga.

Rozmowa o drugiej uwadze przygotowała grunt pod kolejny kluczowy temat, jakim jest śniące ciało. Aby naprowadzić la Gordę na właściwy trop, don Juan polecił jej maksymalnie unieruchomić drugą uwagę, skupiając ją na poszczególnych elementach składających się na przeżywane w śnieniu wrażenie latania.

– Jak się nauczyłaś latać w śnieniu? – zapytałem. – Czy ktoś cię tego nauczył?

– Na tym świecie uczył mnie Nagual Juan Matus – odrzekła. – A w śnieniu ktoś, kogo nigdy nie udało mi się dostrzec. Był to głos mówiący mi, co mam robić. Nagual kazał mi się nauczyć latać w śnieniu, a ten głos udzielał mi szczegółowych wskazówek. Minęły całe lata, zanim nauczyłam się przenosić z mojego zwykłego ciała, tego, które możesz dotknąć, do śniącego ciała.

– Musisz mi to dokładniej wyjaśnić, Gorda – poprosiłem.

– Uczyłeś się wchodzić w swoje śniące ciało wtedy, gdy śniłeś, że wychodzisz z ciała. Ale moim zdaniem, ponieważ Nagual nie dał ci żadnego konkretnego zadania, robiłeś to tak, jak ci było wygodniej. Ja dostałam zadanie: miałam nauczyć się używać mojego śniącego ciała. Takie zadanie otrzymały też siostrzyczki. Miałam kiedyś sen, w którym latałam jak latawiec. Opowiedziałam o nim Nagualowi, bo podobało mi się wrażenie ślizgania się w powietrzu. On potraktował to bardzo poważnie i zrobił z tego zadanie. Powiedział, że dla człowieka, który poznał śnienie, żaden zapamiętany sen nie jest już zwykłym snem, lecz śnieniem. Wtedy zaczęłam próbować latania w śnieniu. Ale nie potrafiłam tego robić na zawołanie: im bardziej starałam się wpływać na moje śnienie, tym większe trudności napotykałam. W końcu Nagual powiedział, że powinnam przestać i pozwolić, by to nadeszło samo. I po jakimś czasie stopniowo zaczęłam latać w śnieniu. Wtedy właśnie pojawił się głos, który mówił mi, co mam robić. Zawsze mi się wydawało, że to głos kobiety. Gdy już nauczyłam się doskonale latać, Nagual powiedział mi, że powinnam powtarzać na jawie każdy ruch, który wykonuję, latając w śnieniu. Ty mogłeś zrobić to samo, gdy tygrys szablozęby pokazywał ci, jak oddychać. Tylko że ty w śnieniu nigdy nie zmieniałeś się w tygrysa, więc nie mogłeś tego powtarzać na jawie. A ja w śnieniu nauczyłam się latać. Przenosząc uwagę na śniące ciało, mogłam latać jak

latawiec także wtedy, gdy nie śniłam. Pokazałam ci raz moje latanie, bo chciałam, byś zobaczył, że nauczyłam się używać śniącego ciała, ale ty nie wiedziałeś, co się dzieje.

Przypomniałem sobie, jak la Gorda kiedyś przestraszyła mnie swoim niezrozumiałym zachowaniem. Podskakiwała w powietrzu niczym latawiec. Było to dla mnie coś zupełnie niepojętego, co nie dawało się wytłumaczyć w żaden logiczny sposób. Zawsze gdy stawałem twarzą w twarz z tego typu zjawiskami, klasyfikowałem Je hurtem pod nic nie znaczącym nagłówkiem “spostrzeżeń dokonywanych w warunkach znacznego stresu". Utrzymywałem, że w wypadkach silnego stresu postrzeganie zmysłowe może ulec poważnym zaburzeniom. To wyjaśnienie niczego nie tłumaczyło, ale trochę uspokajało mój rozsądek.

Wydawało mi się, że po to, by wejść w śniące ciało, la Gorda musiała zrobić coś więcej niż tylko powtarzać ruchy wykonywane przy lataniu.

Zastanawiała się chwilę nad odpowiedzią.

– Nagual na pewno ci mówił – rzekła wreszcie – że jedyne, co jest naprawdę ważne przy tym przejściu, to zakotwiczenie drugiej uwagi. Nagual uważał, że nasza uwaga stwarza świat. Oczywiście, miał absolutną rację. Miał też powody, by tak mówić. Był mistrzem uwagi. Przypuszczam, że chciał, bym sama się przekonała, że po to, by przejść w śniące ciało, muszę tylko skupić uwagę na lataniu. Ważna była koncentracja uwagi w śnieniu i obserwowanie wszystkich ruchów, jakie wykonywałam latając. To był jedyny dla mnie sposób na wyćwiczenie drugiej uwagi. Gdy już była mocna, wystarczyło, bym ją lekko skupiła na szczegółach, a uczucie latania znów wywoływało śnienie o lataniu, aż wreszcie stale zaczęłam śnić, że szybuję w powietrzu.

– Podczas latania moja druga uwaga się wyostrzała. Gdy Nagual kazał mi nauczyć się przechodzić w śniące ciało, chodziło mu o to, bym się nauczyła włączać drugą uwagę na jawie. Tak to w każdym razie rozumiem. Nigdy nie uda się nam do końca przezwyciężyć pierwszej uwagi, tej, która stwarza świat – można jedynie wyłączyć ją na chwilę i zastąpić drugą uwagą, pod warunkiem, że ciało wystarczająco ją zgromadziło. Śnienie jest naturalnie sposobem gromadzenia drugiej uwagi. Dlatego uważam, że jeśli chcesz przejść w swoje śniące ciało na jawie, musisz ćwiczyć śnienie, aż zacznie ci wychodzić uszami.

– Czy możesz przejść w swoje śniące ciało za każdym razem, gdy tego chcesz? – zapytałem.

– Nie. To nie jest takie łatwe. Nauczyłam się odtwarzać na jawie ruchy i wrażenie unoszenia się w powietrzu, ale nie potrafię latać za każdym razem, gdy zechcę. Moje śniące ciało zawsze napotyka barierę. Czasami czuję, że bariera została zniesiona – wtedy moje ciało jest wolne i mogę latać tak, jak w śnieniu.

Powiedziałem la Gordzie, że jeśli chodzi o mnie, dostałem od don Juana trzy zadania pomocne w ćwiczeniu drugiej uwagi. Pierwsze polegało na odnalezieniu w śnieniu własnych dłoni. Następnie don Juan polecił, bym wybrał sobie jakieś miejsce, skupił na nim uwagę, wszedł w śnienie w ciągu dnia i przekonał się, czy potrafię się tam znaleźć. Zaproponował, bym wysłał w to miejsce kogoś, kogo znam, najlepiej kobietę, a to z dwóch powodów: po pierwsze, mogłaby ona wyśledzić subtelne zmiany świadczące o tym, że rzeczywiście byłem tam w śnieniu, a po drugie, mogłaby wybrać jakiś nie rzucający się w oczy szczegół, na którym miałbym skupić drugą uwagę.

Najpoważniejszy problem, jaki może tu napotkać śniący, polega na tym, że łatwo jest zafiksować drugą uwagę na jakimś szczególe, który w codziennym życiu, przy wykorzystaniu pierwszej uwagi, przeszedłby zupełnie nie zauważony, a to niemal całkowicie uniemożliwia weryfikację rezultatów. W śnieniu szukamy zupełnie czegoś innego niż to, na co zwrócilibyśmy uwagę w zwyczajnym życiu.

Don Juan twierdził, że skupienie drugiej uwagi jest trudne jedynie w początkowej fazie nauki. Potem trzeba Walczyć z jej nieodpartym przyciąganiem, obserwując otoczenie jedynie kątem oka. W śnieniu należy się zadowolić jak najszybszymi spojrzeniami na wszystko, bo Jeśli skupimy się na jakimś elemencie, tracimy kontrolę.

Ostatnim ogólnym zadaniem, jakie dał mi don Juan, było wyjście z ciała. Częściowo mi się to udało i przez cały czas uważałem, że było to jedyne moje prawdziwe osiągnięcie w śnieniu. Don Juan odszedł, zanim udało mi się osiągnąć wrażenie, że śniąc, potrafię w pełni panować nad sprawami życia codziennego. Jego odejście przerwało proces, moim zdaniem nieunikniony, przenikania czasu śnienia w świat mojej codzienności.

Aby wyjaśnić mi metody kontrolowania drugiej uwagi, don Juan przedstawił pojęcie woli. Powiedział, że wolę można opisać jako maksymalną kontrolę nad świetlistym ciałem, czyli polem energetycznym; można również powiedzieć, że jest to pewien poziom skuteczności, stan istnienia,

który w dowolnym momencie gwałtownie pojawia się w życiu wojownika. Doświadczamy woli w postaci siły promieniującej ze środkowej części ciała. Stan ten poprzedzony jest momentem absolutnego wyciszenia, gwałtownego przerażenia albo głębokiego smutku, nigdy jednak nie następuje po chwili szczęścia. Szczęście bowiem wprowadza zbyt wielkie zamieszanie w psychice, a przez to nie pozwala wojownikowi osiągnąć koncentracji niezbędnej do użycia świetlistego ciała i przekształcenia świetlistości w ciszę.

– Nagual powiedział mi, że dla ludzkiej istoty smutek jest siłą równie potężną jak strach – powiedziała la Gorda. – Smutek sprawia, że wojownik płacze krwawymi łzami. Obydwa uczucia mogą wywołać chwilę ciszy. Czasami ta cisza pojawia się samoistnie, gdyż wojownik dąży do niej przez całe życie.

– Czy ty sama kiedyś poczułaś taki moment ciszy? – zapytałem.

– Na pewno tak, ale nie mogę sobie tego przypomnieć. Obydwoje już to czuliśmy, ty i ja, ale żadne z nas nic nie pamięta. Nagual mówił, że jest to moment wyciemnienia, chwila jeszcze cichsza niż ta, która pojawia się po przerwaniu wewnętrznego dialogu. Z tej czerni, z tego milczenia powstaje intencja pokierowania drugą uwagą, opanowania jej i wykorzystania do konkretnych zadań. Dlatego właśnie nazywa się to wolą. Wola składa się z intencji i skutku. Nagual mówił, że są one ze sobą nierozdzielnie powiązane. Wyjaśnił mi to wszystko wtedy, gdy próbowałam się nauczyć latać w śnieniu. Intencja latania wywołuje efekt latania.

Powiedziałem jej, że chyba pogodziłem się już z tym, iż nigdy nie poznam, czym jest wola.

– Doświadczysz jej – odrzekła la Gorda. – Problem w tym, że żadne z nas nie jest wystarczająco spostrzegawcze, by wiedzieć, co się nam przydarza. Nie zauważamy naszej woli, bo wydaje nam się, że powinno to być coś, co robimy czy czujemy w oczywisty sposób, tak jak na przykład wpadamy w złość. Wola jest bardzo cicha i niedostrzegalna. Wola należy do drugiego ja.

– Do jakiego drugiego ja, Gorda? – zapytałem.

– Wiesz, o czym mówię – odrzekła szybko. – Jesteśmy naszym drugim ja podczas śnienia. Wchodziliśmy w nasze drugie ja nieskończenie wiele razy, ale jeszcze nie jesteśmy kompletni.

Zapadło długie milczenie. Przyznałem w duchu, że la Gorda ma rację, mówiąc, iż jeszcze nie jesteśmy kompletni. Zrozumiałem to w ten sposób, że jesteśmy tylko adeptami niezmierzonej sztuki. Potem jednak przyszło mi do głowy, że być może chodzi jej o coś innego. Nie była to racjonalna refleksja. W pierwszej chwili poczułem jakby kłucie w splocie słonecznym, a potem nadeszła myśl, że być może la Gorda mówi o czymś innym. W następnym momencie poczułem odpowiedź. Przyszła ona do mnie w postaci jednolitego bloku, jakby zlepka. Wiedziałem, że wszystko tam jest, najpierw u szczytu mostka, a potem w moim umyśle. Problem polegał na tym, że nie potrafiłem rozsupłać tego, co wiem, na tyle szybko, by dało się to zwerbalizować.

La Gorda nie przerwała mojego procesu myślowego żadnym komentarzem ani gestem. Czekała w absolutnej ciszy. Wydawało się, że jest ze mną wewnętrznie połączona do tego stopnia, iż nie musimy używać słów. Jeszcze przez chwilę podtrzymywaliśmy to wrażenie wspólnoty, aż ogarnęło nas bez reszty. Uspokoiliśmy się powoli i w końcu zacząłem mówić, nie z potrzeby powtarzania wciąż na nowo tego, co czuliśmy i wiedzieliśmy obydwoje, lecz wyłącznie po to, by na nowo określić płaszczyznę rozmowy. Powiedziałem, że wiem, dlaczego jesteśmy niekompletni, ale nie potrafię wyrazić tego słowami.

– Jest bardzo wiele rzeczy, które wiemy – odrzekła. – A jednak nie potrafimy skorzystać z tej wiedzy, bo tak naprawdę nie mamy pojęcia, jak ją wydostać z własnego wnętrza. Właśnie poczułeś jej ciśnienie. Ja to czuję już od lat. Wiem, a jednak nie wiem. Ciągle potykam się o siebie i gdy próbuję wyrazić to, co wiem, brzmi to zupełnie idiotycznie.

Wiedziałem, co ma na myśli, i rozumiałem ją także na poziomie fizycznym. Wiedziałem coś do głębi praktycznego i oczywistego o woli, a także o tym, co la Gorda nazywała drugim ja, a jednak nie potrafiłem wydobyć z siebie ani słowa na ten temat – nie z powodu powściągliwości czy nieśmiałości, ale dlatego, że nie miałem pojęcia, od czego powinienem zacząć ani jak tę wiedzę uporządkować.

– Wola jest tak pełną kontrolą drugiej uwagi, że nazywa sieją drugim ja – powiedziała la Gorda po dłuższej chwili. – Chociaż tyle już zrobiliśmy, znamy jedynie odrobinę swojego drugiego ja. Nagual zostawił nas tu, żebyśmy uzupełnili swoją wiedzę. Na tym polega nasze zadanie odzyskania pamięci.

Plasnęła się dłonią w czoło, jakby coś właśnie przyszło jej do głowy.

– Jezu święty! Przypominamy sobie nasze drugie ja! – wykrzyknęła. Napięcie w jej głosie graniczyło z histerią-Po chwili ochłonęła i ciągnęła już spokojniej: – Jest oczywiste, że już tam byliśmy, i jedyny sposób, by sobie to przypomnieć, to robić to, co robimy, to znaczy wyrzucać w przestrzeń nasze śniące ciała podczas wspólnego śnienia.

– Co to znaczy: wyrzucać nasze śniące ciała w przestrzeń? – zapytałem.

– Ty sam byłeś świadkiem, jak Genaro wyrzucał w przestrzeń swoje śniące ciało – odrzekła. – Zostaje ono wystrzelone jak kula z rewolweru. Z głośnym trzaskiem przykleja się i odkleja od fizycznego ciała. Nagual mówił mi, że śniące ciało Genara potrafi robić większość tych rzeczy, które robimy normalnie. Genaro przychodził do ciebie w ten sposób, gdy chciał tobą wstrząsnąć. Teraz wiem, o co chodziło Nagualowi i Genarowi. Chcieli, żebyś pamiętał, i w tym celu Genaro na twoich oczach wykonywał niewiarygodne pokazy, wystrzeliwując swoje śniące ciało. Nie odnosiło to jednak żadnego skutku.

– Nie miałem pojęcia, że on wtedy był w śniącym ciele – przyznałem.

– Nie wiedziałeś o tym, bo nie patrzyłeś – rzekła la Gorda. – Genaro starał się ci to pokazać, próbując robić to, czego śniące ciało nie potrafi wykonać, na przykład próbował jeść, pić i tak dalej. Nagual mówił, że Genaro żartował sobie z ciebie, mówiąc, że będzie srał tak, aż góry zadrżą.

– Dlaczego śniące ciało nie potrafi robić takich rzeczy?

– Bo śniące ciało nie może wytworzyć intencji jedzenia i picia.

– Co przez to rozumiesz, Gorda? – dopytywałem się.

– Wielkim osiągnięciem Genara było to, że w śnieniu nauczył się wytwarzać intencje ciała – wyjaśniła. – Doszedł do końca w tym, co ty ledwie zacząłeś. Potrafił doskonale wyśnić całe ciało. Ale śniące ciało ma inne intencje niż ciało fizyczne. Śniące ciało może na przykład Przejść przez ścianę, bo zna intencję rozpływania się w powietrzu. Fizyczne ciało zna intencję jedzenia, ale nie zna intencji znikania. Dla fizycznego ciała Genara przejście przez ścianę byłoby równie niemożliwe, co dla jego śniącego data jedzenie.

La Gorda milczała przez chwilę, jakby zastanawiając się nad tym, co właśnie powiedziała. Wolałem na razie wstrzymać się z zadawaniem dalszych pytań.

– Genaro opanował po mistrzowsku tylko intencje śniącego ciała – powiedziała cicho. – Z kolei Silvio Manuel był absolutnym mistrzem intencji. Teraz wiem, że nie możemy sobie przypomnieć jego twarzy, bo on nie był taki, jak wszyscy inni.

– Dlaczego tak myślisz, Gorda? – zapytałem. Zaczęła mi to wyjaśniać, ale nie potrafiła mówić składnie. Naraz jej twarz rozświetliła się uśmiechem.

– Już wiem! – wykrzyknęła. – Nagual mówił mi, że Silvio Manuel był mistrzem intencji, bo przez cały czas był w swoim drugim ja. On był prawdziwym przywódcą. Stał za wszystkim, co robił Nagual. W gruncie rzeczy to właśnie za jego sprawą Nagual się tobą zajął.

Słowa te wywołały we mnie wielki fizyczny niepokój. Zebrało mi się na mdłości. Ze wszystkich sił próbowałem to ukryć. Odwróciłem się plecami do la Gordy i zacząłem się krztusić. Na chwilę umilkła, a potem znów zaczęła mówić, jakby postanowiła nie zwracać uwagi na mój stan. Nakrzyczała na mnie. Powiedziała, że czas już przewietrzyć nasze żale. Przypomniała moją niechęć do niej po tym, co zdarzyło się w Mexico City. Jej zdaniem powodem mojego gniewu nie było to, że opowiedziała się przeciwko mnie, po stronie pozostałych uczniów, lecz to, że przyczyniła się do zdemaskowania mnie. Próbowałem jej wyjaśnić, że wszystkie te uczucia należą już do przeszłości, ona jednak była nieubłagana. Utrzymywała, że te uczucia będą do mnie wracać, dopóki nie stawię im czoła. Upierała się, że sedno problemu stanowi mój związek z Silviem Manuelem.

Gdy usłyszałem to stwierdzenie, mój nastrój zmienił się wręcz niewiarygodnie. Stałem się dwiema osobami w jednym ciele – jedna wpadła w furię i toczyła pianę z ust, a druga spokojnie to obserwowała. Na koniec poczułem skurcz żołądka i zwymiotowałem. Skurcz ten nie był jednak wywołany przez mdłości, lecz przez niepohamowany gniew.

Gdy się wreszcie uspokoiłem, poczułem zażenowanie. Martwiło mnie, że coś podobnego może się jeszcze kiedyś powtórzyć.

– Uwolnisz się od wściekłości, gdy zaakceptujesz swoją prawdziwą naturę – powiedziała la Gorda.

Miałem ochotę zaprzeczyć, ale dostrzegłem daremność wszelkich sporów. Poza tym atak furii wyczerpał całą moją energię. Roześmiałem się na myśl, że sam nie wiem, co bym zrobił, gdyby się

okazało, że la Gorda ma rację. Przyszło mi jednak do głowy, że skoro potrafiłem zapomnieć o kobiecie Nagualu, to wszystko jest możliwe. Miałem dziwne uczucie gorąca czy też podrażnienia w gardle jak po zjedzeniu jakiejś bardzo ostrej potrawy, a potem nagle wstrząsnął mną przypływ fizycznego niepokoju, jakbym uświadomił sobie czyjąś obecność za plecami. Jednocześnie zyskałem pewność co do czegoś, o czym jeszcze przed chwilą nie miałem pojęcia. La Gorda się nie myliła. Silvio Manuel był moim opiekunem.

Roześmiała się na głos, gdy przyznałem jej rację, i powiedziała, że ona także przypomniała sobie coś na temat Silvia Manuela.

– Nie pamiętam go jako osoby, tak jak pamiętam kobietę Naguala – twierdziła – ale pamiętam, co mówił roi o nim Nagual.

– A co mówił?

– Powiedział, że gdy Silvio Manuel żył jeszcze na tym świecie, przypominał Eligia. Zniknął kiedyś bez śladu i przeszedł do innego świata. Nie było go przez wiele lat, a Potem pewnego dnia wrócił. Nagual mówił, że Silvio Manuel nie pamiętał, gdzie był ani co robił, ale jego ciało było odmienione. Wrócił na ten świat, ale w swoim drugim ja.

– Co jeszcze mówił ci Nagual, Gorda?

– Nic więcej nie pamiętam – odrzekła. – To tak, jakbym próbowała patrzeć przez mgłę.

Byłem pewien, że jeśli dołożymy wysiłków, to odkryjemy, kim był Silvio Manuel. Powiedziałem jej to.

– Nagual mówił, że intencja jest obecna we wszystkim – stwierdziła nieoczekiwanie.

– Co to znaczy?

– Nie wiem. Po prostu wypowiadam na głos to, co mi przychodzi do głowy. Nagual mówił także, że to właśnie intencja stwarza świat.

Wiedziałem, że już kiedyś słyszałem te słowa. Pomyślałem, że don Juan na pewno mówił mi to samo, tylko o tym zapomniałem.

– Kiedy don Juan ci o tym powiedział? – zapytałem.

– Nie pamiętam. Ale mówił mi, że ludzie, a także wszystkie inne żywe stworzenia, są niewolnikami intencji. Jesteśmy w jej szponach. Musimy robić wszystko, co ona chce. Intencja każe nam działać w świecie. Powoduje nawet to, że umieramy. Ale gdy zaczynamy być wojownikami, intencja staje się naszym przyjacielem. Pozwala nam przez chwilę doświadczyć wolności; czasami nawet do nas przychodzi, jakby czekała w pobliżu. Nagual powiedział, że on sam jest tylko przyjacielem intencji – w odróżnieniu od Silvia Manuela, który jest jej panem.

Kłębiły się we mnie ukryte wspomnienia, usiłując się wydostać na powierzchnię. Miałem wrażenie, że zaraz wypłyną. Poczułem potężną frustrację, a potem coś się we mnie poddało i odzyskałem spokój. Nie miałem już ochoty dowiadywać się niczego więcej o Silviu Manuelu.

Zdaniem la Gordy moja zmiana nastroju oznaczała, że nie jesteśmy jeszcze gotowi stawić czoła wspomnieniom o nim.

– Nagual pokazał nam wszystkim, czego można dokonać za pomocą intencji – powiedziała nagle. – Przywołując intencję, sprawiał, że znikąd się pojawiały różne rzeczy. Powiedział mi, że jeśli chcę latać, to muszę przywołać intencję latania. Potem pokazał mi, jak on sam to robi. Podskoczył, wzbił się w powietrze i zatoczył krąg, jak ogromny latawiec. Albo też coś pojawiało się w jego dłoni. Mówił, że zna intencję stwarzania wielu rzeczy i wyrażając ją, może te rzeczy przywołać. Różnica między nim a Silviem Manuelem polegała na tym, że Silvio Manuel, jako pan intencji, znal intencję wszystkiego.

Powiedziałem jej, że to tłumaczenie wymaga dalszych wyjaśnień. La Gorda z trudem dobierała słowa.

– Nauczyłam się intencji latania – rzekła wreszcie – przywołując wszystkie uczucia, jakich doznawałam, gdy latałam w śnieniu. To była tylko jedna rzecz. Nagual w ciągu całego życia nauczył się intencji setek rzeczy. Ale Silvio Manuel dotarł do samego źródła i połączył się z nim. Nie musiał się uczyć intencji niczego, bo był z nią jednym. Problem polegał na tym, że nie miał już żadnych pragnień, gdyż sama intencja nie ma pragnień, więc musiał czerpać wolę od Naguala. Inaczej mówiąc, Silvio Manuel potrafił zrobić wszystko, czego chciał Nagual. Nagual kierował intencją Silvia Manuela. Ale ponieważ Nagual także nie miał pragnień, większość czasu nic nie robili.

8. ŚWIADOMOŚĆ PRAWEJ I LEWEJ STRONY

Nasza rozmowa o śnieniu okazała się niezwykle pożyteczna. Przede wszystkim pozwoliła nam wyjść z impasu we wspólnym śnieniu, a poza tym przeniosła związane z tym pojęcia na poziom intelektualny. Mówienie dostarczało nam zajęcia i dawało oddech na uspokojenie emocji.

Przebywając pewnego wieczoru poza domem, zadzwoniłem do la Gordy z budki telefonicznej. Powiedziała, że gdy była w domu towarowym, wydawało jej się, że chowam się za manekinami na wystawie. Sądziła, że się z nią drażnię, i rozzłościła się. Rzuciła się biegiem przez cały sklep, żeby mnie złapać i pokazać, jak bardzo jest na mnie wściekła. Potem uświadomiła sobie, że było to jedynie przypomnienie – często tak się zachowywała w mojej obecności, gdy wpadała w furię.

Obydwoje doszliśmy do wniosku, że czas już znów spróbować wspólnego śnienia. Podczas rozmowy poczuliśmy przypływ optymizmu. Natychmiast wróciłem do domu.

Bez trudu osiągnąłem pierwszy etap, zrelaksowane czuwanie. Odczuwałem fizyczną przyjemność. Wibracje rozchodzące się ze splotu słonecznego przyniosły mi myśl, że na pewno osiągniemy znakomite rezultaty. Myśl ta zmieniła się w nerwowe wyczekiwanie. Uświadomiłem sobie, że moje myśli emanują z wibrującego miejsca pośrodku klatki piersiowej. Jednak w chwili, gdy skupiłem na nim uwagę, wibracje ustały. Przypominało to przepływ prądu elektrycznego, który mogłem włączać i wyłączać.

Ponownie poczułem wibrowanie energii, jeszcze wy-raźniejsze niż przedtem, i naraz stanąłem twarzą w twarz z la Gordą. Wrażenie było takie, jakbym się z nią zderzył, wychodząc zza rogu. Pochłonęło mnie obserwowanie jej. Była tak bardzo sobą, wyglądała do tego stopnia realnie, że zapragnąłem jej dotknąć. Eksplodowało we mnie najczystsze, nieziemskie uczucie do niej i porwał mnie niepowstrzymany szloch.

La Gorda pośpiesznie próbowała spleść swoje ramię z moim, by przerwać to folgowanie sobie, ale nie mogła się poruszyć. Rozejrzeliśmy się dokoła. Przed nami nie było żadnej nieruchomej sceny, żadnego statycznego obrazu. W nagłym przypływie zrozumienia powiedziałem, że ponieważ patrzyliśmy na siebie, przegapiliśmy pojawienie się sceny ze śnienia. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że znaleźliśmy się w nowej sytuacji. Przeraziło mnie brzmienie mojego głosy: był dziwny, szorstki i nieprzyjemny. Wzbudzał we mnie fizyczną odrazę.

La Gorda odrzekła, że niczego nie przegapiliśmy, tylko nasza druga uwaga skupiła się na czymś innym. Uśmiechnęła się i mlasnęła, wydymając wargi. Miało to oznaczać zdziwienie i irytację z powodu brzmienia jej własnego głosu.

Mówienie w śnieniu było dla mnie fascynującą nowością, gdyż nie śniliśmy sceny, w której rozmawiamy, tylko naprawdę rozmawialiśmy. Wymagało to ogromnego wysiłku, podobnego do moich pierwszych starań, by zejść w śnieniu po schodach.

Zapytałem la Gordę, czy jej zdaniem mój głos brzmi dziwnie. Zaśmiała się głośno i skinęła głową. Dźwięk jej śmiechu był szokujący. Przypomniałem sobie, że don Genaro także wydawał najdziwniejsze, przerażające dźwięki; śmiech la Gordy należał do tej samej kategorii. Nagle zrozumiałem, że la Gorda i ja zupełnie spontanicznie weszliśmy w nasze śniące data.

Chciałem wziąć ją za rękę, ale nie mogłem unieść ramienia. Ponieważ miałem już pewne doświadczenie z poruszaniem się w tym stanie, nakazałem sobie w myślach podejść do la Gordy. Miałem zamiar tylko ją objąć, ale zbliżyłem się tak bardzo, że stopiliśmy się w jedno. Wiedziałem, że jestem oddzielną istotą, ale jednocześnie czułem, że jestem częścią la Gordy. Niezmiernie podobało mi się to uczucie.

Nagle coś wyrwało nas ze stanu jedności. Poczułem wewnętrzny przymus, by rozejrzeć się po okolicy. Podniosłem wzrok i przypomniałem sobie wyraźnie, że już to kiedyś widziałem. Otaczały nas małe okrągłe pagórki, bardzo podobne do wydm piaskowych. Były wszędzie dokoła, rozciągały się we wszystkich kierunkach, tak daleko, jak tylko mogłem sięgnąć wzrokiem. Materia, z której się składały, przypominała jasnożółty piaskowiec albo chropowate bryłki siarki. Z niskiego, ciężkiego nieba w tym samym kolorze tu i ówdzie zwieszały się zwały żółtawej mgły albo jakichś żółtych oparów.

Zwróciłem uwagę na to, że obydwoje chyba oddychaliśmy normalnie. Nie mogłem dotknąć piersi rękami, ale czułem, jak rozszerza się przy wdechu. Najwyraźniej żółte opary nie były trujące.

Ruszyliśmy jednocześnie, powoli, ostrożnie, prawie normalnym krokiem. Po przejściu krótkiego dystansu byłem bardzo zmęczony; la Gorda też. Ślizgaliśmy się tuż nad ziemią i najwyraźniej ten sposób poruszania, wymagający wielkiej koncentracji, bardzo wyczerpywał naszą drugą uwagę. Nie staraliśmy się naśladować zwykłego sposobu chodzenia, lecz efekt był mniej więcej taki sam. Poruszaliśmy się za pomocą pojedynczych wybuchów energii, jakby niewielkich eksplozji, poprzedzielanych pauzami. Ten ruch nie miał żadnego innego celu prócz samego ruchu, w końcu więc musieliśmy się zatrzymać.

La Gorda powiedziała coś do mnie. Jej głos był słaby, ledwo słyszalny. Mówiła, że bezmyślnie idziemy w stronę trudniejszego terenu i jeśli nadal będziemy się poruszać w tym kierunku, nacisk stanie się tak wielki, że umrzemy.

Automatycznie odwróciliśmy się i ruszyliśmy z powrotem, tam skąd przyszliśmy, ale uczucie zmęczenia nie ustępowało. Obydwoje czuliśmy takie wyczerpanie, że nie byliśmy w stanie utrzymać się na nogach. Upadliśmy i zupełnie spontanicznie przyjęliśmy pozycję śnienia.

Natychmiast ocknąłem się w swoim mieszkaniu. La Gorda obudziła się w swojej sypialni.

Pierwsze, co powiedziałem jej po obudzeniu, było to, że wcześniej już kilka razy widziałem tę jałową krainę. Odwiedziłem przynajmniej dwie jej części. Jedna była zupełnie płaska, a druga pokryta małymi, podobnymi do wydm pagórkami. Mówiąc o tym, uświadomiłem sobie, że zupełnie nie zawracałem sobie głowy sprawdzaniem, czy mieliśmy tę samą wizję. Przerwałem relację i powiedziałem, że poniosły mnie emocje – zachowuję się tak, jakbyśmy porównywali wrażenia z wakacyjnej podróży.

– Już za późno na takie rozmowy – westchnęła la Gorda – ale jeśli ma cię to uszczęśliwić, to mogę ci powiedzieć, co widzieliśmy.

Cierpliwie opisała wszystko, co widzieliśmy, mówiliśmy i robiliśmy. Dodała, że ona także była tam już wcześniej. Wiedziała na pewno, iż jest to ziemia niczyja, przestrzeń odgradzająca świat, który znamy, od innego.

– To jest obszar między równoległymi liniami – ciągnęła. – Można tam wejść w śnieniu. Ale żeby opuścić ten świat i dojść do drugiego, do tego, który znajduje się za równoległymi liniami, musielibyśmy przejść przez ten obszar fizycznie.

Na myśl o cielesnym znalezieniu się na tej pustyni przebiegł mnie zimny dreszcz.

– Byliśmy tam już razem, ty i ja, w naszych fizycznych ciałach – ciągnęła la Gorda. – Nie pamiętasz?

Pamiętałem tylko tyle, że widziałem ten krajobraz dwukrotnie pod przewodnictwem don Juana. Za każdym razem uznałem to doświadczenie za nieistotne, bo było ono wywołane przez użycie halucynogennych roślin. Idąc za nakazami intelektu, uznałem je za swoje wizje, a nie wspólne doświadczenia. Nie przypominałem sobie, bym widział tę scenę w jakichś innych okolicznościach.

– Kiedy byliśmy tam razem z ciałami? – zapytałem.

– Nie wiem – odrzekła. – Przed chwilą, gdy powiedziałeś, że już tam kiedyś byłeś, wróciło do mnie niejasne wspomnienie. Myślę, że teraz twoja kolej, by mi pomóc przypomnieć to sobie do końca. Nie potrafię jeszcze przywołać wszystkich szczegółów, ale pamiętam, że Silvio Manuel zabrał na tę pustynię kobietę Naguala, ciebie i mnie. Tylko że nie wiem, po co nas tam zabrał. To nie było w śnieniu.

Przestałem ją słyszeć. Mój umysł zafiksował się na czymś, co jeszcze nie zostało wyartykułowane. Usiłowałem uporządkować chaos myśli. Przez chwilę miałem wrażenie, że cofam się w czasie o wiele lat i wracam do okresu, gdy nie potrafiłem jeszcze zatrzymać wewnętrznego dialogu. Potem mgła zaczęła się przejaśniać. Myśli porządkowały się bez mojego świadomego udziału i wróciła do mnie pełna pamięć wydarzenia, które już wcześniej częściowo zrekonstruowałem w jednym z nieskoordynowanych przebłysków wspomnień, jakie mi się przydarzały. La Gorda miała rację – kiedyś zabrano nas do obszaru, który don Juan nazywał “czyśćcem", najwyraźniej zapożyczając ten termin z dogmatów religijnych. Wiedziałem także, iż la Gorda się nie myli, twierdząc, że to nie było w śnieniu.

Wtedy, na prośbę Silvio Manuela, don Juan zebrał w jednym miejscu kobietę Naguala, la Gordę i mnie. Wyjaśnił mi, iż powodem naszego spotkania jest to, że zupełnie przypadkowo o własnych siłach dotarłem do szczególnego zakamarka świadomości, w którym mieści się najostrzejsza postać uwagi. Don Juan nazywał ten stan “lewą stroną lewej strony". Osiągałem go już wcześniej, ale tylko na bardzo krótko i zawsze pod jego przewodnictwem. Jedną z najważniejszych cech owego stanu, tą,

która miała największe znaczenie dla nas wszystkich, było to, że pozwalał dostrzec olbrzymi zwał żółtawych oparów, który don Juan nazywał “ścianą mgły". Za każdym razem, gdy udało mi się zobaczyć tę ścianę, znajdowała się po mojej prawej stronie i sięgała horyzontu, a w górę rozciągała się aż do samego nieba, dzieląc świat na dwoje. Gdy obracałem głowę, ściana mgły także przesuwała się na prawo lub lewo, tak że nigdy nie udało mi się stanąć twarzą do niej.

Tamtego dnia don Juan i Silvio Manuel rozmawiali ze mną o ścianie mgły. Przypomniałem sobie, że gdy Silvio Manuel skończył mówić, pochwycił la Gordę za kark jak kociaka i wraz z nią zniknął we mgle. Miałem tylko ułamek sekundy, by zauważyć ich zniknięcie, gdyż zaraz potem don Juanowi udało się jakimś sposobem postawić mnie twarzą do ściany. Nie podniósł mnie za kark, lecz wepchnął mnie w mgłę. W następnej chwili zobaczyłem przed sobą jałową równinę. Don Juan, Silvio Manuel, kobieta Nagual i la Gorda też tam byli. Nie obchodziło mnie, co robią. Bez reszty absorbowało mnie bardzo nieprzyjemne, złowieszcze wrażenie ucisku. Czułem znużenie, a trudności z oddychaniem doprowadzały mnie do szaleństwa. Zauważyłem, że znajduję się w dusznej, żółtej jaskini o niskim stropie. Fizyczne wrażenie ucisku stało się tak silne, że nie mogłem oddychać. Zdawało mi się, że wstrzymane zostały wszystkie fizyczne funkcje Mojego organizmu – nie miałem czucia w żadnej części ciała. Mogłem się jednak poruszać, chodzić, wyciągnąć ramiona, obrócić głowę. Położyłem dłonie na udach – nie czułem ani dłoni, ani ud. Widziałem swoje nogi i ręce, ale ich nie czułem.

Wiedziony bezgranicznym strachem szarpnąłem kobietę Naguala za ramię, aż straciła równowagę. Ale to nie siła moich mięśni ją pociągnęła. Była to moc wywodząca się z samego centrum ciała, nie z mięśni ani kośćca.

Chcąc jeszcze raz poczuć tę siłę, szarpnąłem z kolei la Gordę. Zachwiała się i wtedy uświadomiłem sobie, że energia, której używam, pochodzi z patykowatej wypustki, która wyrosła ze środka mojego ciała i wyciągnęła się w stronę kobiet jak czułek.

Wszystko to trwało zaledwie krótką chwilę. Zaraz potem znów znalazłem się w sidłach fizycznego cierpienia i strachu. Spojrzałem na Silvia Manuela, milcząco błagając go o pomoc. Jego wzrok przekonał mnie jednak, że jestem zgubiony. Oczy miał zimne i obojętne. Don Juan odwrócił się do mnie plecami. Przebiegł mnie dreszcz niewyobrażalnego fizycznego strachu. Wydawało mi się, że krew w moich żyłach wrze. Nie było mi gorąco, ale czułem, że wewnętrzne ciśnienie w moim ciele rośnie i za chwilę eksploduję.

Don Juan kazał mi się rozluźnić i poddać śmierci. Powiedział, że muszę tu pozostać, aż umrę. Mogę umrzeć spokojnie, jeśli zdobędę się na wielki wysiłek i pozwolę, by strach całkowicie mną zawładnął, albo też, jeśli będę z nim walczył, umrę cierpiąc.

Silvio Manuel także się do mnie odezwał, co nieczęsto się zdarzało. Powiedział, że energia, której potrzebuję do zaakceptowania strachu, znajduje się w centrum mojego ciała i jeśli chcę osiągnąć sukces, muszę się uspokoić, poddać bez poddawania.

Kobieta Nagual i la Gorda zachowywały absolutny spokój. Tylko ja umierałem. Silvio Manuel powiedział, że tracę zbyt wiele energii, dlatego mój koniec nadejdzie szybko i właściwie mogę już się uważać za martwego. Don Juan gestem nakazał kobiecie Nagualowi i la Gordzie iść za sobą. Odwróciły się do mnie plecami i przestałem je widzieć. Poczułem potężną wibrację przebiegającą przez całe ciało. Uznałem ją za przedśmiertny dreszcz – moja walka była zakończona. Nic mnie już nie obchodziło. Poddałem się niezmiernemu przerażeniu, które mnie zabijało. Moje ciało, czy też konfiguracja, którą za nie uważałem, rozluźniło się i poddało śmierci. Gdy wpuściłem strach do wnętrza, czy może raczej pozwoliłem mu wyjść na zewnątrz, poczułem i zobaczyłem, że z mojego ciała wychodzi rozrzedzona mgła – biaława plama widoczna na tle otoczenia o barwie siarki.

Don Juan stanął obok mnie i przyjrzał mi się z ciekawością. Silvio Manuel odsunął się i znów pochwycił la Gordę za kark. Wyraźnie widziałem, jak wrzuca ją niby wielką szmacianą lalkę w ścianę mgły, a po chwili sam w niej znika.

Kobieta Nagual gestem zachęciła mnie do wejścia w mgłę. Postąpiłem w jej stronę, ale zanim zdążyłem do niej podejść, don Juan popchnął mnie tak mocno, że przeleciałem przez grubą ścianę mgły. Nie musiałem się przez nią przepychać – prześliznąłem się gładko i upadłem głową naprzód na ziemię w zwykłym świecie.

Gdy opowiedziałem o tym la Gordzie, powoli przypomniała sobie całe wydarzenie. Na koniec dorzuciła jeszcze kilka szczegółów.

– Kobieta Nagual i ja nie obawiałyśmy się o twoje życie – powiedziała. – Nagual wyjaśnił nam wcześniej, że trzeba cię zmusić, byś puścił to, czego się trzymasz, i że to nie jest nic nowego. Każdego wojownika mężczyznę trzeba do tego zmusić strachem. Silvio Manuel wcześniej już

trzykrotnie zabierał mnie za tę ścianę, żebym nauczyła się rozluźniać. Powiedział, że moja swoboda powinna na ciebie wpłynąć, i rzeczywiście tak się stało. Poddałeś się i rozluźniłeś.

– Czy tobie także trudno było nauczyć się rozluźniać? – zapytałem.

– Nie. Dla kobiety to pestka – odrzekła. – To nasza Przewaga. Jedyny problem polega na tym, że trzeba nas przenieść przez mgłę. Nie potrafimy przejść przez nią same.

– Dlaczego?

– Bo trzeba być bardzo ciężkim, żeby przebić się przez mgłę, a kobieta jest lekka. Za lekka.

– A co z kobietą Nagualem? Nie widziałem, żeby ktoś ją przenosił.

– Kobieta Nagual jest wyjątkowa – wyjaśniła la Gorda. – Ona wszystko potrafiła zrobić sama. Mogłaby zabrać tam mnie albo ciebie. Mogłaby nawet przejść przez tę pustynną równinę. Nagual powiedział, że musi to zrobić każdy podróżnik, który wypuszcza się w nieznane.

– Dlaczego kobieta Nagual tam ze mną poszła?

– Silvio Manuel zabrał nas po to, żebyśmy cię wspierały – wyjaśniła. – Uważał, że musisz mieć po bokach dwie kobiety i dwóch mężczyzn, żeby cię chronili. Sądził, że potrzebujesz ochrony przed zaczajonymi na tej pustyni istotami, które ją zamieszkują. Z tej pustynnej równiny pochodzą sprzymierzeńcy, a także inne istoty, jeszcze bardziej niebezpieczne.

– Czy ty także byłaś chroniona?

– Ja nie potrzebowałam ochrony. Jestem kobietą i jestem wolna od tego wszystkiego. Ale wszyscy uważaliśmy, że ty znalazłeś się w okropnej sytuacji. Byłeś Nagualem, ale bardzo głupim. Wydawało nam się, że każdy z tych groźnych sprzymierzeńców – jeśli wolisz, możesz ich nazywać demonami – może cię zmiażdżyć albo rozerwać na kawałki. Tak powiedział Silvio Manuel. Zabrał nas po to, żebyśmy strzegli cię z czterech stron. Ale najdziwniejsze było to, że ani Nagual, ani Silvio Manuel nie wiedzieli, iż nie będziesz nas potrzebował. Mieliśmy przejść kawałek, aż opadniesz z sił. Potem Silvio Manuel chciał cię przestraszyć, pokazując ci sprzymierzeńców i prowokując ich, by ruszyli za tobą. On i Nagual mieli zamiar po jakimś czasie przyjść ci z pomocą. Taka jest zasada. Ale coś poszło nie tak. W chwili, gdy się tam znalazłeś, oszalałeś. Nie zrobiłeś ani kroku, a już zacząłeś umierać. Byłeś śmiertelnie przerażony, chociaż nawet jeszcze nie zobaczyłeś sprzymierzeńców. Silvio Manuel powiedział mi, że nie ma pojęcia, co zrobić, dlatego szepnął ci do ucha coś, czego absolutnie nie powinien był ci mówić. Kazał ci ustąpić, poddać się bez poddawania. Natychmiast się uspokoiłeś i to o własnych siłach, więc nie musieli robić nic z tego, co planowali. Nagual i Silvio Manuel nie mieli tam nic do roboty, musieli tylko zabrać nas z powrotem.

Powiedziałem la Gordzie, że gdy wróciłem na ten świat, obok mnie był ktoś, kto pomógł mi się podnieść. Tyle tylko potrafiłem sobie przypomnieć.

– Byliśmy w domu Silvia Manuela – wyjaśniła. – Teraz przypominam sobie bardzo wiele. Ktoś mi mówił, nie pamiętam kto, że Silvio Manuel znalazł ten dom i kupił go, bo był zbudowany na miejscu mocy. Ale ktoś inny mówił, że Silvio Manuel znalazł ten dom, kupił go, bo dom mu się spodobał, a potem sprowadził tam miejsce mocy. Myślę, że to on sprowadził tam moc. Mam wrażenie, że jego nieskazitelność utrzymywała moc w tym domu tak długo, dopóki mieszkał tam on sam i jego towarzysze. Gdy musieli odejść, moc tego miejsca zniknęła wraz z nimi, a dom stał się tym, czym był, zanim Silvio Manuel go kupił – zwykłym budynkiem.

W miarę jak la Gorda opowiadała, mój umysł rozjaśniał się coraz bardziej, nie na tyle jednak, by odkryć przede mną, co takiego się nam w tym domu przydarzyło, że napełniało mnie takim smutkiem. Nie wiedziałem, dlaczego, ale byłem pewien, że ma to związek z kobietą Nagualem. Gdzie ona jest teraz?

Gdy zadałem to pytanie la Gordzie, nie odpowiedziała. Nastąpiła długa chwila ciszy, a potem la Gorda przeprosiła mnie, mówiąc, że musi przygotować śniadanie. Był już ranek. Zostałem sam z cierpiącym, ciężkim sercem. Zawołałem ją. Rozzłościła się i zaczęła rzucać garnkami o podłogę. Rozumiałem, dlaczego.

Podczas kolejnej sesji wspólnego śnienia weszliśmy jeszcze głębiej w niuanse drugiej uwagi. Było to kilka dni później. Chociaż zupełnie się tego nie spodziewaliśmy, odnaleźliśmy się bez wysiłku. La Gorda trzy czy cztery razy bezskutecznie próbowała spleść swoje ramię z moim. Powiedziała coś do mnie, ale nie mogłem zrozumieć jej słów. Wiedziałem jednak, że chce powiedzieć, iż znowu jesteśmy w śniących dalach, i przypomnieć mi, bym wyprowadzał wszystkie ruchy ze środka ciała.

Podobnie jak przy ostatniej próbie, naszym oczom nie ukazała się żadna wyśniona scena, lecz wydawało mi się, że rozpoznaję miejsce, które widywałem w swoim śnieniu niemal każdego dnia przez ponad rok – była to dolina tygrysa szablozębego.

Przeszliśmy kilka jardów. Tym razem nasze ruchy nie były już tak nierówne i urywane. Poruszaliśmy się, używając energii z brzucha, nie siły mięśni. Irytował mnie brak wprawy – czułem się tak, jakbym pierwszy raz w życiu próbował jeździć na rowerze. Szybko się zmęczyłem, wypadłem z rytmu, zacząłem się wahać i straciłem pewność siebie. Zatrzymaliśmy się. La Gorda także nie potrafiła skoordynować swoich ruchów.

Potem zaczęliśmy się przyglądać otoczeniu. Wszystko wydawało się bezdyskusyjnie rzeczywiste, w każdym razie dla oczu. Znajdowaliśmy się na nierównym terenie porośniętym dziwnymi roślinami. Zauważyłem dziwne, nie znane mi krzewy, wysokie na pięć do sześciu stóp, przypominające małe drzewka. Miały niewiele liści, grubych, płaskich i żółtozielonych, i wielkie, oszałamiające ciemnobrązowe kwiaty w złote prążki. Łodyżki nie były zdrewniałe, lecz wydawały się lekkie i wiotkie jak trzciny; pokrywały je długie, groźne ciernie podobne do igieł. Patrząc na zwiędłe kwiaty, które opadły na ziemię, odniosłem wrażenie, że łodyżki są puste w środku.

Ziemia była bardzo ciemna i wyglądała na wilgotną. Chciałem się pochylić, by jej dotknąć, ale nie udało mi się poruszyć. La Gorda gestem nakazała mi wyprowadzić ruch ze środka ciała. Gdy tak zrobiłem, nie musiałem się pochylać, by dotknąć ziemi – okazało się, że mam w sobie coś w rodzaju czułka, którego mogę użyć. Nie potrafiłem jednak określić, co czuję. Nie było żadnych konkretnych wrażeń zmysłowych, które by mi w tym pomogły. Ziemia, której dotykałem, wydawała się zwykłą glebą. Nie odczuwałem tego dotykiem, ale jakby esencją wzroku. Wtedy pojawił się problem natury intelektualnej. Dlaczego śnienie wydawało się tak wyraźnie powiązane ze zmysłem wzroku? Czy dlatego, że wrażenia wizualne dominowały w zwyczajnym życiu? Pytania te były jednak nieistotne. Nie znałem odpowiedzi, a takie dociekania jedynie osłabiały moją drugą uwagę.

Z tych rozważań wyrwała mnie la Gorda, wpadając na mnie całym ciałem. Poczułem coś w rodzaju uderzenia. Zadrżałem. La Gorda wskazała coś, co znajdowało się przed nami. Tygrys szablozęby leżał jak zwykle na skalnym grzbiecie, gdzie zawsze go widywałem. Podchodziliśmy coraz bliżej, aż znaleźliśmy się o jakieś sześć stóp od skalnej półki i musieliśmy podnieść głowy, żeby go zobaczyć. Gdy się zatrzymaliśmy, tygrys wstał. Jego rozmiary były imponujące, szczególnie szerokość klatki piersiowej.

Wiedziałem, że la Gorda chce, byśmy przekradli się Wokół wzgórza, omijając tygrysa. Chciałem jej powiedzieć, że to może być niebezpieczne, ale nie wiedziałem, w jaki sposób jej to przekazać. Tygrys wyglądał na pobudzonego i rozgniewanego. Przysiadł na tylnych łapach, jakby przygotowywał się do skoku na nas. Byłem Przerażony.

La Gorda odwróciła się do mnie z uśmiechem. Zrozumiałem, że chce mi przekazać, bym się nie poddawał panice, bo tygrys jest jedynie widmem. Ruchem głowy kazała mi iść dalej. Ja jednak na jakimś głębokim poziomie wiedziałem, że tygrys jest bytem, może nie w tym znaczeniu, do jakiego przywykliśmy na co dzień, lecz mimo to rzeczywistym. A ponieważ la Gorda i ja byliśmy w stanie śnienia, straciliśmy własną materialność i w tej chwili znajdowaliśmy się na jednej płaszczyźnie z tygrysem – my także istnieliśmy jako widma.

La Gorda upierała się, by podejść jeszcze bliżej, więc postąpiliśmy kolejny krok do przodu. Tygrys zeskoczył ze skały. Zobaczyłem, jak jego ogromne ciało szybuje w powietrzu, prosto na mnie. Straciłem poczucie, że to tylko śnienie – tygrys był realny i wiedziałem, że za chwilę rozszarpie mnie na strzępy. Dokoła mnie rozbłysła feeria świateł, obrazów i niezwykle jaskrawych barw. Ocknąłem się we własnym mieszkaniu.

Gdy zaczęliśmy osiągać coraz lepsze wyniki we wspólnym śnieniu, zdobyłem pewność, że umocniliśmy w sobie wewnętrzny dystans i nie musimy się już śpieszyć. Jednak to nie efekty wysiłków były motorem naszego działania, lecz podświadomy przymus, który motywował nas do nieskazitelnego postępowania bez żadnej nadziei na nagrodę. Kolejne sesje przypominały pierwszą, różniły się od niej jedynie tym, że teraz szybko i bez kłopotów wchodziliśmy w drugi etap śnienia – dynamiczne czuwanie.

Wspólne śnienie szło nam tak dobrze, że z powodzeniem powtarzaliśmy je każdego wieczoru. Choć nie mieliśmy takich intencji, okazało się, że nasze śnienie skupia się na trzech tematach: piaszczystych wydmach, królestwie tygrysa szablozębego oraz, co najważniejsze, na zapomnianych wydarzeniach z przeszłości.

Gdy sceny, które się nam ukazywały, dotyczyły przeszłych zdarzeń, w których obydwoje odgrywaliśmy ważną rolę, la Gorda nie miała żadnych problemów ze spleceniem naszych ramion. Ten gest dawał mi irracjonalne poczucie bezpieczeństwa. La Gorda twierdziła, że zaspokaja on moją potrzebę zagłuszenia poczucia skrajnej samotności, której przyczyną jest wejście w drugą uwagę. Jej zdaniem splecenie ramion pozwalało na obiektywizm, dzięki czemu potrafiliśmy obserwować to, co odbywa się przed naszymi oczami. Czasami czuliśmy przymus wzięcia udziału w akcji. Kiedy indziej pozostawaliśmy tylko biernymi, obiektywnymi widzami i patrzyliśmy na to, co się przed nami dzieje, jak gdyby siedząc w kinie.

Gdy odwiedzaliśmy piaszczyste wydmy albo królestwo tygrysa, nie potrafiliśmy spleść ramion. W tych miejscach nigdy nie robiliśmy dwa razy tego samego. Nie obmyślaliśmy naszych działań z góry – były one spontaniczną reakcją na nowe sytuacje.

Zdaniem la Gordy prawie wszystkie sesje naszego wspólnego śnienia można było zgrupować w trzy kategorie. Pierwsza, o wiele liczniejsza od pozostałych, obejmowała na nowo ożywione wydarzenia, w których kiedyś razem braliśmy udział. Druga była wspólnie dokonywanym przeglądem tego, co “przeżyłem" ja sam – do tej kategorii należała kraina tygrysa szablozębego. Trzecia grupa obejmowała rzeczywiste odwiedziny w obszarze, który istniał w takiej postaci, w jakiej widzieliśmy go w chwili wizyty. La Gorda twierdziła, że żółte pagórki istnieją tu i teraz, w takim właśnie kształcie pojawiają się przed każdym wojownikiem, który się w nie zapuści.

Jedno tylko było dla mnie niezrozumiałe. Obydwoje byliśmy kiedyś połączeni tajemniczymi więzami z ludźmi, o których potem zapomnieliśmy. Powody tej utraty pamięci były dla nas niepojęte, ale faktem było, iż znaliśmy tych ludzi naprawdę. Z drugiej strony tygrys szablozęby był postacią z mojego śnienia. Nie mieściło mi się w głowie, jak te dwie rzeczy mogą należeć do tej samej kategorii.

Zanim jednak zdążyłem wyartykułować swoje wątpliwości, otrzymałem odpowiedź. Miałem wrażenie, że la Gorda siedzi w mojej głowie i czyta w moich myślach jak w książce.

– A jednak należą do tej samej grupy – powiedziała, śmiejąc się nerwowo. – Nie potrafimy wyjaśnić, dlaczego zapomnieliśmy ani jak to się stało, że teraz sobie przypominamy. Niczego nie potrafimy wyjaśnić. Tygrys szablozęby jest gdzieś tam. Nigdy się nie dowiemy, gdzie. Ale dlaczego mielibyśmy się martwić wydumaną niekonsekwencją? Uznanie jednej z tych rzeczy za fakt, a drugiej za śnienie nie ma żadnego znaczenia dla drugiego ja.

La Gorda i ja używaliśmy wspólnego śnienia jako sposobu na dotarcie do świata ukrytych wspomnień. Wspólne śnienie umożliwiało nam przywołanie wydarzeń, do których nasza pamięć wywodząca się ze zwykłego życia nie miała dostępu. Gdy omawialiśmy te wydarzenia na jawie, przypominały się nam coraz to nowe szczegóły. W ten sposób udało nam się, jeśli mogę użyć tego słowa, ekshumować masy głęboko pogrzebanych wspomnień. Potrzebne były prawie dwa lata kolosalnych wysiłków i koncentracji, byśmy mogli bodaj w minimalnym stopniu zrozumieć, co nam się właściwie przydarzyło.

Don Juan mówił nam kiedyś, że istota ludzka składa się z dwóch części. Prawa strona, którą nazywał tonalem, obejmuje wszystko, co potrafi ogarnąć intelekt. Lewa, czyli nagual, to domena cech nieopisywalnych; dziedzina, której nie sposób określić słowami. Możliwe, że lewą stronę można zrozumieć, o ile zrozumienie jest tu właściwym słowem, jedynie przy użyciu ciała, toteż opiera się ona konceptualizacji.

Don Juan mówił nam także, że źródło wszystkich umiejętności, możliwości i dokonań w czarach, od najprostszych do najbardziej zdumiewających, leży właśnie w ludzkim ciele.

Opierając się na założeniu, że jesteśmy podzieleni na dwoje i że wszystko zawiera się w samym ciele, la Gorda przedstawiła teorię wyjaśniającą nasze wspomnienia. Jej zdaniem przez te wszystkie lata, gdy trwał nasz związek z Nagualem Juanem Matusem, czas, który z nim spędzaliśmy, był podzielony między stan normalnej świadomości, prawą stronę, czyli tonal, w którym przeważa pierwsza uwaga, oraz stan wzmożonej świadomości, lewą stronę, czyli nagual – siedzibę drugiej uwagi.

La Gorda doszła do wniosku, że wysiłki Naguala Juana Matusa miały nas wprowadzić w drugie ja poprzez kontrolę drugiej uwagi osiąganą w śnieniu. Don Juan doprowadzał nas do bezpośredniego kontaktu z naszą drugą uwagą także przez manipulacje fizyczne. La Gorda przypomniała sobie, że zmuszał ją do przechodzenia z jednej strony na drugą, popychając ją lub masując jej plecy. Mówiła, że czasami zadawał jej mocny cios w prawą łopatkę albo tuż obok, wskutek czego wchodziła w stan niezwykłej jasności umysłu. Wydawało jej się, że w tym stanie wszystko odbywa się szybciej, chociaż świat pozostawał taki sam.

Wiele tygodni później przypomniałem sobie, że ze mną było tak samo. Często zdarzało się, że don Juan uderzał mnie w plecy. Zawsze czułem to uderzenie wysoko na kręgosłupie, między łopatkami. Potem miałem przypływ niezwykłej jasności umysłu. Świat pozostawał taki sam, ale ostrzejszy. Każdą rzecz postrzegałem osobno, w izolacji od pozostałych. Możliwe, że uderzenie don Juana przytępiało moją umiejętność logicznego myślenia i dlatego moje postrzeganie nie było niczym zakłócone.

Pozostawałbym w tym stanie w nieskończoność, gdyby don Juan nie przywracał mnie do zwykłej świadomości, po raz drugi uderzając w to samo miejsce. Nigdy mnie nie popychał ani nie masował. Zawsze było to bezpośrednie, mocne uderzenie – nie pięścią, raczej coś W rodzaju policzka wymierzonego płaską dłonią, cios, po którym przez ułamek sekundy brakowało mi tchu. Zatykało mnie i musiałem szybko łapać duże hausty powietrza, by wyrównać oddech.

La Gorda stwierdziła, że z nią było podobnie: uderzenie Naguala wybijało jej całe powietrze z płuc i musiała oddychać bardzo głęboko, by znów je napełnić. Jej zdaniem oddech był tu najważniejszym czynnikiem. Sądziła, że najistotniejsze były hausty powietrza, które musiała zaczerpnąć po uderzeniu, ale nie potrafiła wyjaśnić, w jaki sposób oddech mógł wpłynąć na jej świadomość i postrzeganie. Powiedziała także, że don Juan nigdy nie przywracał jej do normalnej świadomości kolejnym uderzeniem – wracała do niej o własnych siłach, chociaż nie wiedziała, jak.

Te spostrzeżenia wydały mi się ważne. W dzieciństwie, a także w dorosłym życiu, od czasu do czasu zdarzało mi się upaść na plecy tak, że wychodziło ze mnie całe powietrze. Ale skutki uderzeń don Juana były zupełnie inne, choć po nich także traciłem oddech. Nie sprawiały mi one bólu; nie potrafię opisać tego uczucia. Najbliższe prawdy byłoby stwierdzenie, że wywoływały wrażenie suchości. Uderzenia w plecy jakby wysuszały moje płuca, a zatykały wilgocią wszystkie pozostałe narządy. Potem, jak zauważyła la Gorda, wszystko, co po uderzeniu Naguala pogrążało się we mgle, gdy zaczynałem na nowo oddychać, stawało się kryształowo przejrzyste. Wyglądało na to, że oddech jest tu katalizatorem, najważniejszym czynnikiem.

Ten sam proces powtarzał się w odwrotnej kolejności, gdy wracałem do normalnego stanu. Znów uchodziło ze mnie powietrze i świat okrywał się mgłą, a po napełnieniu płuc obraz na nowo się krystalizował.

Inną cechą stanu wzmożonej świadomości było nieporównane bogactwo relacji ze światem, bogactwo, które nasze ciała odczuwały jako wrażenie przyśpieszenia. Przechodząc w jedną i w drugą stronę, z prawej na lewą i z powrotem, mieliśmy okazję uświadomić sobie, że po prawej stronie za dużo energii i czasu pochłaniają działania i relacje związane z codziennym życiem. Z kolei po lewej stronie istnieje organiczna potrzeba szybkości i oszczędności.

Żadne z nas nie potrafiło określić, czym naprawdę jest ta szybkość. Mogłem jedynie powiedzieć, że będąc po lewej stronie, chwytałem istotę rzeczy precyzyjnie i bezpośrednio. Wszelka aktywność wolna była od wstępów i przygotowań. Działałem i odpoczywałem; szedłem do przodu i cofałem się bez żadnych charakteryzujących mnie zazwyczaj procesów myślowych. To właśnie rozumieliśmy jako przyśpieszenie.

W pewnej chwili zdaliśmy sobie sprawę z tego, że będąc po lewej stronie, nie uświadamialiśmy sobie bogactwa naszej percepcji. To, co wtedy przeżywaliśmy, nabrało intensywności dopiero we wspomnieniach. Teraz zrozumieliśmy, że znajdując się w stanie wzmożonej świadomości, postrzegaliśmy wszystko jako jeden zlepek, masę splątanych, powiązanych ze sobą szczegółów. Tę umiejętność postrzegania wszystkiego jednocześnie nazwaliśmy intensywnością. Przez całe lata nie udawało nam się oddzielić od siebie poszczególnych składników tych zlepków doświadczenia ani nie potrafiliśmy zsyntetyzować ich w ciąg, który dałoby się zrozumieć za pomocą intelektu. Ponieważ nie potrafiliśmy dokonać syntezy, nie pamiętaliśmy. Nasza niezdolność pamiętania polegała w gruncie rzeczy na tym, że nie byliśmy w stanie ustawić wspomnień o tym, czego doświadczyliśmy, w linearnym porządku. Jeśli mogę się tak wyrazić, nie potrafiliśmy ich rozprostować i ułożyć w porządku chronologicznym. Mieliśmy dostęp do tych doświadczeń, ale jednocześnie nie potrafiliśmy ich odzyskać, gdyż zablokowane były przez mur intensywności.

Zadanie odzyskania pamięci zasadniczo polegało więc na połączeniu naszej lewej i prawej strony, stopieniu tych dwóch oddzielnych sposobów postrzegania w jednolitą całość. Musieliśmy skonsolidować siebie, odzyskać pełnię, a sposobem na to było ustawienie elementów składowych intensywności w porządku linearnym.

Przyszło nam do głowy, że wydarzenia, które pamiętaliśmy, mogły nie trwać długo w kategoriach czasu mierzonego zegarem. Nasze wrażenie upływu długiego czasu mogło pochodzić stąd, że postrzegaliśmy wówczas wszystko w kategoriach intensywności. La Gorda stwierdziła, że gdyby udało

nam się rozsupłać intensywność i poustawiać wszystko w porządku linearnym, bylibyśmy szczerze przekonani, że przeżyliśmy tysiąc lat.

Pragmatycznym działaniem, jakie wykonał don Juan, by dopomóc nam w odzyskaniu pamięci, było to, ze w czasie, gdy znajdowaliśmy się w stanie wzmożonej świadomości, zmusił nas do kontaktów z pewnymi osobami. Bardzo dbał o to, byśmy nigdy się z tymi ludźmi nie spotkali w stanie normalnej świadomości. W ten sposób stworzył nam odpowiednie warunki do odzyskania pamięci.

Gdy już zakończyliśmy proces przypominania, znaleźliśmy się w dziwacznym stanie. Odtworzyliśmy wszystkie szczegóły naszych kontaktów z don Juanem i jego towarzyszami. Nie były to wspomnienia tego rodzaju, jak na przykład reminiscencja jakiegoś epizodu z dzieciństwa; było to coś więcej niż tylko wyraźna, określona co do minuty rekonstrukcja wydarzeń. Odtworzyliśmy rozmowy, które wciąż dźwięczały nam w uszach, jakbyśmy je słyszeli w tej chwili. Czuliśmy, że rozważania o tym, co się z nami właściwie dzieje, nie mają najmniejszego sensu. To, co sobie przypomnieliśmy, z punktu widzenia aktywnej świadomości miało miejsce teraz. Taki był właśnie charakter tych wspomnień.

W końcu udało nam się odpowiedzieć na pytania, które tak bardzo nas dręczyły. Przypomnieliśmy sobie, kim była kobieta Nagual, jakie miejsce zajmowała w naszej grupie i jaka była jej rola. Raczej wydedukowaliśmy, niż przypomnieliśmy sobie, że spędzaliśmy mniej więcej taką samą ilość czasu z don Juanem i don Genarem w normalnym stanie świadomości, co z don Juanem i innymi jego towarzyszami w stanie świadomości wzmożonej. Przypomnieliśmy sobie każdy szczegół tych kontaktów, dotychczas przesłoniętych zasłoną intensywności. Przyjrzeliśmy się uważnie wszystkiemu, czego się dowiedzieliśmy, i uświadomiliśmy sobie, że udało nam się zbudować szkielet mostu między dwiema stronami naszych osobowości. Następnie zwróciliśmy się ku innym zagadnieniom, nowym pytaniom, które pojawiły się w miejsce rozwiązanych już problemów. Obszar naszych zainteresowań można było podsumować w trzech punktach, trzech pytaniach. Kim był don Juan i jego towarzysze? Co naprawdę z nami zrobili? I dokąd wszyscy odeszli?

9. REGUŁA NAGUALA

Don Juan bardzo oszczędnie udzielał informacji dotyczących swojego pochodzenia i życia osobistego. Jego powściągliwość była zasadniczo środkiem dydaktycznym – uważał, że jego życie się zaczęło, gdy został wojownikiem, a wszystko, co zdarzyło mu się wcześniej, miało bardzo niewielkie znaczenie.

La Gorda i ja wiedzieliśmy o początkach jego życia tylko tyle, że urodził się w Arizonie, a jego rodzice byli Indianami z plemion Yaqui i Yuma. Gdy był jeszcze niemowlęciem, jego rodzina przeprowadziła się do północnego Meksyku, dołączając do mieszkających tam Indian Yaqui. Jako dziesięciolatek dostał się w wir wojen Yaqui. Jego matka zginęła, a ojca aresztowała armia meksykańska. Don Juan został zesłany wraz z ojcem do centrum relokacji w najdalej wysuniętym na południe stanie Jukatan. Tam się wychował.

Nigdy nie ujawnił, co się z nim działo wówczas. Uważał, że nie ma potrzeby nam o tym opowiadać. Ja byłem innego zdania. Przydawałem wielkiego znaczenia temu okresowi jego życia, byłem bowiem przekonany, że najważniejsze cechy jego charakteru oraz skłonność do podkreślania własnej przywódczej roli miały źródło w jego ówczesnych przeżyciach.

Lecz to nie ten zasób doświadczeń, jakkolwiek mógł on być bardzo istotny, sprawił, że don Juan stał się w naszych oczach, a także w oczach innych swoich towarzyszy tak ważną postacią. Jego wyjątkowa pozycja opierała się na przypadkowym uczestnictwie w “regule".

Uczestnictwo w regule można określić jako życie mitem. Don Juan żył mitem, który go pochwycił i uczynił z niego Naguala.

Don Juan opowiadał, że wtedy, gdy pochwyciła go reguła, był agresywnym buntownikiem żyjącym na wygnaniu, podobnie jak żyły w tym czasie tysiące Indian Yaqui z północnego Meksyku. Pracował na plantacjach tytoniu na południu. Pewnego dnia po pracy posprzeczał się z innym robotnikiem o pieniądze i otrzymał niemal śmiertelny postrzał w pierś. Gdy odzyskał świadomość, zobaczył pochylonego nad sobą starego Indianina, który dłubał mu palcem w niewielkiej ranie w piersi. Kula nie

przebiła klatki piersiowej, lecz utkwiła w mięśniu przy żebrach. Don Juan dwa czy trzy razy tracił przytomność z powodu szoku, utraty krwi, oraz, jak sam twierdził, ze strachu przed śmiercią. Stary Indianin wyjął kulę, a ponieważ don Juan nie miał się gdzie podziać, zabrał go do swojego domu i pielęgnował ponad miesiąc.

Stary Indianin był uprzejmy, lecz surowy. Pewnego dnia, gdy don Juan w znacznym stopniu odzyskał już siły i dochodził do zdrowia, stary człowiek uderzył go mocno w plecy i przeniósł w stan podwyższonej świadomości. Potem bez żadnych wstępów ujawnił przed nim tę część reguły, która mówiła o Nagualu i jego roli.

Don Juan zrobił to samo ze mną i z la Gordą – zmusił nas do przejścia na inny poziom świadomości i wyrecytował nam regułę Naguala w następujących słowach:

Moc, która rządzi przeznaczeniem wszystkich żyjących istot, nazywana jest Orłem, nie dlatego, by była orłem czy miała z nim coś wspólnego, lecz dlatego, że dla oczu widzącego ma kształt olbrzymiego, czarnego jak węgiel orła, stoi wyprostowana jak orzeł i sięga w górę nieskończenie wysoko.

Gdy widzący wpatruje się w czerń, którą jest Orzeł, jego postać odkrywają cztery rozbłyski ognia. Pierwszy, podobny do błyskawicy, pozwala obserwatorowi dostrzec kontury Orła, który ma na ciele plamy bieli, przypominające orle pióra, i szpony. Drugi rozbłysk ukazuje podobną do orlich skrzydeł czerń – łopocząc, stwarza ona wiatr. Przy trzeciej błyskawicy obserwator widzi przenikliwe, nieludzkie oko. A czwarty i ostatni rozbłysk odkrywa przed nim poczynania Orła.

Orzeł pożera świadomość wszystkich żyjących na ziemi istot, które w chwili śmierci lecą w stronę jego dzioba jak nie kończące się stado świetlików, by spotkać się ze swym właścicielem, przyczyną, która dała im życie. Orzeł rozplątuje te malutkie ogniki, rozkłada je przed sobą tak, jak garbarz rozciąga wyprawianą skórę, a potem je pochłania, gdyż świadomość jest jego pożywieniem.

Orzeł, moc rządząca przeznaczeniem wszelkich żyjących istot, jednakowo i jednocześnie je wszystkie odzwierciedla. Dlatego ludzkie modlitwy do Orła, prośby o względy i nadzieja na łaskę nie mają żadnego sensu. Ludzka część Orła jest zbyt mała, by mogła poruszyć całość.

Jedynie według czynów Orła obserwator może określić jego intencje. Choć Orła nie porusza sytuacja żadnej żywej istoty, każdej z nich przyznał jakiś dar. Każda z nich, jeśli zechce, ma prawo na własny sposób zachować płomień świadomości, każda ma moc, by nie usłuchać wezwania do śmierci i nie dać się pochłonąć. Każda żywa istota, jeśli tego zapragnie, może poszukać szczeliny prowadzącej do wolności i prześliznąć się przez nią. Dla obserwatora, który widzi tę szczelinę, a także dla istot, które przez nią przechodzą, jest oczywiste, że Orzeł przyznał ten dar po to, by świadomość przetrwała.

By doprowadzić żywe istoty do tej szczeliny, Orzeł stworzył Naguala. Nagual jest podwójną istotą, której została ujawniona reguła. Czy przybierze on postać człowieka, zwierzęcia, rośliny czy jakiejkolwiek innej żywej istoty, dzięki swojej podwójności Nagual czuje nieodpartą potrzebę szukania tego ukrytego przejścia.

Nagual występuje w parach: mężczyzna z kobietą. Podwójny mężczyzna i podwójna kobieta stają się Nagualem dopiero wtedy, gdy każde z nich pozna regułę, zrozumieją i w pełni zaakceptuje.

W oczach tego, który widzi, mężczyzna Nagual i kobieta Nagual wyglądają jak świetliste jajo z czterema przedziałami. W odróżnieniu od zwykłego człowieka, który ma tylko dwa przedziały, lewy i prawy, Nagual ma lewą stronę podzieloną na dwie długie części. Podobnie na dwoje podzieloną ma prawą stronę.

Orzeł stworzył pierwszego mężczyznę Naguala i kobietę Naguala jako widzących i natychmiast umieścił ich na świecie, by widzieli. Dał im cztery kobiety wojowników, które były zwiadowcami, trzech mężczyzn wojowników i jednego mężczyznę kuriera, by się nimi opiekowali, wzmacniali i doprowadzali ich do wolności.

Kobiety wojownicy to cztery strony świata, cztery rogi kwadratu, cztery nastroje, cztery wiatry, cztery typy kobiecych osobowości, jakie można spotkać wśród gatunku ludzkiego.

Pierwsza to wschód. Nazywana jest porządkiem. Jest optymistyczna, pogodna, gładka, wytrwała jak stały wietrzyk.

Druga to północ. Nazywana jest siłą. Jest pomysłowa, śmiała, bezpośrednia, nieustępliwa jak silny wiatr.

Trzecia to zachód. Nazywana jest uczuciem. Jest zamknięta w sobie, pełna skruchy, zręczna, przebiegła, jak zimny poryw wiatru.

Czwarta to południe. Nazywana jest wzrostem. Jest opiekuńcza, głośna, nieśmiała, ciepła, jak gorący wiatr.

Trzej mężczyźni wojownicy oraz kurier reprezentują cztery typy męskiej aktywności i temperamentu.

Pierwszy typ to człowiek, który dużo wie, uczony, szlachetny, odpowiedzialny, spokojnego usposobienia, bezgranicznie oddany wypełnieniu swego zadania, jakiekolwiek ono jest.

Drugi to człowiek czynu, bardzo wesoły, znakomity kompan, niestały i zmienny w nastrojach.

Trzeci typ to organizator, który pociąga za sznurki zza kulis, tajemniczy i nieprzenikniony. Nic nie można o nim powiedzieć, bo on sam nie pozwala, by jakiekolwiek wiadomości o nim przeniknęły na zewnątrz.

Kurier to czwarty typ. Jest to pomocnik, uparty, pochmurny człowiek, który radzi sobie bardzo dobrze, jeśli odpowiednio się nim pokieruje, ale nie potrafi działać na własną rękę.

Dla ułatwienia Orzeł pokazał mężczyźnie Nagualowi i kobiecie Nagualowi, że każdy z tych męskich i żeńskich typów występujących na świecie odznacza się specyficznymi cechami świetlistego ciała.

Uczony ma coś w rodzaju płytkiego wgłębienia, jasnego wklęśnięcia w miejscu, gdzie znajduje się splot słoneczny. U niektórych mężczyzn wygląda ono jak obszar intensywnej jasności, czasami jest gładkie i lśniące jak lustro, które nie odbija obrazu.

Człowiek czynu wyróżnia się emanacją włókien z obszaru woli. Liczba włókien waha się od jednego do pięciu, a ich wielkość – od cienkiej nici do grubej, przypominającej bicz wypustki, która może osiągać nawet osiem stóp długości. U niektórych ludzi nawet trzy włókna mogą się rozwinąć w wypustki.

Człowieka zza kulis można rozpoznać nie przez jakąś szczególną cechę, ale przez to, że zupełnie mimowolnie wytwarza on eksplozje mocy, które skutecznie blokują uwagę widzącego. W obecności tego typu mężczyzny widzący nie widzi wyraźnie, gdyż zbyt absorbują go nieistotne szczegóły.

Pomocnik nie odznacza się żadną wyraźną konfiguracją. Widzący postrzega go jako jasną, jednolitą otoczkę świetlistości.

W królestwie kobiet wschód rozpoznaje się po niemal Niedostrzegalnych plamach na świetlistej powierzchni, sprawiających wrażenie niewielkich odbarwień.

Północ promieniuje całą powierzchnią – emituje poblask czerwonawy jak żar.

Kobieta zachodu spowita jest rozrzedzoną otoczką, przez co wydaje się ciemniejsza od pozostałych.

Południe charakteryzuje się przerywanym blaskiem: przez chwilę lśni intensywnie, potem przygasa i znów się rozjaśnia.

W świetlistych ciałach kobiety Naguala i mężczyzny Naguala występują dwa rodzaje ruchu. Ich prawa strona faluje, a lewa wiruje.

Jeśli chodzi o osobowość, mężczyzna Nagual jest wspierający, stały, niezmienny. Kobieta Nagual jest wojownicza, a zarazem rozluźniona, zawsze czujna, lecz bez napięcia. Obydwoje odzwierciedlają jednocześnie wszystkie cztery typy i cztery sposoby zachowania swojej płci.

W pierwszej kolejności Orzeł nakazał mężczyźnie Nagualowi i kobiecie Nagualowi znaleźć następne cztery kobiety wojowników reprezentujące cztery strony świata – doskonałe odbicia pierwszej grupy, które jednak nie byłyby zwiadowcami, lecz śniącymi.

Dla widzącego śniący wyglądają, jakby na brzuchu mieli fartuszek włókien. Zwiadowcy także mają podobne fartuszki, ale składają się one nie z włókien, lecz z wielkiej liczby małych okrągłych guzków.

Osiem kobiet wojowników dzieli się na dwa szeregi, nazywane prawą i lewą planetą. Prawa planeta składa się z czterech zwiadowców, a lewa z czterech śniących. Orzeł przekazał wojownikom każdej planety regułę dotyczącą właściwych im zadań: zwiadowców nauczył skradania się, a śniące – śnienia.

Kobiety wojownicy mieszkają parami, po dwie reprezentujące ten sam kierunek. Są do siebie tak podobne, że wyglądają jak swoje lustrzane odbicia, i jedynie dzięki nieskazitelności potrafią odnaleźć wsparcie i wyzwanie w swojej odpowiedniczce.

Cztery kobiety zwiadowcy lub cztery śniące spotykają się jedynie wtedy, gdy mają do wypełnienia jakieś trudne zadanie, ale dłonie wolno im połączyć tylko w szczególnych okolicznościach, gdyż dotyk stapia je w jedną istotę i należy go używać jedynie w nagłej potrzebie albo w chwili opuszczenia tego świata.

Każda para kobiet wojowników reprezentujących ten sam kierunek związana jest z jednym mężczyzną, w dowolnej kombinacji – zależnie od potrzeby. W ten sposób tworzą oni grupę czterech domostw, w których może mieszkać tylu wojowników, ilu trzeba.

Wojownicy mężczyźni oraz kurier także mogą tworzyć oddzielną grupę złożoną z czterech mężczyzn albo każdy z nich może funkcjonować samodzielnie, zależnie od potrzeby.

W następnej kolejności Nagualowi i jego grupie polecono znaleźć jeszcze trzech kurierów. Mogli to być mężczyźni, kobiety albo grupa mieszana, z tym że mężczyźni musieli reprezentować czwarty męski typ – pomocnika, a kobiety musiały być południem.

Chcąc się upewnić, że pierwszy mężczyzna Nagual doprowadzi swoją grupę do wolności i nie zboczy z drogi ani się nie zdegeneruje, Orzeł zabrał kobietę Naguala do innego świata, by służyła jako przynęta prowadząca grupę do szczeliny.

Potem Nagualowi i jego wojownikom kazano zapomnieć. Wrzuceni w mrok, otrzymali nowe zadanie – musieli odzyskać pamięć siebie samych i Orła.

Nakaz zapomnienia był tak silny, że zupełnie ich od siebie oddzielił. Żadne z nich nie pamiętało, kim jest. Orzeł uznał, że jeśli uda im się odzyskać pamięć, odnajdą własną pełnię i dopiero wtedy będą mieć wystarczająco wiele siły i wytrwałości, by móc podążać za celem swej ostatecznej podróży i stawić jej czoło.

Ich ostatnie zadanie po odzyskaniu pełni własnej istoty polegało na tym, że mieli znaleźć nową parę podwójnych istot i przez ujawnienie im reguły przetransformować ich w nowego mężczyznę Naguala i kobietę Naguala. Podobnie jak pierwszy mężczyzna Nagual i kobieta Nagual, otrzymali tylko niewielką grupę wojowników. Dla tej nowej pary także należało znaleźć cztery kobiety zwiadowców, trzech mężczyzn wojowników i jednego mężczyznę kuriera.

Gdy pierwszy Nagual i jego grupa byli gotowi do przejścia przez szczelinę, czekała tam pierwsza kobieta Nagual, by ich przeprowadzić na drugą stronę. Polecono im zabrać ze sobą do innego świata nową kobietę Naguala, by służyła za przynętę dla swoich ludzi, zaś nowy mężczyzna Nagual został na tym świecie, by powtórzyć cykl.

W czasie pobytu na tym świecie minimalna liczba osób pozostających pod przywództwem Naguala wynosi szesnaście: osiem kobiet wojowników, czterech mężczyzn wojowników, wliczając w to Naguala, i czterech kurierów. W chwili odejścia z tego świata, gdy jest z nimi nowa kobieta Nagual, grupa liczy siedemnaście osób. Jeśli osobista moc Naguala pozwala mu zabrać ze sobą więcej wojowników, grupa może zostać powiększona o liczbę osób będącą wielokrotnością czterech.

Zapytałem don Juana, jak doszło do tego, że ludzie poznali regułę. Wyjaśnił, że reguła jest nieskończona i obejmuje każdy aspekt zachowania wojownika. Gromadzenie treści reguły i jej interpretacja jest dziełem widzących, których jedynym przez wiele wieków zadaniem było widzenie Orła i obserwacja jego nieustannego przepływu. W wyniku tej obserwacji widzący stwierdzili, że gdy świetlista osłonka ludzkiej istoty zostanie skruszona, można dostrzec w Orle słabe odbicie człowieka. Widzący uzyskują wówczas wgląd w nieodwołalne wyroki Orła, mogą je odpowiednio zinterpretować i zgromadzić w postaci strzegącego ciała.

Don Juan wyjaśnił, że reguła nie jest legendą, a zdobycie wolności nie oznacza życia wiecznego – w powszechnym rozumieniu tego pojęcia, czyli życia już na zawsze. Reguła głosi, że człowiek może zachować świadomość, która normalnie opuszcza go w chwili śmierci. Don Juan nie potrafił wyjaśnić, co konkretnie oznacza zachowanie świadomości, albo może sam tego nie pojmował. Jego dobroczyńca powiedział mu, że w chwili przejścia człowiek wchodzi w stan trzeciej uwagi i całe jego ciało napełnia się wiedzą. W jednej chwili każda komórka zyskuje świadomość siebie, a także całego ciała.

Dobroczyńca powiedział mu także, że tego rodzaju świadomość pozostaje absolutnie poza zasięgiem naszych podzielonych na przegródki umysłów. Dlatego też głównym celem wysiłków

wojownika nie jest uświadomienie sobie, że przejście na drugą stronę, o którym mówi reguła, jest przejściem do stanu trzeciej uwagi, ale raczej zrozumienie, że taka świadomość w ogóle może istnieć.

Don Juan powiedział, że na początku reguła była dla niego tylko słowami. Nie mieściło mu się w głowie, jak może ona mieć cokolwiek wspólnego z realnym światem i jego sprawami. Jednak pod umiejętnym przewodnictwem dobroczyńcy udało mu się w końcu po wielkim wysiłku zrozumieć prawdziwą naturę reguły i zaakceptować ją bez zastrzeżeń jako zestaw pragmatycznych wskazówek, a nie zwykły mit. Od tej pory nie miał już kłopotów ze zrozumieniem realności trzeciej uwagi. Na jego drodze stała tylko jedna przeszkoda. Było nią głębokie przekonanie, że reguła jest mapą. Don Juan potraktował to zbyt dosłownie i uwierzył, że musi znaleźć fizyczną szczelinę w świecie prowadzącą na drugą stronę, przez co niepotrzebnie utkwił ma pierwszym etapie rozwoju wojownika.

Z powodu tego własnego potknięcia jako przywódca i nauczyciel skupiał się na tym, by pomóc swym uczniom, a szczególnie mnie, uniknąć podobnego błędu. Udało mu się o tyle, że pomyślnie przeprowadził nas przez trzy pierwsze etapy rozwoju wojownika, nie podkreślając nadmiernie wagi żadnego z nich. Najpierw kazał nam traktować regułę jako mapę; potem przekonał nas, że możemy osiągnąć nieograniczoną świadomość, gdyż coś takiego istnieje; a na koniec doprowadził nas do szczeliny, za którą znajdował się ten drugi, ukryty świat świadomości.

Aby nas przeprowadzić przez pierwszy etap: zaakceptowanie reguły jako mapy, don Juan wziął z niej fragment odnoszący się do Naguala i jego roli i udowodnił nam, że ma on jednoznaczne potwierdzenie w faktach. Dokonał tego, wprowadzając nas w stan podwyższonej świadomości i pozwalając na swobodne kontakty z członkami jego grupy, którzy byli żywymi uosobieniami ośmiu typów ludzi opisanych przez regułę. Dzięki tym kontaktom poznawaliśmy coraz to bardziej złożone i szczegółowe aspekty reguły, aż w końcu uświadomiliśmy sobie, że zostaliśmy pochwyceni w sieć czegoś, co początkowo traktowaliśmy jako mit, ale co w gruncie rzeczy było mapą.

Don Juan mówił, że pod tym względem jego przypadek był identyczny jak nasze. Dobroczyńca pomógł mu przejść przez pierwszy etap, pozwalając na tego typu kontakty. W tym celu przeprowadzał go w jedną i w drugą stronę – ze stanu świadomości prawej strony do świadomości lewej strony, tak jak don Juan robił z nami. Po lewej stronie poznał go ze swoją grupą, złożoną z ośmiu kobiet wojowników, trzech mężczyzn wojowników oraz czterech kurierów, którzy zgodnie z zasadami ściśle odzwierciedlali typy opisane przez regułę. Spotkania te wywarły wielki wpływ na don Juana. Zmusiły go do uznania reguły za rzeczywisty przewodnik, a poza tym uświadomiły mu ogrom własnych, nie znanych możliwości.

Zanim udało się skompletować własną grupę, dotarł już tak daleko na drodze wojownika, że uznał za oczywiste, iż bez żadnego wyraźnego wysiłku z czyjejkolwiek strony członkowie tej grupy okazali się wiernymi kopiami wojowników z grupy jego dobroczyńcy. Podobieństwo ich upodobań, niechęci, powiązań i innych cech nie wynikało z naśladowania – don Juan twierdził, że należeli oni, zgodnie z wymogami reguły, do poszczególnych typów ludzi odznaczających się taką samą strukturą wewnętrzną. Osoby reprezentujące ten sam typ różniły się jedynie tonem głosu i brzmieniem śmiechu.

Próbując mi wyjaśnić wpływ, jaki wywarły na niego kontakty z wojownikami z grupy dobroczyńcy, don Juan poruszył temat bardzo znaczącej różnicy między nim samym a dobroczyńcą. Różnica ta dotyczyła interpretacji reguły oraz sposobu prowadzenia i przekonania innych wojowników, by uznali ją za mapę. Powiedział, że zasadniczo istnieją dwa sposoby interpretacji – uniwersalny i indywidualny. Interpretacje uniwersalne traktują regułę dosłownie. Przykładem może być stwierdzenie, że Orzeł nie dba o uczynki ludzkie, a jednak dał człowiekowi przejście prowadzące do wolności.

Z kolei interpretacja indywidualna to odnoszący się do aktualnej sytuacji wniosek, do jakiego dochodzi widzący, opierając się na założeniach interpretacji uniwersalnej. Na przykład można powiedzieć, że ponieważ Orzeł pozostaje obojętny, muszę sprawdzić, czy udałoby mi się zwiększyć swoje szansę na osiągnięcie wolności, być może przez oddanie sprawie.

Zdaniem don Juana metody stosowane przez jego dobroczyńcę przy prowadzeniu podopiecznych diametralnie różniły się od tych, których używał on sam. Metodą dobroczyńcy była surowość. Był przekonany, że w sprawach związanych z Orłem niczego się nie dostaje za darmo, toteż prowadził swych uczniów żelazną ręką i nigdy nic dla nikogo nie zrobił bezpośrednio. Pomagał irn za to aktywnie w taki sposób, by potrafili pomóc sobie. Uważał, że dar wolności dany przez Orła nie jest łaską, lecz zaledwie szansą na otrzymanie szansy.

Don Juan, chociaż doceniał zalety tej metody, nie zgadzał się z nią. Później, gdy mógł już działać samodzielnie, zobaczył, że w ten sposób traci się cenny czas. Jego zdaniem prościej było postawić

uczniów w jakiejś sytuacji i zmusić ich, by ją zaakceptowali, zamiast czekać, aż będą gotowi, by stawić jej czoło o własnych siłach. Tej metody używał w stosunku do mnie i do innych.

Don Juan najmocniej odczuł tę różnicę w poglądach na przywództwo podczas obowiązkowych spotkań z wojownikami swego dobroczyńcy. Reguła wymagała, by dobroczyńca znalazł dla niego najpierw kobietę Naguala, a potem cztery kobiety i czterech mężczyzn, którzy mieli się stać grupą jego wojowników. Dobroczyńca widział, że don Juan ma jeszcze za mało osobistej mocy, by przyjąć odpowiedzialność za kobietę Naguala, więc odwrócił kolejność i poprosił kobiety ze swojej grupy, by najpierw znalazły don Juanowi cztery kobiety, a potem dopiero czterech mężczyzn.

Don Juan wyznał mi, że był zachwycony tym pomysłem. Uznał, że te cztery kobiety przeznaczone są do jego użytku, co w jego pojęciu oznaczało użytek seksualny. Najgorsze nadeszło, gdy wyjawił te oczekiwania swemu dobroczyńcy. Ten natychmiast zaprowadził don Juana do mężczyzn i kobiet ze swojej grupy i zostawił go tam, by radził sobie o własnych siłach.

Spotkanie z tymi wojownikami okazało się dla don Juana ciężką próbą, nie tylko dlatego, że grupa umyślnie nie ułatwiała mu zadania, ale przede wszystkim dlatego, że takie spotkanie z natury powinno być przełomem.

Don Juan powiedział, że będąc w stanie świadomości lewej strony, można się kontaktować z innymi tylko wówczas, jeśli wszyscy obecni są również po lewej stronie. Dlatego pozwalał nam wchodzić w świadomość lewej strony jedynie po to, byśmy mogli spotykać się z jego wojownikami. Jego dobroczyńca również przestrzegał tej zasady.

Don Juan opowiedział mi krótko, co zaszło podczas jego pierwszego spotkania z grupą dobroczyńcy. Uznał, że jego doświadczenia mogą mi się przydać jako próbka tego, czego sam mam się spodziewać. Powiedział, że świat jego dobroczyńcy odznaczał się doskonałą regularnością. Członkowie jego grupy byli wojownikami indiańskimi pochodzącymi z całego Meksyku. Gdy ich poznał, mieszkali na odludziu, w górach w południowej części kraju.

Pierwszymi osobami, jakie spotkał po przyjeździe do domu, w którym mieszkała cała grupa, były dwie identyczne kobiety, największe Indianki, jakie widział w życiu. Były pochmurne i złośliwe, chociaż miały ładne twarze. Gdy próbował przejść między nimi, przywarły do niego z obu stron ogromnymi brzuchami, pochwyciły za ramiona i pobiły, po czym rzuciły go na ziemię i usiadły na nim, omal nie łamiąc mu żeber. Trzymały go tak unieruchomionego przez ponad dwanaście godzin, jednocześnie prowadząc negocjacje z dobroczyńcą, który musiał bez przerwy mówić przez całą noc. Pozwoliły mu wstać dopiero przed południem. Don Juan powiedział, że najbardziej przeraziła go determinacja w oczach tych kobiet. Sądził, że już po nim, że spełnią swoje groźby i będą tak na nim siedzieć, dopóki nie umrze.

Następne spotkanie powinno się odbyć dopiero po kilku tygodniach oczekiwania, ale ponieważ dobroczyńca planował zostawić don Juana sam na sam z całą grupą, natychmiast poznał go z innymi wojownikami. Don Juan spotkał wszystkich w ciągu jednego dnia i wszyscy potraktowali go jak śmieć. Głośno wydziwiali, że nie nadaje się do swojej roli, że jest zbyt prostacki i o wiele za głupi, młody wiekiem, ale już stary duchem i przyzwyczajeniami. Dobroczyńca wygłosił błyskotliwą mowę w jego obronie – powiedział swym wojownikom, że mogą to wszystko zmienić i że podjęcie się tego zadania powinno się stać wielką radością zarówno dla nich, jak i dla don Juana.

Don Juan powiedział, że jego pierwsze wrażenie okazało się prawdziwe. Od tej chwili czekały go tylko trudności i ciężki wysiłek. Kobiety widziały, że jest on buntownikiem i nie można mu powierzyć skomplikowanego i delikatnego zadania przewodzenia czterem kobietom. Ponieważ były widzącymi, opracowały własną, indywidualną interpretację reguły i uznały, że lepiej dla don Juana będzie, jeśli najpierw dostanie czterech mężczyzn wojowników, a dopiero potem cztery kobiety. Don Juan powiedział, że miały rację, gdyż aby poradzić sobie z kobietami wojownikami, Nagual musi odznaczać się wielką mocą osobistą, spokojem umysłu i samokontrolą, przy której ludzkie uczucia odgrywają jedynie minimalną rolę. Ten stan był dla niego wówczas nieosiągalny.

Dobroczyńca umieścił go pod bezpośrednim nadzorem tych dwóch kobiet, reprezentujących typ zachodu, najbardziej zawziętych i bezkompromisowych spośród wszystkich wojowników. Don Juan twierdził, że według reguły wszystkie kobiety obdarzone cechami zachodu są szalone i wymagają opieki. Pochwycone w więzy śnienia i skradania się, tracą swoją prawą stronę, czyli logiczny umysł. Mają niezwykle przenikliwą świadomość lewej strony, toteż ich rozsądek łatwo się wypala. Gdy już stracą swoją racjonalną stronę, są niezrównanymi śniącymi i zwiadowcami, bowiem nie hamuje ich żaden balast racjonalizmu.

Don Juan stwierdził, że te kobiety wyleczyły go z pożądania. Większą część miesięcy spędził, wisząc w uprzęży przymocowanej do sufitu ich wiejskiej kuchni, jak wędzona szynka, aż został zupełnie oczyszczony z myśli o zysku i osobistej gratyfikacji.

Wyjaśnił, że skórzana uprząż jest znakomitym narzędziem do leczenia pewnych dolegliwości nie mających fizycznego podłoża. Chodzi o to, że im wyżej człowiek wisi i im dłużej nie pozwala mu się dotknąć ziemi, tym większe są możliwości prawdziwego oczyszczenia.

Podczas gdy kobiety zachodu go oczyszczały, inne zajmowały się szukaniem wojowników do jego grupy. Trwało to całe lata, a tymczasem don Juan musiał przejść przez serię spotkań sam na sam ze wszystkimi wojownikami z grupy dobroczyńcy. To doświadczenie wstrząsnęło nim do tego stopnia, że miał wrażenie, iż nigdy już nie uwolni się spod ich dominacji. W rezultacie zaczął traktować regułę zbyt dosłownie. Opowiedział mi, że zmarnował mnóstwo cennego czasu, zastanawiając się nad istnieniem materialnej szczeliny prowadzącej do innego świata. Uważał, że takie rozmyślania są pułapką, której za wszelką cenę należy unikać. Aby mnie przed nią uchronić, pozwalał, by wymagane kontakty z członkami jego grupy odbywały się pod ochroną, jaką stanowiła dla mnie obecność la Gordy lub innego ucznia.

W każdym razie spotkanie z wojownikami z grupy don Juana było dla mnie zwieńczeniem długiego procesu. W codziennych rozmowach nigdy o nich nie wspominaliśmy. Przez długi czas wiedziałem o ich istnieniu jedynie dlatego, że wynikało to z reguły, którą don Juan ujawniał przede mną na raty. Dopiero później przyznał, że owi wojownicy istnieją i że w końcu będę musiał się z nimi spotkać. Przygotował mnie do tego spotkania, dając mi ogólne instrukcje i wskazówki.

Ostrzegł mnie przed powszechnym błędem, jakim jest przecenianie świadomości lewej strony, zaślepienie jej jasnością i mocą. Powiedział, że przebywanie w stanie lewostronnej świadomości wcale nie uwalnia człowieka od wszelkich słabości – ten stan daje tylko zwiększoną percepcję, ułatwia zrozumienie i uczenie się, a przede wszystkim obdarza nas wielką zdolnością zapominania.

Gdy nadszedł czas na spotkanie z wojownikami jego grupy, don Juan zwięźle opisał mi grupę swego dobroczyńcy – znów jako mój przewodnik. Powiedział, że postronny obserwator mógłby odnieść wrażenie, iż świat jego dobroczyńcy składa się z czterech domostw. W skład pierwszego wchodziły kobiety południa i kurier Naguala; drugiego – kobiety wschodu, uczony i mężczyzna kurier; w trzecim mieszkały kobiety północy, człowiek czynu i drugi mężczyzna kurier, a w czwartym kobiety zachodu, człowiek zza kulis i trzeci mężczyzna kurier.

Kiedy indziej ten świat wyglądał tak, jakby składał się z grup. Była tam grupa czterech zupełnie do siebie niepodobnych starszych mężczyzn – dobroczyńca don Juana i trzej mężczyźni wojownicy; dalej grupa bardzo do siebie podobnych czterech mężczyzn, czyli kurierów; grupa składająca się z dwóch par pozornie identycznych kobiet bliźniaczek, które mieszkały razem – to były kobiety południa i wschodu; i wreszcie dwie inne pary pozornych sióstr – kobiet północy i zachodu.

Kobiet tych nie łączyło ze sobą żadne pokrewieństwo. Powodem, dla którego wyglądały identycznie, była wielka moc osobista dobroczyńcy don Juana. Don Juan określił kobiety południa jako dwa mastodonty, przerażające w wyglądzie, ale bardzo ciepłe i przyjazne. Kobiety wschodu były bardzo piękne, świeże i wesołe, prawdziwa rozkosz dla oczu i uszu. Kobiety północy były niezwykle kobiece, próżne, kokieteryjne, zmartwione własnym starzeniem, ale także irytująco bezpośrednie i niecierpliwe. Kobiety zachodu czasami bywały szalone, a kiedy indziej uosabiały surowość i celowość. To właśnie one najbardziej utrudniały życie don Juanowi, gdyż nie potrafił pojąć, jak to się dzieje, że choć są tak trzeźwe, miłe i pomocne, w każdej chwili mogą stracić kontrolę nad sobą i zmienić się w szalejące furie.

Z kolei mężczyźni w żaden sposób nie zapisali mu się w pamięci. Twierdził, że nie było w nich nic godnego uwagi. Wydawało się, że zostali przytłumieni przez determinację kobiet i przytłaczającą osobowość dobroczyńcy. Na temat własnego rozbudzenia don Juan powiedział tyle, że gdy został wrzucony w świat dobroczyńcy, uświadomił sobie, jak łatwo i wygodnie mu się żyło, dopóki nie nakładał sobie żadnych ograniczeń. Wierzył wcześniej, iż jego dążenia to jedyne godne uwagi cele, jakie człowiek może sobie wyznaczyć; teraz zrozumiał, że to przeświadczenie było błędem. Przez całe życie był biedny, dlatego zżerała go ambicja posiadania rzeczy materialnych. Pragnienie parcia do przodu i rozpacz, że mu się nie wiedzie, tak go absorbowały, że nie miał czasu przyjrzeć się czemukolwiek innemu. Gorliwie zawierzył dobroczyńcy, bo uświadomił sobie, że otrzymał możliwość, by coś ze sobą zrobić. Nawet gdyby nie miało z tego wyniknąć nic więcej, mógłby się przynajmniej nauczyć, jak być czarownikiem. Uznał, że wejście w świat dobroczyńcy może mieć dla niego podobny skutek, jak podbój hiszpański dla kultury Indian. Zniszczył on wszystko, lecz także zmusił do przyjrzenia się sobie.

Moją reakcją na przygotowania do spotkania grupy wojowników don Juana nie była, o dziwo, groza ani strach, lecz małostkowe, intelektualne skupienie na dwóch sprawach. Przede wszystkim zaprzątało mnie stwierdzenie, że na tym świecie istnieją tylko cztery typy mężczyzn i cztery typy kobiet. Spierałem się z don Juanem, że zakres indywidualnych różnic między ludźmi jest o wiele za duży, by dało się go ująć w tak prosty szablon. Nie zgodził się ze mną. Powiedział, że reguła jest ostateczna i nie pozostawia miejsca na nieskończoną wielość typów ludzkich.

Druga sprawa to był kontekst kulturowy wiedzy don Juana. On sam nic o tym nie wiedział. Uważał, że Jest to wytwór czegoś w rodzaju panindianizmu. Co do pochodzenia tej wiedzy, przypuszczał, że kiedyś w świecie Indian, jeszcze przed podbojem, wiedza o drugiej uwadze uległa skażeniu. Rozwijano ją bez żadnych ograniczeń, może przez wiele tysięcy lat, aż utraciła swą siłę. Być może ci, którzy ją wówczas praktykowali, nie mieli potrzeby jej kontrolować, jednak bez ścisłej kontroli procedury druga uwaga stawała się coraz bardziej zawiła, a tym samym zamiast się wzmacniać, słabła. Wtedy pojawili się najeźdźcy hiszpańscy i dzięki wyższości swej techniki zniszczyli świat Indian. Don Juan powiedział, że jego dobroczyńca był przekonany, iż przetrwała tylko garstka wojowników, którzy potrafili na nowo poskładać swą wiedzę w całość i wyprostować ścieżkę. To, co don Juan i jego dobroczyńca wiedzieli o drugiej uwadze, było nową, zmodyfikowaną wersją. Wpisano w nią wewnętrzne ograniczenia, została bowiem wypracowana w warunkach wielkiego ucisku.

10. GRUPA WOJOWNIKÓW NAGUALA

Gdy don Juan uznał, że nadeszła pora, bym spotkał się z jego wojownikami, przeprowadził mnie w inny stan świadomości i jednoznacznie wyjaśnił, że nie zamierza w żaden sposób ingerować w to, jak mnie powitają. Ostrzegł, że jeśli zechcą mnie pobić, nie będzie mógł ich powstrzymać. Mogą ze mną zrobić wszystko, co im się spodoba, nie wolno im tylko pozbawić mnie życia. Wielokrotnie podkreślał, że wojownicy z jego grupy są doskonałymi odbiciami wojowników jego dobroczyńcy, tylko że niektóre kobiety są jeszcze bardziej gwałtowne, a mężczyźni wyjątkowi i potężni. Dlatego moje pierwsze spotkanie z nimi może przypominać zderzenie czołowe.

Byłem zdenerwowany i niespokojny, ale z drugiej strony także zaintrygowany. W moim umyśle kotłowały się spekulacje. Najbardziej ciekawiło mnie, jak też ci wojownicy mogą wyglądać.

Don Juan wyznał, że miał wybór. Mógł mnie nauczyć skomplikowanego rytuału, który sam musiał kiedyś opanować, albo urządzić wszystko tak, by spotkanie odbyło się w jak najbardziej przypadkowy sposób. Czekał na omen wskazujący, którą drogę powinien wybrać. Jego dobroczyńca zachował się podobnie, ale nalegał, by don Juan nauczył się rytuału, zanim pojawi się znak. Gdy don Juan odkrył przed nim swoje fantazje seksualne dotyczące sypiania ze wszystkimi czterema kobietami, dobroczyńca zinterpretował to jako omen, odrzucił rytuał i w końcu musiał się zachowywać jak kramarz, żebrząc o życie don Juana.

W moim wypadku don Juan pragnął otrzymać znak, zanim zacznie mnie uczyć rytuału. Znak się pojawił, gdy Przejeżdżaliśmy samochodem przez przygraniczne miasteczko w Arizonie i zatrzymał mnie policjant. Wziął mnie za cudzoziemca nielegalnie przebywającego w Stanach. Dopiero gdy pokazałem mu paszport i inne dokumenty, puścił mnie, choć podejrzewał, że paszport jest sfałszowany. Don Juan przez cały czas siedział obok mnie, na przednim fotelu, ale policjant nawet na niego nie spojrzał. Skupił się wyłącznie na mojej osobie. Don Juan uznał, że to wydarzenie było wyczekiwanym omenem. Według jego interpretacji ściąganie na siebie uwagi byłoby dla mnie bardzo niebezpieczne, toteż mój świat powinien się charakteryzować wielką prostotą i bezpośredniością – skomplikowany rytuał i pompa nie pasowały do mojego charakteru. Zgodził się jednak, że przy pierwszym spotkaniu z jego wojownikami pożądane jest choćby minimalne przestrzeganie rytuału. Powinienem zbliżyć się do nich od południa, gdyż jest to kierunek zgodny z nieustającym przepływem mocy. Siła życiowa przychodzi do nas z południa i opuszcza nas, zmierzając na północ. Don Juan powiedział, że jedyna szczelina do świata Naguala znajduje się na południu i że bramę tworzą dwie kobiety wojownicy, które pozdrowią mnie i przepuszczą, jeśli uznają to za słuszne.

Zabrał mnie do małej miejscowości w centralnym Meksyku, do domu na wsi. Gdy zbliżaliśmy się do niego, idąc pieszo od południa, zobaczyłem dwie ogromne Indianki stojące na ubitej ziemi, zwrócone do siebie twarzami. Odległość między nimi wynosiła około czterech stóp. O jakieś trzydzieści lub czterdzieści stóp za nimi znajdowało się główne wejście do domu. Obie kobiety były bardzo

muskularne i wyglądały srogo. Miały długie, lśniącoczarne włosy splecione w gruby warkocz. Wyglądały jak siostry. Były mniej więcej tego samego wzrostu i wagi – oceniłem je na jakieś pięć stóp cztery cale wzrostu i sto pięćdziesiąt funtów. Jedna z nich miała skórę bardzo ciemną, niemal czarną, druga – o wiele jaśniejszą. Ubrane były jak typowe Indianki z centralnego Meksyku – w długie, szerokie sukienki i szale oraz domowej roboty sandały.

Don Juan kazał mi się zatrzymać o trzy stopy od nich. Wskazał na kobietę stojącą po lewej stronie, ustawił mnie twarzą do niej i powiedział, że ma na imię Cecilia i jest śniącą. Potem odwrócił się gwałtownie, nie pozostawiając mi czasu, bym mógł się odezwać, i ustawił mnie twarzą do ciemniejszej kobiety, znajdującej się po naszej prawej stronie. Powiedział, że ta ma na imię Delia i jest zwiadowcą. Kobiety tylko skinęły głowami. Nie uśmiechnęły się, nie wyciągnęły dłoni ani nie uczyniły żadnego innego gestu powitania.

Don Juan przeszedł między nimi, jakby były dwiema stojącymi przy bramie kolumnami. Oddalił się o kilka kroków i odwrócił się, czekając, by kobiety zachęciły mnie do przejścia między nimi. Przez chwilę patrzyły na mnie spokojnie, po czym Cecilia zaprosiła mnie do domu, jakbym rzeczywiście stał na progu.

Don Juan poprowadził mnie do wejścia. Przy drzwiach napotkaliśmy mężczyznę. Był bardzo szczupły. Na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie młodzieńca, ale po bliższym przyjrzeniu się widać było, że dobiega już sześćdziesiątki. Sprawił na mnie wrażenie starego dziecka – drobny, żylasty, z przenikliwymi ciemnymi oczami wyglądał jak elf albo cień. Don Juan przedstawił mnie i powiedział, że mężczyzna ma na imię Emilito, jest jego kurierem i pomocnikiem, witającym mnie w imieniu don Juana.

Uznałem, że Emilito jest rzeczywiście niezwykle odpowiednią osobą do witania innych. Miał promienny uśmiech odsłaniający drobne, doskonale równe zęby. Uścisnął mi dłoń, a raczej skrzyżował ramiona i zamknął obie moje dłonie w swoich. Wydawało się, że bije od niego radość; każdy by przysiągł, że spotkanie ze mną Wprawiło go w euforię. Głos miał bardzo miękki, a jego oczy błyszczały.

Weszliśmy do dużego pokoju. Znajdowała się tam jeszcze jedna kobieta. Don Juan przedstawił ją jako Teresę, kuriera Cecilii i Delii. Mogła mieć niewiele ponad trzydzieści lat i wyglądała jak córka Cecilii. Była bardzo cicha, ale nastawiona przyjaźnie. Don Juan poprowadził nas na tyły domu, na zadaszoną werandę. Dzień był ciepły. Usiedliśmy przy stole i po skąpym obiedzie rozmawialiśmy do północy.

Emilito pełnił rolę gospodarza. Czarował i zachwycał wszystkich swymi egzotycznymi opowieściami. Kobiety się otworzyły – stanowiły dla niego doskonałą publiczność. Słuchanie ich śmiechu sprawiało mi niezwykłą przyjemność. Były niezwykle muskularne, śmiałe i zmysłowe. W pewnej chwili, gdy Emilito powiedział, że Cecilia i Delia są dla niego jak dwie matki, a Teresa jak córka, podniosły go i rzuciły w powietrze jak dziecko.

Z tych dwóch kobiet Delia wydawała się bardziej racjonalna i praktyczna. Cecilia obdarzona była większą rezerwą, ale chyba również większą wewnętrzną siłą. Sprawiła na mnie wrażenie osoby bardziej nietolerancyjnej albo niecierpliwej; zdawało mi się, że drażnią ją niektóre z historyjek Emilita. W każdym razie zdecydowanie się jej nie podobało, gdy zaczynał opowiadać, jak to nazywał, “historyjki o wieczności". Zaczynał każdą opowieść od zdania: “Czy wiecie, drodzy przyjaciele, że...?" Największe wrażenie wywarła na mnie historia o pewnych istotach żyjących gdzieś we wszechświecie, które niezwykle przypominają ludzi, choć nimi nie są; ich obsesją jest ruch, potrafią one wyśledzić każde, najmniejsze nawet drgnienie zarówno w sobie, jak i w świecie zewnętrznym. Niezwykła wrażliwość na ruch stała się dla nich przekleństwem – sprawia im tyle cierpienia, że ich największą ambicją jest znalezienie spokoju.

Emilito przeplatał swoje opowiastki o wieczności najgrubszymi, ordynarnymi żartami. Jego niezwykły talent gawędziarski sprawiał, że rozumiałem każdą z jego opowieści jako metaforę, parabolę, przez którą chciał nas czegoś nauczyć.

Don Juan powiedział, że Emilito po prostu opowiada o tym, co widział w swych podróżach przez wieczność. Zadaniem kuriera było podróżować przed Nagualem, niczym zwiadowca podczas operacji wojskowej. Emilito dotarł do ostatecznych granic drugiej uwagi i przekazywał innym wszystko, czego był świadkiem.

Moje drugie zetknięcie z wojownikami don Juana okazało się równie dziwaczne jak pierwsze. Pewnego dnia don Juan przeprowadził mnie w inny stan świadomości i powiedział, że czeka mnie następne spotkanie. Kazał mi pojechać do Zacatecas w północnym Meksyku. Dotarliśmy tam

wczesnym rankiem. Don Juan stwierdził, że to tylko przystanek w drodze i że mamy czas do następnego dnia, wtedy bowiem odbędzie się moje drugie oficjalne spotkanie, podczas którego poznam kobiety wschodu i uczonego z jego grupy. Dodał jeszcze, że stoimy przed skomplikowanym i delikatnym wyborem. Spotkanie z kobietami południa i kurierem odbyło się po południu, gdyż poczynił indywidualną interpretację zasady i wybrał tę porę, by reprezentowała noc. Południowemu kierunkowi właściwie odpowiadała noc – ciepła, przyjazna, przytulna noc – toteż powinniśmy spotkać się z dwiema kobietami południa po północy. Taka sytuacja nie byłaby jednak dla mnie korzystna, gdyż ja sam jestem zwrócony w stronę światła, w stronę optymizmu, który harmonijnie splata się z tajemnicą mroku. Don Juan wyjaśnił, że właśnie tak wówczas postąpiliśmy: cieszyliśmy się wzajemnym towarzystwem i rozmawialiśmy, aż zapadła czarna noc. Zastanawiałem się wtedy, dlaczego nie zapalono lamp.

Don Juan powiedział, że wschód to poranek, światło, i że spotkamy kobiety wschodu następnego dnia przed południem.

Przed śniadaniem poszliśmy na rynek i usiedliśmy na ławce. Don Juan poprosił, bym poczekał na niego, bo chce załatwić kilka spraw. Odszedł, a wkrótce potem na drugim końcu ławki usiadła jakaś kobieta. Czytałem gazetę i nie zwracałem na nią uwagi. W chwilę później dołączyła do niej jeszcze jedna kobieta. Chciałem przejść na inną ławkę, ale przypomniałem sobie, że don Juan podkreślał, bym siedział właśnie tutaj. Odwróciłem się tyłem do kobiet i zupełnie zapomniałem o ich obecności, bo zachowywały się bardzo cicho, gdy naraz jakiś mężczyzna pozdrowił je, po czym stanął twarzą do mnie. Z ich rozmowy wywnioskowałem, że kobiety czekały na niego. Mężczyzna przeprosił za spóźnienie. Widziałem, że chce usiąść, przesunąłem się więc, by zrobić mu miejsce. Podziękował mi wylewnie i przeprosił za kłopot. Powiedział, że zgubili się w mieście, bo są wieśniakami; kiedyś w Mexico City omal nie wpadli pod samochód. Zapytał, czy mieszkam w Zacatecas. Zaprzeczyłem i chciałem na tym zakończyć konwersację, ale w uśmiechu mężczyzny było coś rozbrajającego. Był to stary człowiek, chociaż jak na swój wiek trzymał się wyjątkowo dobrze. Nie był Indianinem. Wyglądał jak zamożny farmer z prowincjonalnego miasteczka. Miał na sobie garnitur i słomkowy kapelusz. Rysy jego twarzy były bardzo delikatne, a skóra niemal przezroczysta. Miał nos z garbkiem, małe usta i schludną białą brodę. Wyglądał niezwykle zdrowo, a jednocześnie krucho. Choć był średniego wzrostu i dobrze zbudowany, sprawiał wrażenie szczupłego i wychudzonego.

Wstał i przedstawił się. Powiedział, że nazywa się Vicente Medrano i przyjechał do miasta w interesach tylko na jeden dzień. Następnie wskazując na kobiety, wyjaśnił, że to jego siostry. Obydwie podniosły się i stanęły przed nami. Były bardzo szczupłe i ciemniejsze od brata, a także o wiele od niego młodsze. Jedna z nich mogłaby być jego córką. Zauważyłem, że mają zupełnie inną skórę niż on, suchą. Obydwie były urodziwe. Podobnie jak mężczyzna, rysy twarzy miały delikatne, a oczy czyste i spokojne. Mogły mieć po jakieś pięć stóp i cztery cale wzrostu. Ich suknie były pięknie skrojone, lecz szale, buty na niskim obcasie i ciemne bawełniane pończochy nadawały im wygląd zamożnych wieśniaczek. Starsza była po pięćdziesiątce, młodsza po czterdziestce.

Mężczyzna przedstawił je: starsza miała na imię Carmela, a młodsza Hermelinda. Wstałem i uścisnąłem im dłonie. Zapytałem, czy mają dzieci. Zazwyczaj w ten sposób zaczynałem rozmowę. Kobiety roześmiały się i jednocześnie przesunęły dłońmi po brzuchach, pokazując mi, jakie są płaskie. Mężczyzna spokojnie wyjaśnił, że jego siostry są starymi pannami, a on sam – starym kawalerem. Wyznał półżartem, że, niestety, jego siostry mają zbyt męskie charaktery, brakuje im kobiecości, która sprawia, że kobieta jest godna pożądania, toteż nie udało im się znaleźć mężów.

Powiedziałem, że biorąc pod uwagę podrzędną rolę kobiet w naszym społeczeństwie, dobrze na tym wyszły. Kobiety nie zgodziły się ze mną; stwierdziły, że nie miałyby nic przeciwko temu, by pełnić rolę służących, gdyby tylko znalazły mężczyzn, którzy zechcieliby być ich panami. Młodsza dodała, że największy problem polega na tym, iż ojciec nie nauczył ich się zachowywać w sposób odpowiedni dla kobiety. Mężczyzna z westchnieniem wyjaśnił, że ich ojciec jest człowiekiem o dominującej osobowości i że z tego powodu on sam również się nie ożenił, ojciec bowiem rozmyślnie nie nauczył go, jak być macho. Wszyscy troje westchnęli ponuro. Miałem ochotę się roześmiać.

Po dłuższej chwili milczenia znów usiedliśmy. Mężczyzna powiedział, że jeśli pozostanę jeszcze trochę na tej ławce, to będę miał okazję poznać ich ojca, który jak na swój wiek jest bardzo energiczny. Dodał nieśmiało, że ojciec ma zabrać ich na śniadanie, bo oni sami nigdy nie mają pieniędzy. Ojciec mocno trzyma kasę.

Byłem zdumiony. Ci starsi ludzie, którzy sprawiali wrażenie bardzo silnych, w rzeczywistości byli jak słabe, bezradne dzieci. Pożegnałem ich i wstałem, zamierzając odejść. Wszyscy troje zaczęli nalegać, żebym został. Zapewnili mnie, że ojciec będzie zachwycony, jeśli zgodzę się zjeść z nimi

śniadanie. Nie miałem ochoty na spotkanie z tym ojcem, byłem jednak zaintrygowany. Powiedziałem, że ja też czekam na kogoś. Kobiety zachichotały, a po chwili roześmiały się na całe gardło. Mężczyzna także zaniósł się niepowstrzymanym śmiechem. Poczułem się głupio. Chciałem odejść, ale w tej chwili pojawił się don Juan i zrozumiałem cały manewr, choć nie wydawał mi się on zabawny.

Podnieśliśmy się wszyscy. Troje nieznajomych wciąż się śmiało, gdy don Juan wyjaśniał mi, że te kobiety to wschód. Carmela była zwiadowcą, a Hermelinda śniącą. Vicente zaś był wojownikiem uczonym i najstarszym towarzyszem don Juana.

Gdy opuszczaliśmy rynek, dołączył do nas jeszcze jeden mężczyzna, wysoki, ciemnoskóry Indianin po czterdziestce. Ubrany był w lewisy i kowbojski kapelusz. Don Juan przedstawił go jako Juana Tumę, kuriera i pomocnika w studiach Vicente.

Poszliśmy do oddalonej o kilka przecznic restauracji. Kobiety szły po moich obu stronach. Carmela powiedziała, że ma nadzieję, iż nie obraził mnie ich żart, bo mieli wybór: mogli mi się po prostu przedstawić albo próbować mnie nabrać. Do wybrania tej drugiej możliwości skłonił ich mój snobizm, wyrażający się tym, że odwróciłem się do nich plecami i chciałem się przenieść na inną ławkę. Hermelinda dodała, że człowiek powinien być niezmiernie pokorny i nie mieć niczego do obrony, nawet własnej osoby – własną osobę trzeba chronić, nie należy jej jednak bronić. Traktowanie ich z góry nie było z mojej strony ochroną, lecz zwykłą obroną.

Byłem w kłótliwym nastroju. Ich maskarada zbiła mnie z tropu. Zacząłem się spierać, ale zanim wyjaśniłem swój punkt widzenia, don Juan ujął się za mną, mówiąc kobietom, by nie zwracały uwagi na moją kłótliwość, bo usunięcie śmieci, jakie świetlista istota zbiera w świecie, zajmuje bardzo dużo czasu.

Właściciel restauracji, do której weszliśmy, znał Vicente i przygotował dla nas obfite śniadanie. Wszyscy byli w znakomitych nastrojach, tylko ja nie potrafiłem się otrząsnąć z melancholii. Na prośbę don Juana Juan Tuma opowiedział nam o swoich podróżach. Mówił bardzo rzeczowo. Jak zahipnotyzowany słuchałem suchych relacji z niepojętych dla mnie wydarzeń. Najbardziej fascynujące były jego opisy promieni światła czy też energii, które miały oplatać ziemię. Mówił, że te promienie nie pulsują tak jak wszystko inne we wszechświecie, lecz pozostają nieruchome i tworzą stały wzór, któremu odpowiadają setki punktów na świetlistym ciele. Hermelinda w pierwszej chwili sądziła, że wszystkie te punkty znajdują się w naszym ciele fizycznym, ale Juan Tuma wyjaśnił, że ponieważ świetliste ciało jest dosyć duże, niektóre punkty mogą być oddalone nawet o trzy stopy od ciała fizycznego. W pewien sposób znajdują się więc na zewnątrz nas, a jednak tak nie jest – leżą przy granicy naszej świetlistości i dlatego nadal stanowią część całkowitego ciała. Najważniejszy z tych punktów leży w odległości jednej stopy od żołądka, o czterdzieści stopni na prawo od linii prostopadłej do brzucha. Juan Tuma powiedział, że tam znajduje się centrum gromadzenia drugiej uwagi i że można nim łagodnie manipulować, głaszcząc powietrze w tym miejscu wnętrzem dłoni. Słuchając go, zapomniałem o złości.

W następnej kolejności spotkałem się z zachodem. Don Juan ostrzegał mnie wielokrotnie, że pierwszy kontakt z zachodem jest niezwykle ważny, bo w ten czy inny sposób zdecyduje on, co powinienem zrobić dalej. Uświadomił mnie także, że będzie to męczące wydarzenie – zwłaszcza dla mnie, gdyż jestem bardzo sztywny i czuję się niezmiernie ważny. Powiedział, że naturalny kontakt z zachodem powinien się odbyć o zmierzchu, w porze dnia, która i tak jest trudna, oraz że jego wojownicy zachodu są ogromnie potężni, śmiali i potrafią doprowadzić do furii. Jednocześnie miałem poznać człowieka zza kulis. Don Juan nakazywał mi, bym starał się zachowywać ostrożnie i cierpliwie – te kobiety są szalone, a poza tym w skład grupy wchodzą najpotężniejsi wojownicy, jakich zna. Uważał ich za najwyższe autorytety w sprawach drugiej uwagi. Nie powiedział mi już nic więcej.

Pewnego dnia, jakby pod wpływem impulsu, nagle zdecydował, że czas już wyruszyć na spotkanie z kobietami zachodu. Pojechaliśmy do miasta w północnym Meksyku. O zmierzchu don Juan kazał mi się zatrzymać przed wielkim, nie oświetlonym domem na przedmieściu. Wysiedliśmy z samochodu i podeszliśmy do głównego wejścia. Don Juan kilkakrotnie zastukał. Nikt nie odpowiedział. Miałem wrażenie, że przyjechaliśmy o niewłaściwej porze. Dom wydawał się pusty.

Don Juan jednak stukał dalej, aż w końcu chyba się zmęczył. Gestem wskazał, bym teraz ja zastukał. Powiedział, żebym się nie zniechęcał, bo ludzie, którzy tu mieszkają, mają kiepski słuch. Zapytałem, czy nie byłoby lepiej wrócić później albo następnego dnia, on jednak kazał mi walić w drzwi.

Czekanie ciągnęło się w nieskończoność. W końcu drzwi powoli zaczęły się otwierać i przez szparę wysunęła się głowa dziwnie wyglądającej kobiety, która zapytała, czy chcę rozwalić drzwi, czy może rozzłościć sąsiadów i ich psy.

Don Juan postąpił naprzód, chcąc coś powiedzieć, ale kobieta wyszła na próg i z wielką siłą odsunęła go na bok. Wygrażając mi, zaczęła krzyczeć, że zachowuję się, jakby cały świat należał do mnie, jakbym był jedynym jego mieszkańcem. Zaprotestowałem, mówiąc, że robiłem tylko to, co kazał mi don Juan. Kobieta zapytała, czy kazał mi wyłamać drzwi. Don Juan próbował się wtrącić, ale znów go odsunęła.

Wyglądała, jakby przed chwilą wyszła z łóżka. Widok był żałosny. Nasze stukanie chyba ją obudziło i wrzuciła na siebie sukienkę wyjętą z kosza na brudną bieliznę. Stopy miała bose, włosy siwe i okropnie zaniedbane, oczy paciorkowate i zaczerwienione. Wyglądała jak typowa kura domowa, a jednak wywierała duże wrażenie – była dość wysoka, około pięciu stóp i ośmiu cali, ciemna i wyjątkowo umięśniona; na jej nagich ramionach odznaczały się węzły mięśni. Zauważyłem, że ma piękne łydki.

Górując nade mną, obrzuciła mnie wzrokiem od stóp do głów i zawołała, że nie usłyszała jeszcze żadnych przeprosin. Don Juan szepnął, że powinienem ją przeprosić wyraźnie i głośno.

Gdy to zrobiłem, kobieta się uśmiechnęła, obróciła do don Juana i uścisnęła go, jakby był dzieckiem. Mruknęła, że niepotrzebnie kazał mi pukać, bo dotykałem drzwi jak złodziej, co ją zirytowało. Wzięła go pod ramię i wprowadziła do środka, pomagając mu przejść przez wysoki próg. Nazywała go “najdroższym staruszkiem". Don Juan się zaśmiał. Osłupiałem, widząc, że zachowuje się, jakby był zachwycony nonsensownymi poczynaniami tej przerażającej kobiety. Wprowadziła “najdroższego staruszka" do domu, po czym spojrzała na mnie i odpędziła mnie gestem jak psa. Zauważyła moje zdumienie i zaśmiała się. Zęby miała wielkie, krzywe i żółte. Po chwili jednak zmieniła zdanie i mnie także kazała wejść.

Don Juan ruszył w stronę ledwo widocznych drzwi na końcu ciemnego korytarza. Kobieta złajała go, twierdząc, że sam nie wie, dokąd idzie, i przeprowadziła nas przez inny ciemny korytarz. Dom wydawał się ogromny, nigdzie się nie paliło żadne światło. Kobieta otworzyła jakieś drzwi, za którymi zobaczyłem pokój, bardzo duży i prawie pusty – były tam tylko dwa stare fotele stojące pośrodku pod najsłabszą żarówką, jaką widziałem w życiu. Była to staroświecka żarówka o podłużnym kształcie.

W fotelu siedziała jakaś kobieta. Nasza przewodniczka usiadła na niewielkiej słomianej macie na podłodze i oparła plecy o drugi fotel. Przycisnęła uda do piersi, ukazując wszystko, co ma pod spódnicą. Nie nosiła majtek. Wpatrzyłem się w nią, zupełnie ogłupiały.

Nieprzyjemnym, chropawym głosem zapytała, dlaczego wpatruję się w jej srom. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, więc po prostu zaprzeczyłem. Podniosła się z takim wyrazem twarzy, jakby chciała mnie uderzyć. Zażądała, żebym przyznał, że się na nią gapiłem, bo jeszcze nigdy w życiu nie widziałem kobiecych narządów. Poczułem się winny. Byłem ogromnie zażenowany, a także zirytowany, że postawiono mnie w takiej sytuacji.

Kobieta zapytała don Juana, co ze mnie za Nagual, skoro nigdy nie widziałem kobiecych narządów. Powtarzała to wiele razy, krzycząc głośno. Obiegła dokoła pokój i zatrzymała się przy fotelu, na którym siedziała jej towarzyszka. Potrząsnęła ją za ramię i wskazując na mnie, powiedziała, że jestem mężczyzną, który nigdy w życiu nie widział kobiecych narządów. Śmiała się przy tym szyderczo.

Byłem zdruzgotany. Uważałem, że don Juan powinien coś zrobić, żeby oszczędzić mi tych upokorzeń. Przypomniałem sobie, że ostrzegał mnie, iż te kobiety są zupełnie zwariowane. Uznałem to za poważną nieścisłość – one były obłąkane, nadawały się do zakładu zamkniętego. Spojrzałem na don Juana, szukając wsparcia i rady. Odwrócił wzrok. Wydawało się, że on też czuje się zagubiony, choć miałem wrażenie, że dostrzegam złośliwy uśmieszek, który don Juan szybko ukrył, odwracając głowę.

Kobieta położyła się na plecach, wysoko podciągnęła spódnicę i powiedziała, żebym napatrzył się do woli, zamiast zerkać ukradkiem. W głowie i na karku czułem gorąco, musiałem mieć zupełnie czerwoną twarz. Byłem tak zirytowany, że ledwo panowałem nad sobą. Miałem ochotę ją uderzyć.

Naraz druga kobieta, dotychczas siedząca w fotelu, wstała, pochwyciła swoją towarzyszkę za włosy i jednym ruchem, bez wysiłku, podniosła ją na nogi. Przyjrzała mi się spod przymrużonych powiek, przybliżając twarz na jakieś dwa lub trzy cale do mojej. Pachniała zadziwiająco świeżo.

Wysokim głosem powiedziała, że powinniśmy przejść do rzeczy. Obydwie kobiety stanęły obok mnie pod żarówką. Nie były do siebie podobne. Ta druga była starsza albo wyglądała starzej. Gruba warstwa pudru na twarzy nadawała jej wygląd klowna. Włosy miała schludnie upięte w kok. Wydawała się spokojna, chociaż drżała jej dolna warga i podbródek.

Obydwie były równie wysokie i sprawiały wrażenie silnych. Przez dłuższą chwilę wpatrywały się we mnie, górując nade mną złowieszczo. Don Juan milczał. Starsza z kobiet skinęła głową i wtedy don Juan powiedział mi, że ma na imię Zuleica i jest śniącą. Ta, która otworzyła drzwi, nazywała się Zoila i była zwiadowcą.

Zuleica zwróciła się do mnie i głosem podobnym do skrzeczenia papugi zapytała, czy to prawda, że nigdy nie widziałem kobiecych narządów. Don Juan nie potrafił już dłużej hamować śmiechu. Gestem pokazałem mu, że nie wiem, co powiedzieć. Szepnął mi do ucha, że lepiej będzie, jeśli powiem, że nie widziałem – w przeciwnym razie powinienem być przygotowany na to, że będę je musiał opisywać, bo tego właśnie za chwilę zażyczy sobie Zuleica.

Odpowiedziałem według jego wskazówek. Zuleica stwierdziła, że jest jej mnie żal, i kazała Zoili pokazać mi swoje narządy. Zoila położyła się na plecach pod żarówką i rozsunęła nogi.

Don Juan krztusił się ze śmiechu. Błagałem, by wyprowadził mnie z tego domu wariatów. Znów szepnął mi do ucha, że powinienem się dobrze przyjrzeć, udając uwagę i zainteresowanie, bo inaczej będziemy musieli tu tkwić do końca świata.

Przyjrzałem się dokładnie i uważnie. Zuleica powiedziała, że skoro już obejrzałem sobie kobiece narządy, to mogę się uważać za eksperta, i jeśli kiedyś jeszcze spotkam kobietę bez majtek, to nie zachowam się tak grubiańsko i obscenicznie i nie będę się gapił, aż oczy zaczną mi wychodzić z orbit.

Cicho poprowadziła nas na patio. Szepnęła, że ktoś tam czeka, by mnie poznać. Patio było zupełnie ciemne. Z trudem dostrzegałem sylwetki pozostałych i dopiero po chwili zauważyłem ciemną postać mężczyzny stojącego o kilka stóp ode mnie. Przebiegł mnie dreszcz.

Don Juan bardzo cicho powiedział do mężczyzny, że przyprowadził mnie, byśmy się poznali. Po chwili wyjaśnił mi, że jest to Silvio Manuel, wojownik mroku i prawdziwy przywódca całej grupy. Silvio Manuel odezwał się do mnie. Odniosłem wrażenie, że ma wadę wymowy – głos miał stłumiony, a słowa przypominały ataki cichego kaszlu.

Kazał mi podejść bliżej. Gdy postąpiłem krok w jego kierunku, cofnął się, jakby płynął w powietrzu. Zaprowadzi} mnie do jeszcze ciemniejszego zaułka w korytarzu. Bezszelestnie szedł tyłem, mrucząc coś, czego nie mogłem zrozumieć. Chciałem się odezwać, ale drapało mnie w wyschniętym gardle. Silvio Manuel powtórzył coś dwa czy trzy razy, aż w końcu zaświtało mi, że każe mi się rozebrać. W jego głosie i w otaczającej go ciemności było coś, co przytłaczało siłą. Nie potrafiłem się przeciwstawić. Zdjąłem ubranie i stanąłem zupełnie nagi, drżąc ze strachu i zimna.

Było tak ciemno, że nie widziałem, czy don Juan i kobiety są w pobliżu. Usłyszałem ciche, długie syknięcie dochodzące z miejsca o kilka stóp ode mnie; potem poczułem chłodny powiew. Uświadomiłem sobie, że Silvio Manuel owiewa całe moje ciało swoim oddechem.

Kazał mi usiąść na ubraniu i wpatrzyć się w jasny punkt, który z łatwością dostrzegałem w ciemnościach. Emanowało z niego słabe bursztynowe światło. Wydawało mi się, że trwa to już wiele godzin, aż w końcu uświadomiłem sobie, że ten jasny punkt to lewe oko Silvia Manuela. Wtedy udało mi się dostrzec kontury jego całej twarzy i ciała. Korytarz nie był tak ciemny, jak mi się początkowo wydawało. Silvio Manuel podszedł do mnie i pomógł mi wstać. Byłem zdziwiony tym, że tak wyraźnie widzę w ciemnościach. Nie przeszkadzało mi nawet to, że jestem nagi ani że, jak zauważyłem, kobiety też na mnie patrzą. Najwyraźniej one też potrafiły widzieć w ciemnościach – nie spuszczały ze mnie wzroku. Chciałem założyć spodnie, ale Zoila wyrwała mi je z ręki.

Dwie kobiety i Silvio Manuel patrzyli na mnie przez długi czas. Potem pojawił się don Juan, podał mi buty i Zoila poprowadziła nas przez korytarz na patio, gdzie rosły drzewa. Dostrzegłem ciemną sylwetkę stojącej pośrodku kobiety. Don Juan odezwał się do niej, a ona wymamrotała coś w odpowiedzi. Przedstawił mi ją jako Martę, kobietę południa i kuriera dwóch kobiet zachodu. Marta powiedziała, że może się założyć, iż jeszcze nigdy nie byłem żadnej kobiecie przedstawiany nago – Zazwyczaj ludzie najpierw się poznają, a dopiero potem rozbierają. Zaśmiała się głośno. Jej śmiech, tak przyjemny, czysty i młodzieńczy, że poczułem dreszcz, rozległ się echem w całym domu, wzmocniony przez ciemność i ciszę. Popatrzyłem na don Juana, szukając wsparcia. Zniknął, a wraz z nim Silvio Manuel. Zostałem sam z trzema kobietami. Bardzo mnie to zdenerwowało i zapytałem Martę, czy wie, dokąd poszedł don Juan. W tej samej chwili coś pochwyciło mnie mocno pod pachami.

Krzyknąłem z bólu. Wiedziałem, że to Silvio Manuel. Podniósł mnie, jakbym nic nie ważył, strząsnął mi z nóg buty i postawił mnie w płytkiej wannie z lodowatą wodą, która sięgała mi do kolan.

Stałem tam długo, a wszyscy obserwowali mnie uważnie. Potem Silvio Manuel znów mnie podniósł i postawił obok moich butów, które ktoś położył obok wanny.

Don Juan znów pojawił się nie wiadomo skąd i podał mi ubranie. Szepnął, że powinienem je nałożyć i zostać tu jeszcze tylko tak długo, by uczynić zadość wymogom uprzejmości. Marta podała mi ręcznik do wytarcia. Rozejrzałem się za pozostałymi dwiema kobietami i Silviem Manuelem, ale nie było ich widać.

Marta, don Juan i ja długo jeszcze staliśmy w ciemnościach, rozmawiając. Marta zwracała się głównie do don Juana, ale wierzyłem, że to ja jestem jej prawdziwą publicznością. Czekałem na jakiś sygnał don Juana, oznaczający, że powinniśmy już iść, lecz wydawało się, że ożywiona rozmowa z Martą sprawia mu radość. Dziewczyna stwierdziła, że Zoila i Zuleica tego dnia osiągnęły szczyt swojego szaleństwa. Potem ze względu na mnie dodała, że najczęściej zachowują się całkiem rozsądnie.

Powiedziała jeszcze, takim tonem, jakby zdradzała nam sekret, że włosy Zoili wyglądają tak nieporządnie, bo przynajmniej jedna trzecia z nich to włosy Zuleiki. Okazało się, że w chwili wielkiej przyjaźni pomagały sobie w pielęgnacji włosów i Zuleica zaplatała warkocz Zoili. Robiła to już wielokrotnie, tylko że tym razem przez nieuwagę wplotła całe pasma swoich włosów we włosy Zoili. Gdy wstały z krzeseł, zrobiło się piekło.

Marta przybiegła na pomoc, ale zanim zdążyła wejść do pokoju, Zuleica zdobyła przewagę, a ponieważ tego dnia to ona miała jaśniejszy umysł, zdecydowała, że utnie kosmyki włosów Zoili wplecione w jej warkocz. W całym tym zamieszaniu pomyliła się jednak i obcięła własne włosy.

Don Juan śmiał się, jakby to była najzabawniejsza historia, jaką słyszał w życiu. Miękkie wybuchy śmiechu przypominające kaszel dochodziły także z mroku po drugiej stronie patio.

Marta dodała, że wymyśliła uczesanie w kok, który Zuleica będzie musiała nosić, dopóki jej nie odrosną włosy.

Śmiałem się wraz z don Juanem. Polubiłem Martę. Tamte dwie kobiety były dla mnie odrażające, na myśl o nich zbierało mi się na mdłości. Marta jednak wydawała się uosobieniem spokoju i milczącej skuteczności. Nie widziałem rysów jej twarzy, lecz wyobrażałem sobie, że jest bardzo piękna. Jej głos był urzekający.

Bardzo uprzejmie zapytała don Juana, czy przyjmę poczęstunek. Odrzekł, że pewnie by mnie zemdliło, bo nie czuję się dobrze w towarzystwie Zuleiki i Zoili. Marta zapewniła, że już ich nie ma. Wzięła mnie pod ramię i przeprowadziła przez najciemniejszy korytarz do jasno oświetlonej kuchni. Kontrast był zbyt wielki dla moich oczu. Stałem w progu, próbując przyzwyczaić oczy do światła.

Kuchnia była bardzo wysoka, całkiem nowoczesna i dobrze wyposażona. Usiedliśmy w części jadalnej. Marta była młoda i bardzo silna, miała pełną figurę, okrągłą twarz, mały nos i usta. Jej czarne jak heban włosy splecione były w warkocz i upięte dokoła głowy.

Sądziłem, że musi być równie ciekawa mojego wyglądu jak ja jej. Usiedliśmy i jeszcze długo rozmawialiśmy Przy jedzeniu. Fascynowała mnie. Była niewykształconą kobietą, ale to, co mówiła, oczarowało mnie. Szczegółowo opowiadała o niewiarygodnych rzeczach, jakie robią Zuleica i Zoila, gdy wpadają w szał.

W drodze powrotnej don Juan wyraził podziw dla Marty. Powiedział, że nie zna lepszego przykładu na to, co pozwala człowiekowi osiągnąć determinacja. Bez żadnego przygotowania, jedynie dzięki nieugiętej woli Marta umiała sobie poradzić z najcięższym zadaniem, jakie można sobie wyobrazić, mianowicie z opieką nad Zoilą, Zuleicą i Silviem Manuelem.

Zapytałem, dlaczego Silvio Manuel nie pozwolił, bym zobaczył go w świetle. Don Juan wyjaśnił, że żywiołem Silvia Manuela jest ciemność i że będę miał jeszcze mnóstwo okazji, by go zobaczyć. Podczas pierwszego spotkania było jednak konieczne, by pozostawał w obrębie swojej mocy, w nocnym mroku. Silvio Manuel i dwie kobiety mieszkali razem, bo we trójkę stanowili świetną drużynę czarowników.

Don Juan poradził, bym nie osądzał kobiet zachodu zbyt pochopnie. Spotkałem je w chwili, gdy nie panowały nad sobą, ale ten brak kontroli dotyczył jedynie zewnętrznego zachowania. Ich wewnętrzny rdzeń w każdych okolicznościach pozostawał nie zmieniony, toteż nawet w chwilach najgorszego

szaleństwa potrafiły się śmiać ze swoich aberracji, jakby był to spektakl odgrywany przez kogoś innego.

Silvio Manuel był inny. On nie był w żaden sposób upośledzony – przeciwnie, to właśnie głęboka trzeźwość umysłu pozwalała mu radzić sobie tak skutecznie z tymi dwiema kobietami, gdyż on i one stanowili dwa przeciwne bieguny. Don Juan powiedział, że Silvio Manuel taki już się urodził i wszyscy w jego otoczeniu dostrzegają tę różnicę. Nawet dobroczyńca don Juana, który był surowy i oszczędny wobec wszystkich, poświęcał Silviowi Manuelowi wiele uwagi. Minęły całe lata, zanim don Juan zrozumiał powody tego wyróżniania. Jakaś niezrozumiała cecha natury Silvia Manuela sprawiła, że gdy raz przeszedł na lewą stronę, nigdy już z niej nie powrócił. Dzięki skłonności do pozostawania w stanie podwyższonej świadomości oraz znakomitemu przewodnictwu dobroczyńcy nie tylko pierwszy doszedł do wniosku, że reguła jest mapą i że inny rodzaj świadomości rzeczywiście istnieje, ale także odnalazł szczelinę prowadzącą do świata tej świadomości. Don Juan powiedział, że Silvio Manuel w absolutnie nieskazitelny sposób zrównoważył swoje nadmierne talenty, oddając je na służbę wspólnemu celowi. Stał się milczącą siłą stojącą za don Juanem.

Poznawanie grupy wojowników don Juana zakończyłem spotkaniem z północą. W tym celu don Juan zabrał mnie do miasta Guadalajara. Powiedział, że nasze spotkanie odbędzie się niedaleko centrum miasta i musi mieć miejsce w południe, gdyż ta pora dnia odpowiada północnej stronie świata. Wyszliśmy z hotelu około jedenastej rano i niespiesznie ruszyliśmy pieszo przez centrum.

Szedłem, nie patrząc, gdzie idę, zmartwiony perspektywą spotkania, i wpadłem prosto na wybiegającą ze sklepu kobietę. Niosła jakieś paczki, które rozsypały się dokoła. Przeprosiłem i pomogłem jej pozbierać zakupy. Don Juan kazał mi się pośpieszyć, żebyśmy się nie spóźnili. Kobieta sprawiała wrażenie ogłuszonej. Podtrzymywałem ją za ramię. Była bardzo szczupła i wysoka, chyba po sześćdziesiątce, bardzo elegancko ubrana. Sądziłem, że musi należeć do wyższej klasy społecznej. Niezwykle uprzejmie wzięła całą winę na siebie. Powiedziała, że nie zwróciła na mnie uwagi, bo wypatrywała swojego służącego. Zapytała, czy mógłbym pomóc jej odnaleźć go w tłumie. Spojrzałem pytająco na don Juana. Stwierdził, że skoro omal jej nie zabiłem, to teraz przynajmniej mogę jej pomóc.

Zebrałem pakunki i weszliśmy z powrotem do sklepu. W pobliżu zauważyłem jakiegoś Indianina. Wyglądał na opuszczonego i wydawał się tam zupełnie nie na miejscu. Na dźwięk głosu kobiety podszedł do niej jak zagubiony szczeniak. Miałem wrażenie, że za chwilę poliże jej rękę.

Don Juan czekał na nas przed sklepem. Wyjaśnił kobiecie, że nie mamy czasu, a potem mnie przedstawił. Kobieta uśmiechnęła się wdzięcznie i wyciągnęła do mnie rękę. Uznałem, że w młodości musiała być niezwykłą pięknością. Wciąż była piękna i kusząca.

Don Juan obrócił się do mnie i powiedział, że owa dama ma na imię Nelida i jest kobietą północy, śniącą. Potem ustawił mnie twarzą do służącego i wyjaśnił, że jest to Genaro Flores, człowiek czynu, zasłużony wojownik z jego grupy. Byłem bezgranicznie zdumiony. Wszyscy zaczęli się serdecznie śmiać. Im większe było moje zaskoczenie, tym bardziej ich ono bawiło.

Don Genaro rozdał pakunki grupie dzieci i powiedział im, że jego pracodawczyni, ta miła dama, która właśnie z kimś rozmawia, kupiła te rzeczy jako prezent dla nich – to był jej dobry uczynek tego dnia. W milczeniu przeszliśmy pół ulicy. Nie byłem w stanie wykrztusić ani słowa. Nagle Nelida wskazała na sklep i poprosiła, byśmy chwilę poczekali, bo musi zabrać stamtąd pudełko nylonowych pończoch, które dla niej przygotowano. Zerknęła na mnie z uśmiechem, jej oczy zabłysły i dodała, że mówi całkiem serio; czary czarami, a ona i tak musi nosić nylonowe pończochy i koronkowe majtki. Don Juan i don Genaro śmiali się jak dwaj idioci. Gapiłem się na Nelidę, bo nic innego nie potrafiłem zrobić. Było w niej coś nieskończenie przyziemnego, a jednak wydawała się niezwykle eteryczna.

Żartobliwie nakazała don Juanowi, żeby mnie trzymał, bo za chwilę zemdleję. Potem uprzejmie poprosiła don Genara, by wszedł do środka i odebrał jej pończochy. Gdy Genaro ruszył, Nelida naraz zmieniła zdanie i zawołała go z powrotem, ale on chyba jej nie usłyszał i zniknął w sklepie. Przeprosiła nas i pobiegła za nim.

Don Juan nacisnął mi plecy, by pomóc mi wrócić do równowagi. Powiedział, że drugą kobietę północy, która ma na imię Florinda, poznam kiedy indziej, ponieważ będzie ona moim łącznikiem z innym cyklem, innym nastrojem. Stwierdził, że Florinda jest kopią Nelidy i na odwrót.

Powiedziałem, że Nelida jest tak wyrafinowana i stylowa, iż mógłbym ją sobie wyobrazić w piśmie poświęconym modzie. Zdziwiło mnie, że jest tak piękna i ma bardzo jasną cerę, wskazującą na francuskie lub włoskie pochodzenie. Chociaż Vicente także nie był Indianinem, wygląd wieśniaka sprawiał, że nie wydawał się aż tak niezwykły. Zapytałem don Juana, dlaczego w jego świecie

znajdują się nie-Indianie. Odrzekł, że to moc wybiera wojowników z grupy Naguala, a jej zamiarów nie sposób przeniknąć.

Czekaliśmy przed sklepem jakieś pół godziny. Don Juan wyraźnie się niecierpliwił. Poprosił, żebym wszedł do środka i popędził ich. Wszedłem do sklepu. Nie był duży i nie miał tylnego wyjścia, a jednak nigdzie nie zauważyłem Nelidy ani Genara. Pytałem sprzedawców, ale nie potrafili mi pomóc.

Wróciłem do don Juana i zażądałem wyjaśnień. Powiedział, że tamci albo rozpłynęli się w powietrzu, albo wymknęli się w chwili, gdy prostował mi plecy.

Rozzłoszczony wykrzyczałem, że jego grupa składa się z oszustów. Śmiał się, aż łzy popłynęły mu po policzkach. Powiedział, że doskonale nadaję się do tego, by mnie nabierać. Moje poczucie ważności czyni ze mnie niesłychanie wdzięczną ofiarę. Tak bardzo śmiał się z mojej irytacji, że musiał się oprzeć o ścianę.

La Gorda także opowiedziała mi o swoim pierwszym spotkaniu z wojownikami don Juana. Jej wersja różniła się tylko treścią – forma była ta sama. Wojownicy potraktowali ją nieco agresywniej niż mnie, ale rozumiała, że chcą w ten sposób wyrwać ją z odrętwienia, a poza tym była to naturalna reakcja na jej osobowość, którą ona sama uważała za brzydką.

Przyglądając się światu don Juana, uświadomiliśmy sobie, że był on kopią świata jego dobroczyńcy. Można było wyróżnić w nim poszczególne grupy albo domostwa. Była tam grupa czterech par kobiet, które wyglądały jak siostry, mieszkały i pracowały razem; następna grupa – trzech mężczyzn w wieku don Juana i bardzo mu bliskich; para dwóch nieco młodszych mężczyzn, kurierów – byli to Emilito i Juan Tuma; i wreszcie dwie młodsze kobiety południa, które wydawały się ze sobą spokrewnione, Marta i Teresa. Innym razem mogło się wydawać, że są to cztery odrębne domostwa, rozmieszczone dość daleko od siebie w różnych rejonach Meksyku. Jedno składało się z dwóch kobiet zachodu, Zuleiki i Zoili, Silvia Manuela oraz kuriera Marty. W drugim mieszkały kobiety południa, Cecilia i Delia, kurier don Juana – Emilito, i kurier Teresa. W skład następnego wchodziły kobiety wschodu, Carmela i Hermelinda, Vicente oraz kurier Juan Tuma; a w skład ostatniego – kobiety północy, Nelida i Florinda, oraz don Genaro.

Zdaniem don Juana jego światu brakowało harmonii i równowagi charakteryzującej świat jego dobroczyńcy. Jedynie kobiety północy, Nelida i Florinda, doskonale się nawzajem równoważyły i wyglądały jak bliźniaczki. Nelida powiedziała mi kiedyś w przypadkowej rozmowie, iż są do siebie tak podobne, że mają nawet tę samą grupę krwi.

Dla mnie jedną z najprzyjemniejszych niespodzianek w naszych kontaktach była transformacja Zuleiki i Zoili, które przy pierwszym naszym zetknięciu zachowały się w tak odrażający sposób. Okazało się, że są one, jak powiedział don Juan, najtrzeźwiejszymi i najbardziej odpowiedzialnymi wojownikami, jakich można sobie wymarzyć. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom, gdy zobaczyłem je powtórnie. Szalony nastrój minął i miałem przed sobą dwie dobrze ubrane meksykańskie damy, wysokie, ciemne i muskularne, z oczami błyszczącymi i czarnymi jak kawałki lśniącego czarnego obsydianu. Śmiały się i żartowały ze mną o tym, co zdarzyło się w nocy podczas naszego pierwszego spotkania, jakby brał w tym udział ktoś inny, a nie one same. Z łatwością potrafiłem zrozumieć, jak ciężką przeprawę miał don Juan z wojownikami zachodu w grupie dobroczyńcy. Nie mieściło mi się w głowie, że Zuleica i Zoila potrafią się zmienić w tak nieznośne, przyprawiające o mdłości istoty, jakie spotkałem wcześniej. Później jeszcze wielokrotnie byłem świadkiem ich metamorfozy, ale nigdy już nie potrafiłem oceniać ich równie surowo, jak za pierwszym razem. Ich wybuchy szaleństwa wzbudzały we mnie przede wszystkim smutek.

Największą niespodzianką okazał się jednak Silvio Manuel. W mroku spowijającym nasze pierwsze spotkanie wyobrażałem sobie, że jest to człowiek imponującej postury, przytłaczający olbrzym. Tak naprawdę był bardzo mały, choć nie drobnokościsty. Fizyczną budową przypominał dżokeja – ciało miał małe, lecz o doskonałych proporcjach. Wyglądał jak gimnastyk. Tak znakomicie panował nad własnym ciałem, że napinając wszystkie mięśnie, potrafił się nadąć jak ropucha i powiększyć niemal dwukrotnie. Zdumiony byłem, gdy pokazywał, jak potrafi przemieszczać kości w stawach i wprowadzać je z powrotem na miejsce bez żadnych widocznych oznak bólu. Patrząc na Silvia Manuela, zawsze doświadczałem głębokiego, nieznanego lęku. Sprawiał wrażenie przybysza z innej epoki. Był ciemny jak statuetka z brązu. Rysy twarzy miał ostre – cienki nos, pełne usta i szeroko rozstawione skośne oczy sprawiały, że wyglądał jak stylizowana postać z fresków Majów. W ciągu dnia zachowywał się przyjaźnie i ciepło, ale ledwie zapadł zmierzch, stawał się nieprzenikniony. Głos mu się zmieniał. Siadał w ciemnym kącie i pozwalał się pochłonąć ciemności. Z całej jego postaci widać było tylko lewe oko, które pozostawało otwarte. Lśniło dziwnym światłem, przypominającym blask oczu dzikiego kota.

Drugą sprawą, która wypłynęła w trakcie naszych kontaktów z wojownikami don Juana, było pojęcie kontrolowanego kaprysu. Don Juan kiedyś wyjaśnił mi je krótko, gdy mówił o tym, że wszystkie kobiety wojownicy dzielą się na dwie kategorie, śniących i zwiadowców. Powiedział, że wszyscy członkowie jego grupy stosują śnienie i skradanie się na co dzień, ale kobiety tworzące planetę śniących i planetę zwiadowców są najwyższymi autorytetami w tych sprawach.

Domeną aktywności zwiadowców jest codzienne życie. Odgrywają rolę menedżerów zajmujących się kontaktami z ludźmi. Wszystko, co dotyczy zwykłych spraw życia codziennego, przechodzi przez ich ręce. Zwiadowcy praktykują kontrolowany kaprys, tak jak śniący praktykują śnienie. Inaczej mówiąc, kontrolowany kaprys jest podstawą skradania się, tak jak sny są podstawą śnienia. Don Juan twierdził, że ogólnie mówiąc, najwyższym osiągnięciem wojownika w stanie drugiej uwagi jest śnienie, a w stanie pierwszej uwagi – skradanie się.

Przy pierwszych spotkaniach niewłaściwie zrozumiałem to, co robili ze mną wojownicy don Juana. Uznałem, że nabierają mnie za pomocą prostych sztuczek – i dziś nadal miałbym takie wrażenie, gdyby nie pojęcie kontrolowanego kaprysu. Don Juan powiedział, że to, co ze mną robili, to były mistrzowskie lekcje skradania się. Mówił, że sztuka skradania była pierwszą rzeczą, jakiej nauczył go dobroczyńca, zanim jeszcze pokazał mu cokolwiek innego. By przetrwać wśród wojowników dobroczyńcy, don Juan musiał szybko opanować tę umiejętność, a ponieważ ja nie musiałem na własną rękę zmagać się z jego wojownikami, najpierw nauczył mnie śnienia. Gdy nadejdzie odpowiednia chwila, Florinda wprowadzi mnie w zawiłości skradania. Nikomu innemu nie wolno rozmawiać ze mną na ten temat; pozostali mogą bezpośrednio demonstrować mi pewne rzeczy, jak to zrobili podczas naszego pierwszego spotkania.

Don Juan wyjaśnił mi obszernie, że Florinda należy do najbardziej zaawansowanych adeptów skradania się, gdyż dobroczyńca oraz jego cztery kobiety zwiadowcy nauczyli ją wszystkich niuansów tej sztuki. Florinda była pierwszą kobietą wojownikiem, która weszła w świat don Juana, i z tej przyczyny miała zostać moją osobistą przewodniczką – nie tylko w sztuce skradania, ale też w sekretach trzeciej uwagi, jeśli kiedykolwiek uda mi się dotrzeć do tego etapu. Don Juan nie rozwodził się nad tym. Stwierdził, że te sprawy muszą poczekać, aż będę gotów – najpierw, aby się nauczyć skradania, a potem, aby wejść w stan trzeciej uwagi.

Powiedział jeszcze, że jego dobroczyńca poświęcił wiele czasu i uwagi, by przekazać jego grupie wszystko, co prowadzi do osiągnięcia mistrzostwa w sztuce skradania się. Wymyślał skomplikowane intrygi, by stworzyć odpowiedni kontekst dla kontrapunktu między wymogami reguły a zachowaniem wojowników w codziennym świecie, w kontaktach z ludźmi. Chciał ich w ten sposób przekonać, że przy braku poczucia własnej ważności wojownik może sobie poradzić w społeczeństwie, jedynie stosując kontrolowany kaprys.

Przygotowując te intrygi, dobroczyńca don Juana zmuszał wojowników i innych ludzi do działania wbrew wymogom reguły, a potem się wycofywał, pozwalając, aby dramat rozwijał się siłą własnego rozpędu. Ludzki kaprys dominował przez jakiś czas i w naturalny sposób wciągał w siebie wojowników, w końcu jednak zwyciężały bardziej ogólne wzorce reguły.

Don Juan mówił, że na początku nie podobała mu się kontrola dobroczyńcy nad osobami zaangażowanymi w intrygę. Powiedział mu to nawet prosto w oczy. Dobroczyńca jednak nie dal się zbić z tropu. Odparł, że kontrola to iluzja stworzona przez Orła, on zaś jest tylko nieskazitelnym wojownikiem i jego działania są skromną próbą odzwierciedlenia Orła.

Don Juan powiedział, że siła, z jaką jego dobroczyńca przeprowadzał swoje plany, pochodziła z przekonania, iż Orzeł jest prawdziwą, ostateczną rzeczywistością, a to, co robią ludzie, to tylko kaprysy. Te dwie rzeczy razem wzięte składały się na kontrolowany kaprys, który dobroczyńca don Juana nazwał jedynym pomostem między kaprysami ludzi a ostatecznością wyroków Orła.

11. KOBIETA NAGUAL

Don Juan opowiadał, że gdy oddano go pod opiekę kobiet zachodu, by go oczyściły, jednocześnie otrzymał za przewodniczkę kobietę północy, którą można by porównać z Florindą, najlepszą ze zwiadowców. Miała go ona wprowadzić w sztukę skradania. Dzięki temu, czego się nauczył od niej i od dobroczyńcy, udało mu się później przyłączyć do swojej grupy trzech mężczyzn wojowników, jednego kuriera i cztery kobiety zwiadowców.

Osiem kobiet z grupy jego dobroczyńcy, które widziały, szukało wyraźnych, charakterystycznych konfiguracji świetlistego ciała. Bez żadnych trudności znalazły odpowiednie typy męskich i żeńskich wojowników do grupy don Juana. Dobroczyńca jednak nie pozwolił im sprowadzić znalezionych wojowników. Uznał, że don Juan sam powinien przyciągnąć ich do siebie, wykorzystując zasady skradania się.

Pierwszym wojownikiem, który pojawił się na scenie, był Vicente. Don Juan nie był jeszcze na tyle dobrym zwiadowcą, by związać go ze sobą o własnych siłach. Musiał mu w tym pomóc dobroczyńca i inny zwiadowca, kobieta północy. Potem pojawił się Silvio Manuel, następnie don Genaro i w końcu kurier Emilito.

Pierwszą kobietą była Florindą. Potem do grupy dołączyła Zoila, a po niej Delia i Carmela. Don Juan opowiadał, że dobroczyńca wymagał od nich wszystkich, by traktowali wszelkie kontakty ze światem jako kontrolowany kaprys. Dzięki temu wyćwiczył niesłychanie sprawną grupę uczniów, którzy potrafili obmyślać i wprowadzać w życie najbardziej zawiłe plany.

Gdy wszyscy osiągnęli już pewien stopień biegłości W sztuce skradania, dobroczyńca uznał, że czas znaleźć im kobietę Naguala. Zgodnie ze swoją zasadą pomagania innym jedynie poprzez uczenie ich, jak mogą pomóc sami sobie, czekał z wprowadzeniem kobiety Naguala w ich świat do czasu, gdy stali się ekspertami w skradaniu, a don Juan nauczy! się ponadto widzieć. Chociaż don Juan niezmiernie żałował czasu zmarnowanego na czekanie, przyznawał, że wspólny wysiłek włożony w odnalezienie kobiety Naguala wzmocnił więzi łączące całą grupę oraz oddanie wspólnemu celowi, jakim było dążenie do wyzwolenia.

Strategia dobroczyńcy, za pomocą której zamierzał wciągnąć kobietę Naguala do grupy, w pierwszym etapie przejawiła się tym, że naraz, ni stąd ni zowąd, stał się gorliwym katolikiem. Zażądał, by don Juan, jako spadkobierca jego wiedzy, zachowywał się jak dobry syn i chodził z nim do kościoła. Prawie codziennie ciągnął go na mszę. Don Juan mówił, że dobroczyńca, czarujący i gładki w obejściu człowiek, przedstawiał go wszystkim w kościele jako swego syna, specjalistę od nastawiania złamanych kości.

Don Juan, który, jak sam twierdził, w tych czasach był nie ucywilizowanym poganinem, czuł się śmiertelnie skrępowany w sytuacjach kontaktów towarzyskich, kiedy musiał mówić o sobie. Uspokajała go tylko myśl, że za wszystkim, co robi dobroczyńca, kryje się jakiś tajemny cel, i obserwując dobroczyńcę, próbował ów cel odnaleźć. Działania dobroczyńcy były konsekwentne i sprawiały wrażenie szczerych. Jako przykładny katolik, zyskał sobie zaufanie wielu ludzi, przede wszystkim proboszcza parafii, który wysoko go cenił i uważał za zaufanego przyjaciela. Don Juan nie miał pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi. Przeszło mu przez myśl, że może dobroczyńca szczerze nawrócił się na katolicyzm, albo też zwariował. Nie rozumiał jeszcze, że wojownik w żadnych okolicznościach nie traci rozumu.

Niepokoje don Juana związane z chodzeniem do kościoła zniknęły, gdy dobroczyńca zaczął go przedstawiać córkom swoich znajomych. Don Juanowi się to podobało, chociaż ciągle jeszcze czuł się skrępowany. Sądził, że dobroczyńca chce mu w ten sposób dostarczyć okazji do ćwiczenia ogłady towarzyskiej. Nie umiał się wtedy zachowywać swobodnie ani czarująco, a dobroczyńca twierdził, że Nagual musi posiadać tę umiejętność.

Upłynął już niemal rok codziennego chodzenia do kościoła, gdy pewnej niedzieli podczas mszy don Juan odkrył prawdziwy cel tego postępowania. Klęczał obok dziewczyny o imieniu Olinda, córki jednego ze znajomych dobroczyńcy. Obrócił się, by wymienić z nią spojrzenia, co stało się ich zwyczajem po wielu miesiącach codziennych kontaktów. Ich oczy spotkały się i naraz don Juan zobaczył dziewczynę jako świetlistą istotę – a po chwili zobaczył jej podwójność. Olinda była podwójną kobietą. Dobroczyńca wiedział o tym od samego początku i wybrał najtrudniejszy sposób, by doprowadzić don Juana do kontaktu z nią. Don Juan wyznał, że ta chwila była dla niego wstrząsem.

Dobroczyńca wiedział, że don Juan zobaczył. Nieskazitelnie wypełnił swoją misję zetknięcia ze sobą dwóch podwójnych istot. Wstał, omiótł wzrokiem wszystkie zakamarki kościoła i wyszedł, nie oglądając się za siebie. Nie miał tam już nic więcej do roboty.

Don Juan powiedział, że gdy dobroczyńca wyszedł w środku mszy, wszystkie głowy obróciły się za nim. Don Juan chciał pójść w jego ślady, ale Olinda śmiało pochwyciła go za rękę i zatrzymała. Wówczas zrozumiał, że moc widzenia dana była nie tylko jemu. Coś przeniknęło i sparaliżowało ich oboje. Don Juan uświadomił sobie naraz, że msza się już skończyła i że stoi wraz z dziewczyną przed kościołem. Dobroczyńca zajęty był uspokajaniem matki Olindy, rozdrażnionej i zawstydzonej tą nieoczekiwaną, zupełnie nie na miejscu demonstracją uczuć.

Don Juan nie miał pojęcia, co robić dalej. Wiedział, że sam musi wymyślić jakiś plan. Miał do tego wystarczające umiejętności, ale waga zdarzenia sprawiła, że stracił wiarę we własne siły. Odsunął na bok swoją wiedzę zwiadowcy i zagubił się w intelektualnym dylemacie, czy powinien uznać Olindę za kontrolowany kaprys, czy też nie.

Dobroczyńca stwierdził, że nie może mu pomóc. Miał obowiązek jedynie doprowadzić go do dziewczyny i na tym jego rola się zakończyła. Don Juan sam musiał się postarać związać ją ze sobą. Dobroczyńca zaproponował, by w razie konieczności don Juan zastanowił się nawet nad małżeństwem. Olinda musi przyjść do niego z własnej woli i dopiero wtedy dobroczyńca będzie mógł pomóc don Juanowi, interweniując bezpośrednio z pozycji Naguala.

Don Juan próbował oficjalnych zalotów, ale rodzice dziewczyny nie przyjęli go przychylnie. Nie potrafili zaakceptować człowieka z innej klasy społecznej jako konkurenta do ręki ich córki. Olinda nie była Indianką – jej rodzice byli właścicielami niewielkiego interesu i należeli do średnio zamożnego mieszczaństwa. Ojciec miał wobec niej inne plany. Zagroził, że jeśli don Juan nie porzuci zamiaru poślubienia dziewczyny, odeśle ją daleko od domu.

Don Juan mówił, że podwójne istoty, szczególnie kobiety, są niezwykle konserwatywne, nawet nieśmiałe. Olinda nie była wyjątkiem. Po chwili uniesienia w kościele w jej zachowaniu pojawiła się ostrożność, a potem lęk. Przestraszyła ją własna reakcja.

Dobroczyńca poradził don Juanowi, by dokonał strategicznego odwrotu i udawał, że podporządkowuje się woli ojca, który nie aprobuje jego wybranki – jak zakładali wszyscy, którzy widzieli incydent na mszy. Ludzie plotkowali, że ta jawna demonstracja uczuć nie podobała się ojcu don Juana do tego stopnia, że choć był gorliwym katolikiem, nigdy więcej nie pokazał się w kościele.

Dobroczyńca powiedział don Juanowi, że wojownik nigdy nie jest oblężony. Stan oblężenia oznacza, że ma się jakieś dobra osobiste, które ktoś inny może zablokować. Wojownik nie ma na tym świecie nic oprócz swojej nieskazitelności, a nieskazitelności nie można zagrozić. Jednakże w bitwie o własne życie, takiej, na jaką, by związać ze sobą kobietę Naguala, ważył się don Juan, wojownik ze względów strategicznych powinien użyć wszelkich dostępnych środków.

Zgodnie z tym don Juan postanowił wykorzystać wszystkie swoje umiejętności zwiadowcy, by zdobyć dziewczynę. W tym celu zaangażował w całą sprawę Silvia Manuela. Miał on zrobić użytek ze swej sztuki czarownika, w której już wówczas był znacznie zaawansowany, i uprowadzić dziewczynę. We dwóch z Genarem, zawsze gotowym na wszystko, zakradli się do domu dziewczyny przebrani za stare praczki. Był środek dnia i wszyscy domownicy zajęci byli przygotowywaniem poczęstunku dla dużej grupy krewnych i przyjaciół, którzy mieli przyjść na obiad. Było to nieformalne przyjęcie pożegnalne dla Olindy. Silvio Manuel liczył na to, że ludzie, którzy zobaczą dwie praczki wchodzące do domu z naręczami ubrań, będą przypuszczać, iż ma to coś wspólnego z przyjęciem, i nie będą niczego podejrzewać. Don Juan wcześniej dostarczył Silviowi Manuelowi i Genarowi wszelkich niezbędnych informacji dotyczących codziennego życia domowników. Powiedział im, że praczki zazwyczaj wnoszą naręcza wypranych ubrań do domu i zostawiają je do prasowania w pomieszczeniu gospodarczym. Silvio Manuel i Genaro weszli z dużymi paczkami prosto do tego pokoju. Wiedzieli, że będzie tam Olinda.

Silvio Manuel podszedł do Olindy i wykorzystując swoje hipnotyczne umiejętności sprawił, że zasłabła. Wówczas obydwaj włożyli ją do worka, owinęli go prześcieradłami i wyszli, zostawiając paczkę, którą przynieśli. W drzwiach zderzyli się z ojcem Olindy, który nawet na nich nie spojrzał.

Dobroczyńca don Juana był oburzony tym manewrem i nakazał don Juanowi natychmiast odprowadzić dziewczynę do domu. Powiedział, że jest absolutnie konieczne, by podwójna kobieta przyszła do niego z własnej woli, jeśli nawet nie po to, by dołączyć do grupy, to przynajmniej dlatego, że ją zaciekawili.

Don Juan miał wrażenie, że wszystko jest stracone – nikłe były szansę, że uda mu się niespostrzeżenie przemycić Olindę z powrotem do domu – lecz Silvio Manuel wymyślił rozwiązanie. Zaproponował, by cztery kobiety z grupy don Juana zabrały dziewczynę na odludną drogę, gdzie don Juan będzie mógł ją wyratować.

Silvio Manuel chciał, by kobiety udawały, że porywają Olindę. W pewnym miejscu na drodze ktoś miał je zobaczyć i rozpocząć pościg. Ścigający miał je pokonać i zmusić do upuszczenia worka. By wszystko wyglądało przekonująco, trzeba było tego dokonać przy użyciu siły fizycznej. Ścigającym musiał być, rzecz jasna, don Juan, który cudownym sposobem miał się pojawić we właściwym miejscu we właściwej chwili.

Silvio Manuel domagał się, by wszystko odbywało się jak najbardziej realistycznie. Kazał kobietom zakneblować dziewczynę, która do tej pory na pewno już dojdzie do przytomności i zacznie krzyczeć w worku, i pobiec z nią jak najdalej. Miały się ukrywać przed ścigającym, a w końcu, gdy będą już zupełnie wyczerpane, rzucić worek tak, by dziewczyna mogła obserwować zażarta, walkę między don Juanem a porywaczkami. Silvio Manuel wielokrotnie powtarzał, że wszystko musi wyglądać jak najbardziej prawdziwie. Uzbroił kobiety w kije i nakazał przekonująco bić don Juana, zanim pozwolą się odpędzić.

Spośród czterech kobiet Zoila była najbardziej podatna na histerię – gdy doszło do użycia kijów, wczuła się w rolę bez reszty i dała mrożący krew w żyłach spektakl, bijąc don Juana tak mocno, że poraniła mu plecy i ramiona. Przez chwilę wydawało się, że porywaczki zwyciężą. Silvio Manuel musiał wyjść z ukrycia i udając przypadkowego przechodnia, przypomnieć im, że to tylko intryga i czas już, by zniknęły.

W ten sposób don Juan został wybawcą i opiekunem Olindy. Powiedział jej, że nie może jej sam odprowadzić do domu, bo jest ranny, ale odeśle ją tam pod eskortą swego pobożnego ojca.

Olinda pomogła mu dojść do domu dobroczyńcy. Don Juan nie musiał udawać rannego – krwawił i z trudem dotarł do drzwi. Gdy Olinda opowiedziała, co się stało, dobroczyńca dostał ataku śmiechu, który musiał zamaskować jako szloch.

Obandażował rany don Juana i położył go do łóżka. Olinda zaczęła wyjaśniać don Juanowi, dlaczego jej ojciec jest mu tak nieprzychylny, ale nie zdążyła skończyć. Do pokoju wszedł dobroczyńca. Powiedział dziewczynie, że patrząc na jej ruchy, zauważył, iż porywaczki uszkodziły jej kręgosłup. Zaoferował się, że ją uleczy, dopóki jeszcze stan nie jest poważny.

Olinda zawahała się. Dobroczyńca przypomniał jej, że porywaczki nie żartowały – w końcu omal nie zabiły jego syna. Ta uwaga poskutkowała: dziewczyna podeszła do dobroczyńcy i pozwoliła, by mocno uderzył ją w łopatkę. Kości trzasnęły i Olinda weszła w stan podwyższonej świadomości. Dobroczyńca wyjawił jej regułę, ona zaś, podobnie jak don Juan, zaakceptowała ją bez zastrzeżeń, nie okazując ani cienia wątpliwości czy wahania.

Kobieta Nagual i don Juan odnaleźli we wzajemnym towarzystwie pełnię i spokój. Don Juan powiedział, że uczucie, jakie do siebie żywili, nie miało nic wspólnego z emocjami czy pożądaniem – było to raczej wspólnie przeżywane fizyczne wrażenie, że przekroczyli złowróżbną wewnętrzną barierę i stali się jedną istotą.

Zgodnie z wymogami reguły don Juan i jego kobieta Nagual przez wiele lat ciężko pracowali nad tym, by znaleźć zespół czterech śniących kobiet. Odnaleźli je w osobach Nelidy, Zuleiki, Cecilii i Hermelindy. Znaleźli także trzech kurierów: Juana Tumę, Teresę oraz Martę. W trakcie tych poszukiwań don Juan po raz kolejny przekonał się o pragmatycznej naturze reguły. Znalezione osoby dokładnie odpowiadały opisom w niej zawartym. Pojawienie się nowych wojowników oznaczało początek nowego cyklu dla wszystkich, włącznie z dobroczyńcą don Juana i jego grupą. Dla don Juana i jego wojowników miał to być cykl śnienia, a dla grupy dobroczyńcy – okres niezrównanej nieskazitelności w działaniu.

Dobroczyńca wyjaśnił don Juanowi, że gdy był młody i po raz pierwszy przedstawiono mu regułę jako drogę do wolności, przeżył uniesienie, sparaliżowała go radość. Wolność była dla niego rzeczywistością czekającą tuż za rogiem. Gdy zrozumiał, że reguła jest jedynie mapą, jego nadzieje i optymizm jeszcze się podwoiły. Później jego życie zostało zdominowane przez trzeźwe myślenie – im starszy się stawał, tym mniej widział szans powodzenia swego i całej grupy. W końcu doszedł do przekonania, że niezależnie od ich poczynań, szansę na to, by znikoma ludzka świadomość mogła kiedykolwiek osiągnąć wolność, są bardzo niewielkie. Pogodził się ze sobą i swoim losem i poddał się świadomości porażki. Powiedział Orłu z głębi swojej duszy, że jest dumny i cieszy się z tego, iż pielęgnował swoją świadomość. Orzeł może ją sobie teraz zabrać.

Don Juan rzekł, że wszyscy członkowie grupy dobroczyńcy przechodzili przez podobny stan. Uznali, że wolność, o jakiej mówi reguła, jest nieosiągalna. W przebłyskach wizji ukazywała im się unicestwiająca wszystko siła, którą jest Orzeł, i czuli, że nie mają wobec niej żadnych szans. Wszyscy

zgodzili się jednak, że będą wiedli nieskazitelne życie, nie mając na widoku żadnego innego celu oprócz samej nieskazitelności.

Dobroczyńca don Juana i jego grupa, pomimo poczucia własnej nieadekwatności, albo może właśnie dzięki niemu, odnaleźli jednak wolność. Wkroczyli w stan trzeciej uwagi – tyle że nie wszyscy razem, lecz pojedynczo. To, że odnaleźli przejście, było ostatecznym potwierdzeniem prawdy zawartej w regule. Dobroczyńca odszedł ze świata zwykłej uwagi jako ostatni. Zgodnie z regułą zabrał ze sobą kobietę Naguala należącą do grupy don Juana. Gdy ci dwoje rozpłynęli się w totalnej świadomości, don Juan i wszyscy jego wojownicy eksplodowali od środka – don Juan nie potrafił znaleźć innych słów na opisanie uczucia, jakiego doznali, gdy zmuszono ich do zapomnienia wszystkiego, czego świadkami byli w świecie swojego dobroczyńcy.

Tylko jeden z nich nigdy nie zapomniał – Silvio Manuel. To właśnie on zaangażował don Juana w żmudny wysiłek zebrania z powrotem w jednym miejscu wszystkich rozproszonych członków grupy. Następnie postawił przed nimi zadanie odnalezienia własnej pełni. Wypełnienie obydwu tych zadań zabrało im całe lata.

Don Juan wiele mówił o zapominaniu, ale wyłącznie w kontekście olbrzymich trudności, jakie musieli przezwyciężyć, by znów się zebrać i zacząć wszystko na nowo, tym razem bez pomocy dobroczyńcy. Nigdy nie wyjaśnił nam dokładnie, na czym polega zapomnienie czy odzyskanie własnej pełni. Pod tym względem przestrzegał zasad swego dobroczyńcy, pomagając nam tak, byśmy umieli pomóc sobie.

W tym celu nauczył mnie i la Gordę wspólnego widzenia i pokazał nam, że chociaż ludzkie istoty wyglądają dla widzącego jak świetliste jaja, jajowaty kształt to tylko zewnętrzny kokon, świetlista skorupka, w której mieści się niezwykle intrygujące, niezwykłe, hipnotyzujące jądro złożone z koncentrycznych kół żółtawego światła o barwie płomienia świecy. Podczas naszej ostatniej wspólnej sesji sprawił, że widzieliśmy ludzi kręcących się wokół kościoła. Było późne popołudnie, zapadał już zmierzch, ale sztywne świetliste kokony emanowały ze swego wnętrza tyle blasku, że wszystko wokół nich wydawało się kryształowo przejrzyste. Widok był przejmujący.

Don Juan wyjaśnił, że jajowate osłonki, które nam wydawały się tak jasne, w gruncie rzeczy są matowe. Światło emanowało z promienistego środka – skorupka jedynie przytłumiała jego blask. Don Juan powiedział nam, że po to, by żywa istota mogła się uwolnić, skorupka musi zostać skruszona. We właściwym czasie należy ją rozbić od środka, podobnie jak rozbijają swoje skorupki stworzenia wylęgające się z jaj. Jeśli im się to nie uda, duszą się i umierają. Tak jak to jest z istotami wykluwającymi się z jaj, wojownik nie może przebić osłonki swojej świetlistości, dopóki nie nadejdzie właściwa pora.

Według don Juana utrata ludzkiej postaci była jedynym sposobem na rozbicie skorupki, jedyną drogą, by uwolnić świetlisty rdzeń, rdzeń świadomości, który stanowi pożywienie Orła. Rozbicie tej skorupki oznacza odzyskanie pamięci swojego drugiego ja i osiągnięcie pełni własnej istoty.

Don Juan i jego wojownicy osiągnęli pełnię i przystąpili do wykonania swego ostatniego zadania, którym było odnalezienie nowej pary podwójnych istot. Na początku sądzili, iż będzie to proste, gdyż wszystko inne przyszło im względnie łatwo. Nie zdawali sobie sprawy, że ta pozorna łatwość ich dokonań miała źródło w mistrzostwie i osobistej mocy dobroczyńcy.

Tymczasem wszelkie wysiłki, by odnaleźć dwie podwójne istoty, kończyły się porażką. Ani razu nie natrafili na podwójną kobietę. Znaleźli kilku podwójnych mężczyzn, ale wszyscy oni byli zamożni, zajęci, mieli dzieci i byli tak zadowoleni z własnego życia, że wszelkie próby zbliżenia się do nich nie miały sensu. Nie potrzebowali szukać celu w życiu, bo uważali, że już go znaleźli.

Don Juan uświadomił sobie pewnego dnia, że on sam i cała jego grupa zaczynają się starzeć. Wydawało się, że nie ma już żadnej nadziei, iż zdołają wypełnić swoją misję. Wówczas po raz pierwszy poczuli ukłucie rozpaczy i bezsilności.

Silvio Manuel był zdania, że powinni zrezygnować i prowadzić nieskazitelne życie bez nadziei na wolność. Don Juan uważał za prawdopodobne, że może się to okazać kluczem do wszystkiego. Pod tym względem poszedł w ślady dobroczyńcy. Musiał zaakceptować to, że w pewnym miejscu ścieżki ogarnia wojownika przytłaczający pesymizm. Niepostrzeżenie dopada go poczucie porażki, czy też, ściśle mówiąc, własnej bezwartościowości. Don Juan mówił, że wcześniej śmiał się z wątpliwości dobroczyńcy i nie mógł uwierzyć, że jego zmartwienie jest szczere. Pomimo protestów i ostrzeżeń Silvia Manuela uważał, że jest to gigantyczny spisek uknuty po to, by ich czegoś nauczyć.

Ponieważ nie potrafił uwierzyć, że wątpliwości dobroczyńcy są prawdziwe, nie wierzył też w szczerość jego postanowienia dotyczącego nieskazitelnego życia bez nadziei na wolność. Gdy

wreszcie dotarło do niego, że dobroczyńca jak najpoważniej uznał się za pokonanego, zaświtało mu też, że postanowienia wojownika, by pomimo wszystko prowadzić nieskazitelne życie, nie można uważać za strategię zapewniającą sukces. Don Juan i jego grupa sami się o tym przekonali, gdy dotarło do nich, że prawdopodobieństwo porażki jest przytłaczająco wielkie. Don Juan powiedział, że w takich chwilach długie lata treningu robią swoje i wojownik wkracza w stan niezrównanej pokory – gdy nie może już zaprzeczać ubóstwu swych ludzkich możliwości, pozostaje mu tylko cofnąć się o krok i pochylić głowę.

Zdumiony był, że wygląda na to, iż możliwość porażki nie ma żadnego wpływu na kobiety z jego grupy; nie poruszał ich panujący w niej zamęt. Don Juan zauważył podobne zjawisko także w grupie dobroczyńcy: kobiety nigdy się nie martwiły i nie okazywały takiego przygnębienia swoim losem, jak mężczyźni. Wydawało się, że po prostu przyjmują do wiadomości osąd dobroczyńcy i postępują zgodnie z nim, nie okazując oznak emocjonalnego znużenia. Jeśli nawet na jakimś poziomie odczuwały niepokój, zachowywały wobec niego dystans. Ważne było dla nich tylko to, by mieć co robić. Don Juan odnosił wrażenie, że to mężczyźni prowadzą grę o wolność i na nich skupia się impet przeciwstawnych sił.

W swojej grupie don Juan zauważył ten sam kontrast. Kobiety chętnie zgadzały się z nim, gdy twierdził, że możliwości grupy są niewystarczające. Nasuwało mu to nieunikniony wniosek, że kobiety, choć nigdy o tym nie wspominały, od samego początku nie wierzyły, by mieli jakiekolwiek możliwości działania. Odkrycie własnej bezsilności nie mogło ich załamać ani rozczarować, bo przez cały czas zdawały sobie z niej sprawę.

Don Juan powiedział nam, że powodem, dla którego Orzeł żądał, by w grupie było dwa razy więcej kobiet niż mężczyzn, było to, że kobiety mają wrodzoną równowagę wewnętrzną, której brakuje mężczyznom. W najważniejszych chwilach, gdy wszystko wydaje się stracone, to właśnie mężczyźni wpadają w histerię i popełniają samobójstwa. Kobieta może się zabić, gdy nie ma żadnego kierunku ani celu, ale nie z powodu porażki systemu, którego jest częścią.

Po tym, jak don Juana i jego grupę opuściła wszelka nadzieja – albo raczej, jak sam to ujął, gdy już on sarn i pozostali mężczyźni sięgnęli kamienistego dna, a kobiety odkryły odpowiednie metody, by poprawić im nastrój – don Juan wreszcie natknął się na odpowiedniego człowieka, do którego mógł się zbliżyć. Tym podwójnym mężczyzną byłem ja. Powiedział, że ponieważ nikt przy zdrowych zmysłach nie zechce dobrowolnie przystąpić do tak niedorzecznego zadania jak walka o wolność, musiał wykorzystać nauki swego dobroczyńcy i w sposób godny zwiadowcy zwabić mnie do siebie podstępem, podobnie jak kiedyś zwabił członków własnej grupy. W tym celu musiał znaleźć się ze mną sam na sam w miejscu, gdzie mógłby wywrzeć fizyczną presję na moje ciało, i było konieczne, bym przybył tam z własnej woli. Bez żadnych trudności zwabił mnie do swego domu – twierdził, że przyciągnięcie podwójnego mężczyzny nigdy nie jest wielkim problemem. Cała rzecz w tym, by znaleźć takiego, który się nadaje.

Pierwsza wizyta w jego domu z punktu widzenia mojej codziennej świadomości była zupełnie pozbawiona treści. Don Juan zachowywał się czarująco i żartował ze mną. Sprowadził rozmowę na zmęczenie, jakiego doświadcza ciało po długiej jeździe samochodem. Ten temat wydawał się mnie, studentowi antropologii, zupełnie nieistotny. Potem zauważył mimochodem, że wydaje mu się, iż coś jest nie w porządku z moimi plecami. Bez dalszych wstępów położył dłoń na mojej piersi, wyprostował mnie i mocno uderzył w plecy. Zupełnie nie byłem na to przygotowany i straciłem przytomność. Gdy znów otworzyłem oczy, czułem się, jakbym miał złamany kręgosłup, wiedziałem jednak, że coś się we mnie zmieniło. Byłem kimś innym, a nie sobą, jakiego znałem. Od tej pory za każdym razem, gdy go spotykałem, przenosił mnie ze świadomości prawej strony na lewą, a potem ujawniał mi regułę.

W bardzo krótkim czasie po naszym spotkaniu don Juan znalazł podwójną kobietę. Nie próbował poznawać nas ze sobą za pomocą intrygi, jak to uczynił jego dobroczyńca, lecz wymyślił plan, równie skuteczny i wyrafinowany jak intrygi dobroczyńcy, dzięki któremu sam ją zwabił i związał ze sobą. Przyjął na siebie ten ciężar, bo wierzył, że obowiązkiem dobroczyńcy jest zatrzymać przy sobie obie podwójne istoty natychmiast po ich odnalezieniu, a potem połączyć je jako partnerów w niezrozumiałym przedsięwzięciu.

Opowiadał, że gdy mieszkał w Arizonie, pewnego dnia pojechał do biura gubernatora, żeby złożyć podanie. Kobieta, do której podszedł, poleciła mu zanieść je do urzędniczki w sąsiednim dziale i nie patrząc na niego, wskazała na lewo. Don Juan poszedł we wskazanym przez nią kierunku i zobaczył siedzącą za biurkiem podwójną kobietę. Gdy wręczał jej podanie, zauważył, że jest to młoda dziewczyna. Powiedziała, że nie zajmuje się przyjmowaniem podań. Mimo to, współczując biednemu Indianinowi, zgodziła się mu pomóc.

Potrzebne były pewne dokumenty, które don Juan miał w kieszeni, udawał jednak bezradnego ignoranta. Sprawiał wrażenie, że biurokracja jest dla niego czymś nieprzeniknionym. Mówił, że udawanie kompletnego głupka przyszło mu zupełnie bez trudu – musiał tylko przypomnieć sobie dawny stan własnego umysłu. W jego interesie było przedłużać kontakt z dziewczyną, ile się tylko da. Dobroczyńca mówił mu, że podwójne kobiety spotyka się dość rzadko, zresztą w ciągu lat spędzonych na bezowocnych poszukiwaniach don Juan sam miał okazję się o tym przekonać. Dobroczyńca ostrzegał go także, że cechą tych kobiet jest wielka zmienność nastrojów. Don Juan obawiał się, że jeśli nie rozegra tej partii po mistrzowsku, dziewczyna odejdzie. Grał na jej współczuciu, by zyskać na czasie. Przeciągnął sprawę, udając, że zgubił dokumenty. Prawie codziennie przynosił jakiś papier, który dziewczyna czytała i mówiła mu z żalem, że to nie jest ten właściwy. Była do tego stopnia poruszona jego bezradnością, że nawet zaproponowała, iż zapłaci za prawnika, który wypisałby notarialnie poświadczone dokumenty zastępcze.

Po trzech miesiącach tej zabawy don Juan uznał, że czas przynieść właściwe papiery. Dziewczyna zdążyła się już do niego przyzwyczaić, można nawet powiedzieć, że codziennie go oczekiwała. Don Juan przyszedł do biura po raz ostatni, by jej podziękować i pożegnać się. Wyznał, że w dowód wdzięczności chciałby dać jej jakiś podarunek, ale nie ma pieniędzy nawet na jedzenie. Dziewczyna była poruszona jego szczerością i zaprosiła go na lunch. Gdy jedli, don Juan powiedział, że prezent nie musi być przedmiotem, który się kupuje. Może to być coś przeznaczonego wyłącznie dla oczu właściciela, coś, co będzie się pamiętać, nie zaś posiadać.

Dziewczyna była zaintrygowana. Don Juan przypomniał jej, że wyrażała współczucie dla Indian i ich biedy. Zapytał, czy chciałaby zobaczyć Indian w innym świetle – nie jako biedaków, lecz jako artystów. Powiedział, że zna starego człowieka, który jest ostatnim z rodu tancerzy mocy. Zapewnił, że ten człowiek zatańczy dla niej na jego prośbę; co więcej, zagwarantował, że nigdy jeszcze nie widziała niczego podobnego i nigdy więcej nie zobaczy. Było to coś, na co wolno patrzeć wyłącznie Indianom.

Dziewczyna była zachwycona. Po zakończeniu pracy wstąpiła po don Juana i razem pojechali w stronę wzgórz, gdzie rzekomo mieszkał tancerz. W rzeczywistości don Juan zabrał ją do siebie. Gdy byli jeszcze dość daleko od domu, kazał jej zatrzymać samochód i resztę drogi przeszli piechotą. Zanim dotarli na miejsce, don Juan zatrzymał się i stopą narysował kreskę na piaszczystej, suchej ziemi. Powiedział dziewczynie, że ta linia jest granicą i zachęcał, by ją przestąpiła.

Kobieta Nagual opowiadała mi, że aż do tej chwili bardzo ją intrygowała możliwość zobaczenia prawdziwego indiańskiego tancerza, ale gdy stary Indianin narysował linię na ziemi i nazwał ją granicą, zaczęła się wahać. Zaniepokoiła się jeszcze bardziej, gdy powiedział, że jest to granica wyłącznie dla niej i że gdy raz ją przekroczy, nie będzie powrotu.

Indianin najwyraźniej zauważył jej konsternację i próbował ją uspokoić. Uprzejmie poklepał ją po ramieniu i obiecał, że przy nim nie spotka jej żadna krzywda. Mówił, że przekroczenie granicy jest czymś w rodzaju symbolicznej zapłaty dla tancerza, gdyż nie chce on pieniędzy. Rytuał zastępuje pieniądze i rytuał wymaga, by z własnej woli przekroczyła granicę.

Stary Indianin ze śmiechem przeszedł przez linię, mówiąc, że dla niego to wszystko jest czystą indiańską bzdurą, ale tancerz obserwuje ich z domu i jeśli dziewczyna chce zobaczyć jego taniec, musi spełnić ten warunek.

Kobieta Nagual poczuła naraz taki przestrach, że nie była w stanie się poruszyć, by przekroczyć linię. Stary Indianin próbował ją przekonać, mówiąc, że przejście przez linię jest korzystne dla całego ciała. Przechodzenie przez nią sprawia, że czuje się młodszy, a właściwie staje się młodszy – taką ma moc. Aby to udowodnić, znów przekroczył linię i natychmiast ramiona mu obwisły, kąciki ust opadły, oczy straciły blask. Kobieta Nagual nie mogła nie dostrzec różnicy w jego wyglądzie.

Don Juan przeszedł przez linię po raz trzeci. Oddychał głęboko, pełną piersią, a jego ruchy stały się zręczne i śmiałe. Kobiecie Nagualowi przyszło do głowy, iż Indianin może próbować wykorzystać ją seksualnie. Samochód stał zbyt daleko, by mogła do niego dobiec. Nie pozostawało jej nic innego, jak tylko powiedzieć sobie, że głupotą jest bać się takiego starego Indianina.

On zaś znów odwołał się do jej rozsądku i poczucia humoru. Konspiracyjnym tonem, jakby z konieczności zdradzał jej jakiś sekret, powiedział, że tylko udaje odmłodzonego, by zadowolić tancerza, ale jeśli ona mu nie pomoże, przekraczając linię, to on za chwilę zasłabnie od wysiłku, jakiego wymaga trzymanie się prosto. Przeszedł przez linię w jedną i w drugą stronę, by jej pokazać, jak bardzo wyczerpuje go ta pantomima.

Kobieta Nagual powiedziała, że jego oczy miały błagalny wyraz. Odbijało się w nich cierpienie, przez jakie przechodziło jego stare ciało zmuszone do udawania młodego. Przeszła przez linię tylko po to, by mu pomóc i wreszcie zakończyć tę sytuację. Chciała wrócić do domu.

W chwili, gdy przestąpiła linię, don Juan wyskoczył niesłychanie wysoko w górę, prześlizgując się nad dachem domu. Kobieta Nagual powiedziała, że leciał jak ogromny bumerang. Gdy wylądował obok niej, upadła na plecy. Jeszcze nigdy w życiu nie odczuwała takiego strachu, ale jednocześnie była podekscytowana widokiem tego cudu. Nie zapytała nawet, w jaki sposób Indianinowi udało się dokonać tak wspaniałego wyczynu. Chciała pobiec do samochodu i wracać do domu.

Starzec pomógł się jej podnieść i przeprosił za to, że ją nabrał. Wyznał, że tak naprawdę to on jest tancerzem, a skok ponad domem był jego tańcem. Zapytał, czy zauważyła kierunek jego lotu. Kobieta Nagual zatoczyła głową krąg w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Starzec po ojcowsku pogładził ją po głowie i powiedział, iż to bardzo dobra wróżba, że zwróciła na to uwagę. Przy upadku mogła sobie jednak uszkodzić kręgosłup, więc nie może jej stąd wypuścić, dopóki się nie upewni, że nic jej się nie stało. Śmiało wyprostował jej ramiona, głowę i kark, jakby chciał ustawić jej kręgosłup w linii prostej. Potem mocno uderzył ją pomiędzy łopatki, wypychając powietrze z płuc. Dziewczyna nie mogła złapać tchu i zasłabła.

Gdy odzyskała świadomość, znajdowała się w domu. Z nosa leciała jej krew, w uszach szumiało, oddech miała przyśpieszony i nie potrafiła zatrzymać na niczym Wzroku. Indianin polecił jej oddychać głęboko, licząc przy tym do ośmiu. Im dłużej oddychała, tym wszystko stawało się wyraźniejsze. Powiedziała mi, że w pewnym momencie cały pokój się rozjarzył – wszystko lśniło bursztynowym blaskiem. Była odrętwiała i nie mogła już dłużej głęboko oddychać. Bursztynowe światło stało się gęste jak mgła. Potem mgła zmieniła się w bursztynową pajęczynę. W końcu i to wrażenie znikło, ale świat jeszcze przez jakiś czas pozostawał jednolicie bursztynowy.

Wtedy don Juan zaczął mówić. Zabrał ją przed dom i pokazał, że świat jest podzielony na połowy. Lewa strona była czysta, a prawa spowita bursztynową mgłą. Powiedział jej, że myślenie, iż świat jest zrozumiały albo że my sami jesteśmy zrozumiali, jest czymś strasznym. To, co widzi, jest tajemnicą, zagadką, którą możemy jedynie pokornie i z czcią zaakceptować.

Potem wyjawił jej regułę. Dziewczyna miała tak intensywnie jasny umysł, że rozumiała wszystko. Reguła wydawała jej się właściwa i oczywista.

Wyjaśnił jej, że dwie strony ludzkiej istoty są całkowicie od siebie oddzielone. Potrzeba wielkiej dyscypliny i determinacji, by złamać pieczęć i móc przechodzić z jednej strony na drugą. Podwójna istota ma ogromną przewagę nad innymi ludźmi, gdyż podwójność pozwala względnie łatwo przemieszczać się między przegrodami po prawej stronie. Wielkim obciążeniem podwójnych istot jest jednak to, że z powodu posiadania dwóch przegród są one statyczne, konserwatywne i obawiają się zmian.

Don Juan powiedział dziewczynie, że zamierzał przeprowadzić ją z najdalej położonej prawej przegrody do innej, jaśniejszej i wyraźniejszej, znajdującej się w prawej części lewej strony, ale z jakiegoś nie wyjaśnionego powodu uderzenie przeniosło ją przez całą podwójność: od tej najdalej wysuniętej na prawo części używanej w życiu codziennym aż do najbardziej wysuniętej na lewo. Cztery razy próbował ją przywrócić do normalnego stanu świadomości, ale bez żadnych rezultatów. Jego uderzenia sprawiły jednak, że nauczyła się sterować percepcją ściany mgły, która pojawiała się i znikała zgodnie z jej wolą. Choć don Juan nie miał takich intencji, trafnie przepowiedział, że linia jest dla niej granicą prowadzącą tylko w jedną stronę. Gdy raz przez nią przeszła, podobnie jak Silvio Manuel, nigdy już nie wróciła.

Gdy don Juan doprowadził do naszego spotkania, natychmiast poczuliśmy, że się znamy, choć żadne z nas nie miało wcześniej pojęcia o istnieniu tego drugiego. Don Juan wiedział z własnego doświadczenia, że wsparcie, jakie podwójne istoty czerpią ze swego towarzystwa, nie daje się wyrazić słowami i trwa o wiele za krótko. Powiedział, że zetknęły nas ze sobą siły wykraczające poza rozum i że jedyne, czego nam brakuje, to czas. Każda minuta mogła być ostatnią – dlatego należało przeżywać ją do głębi.

Gdy don Juan poznał nas już ze sobą, jemu i jego wojownikom pozostało tylko znaleźć cztery kobiety zwiadowców, trzech mężczyzn wojowników i jednego mężczyznę kuriera, by skompletować grupę. Znaleźli Lydię, Josefinę, la Gordę, Rosę, Benigna, Nestora, Pablita i kuriera Eligia. Każde z nich było potencjalną kopią któregoś z członków grupy don Juana.

12. TECHNIKI NIE-DZIAŁANIA SILVIA MANUELA

Don Juan i jego wojownicy czekali, aż kobieta Nagual i ja samodzielnie wprowadzimy w życie regułę – to znaczy weźmiemy pod opiekę ośmioro wojowników, rozwiniemy ich umiejętności i doprowadzimy do wolności. Wydawało się, że wszystko idzie doskonale, jednak coś było nie tak. Pierwszą grupą kobiet wojowników, jakie don Juan znalazł, były śniące, chociaż powinny one należeć do kategorii zwiadowców. Don Juan nie potrafił wyjaśnić tej anomalii, wiedział tylko, że moc postawiła te kobiety na jego ścieżce w taki sposób, iż nie mógł ich zignorować.

Była też inna uderzająca nieprawidłowość, która wprawiała don Juana i jego grupę w jeszcze większe zakłopotanie: trzy kobiety i trzej mężczyźni wojownicy nie potrafili wejść w stan podwyższonej świadomości, choć don Juan dokładał wszelkich starań, by im pomóc. Zachowywali się jak odurzeni, nie potrafili wyostrzyć postrzegania i przełamać bariery, która oddzielała ich prawą stronę od lewej. Nazywano ich pijakami, bo chodzili w kółko i zataczali się. Jedynie kurier Eligio oraz la Gorda odznaczali się niezwykle wyostrzoną świadomością – szczególnie Eligio, który mógł się równać z każdym wojownikiem z grupy don Juana.

Trzy dziewczyny trzymały się razem i stanowiły niewzruszoną całość. Podobnie było z trzema mężczyznami. Grupy złożone z trzech osób, podczas gdy reguła wymagała czterech, były czymś złowieszczym. Liczba trzy symbolizuje dynamikę, zmianę, ruch, przede wszystkim zaś jest symbolem ożywienia.

Reguła nie mogła już służyć za mapę. A jednak nie sposób było przyjąć, że tkwi w niej błąd. Don Juan i jego wojownicy byli zgodni co do tego, że moc nie popełnia błędów. Próbowali zgłębiać tę sprawę w śnieniu i w widzeniu. Zastanawiali się, czy może działają zbyt pośpiesznie, i dlatego nie zobaczyli w porę, iż te trzy kobiety i trzech mężczyzn nie są odpowiednimi osobami.

Don Juan mówił mi, że dostrzega tu dwa istotne problemy. Pierwszy, natury pragmatycznej, dotyczył naszej obecności wśród nich. Drugim była trafność reguły. Dobroczyńca wpoił im pewność, że reguła zawiera w sobie wszystko, co może dotyczyć wojownika. Nie przygotował ich na to, że może okazać się bezużyteczna.

La Gorda mówiła, że kobiety z grupy don Juana nie dostrzegają związanego ze mną problemu. Jedynie mężczyźni czuli się zagubieni – nie potrafili zrozumieć i zaakceptować tego, że mój przypadek nie pasuje do reguły. Kobiety jednak ufały, że powód, dla którego znalazłem się między nimi, wyjaśni się wcześniej czy później. Zauważyłem, że trzymają się z dala od emocjonalnego zamętu, jakby zupełnie ich nie interesowało, co wyniknie z całej sytuacji. Wydawały się przekonane, iż mój przypadek musi się jakoś mieścić w regule. W końcu bardzo im pomogłem, akceptując rolę Naguala. Dzięki kobiecie Nagualowi i mnie don Juan i jego grupa zakończyli swój cykl i byli prawie wolni.

Odpowiedzi dostarczył w końcu Silvio Manuel. Jego widzenie ujawniło, że trzy siostrzyczki i Genarowie nie są niewłaściwymi osobami – to raczej ja nie jestem dla nich odpowiednim Nagualem. Nie potrafiłem ich poprowadzić, bo miałem niespodziewaną konfigurację, która nie pasowała do przewidzianego regułą wzorca, konfigurację, którą don Juan przeoczył w swoim widzeniu. Moje świetliste ciało wyglądało, jakby składało się z czterech przedziałów, chociaż w rzeczywistości były tylko trzy. Istniała inna reguła dotycząca tak zwanego “trzyczęściowego Naguala" – i ja pasowałem właśnie do niej. Silvio Manuel powiedział, że jestem jak ptak, którego wysiedziały z jaja ptaki innego gatunku, darząc go ciepłem i opieką. Cała grupa miała obowiązek dalej mi pomagać i ja też byłem zobowiązany zrobić dla nich wszystko, ale do nich nie należałem.

Don Juan przyjął odpowiedzialność za mnie, gdyż to on wprowadził mnie do grupy, moja obecność zmusiła ich jednak do wielkiego wysiłku i szukania odpowiedzi na dwa pytania: wyjaśnienia, co między nimi robię, i rozwiązania problemu, co z tym począć.

Silvio Manuel bardzo szybko wymyślił odpowiedni sposób, by odłączyć mnie od grupy. Podjął się kierowania tym projektem, ale ponieważ miał za mało cierpliwości i energii, by zadawać się ze mną osobiście, zlecił don Juanowi działanie w swoim zastępstwie. Chciał mnie mianowicie przygotować na chwilę, gdy pojawi się kurier pasujący do reguły trzyczęściowego Naguala. Powiedział, że ujawnienie mi tej części reguły nie jest jego sprawą. Musiałem czekać wraz z innymi, aż nadejdzie właściwy czas.

Był jeszcze jeden poważny problem, który wprowadzał dodatkowe zamieszanie. Dotyczył la Gordy, a w szerszej skali także mnie. La Gordę przyjęto do grupy jako kobietę południa. Don Juan i pozostali widzący tak ją sklasyfikowali. Wydawało się, że należy ona do tej samej kategorii, co Cecilia, Delia i dwie kobiety kurierzy. Podobieństwa były niezaprzeczalne. Potem la Gorda straciła nadmierną tuszę i zeszczuplała do połowy dawnej objętości. Zmiana była tak radykalna i głęboka, że la Gorda stała się zupełnie inną osobą.

Przez długi czas nikt tego nie spostrzegł, bowiem zaabsorbowani moimi trudnościami wojownicy nie zwracali na nią uwagi. Zmiana była jednak tak drastyczna, że w końcu musieli się na niej skupić i wtedy zobaczyli, że la Gorda absolutnie nie jest kobietą południa. Przy poprzednim widzeniu zmyliła ich obfitość jej kształtów. Dopiero wtedy przypomnieli sobie, że już od pierwszej chwili, gdy się między nimi znalazła, niezbyt dobrze dogadywała się z Cecilia, Delią i innymi kobietami południa. Była za to oczarowana Nelidą i Florindą – w ich towarzystwie czuła się swobodnie, gdyż w gruncie rzeczy zawsze była podobna do nich. To oznaczało, że miałem w swojej grupie dwie śniące kobiety północy, la Gordę i Rosę – co znów było niezwykłym odstępstwem od reguły.

Don Juan i jego wojownicy nie mieli pojęcia, co z tym wszystkim począć. Każde zdarzenie traktowali jako omen, wskazówkę świadczącą o tym, iż sprawy przybrały nieoczekiwany obrót. Ponieważ nie byli w stanie przyjąć, by ludzki błąd może przeważyć nad regułą, uznali, iż do tego błędu doprowadziła siła wyższa, z przyczyn, które, choć trudne do przeniknięcia, były jednakże rzeczywiste.

Zastanawiali się, co robić dalej, ale zanim którekolwiek z nich przedstawiło propozycję jakiegoś wyjścia z sytuacji, na scenie pojawiła się prawdziwa kobieta południa, dona Soledad, z takim impetem, że nie dało się jej zignorować. Ona pasowała do reguły. Była zwiadowcą.

Obecność doni Soledad przez jakiś czas zbijała nas z tropu. Na początku wydawało się, że pociągnie nas w inne rejony. Stwarzała dynamiczny ruch. Florindą wzięła ją pod swe skrzydła, by szkolić ją w sztuce skradania się, ale cokolwiek dobrego z tego wynikło, nie zrekompensowało odczuwanej przeze mnie dziwnej utraty energii, narastającego niepokoju.

Potem pewnego dnia Silvio Manuel powiedział, że otrzymał w śnieniu wielki plan. Z niezwykłym podnieceniem przedyskutował jego szczegóły z don Juanem i innymi wojownikami. Kobieta Nagual także brała udział W tej dyskusji, ale mnie do niej nie dopuszczono. Z tego powodu zacząłem podejrzewać, że nie chcą, bym się dowiedział, co Silvio Manuel odkrył na mój temat.

Powiedziałem im o swoich podejrzeniach. Wszyscy mnie wyśmiali, tylko kobieta Nagual przyznała mi rację. Śnienie Silvia Manuela ujawniło powód mojej obecności wśród nich, ale musiałem się poddać własnemu losowi, a to oznaczało, że nie mogę się dowiedzieć, na czym polega moje zadanie, dopóki nie będę do tego gotów.

W tonie kobiety Naguala brzmiała taka stanowczość, że mogłem tylko przyjąć jej słowa do wiadomości i nie zadawać już więcej pytań. Myślę, że gdybym usłyszał to samo od don Juana albo Silvia Manuela, nie ustąpiłbym tak łatwo. Kobieta Nagual powiedziała jeszcze, że nie zgadza się z opinią don Juana i innych – jej zdaniem powinni mnie poinformować o ogólnym celu swoich działań, choćby po to, by uniknąć niepotrzebnych tarć i buntu.

Silvio Manuel zamierzał mnie przygotować do wypełnienia mojego zadania, przenosząc mnie bezpośrednio w stan drugiej uwagi. Planował serię śmiałych działań, które miały wstrząsnąć moją świadomością.

W obecności wszystkich pozostałych powiedział, że przejmuje opiekę nade mną i przenosi mnie do swojego obszaru mocy, w mrok. Wyjaśnił, że w śnieniu przedstawiono mu kilka ćwiczeń w nie-działaniu. Ćwiczenia te la Gorda i ja mieliśmy wykonywać pod nadzorem kobiety Naguala.

Silvio Manuel był zachwycony kobietą Nagualem. Miał dla niej wyłącznie słowa uznania i podziwu, twierdził, że jest klasą sama dla siebie. Mogła się równać z nim i z każdym innym wojownikiem z jego grupy. Brakowało jej doświadczenia, ale potrafiła w dowolny sposób sterować swoją uwagą. Wyznał, iż jej uzdolnienia są dla niego równie wielką zagadką, jak moja obecność w grupie, a jej pewność i poczucie celowości tak mocne, że w żaden sposób nie mogę się z nią równać. Prosił nawet la Gordę, żeby dostarczała mi jak największego wsparcia, bo mogę być zbyt słaby, by znieść kontakt z kobietą Nagualem.

Do pierwszego ćwiczenia w nie-działaniu Silvio Manuel zbudował drewnianą skrzynię, tak wielką, że mieściliśmy się w niej obydwoje z la Gordą, siedząc oparci o siebie plecami, z kolanami podciągniętymi pod brodę. Ażurowa pokrywa z listewek zapewniała dopływ świeżego powietrza. La Gorda i ja mieliśmy wejść do środka i siedzieć tam w zupełnych ciemnościach i absolutnym milczeniu, nie zapadając jednak w sen. Na początek Silvio Manuel wpuszczał nas do skrzyni tylko na krótko; potem, w miarę jak się przyzwyczajaliśmy, stopniowo wydłużał czas, aż w końcu spędzaliśmy w skrzyni całe noce, nie poruszając się ani nie drzemiąc.

Kobieta Nagual pozostawała przy nas, pilnując, byśmy z powodu zmęczenia nie przeszli na inny poziom świadomości. Silvio Manuel twierdził, że naturalną reakcją człowieka w warunkach silnego stresu jest przejście ze stanu podwyższonej świadomości do normalnej, i odwrotnie.

W zasadzie za każdym razem, gdy wykonywaliśmy to ćwiczenie w nie-działaniu, czuliśmy się niezwykle wypoczęci. Dla mnie było to zupełną zagadką, gdyż podczas całonocnego czuwania nigdy nie usypialiśmy. Sądziłem, że to wrażenie relaksu jest efektem przebywania w stanie podwyższonej świadomości, ale Silvio Manuel wyjaśnił, że jedno nie ma nic wspólnego z drugim i że czujemy się wypoczęci, bo siedzimy z wysoko podciągniętymi kolanami.

Drugie ćwiczenie wyglądało tak, że leżeliśmy na ziemi jak zwinięte w kłębek psy, w pozycji przypominającej embrionalną, na lewym boku, z czołem opartym na złożonych rękach. Silvio Manuel nakazywał, byśmy jak najdłużej mieli zamknięte oczy. Mogliśmy je otwierać tylko wtedy, gdy kazał nam zmienić pozycję i położyć się na prawym boku. Mówił, że celem tego ćwiczenia jest oddzielenie zmysłu słuchu od wzroku. Podobnie jak w poprzednim ćwiczeniu, stopniowo wydłużał czas jego trwania, aż potrafiliśmy spędzić całą noc, nie śpiąc i nasłuchując.

Wtedy Silvio Manuel mógł rozpocząć serię ćwiczeń innego rodzaju. Wyjaśnił, że dwie pierwsze techniki nie-działania przełamały pewną barierę percepcji, jaka nas ograniczała, gdy znajdowaliśmy się przy ziemi. Przeprowadził analogię między ludźmi i drzewami. Jesteśmy ruchomymi drzewami. Jesteśmy zakorzenieni w ziemi – nasze korzenie są ruchome, ale mimo to nie potrafimy się oderwać od podłoża. Aby zachować równowagę, musimy wykonać trzecie ćwiczenie w nie-działaniu, wisząc w powietrzu. Jeśli uda nam się pokierować naszymi intencjami, gdy będziemy wisieć na drzewie w skórzanej uprzęży, utworzymy z nich trójkąt, którego podstawa będzie się znajdowała na ziemi, a wierzchołek w powietrzu. Silvio Manuel uznał, że podczas wykonywania dwóch poprzednich ćwiczeń zgromadziliśmy tyle uwagi, że to trzecie od samego początku powinno nam pójść doskonale.

Któregoś wieczoru zawiesił la Gordę i mnie w dwóch oddzielnych uprzężach, przypominających krzesełka wykonane ze skórzanych pasków. Usiedliśmy w nich, a on podciągnął nas za pomocą kołowrotu na najwyższe konary wysokiego drzewa. Chciał, żebyśmy zwrócili uwagę na świadomość drzewa; powiedział, że jesteśmy gośćmi drzewa, więc będzie nam dawało sygnały. Kazał kobiecie Nagualowi pozostać na ziemi i przez całą noc od czasu do czasu wołać nas po imieniu.

Wielokrotnie podczas wykonywania tego ćwiczenia, wisząc na drzewie, odbieraliśmy przypływ niezwykłych wrażeń fizycznych przypominających łagodne impulsy elektryczne. Podczas trzech czy czterech pierwszych prób wydawało nam się, że drzewo uważa nas za intruzów i protestuje przeciwko naszemu wtargnięciu; potem jednak impulsy stały się sygnałami pokoju i równowagi. Silvio Manuel powiedział, że świadomość drzewa czerpie pokarm z głębi ziemi, podczas gdy świadomość istot ruchomych – z jej powierzchni. Drzewo nie zna pojęcia walki, z kolei poruszające się istoty aż kipią od konfliktów.

Uważał, że gdy znajdujemy się w ciemnościach, w stanie wyciszenia, nasza percepcja doznaje głębokiego wstrząsu. Słuch wysuwa się na pierwszy plan i zaczynamy odbierać sygnały od wszystkiego, co żyje i istnieje dokoła – za pośrednictwem nie tylko słuchu, ale także kombinacji słuchu i wzroku, w tej właśnie kolejności. Silvio Manuel powiedział, że w mroku, szczególnie gdy człowiek wisi w powietrzu, oczy podporządkowują się uszom.

Obydwoje z la Gordą przekonaliśmy się, że ma absolutną rację. Trzecie ćwiczenie w nie-działaniu dodało nowy wymiar do naszego postrzegania świata.

Potem Silvio Manuel powiedział nam, że zestaw następnych trzech ćwiczeń w nie-działaniu będzie zasadniczo odmienny i bardziej skomplikowany. Tym razem mieliśmy się nauczyć radzić sobie z innym światem. Aby ćwiczenia dały maksymalny efekt, musiały być wykonywane wieczorem albo o pierwszym brzasku. Pierwsze ćwiczenie z tego zestawu składało się z dwóch etapów. Na początku musieliśmy się wprowadzić w stan jak najbardziej wyostrzonej uwagi, tak aby zauważyć ścianę mgły. Drugi etap polegał na tym, by zatrzymać obracającą się ścianę i spróbować wejść w świat między równoległymi liniami.

Silvio Manuel ostrzegł nas, że jego celem jest wrzucenie nas bezpośrednio w stan drugiej uwagi, bez żadnego przygotowania intelektualnego. Chciał, byśmy poznali niuanse drugiej uwagi bez racjonalnej świadomości tego, co właściwie robimy. Stwierdził, że magiczny jeleń czy magiczny kojot radzą sobie z drugą uwagą, choć nie mają żadnego intelektu. Konieczność przechodzenia przez ścianę mgły wcześniej czy później musiała spowodować trwałą przemianę naszej istoty i wytworzyć w nas przekonanie, że świat między równoległymi liniami jest rzeczywisty, gdyż stanowi część świata totalnego, podobnie jak świetliste ciało jest częścią naszej totalnej istoty.

Silvio Manuel powiedział jeszcze, że pracując ze mną i z la Gordą, chce sprawdzić, czy w przyszłości będziemy potrafili pomóc innym uczniom w przejściu do innego świata. W takim wypadku mogliby oni towarzyszyć Nagualowi Juanowi Matusowi i jego grupie w ostatecznej podróży. Uważał,

że skoro kobieta Nagual musi opuścić ten świat z Nagualem Juanem Matusem i jego wojownikami, to uczniowie muszą pójść za nią, gdyż ze względu na nieobecność mężczyzny Naguala jest ona jedynym przywódcą grupy. Zapewnił, że kobieta Nagual liczy na nas i właśnie dlatego nadzoruje nasze wysiłki.

Silvio Manuel kazał la Gordzie i mnie usiąść na ziemi za domem, w miejscu, gdzie odbywały się wszystkie nasze ćwiczenia w nie-działaniu. Nie potrzebowaliśmy pomocy don Juana, by wejść w stan maksymalnie wyostrzonej świadomości. Prawie od razu zobaczyłem ścianę mgły. La Gorda też ją widziała, ale choć bardzo się staraliśmy, nie potrafiliśmy jej zatrzymać. Za każdym razem, gdy obracałem głowę, ściana obracała się wraz z nią.

Kobieta Nagual potrafiła ją zatrzymać i przejść przez nią o własnych siłach, ale żadne jej wysiłki nie potrafiły przenieść przez ścianę nas dwojga. W końcu don Juan i Silvio Manuel musieli zatrzymać ścianę i fizycznie nas przez nią przepchnąć. Wchodząc w nią, miałem także wrażenie, jakby moje ciało mocno skręcano, niczym pasma liny.

Po drugiej stronie znajdowała się okropna pustynna równina pokryta okrągłymi, niewielkimi piaszczystymi wydmami. Otaczały nas nisko wiszące żółte chmury, ale nie mogłem dostrzec nieba ani horyzontu – widoczność była ograniczona przez zwały jasnożółtych oparów. Bardzo trudno było chodzić. Miałem wrażenie, że ciśnienie znacznie przewyższa to, do którego przywykło moje ciało. Obydwoje z la Gordą wędrowaliśmy bez celu, natomiast kobieta Nagual chyba wiedziała, dokąd idzie. Im bardziej oddalaliśmy się od ściany, tym większy mrok nas otaczał i tym trudniej było się poruszać. Po jakimś czasie la Gorda i ja nie potrafiliśmy już utrzymać się prosto – zaczęliśmy się czołgać. Obydwojgu nam brakowało sił i w końcu kobieta Nagual musiała nas zaciągnąć z powrotem do ściany i przeprowadzić na drugą stronę.

Powtarzaliśmy tę wyprawę wielokrotnie. Na początku don Juan i Silvio Manuel pomagali nam zatrzymać ścianę mgły, ale po jakimś czasie obydwoje z la Gordą zaczęliśmy sobie radzić niemal równie dobrze jak kobieta Nagual. Nauczyliśmy się zatrzymywać ścianę. Przyszło nam to całkiem naturalnie. Pewnego razu uświadomiłem sobie, że kluczem jest tu moja intencja, a właściwie pewien jej aspekt, gdyż nie była to wola, jaką znałem wcześniej. Było to intensywne pragnienie skupiające się pośrodku ciała, szczególne podniecenie, od którego przeszywały mnie dreszcze. Potem to wrażenie zmieniało się w siłę, która w gruncie rzeczy nie zatrzymywała ściany, lecz sprawiała, że jakaś część mojego ciała samoistnie obracała się o dziewięćdziesiąt stopni w prawo. W rezultacie przez krótką chwilę potrafiłem jednocześnie utrzymać dwa różne obrazy, widziane z dwóch różnych punktów. Patrzyłem na świat podzielony na dwoje ścianą mgły, a jednocześnie stałem twarzą do żółtawych oparów. Następnie ten drugi obraz zaczynał dominować i wówczas coś wciągało mnie w mgłę i przenosiło przez nią na drugą stronę.

W następnej kolejności nauczyliśmy się uważać to miejsce za rzeczywiste; nasze podróże nabrały realności wycieczki w góry albo rejsu żaglówką po morzu. Bezludna równina pokryta wzgórkami przypominającymi wydmy stała się dla nas równie realna jak każda inna część świata.

Obydwoje z la Gordą odnosiliśmy racjonalne wrażenie, że nasza trójka spędza całą wieczność w świecie między równoległymi liniami, jednak nie potrafiliśmy sobie przypomnieć, co dokładnie się tam działo. Pamiętaliśmy jedynie przerażające chwile, gdy trzeba było opuścić to otoczenie i wrócić do zwykłego świata. Za każdym razem był to moment ogromnego cierpienia i braku poczucia bezpieczeństwa.

Don Juan i wszyscy jego wojownicy obserwowali nasze poczynania z wielką ciekawością, ale zastanawiające było to, że nigdy nie spotykaliśmy Eligia. Choć on sam był niezrównanym wojownikiem, mogącym się równać z wojownikami z grupy don Juana, nigdy nie brał udziału w naszych zmaganiach ani w żaden sposób nam nie pomagał.

La Gorda powiedziała, że Eligiowi udało się przyłączyć do Emilita, a przez to bezpośrednio do Naguala Juana Matusa. Nigdy nie był częścią dotyczącego nas problemu, bo potrafił przejść w stan drugiej uwagi w mgnieniu oka. Dla niego podróż w mroczne obszary tego stanu była tak łatwa, jak pstryknięcie palcami.

La Gorda przypomniała mi, jak to kiedyś dzięki swym niezwykłym talentom Eligio odkrył, że do nich nie należę. Zdarzyło się to na długo przed tym, zanim ktokolwiek inny zaczął choćby podejrzewać prawdę.

Siedziałem na tylnej werandzie domu Vicente w północnym Meksyku, gdy nagle pojawili się Emilito i Eligio. Wszyscy uważali za naturalne, że Emilito od czasu do czasu znika na długo; gdy się znów pojawiał, oczywiste było, że wrócił z podróży. Nikt go o nic nie pytał.

Emilito sam opowiadał o swoich odkryciach, najpierw don Juanowi, a potem każdemu, kto chciał posłuchać.

Tamtego dnia miałem wrażenie, że Emilito i Eligio właśnie weszli do domu tylnymi drzwiami. Jak zwykle Emilito tryskał energią, a Eligio był cichy i pochmurny. Zawsze gdy widziałem ich razem, odnosiłem wrażenie, że Emilito ze swoją czarującą osobowością dominuje nad Eligiem i sprawia, że tamten jeszcze bardziej zamyka się w sobie.

Emilito zniknął w głębi domu w poszukiwaniu don Juana, a Eligio otworzył się przede mną. Podszedł do mnie uśmiechnięty, otoczył mnie ramieniem i przykładając usta do mojego ucha, szepnął, że złamał barierę równoległych linii i udało mu się wejść w coś, co Emilito nazwał chwałą.

Opowiadał mi na ten temat rzeczy, których nie potrafiłem zrozumieć. Miałem wrażenie, że mój umysł jest się w stanie skupić wyłącznie na zupełnie marginalnych sprawach. Gdy Eligio skończył mówić, wziął mnie za rękę, poprowadził na środek patio i lekko uniósł mi głowę do góry, kierując moje spojrzenie w niebo. Sam w identycznej pozycji stanął po mojej prawej stronie. Kazał mi porzucić kontrolę nad ciałem, poczuć ciężar czubka głowy i pozwolić mu się pociągnąć, aż upadnę na plecy. Coś mnie pochwyciło od tyłu i ściągnęło w dół. Za mną znajdowała się otchłań. Wpadłem w nią i naraz znalazłem się na bezludnej równinie pokrytej podobnymi do wydm pagórkami.

Eligio kazał mi iść za sobą. Powiedział, że brzeg chwały znajduje się za wzgórzami. Szedłem, dopóki wystarczało mi siły. On biegł przede mną bez żadnego wysiłku, jakby był utkany z powietrza. Zatrzymał się na szczycie sporego pagórka i wskazał na drugą stronę. Przybiegł z powrotem do mnie, prosząc żarliwie, bym się wczołgał na szczyt, który, jak twierdził, jest skrajem chwały. Oddzielało mnie od tego miejsca zaledwie jakieś sto stóp, ale nie byłem w stanie zrobić już ani kroku więcej.

Eligio próbował wciągnąć mnie na pagórek, ale nie mógł mnie ruszyć z miejsca. Wydawało się, że mój ciężar wzrósł stokrotnie. W końcu musiał przywołać na pomoc don Juana i jego wojowników. Cecilia wzięła mnie na barana i wyniosła stamtąd.

La Gorda uzupełniła, że Eligio działał za namową Emilita, który chciał dochować wierności regule. Ponieważ mój kurier odbył podróż w chwałę, miał obowiązek pokazać ją również mnie.

Wyraźnie pamiętałem wyraz gorliwości na twarzy Eligia i podniecenie, z jakim mnie namawiał, bym zdobył się na jeszcze trochę wysiłku i ujrzał obszar chwały. Przypominałem sobie także jego smutek i rozczarowanie, gdy mi się nie powiodło. Nigdy więcej się do mnie nie odezwał.

La Gordę i mnie tak bardzo zaabsorbowały podróże za ścianę mgły, że zupełnie zapomnieliśmy, iż czas już przystąpić do kolejnego ćwiczenia w nie-działaniu. Silvio Manuel powiedział, że może się ono okazać dla nas druzgocące. Wraz z trzema siostrzyczkami i trzema Genarami mieliśmy przekroczyć równoległe linie i wejść bezpośrednio do świata totalnej świadomości. Wykluczył z udziału donę Soledad, gdyż jego ćwiczenia przeznaczone były tylko dla śniących, ona zaś była zwiadowcą.

Silvio Manuel oczekiwał, że zaznajomimy się z trzecią uwagą, wielokrotnie docierając aż do stóp Orła. Przygotował nas na wstrząs; wyjaśnił, że podróże wojownika na pustynne wydmy mają go przygotować do prawdziwego przekroczenia granic. Zapuszczając się za ścianę mgły w stanie podwyższonej świadomości albo podczas śnienia, wykorzystujemy jedynie bardzo niewielką część naszej totalnej świadomości, ale fizyczne przejście do innego świata wymaga zaangażowania całej naszej istoty.

Pomysłem Silvia Manuela było użycie mostu jako symbolu prawdziwego przejścia. Twierdził, że most sąsiaduje z miejscem mocy, miejsca mocy zaś są szczelinami, przejściami do innego świata. Uważał, że la Gorda i ja jesteśmy w stanie zgromadzić wystarczająco dużo mocy, by wytrzymać krótkie spojrzenie Orła.

Miałem zgromadzić trzy kobiety i trzech mężczyzn w jednym miejscu i pomóc im wejść w stan maksymalnie wyostrzonej uwagi. Musiałem dla nich zrobić przynajmniej tyle, gdyż było prawdopodobne, że to właśnie ja zniweczyłem ich szansę na uzyskanie wolności.

Silvio Manuel wyznaczył czas akcji na porę tuż przed świtem, o brzasku. Posłusznie próbowałem wprowadzić całą grupę w stan zmienionej świadomości, tak jak don Ju-an czynił to ze mną. Ale ponieważ nie miałem pojęcia, jak manipulować ich ciałami ani co naprawdę powinienem z nimi zrobić, skończyło się na tym, że tylko biłem ich po plecach. Po kilku wyczerpujących próbach w końcu zainterweniował don Juan. Przygotował ich, na ile mógł, i przekazał całą grupę mnie, bym ich wpędził na most jak stado bydła. Miałem przeprowadzić ich pojedynczo na drugą stronę. Miejsce mocy znajdowało się na południowym końcu mostu i był to bardzo korzystny omen. Silvio Manuel miał

zamiar przejść pierwszy i poczekać, aż doprowadzę pozostałych, a potem zabrać całą grupę w nieznane.

Silvio Manuel przeszedł przez most, a za nim, nie obdarzając mnie ani jednym spojrzeniem, ruszył Eligio. Trzymałem sześcioro uczniów zbitych w ciasną grupę na północnym krańcu mostu. Wszyscy byli przerażeni. Wyrwali się z moich objęć i rozbiegli w różnych kierunkach. Udało mi się pochwycić trzy kobiety i po kolei doprowadzić je do Silvia Manuela, który zatrzymał je przy wejściu do szczeliny między światami. Trzej mężczyźni byli dla mnie za szybcy. Nie miałem siły ich gonić.

Spojrzałem na don Juana, szukając wskazówek. Stał po drugiej stronie mostu wraz z resztą swojej grupy i kobietą Nagualem. Wszyscy oni patrzyli na mnie, śmiejąc się z moich niezdarnych wysiłków, i gestami nakazywali mi łapać uciekinierów. Don Juan ruchem głowy pokazał, bym zignorował trzech mężczyzn i razem z la Gordą podszedł do Silvia Manuela.

We dwójkę przeszliśmy na drugą stronę. Silvio Manuel i Eligio stali w takich pozach, jakby przytrzymywali z dwóch stron pionową szczelinę wysokości człowieka. Kobiety podbiegły do nas i schowały się za la Gordę. Silvio Manuel kazał nam wszystkim wejść w szczelinę; tylko ja go posłuchałem. Za wejściem nie było nic, ale przestrzeń była po brzegi wypełniona tym czymś, co stanowiło esencję nicości. Miałem otwarte oczy i wyostrzone wszystkie zmysły. Usiłowałem dostrzec coś przed sobą. Nic tam jednak nie było, albo, jeśli było, to nie byłem w stanie tego zauważyć. Moje zmysły nie potrafiły wyróżnić żadnych znajomych jednostek znaczeniowych. Wszystko docierało do mnie jednocześnie, czy też raczej nicość docierała do mnie w stopniu, jakiego nigdy nie doświadczałem ani wcześniej, ani później. Czułem, że coś rozdziera moje ciało. Jakaś siła z mojego wnętrza parła na powierzchnię. Czułem, że eksploduję, i to nie w przenośni. Naraz, gdy już miałem się rozpłynąć w nicości, wyrwała mnie stamtąd ludzka ręka.

Na ratunek przyszła mi kobieta Nagual. Eligio nie mógł się poruszyć, bo odchylał brzeg szczeliny, a Silvio Manuel trzymał za włosy cztery kobiety, każdą ręką po dwie, gotów je wrzucić do środka.

Przypuszczam, że wszystko razem musiało trwać co najmniej piętnaście minut, ale wtedy nawet przez chwilę nie pomyślałem o innych ludziach na moście. Miałem wrażenie, że czas się zatrzymał, podobnie jak wtedy, gdy wróciliśmy na most w drodze do Mexico City.

Silvio Manuel stwierdził, że chociaż próba wydawała się porażką, w istocie zakończyła się pełnym sukcesem. Cztery kobiety widziały szczelinę i inny świat po drugiej stronie; moje przeżycie z kolei było prawdziwym doświadczeniem śmierci.

– W śmierci nie ma nic wspaniałego ani spokojnego – powiedział. – Bo w chwili śmierci zaczyna się prawdziwa groza. Za sprawą tej niezmierzonej siły, którą tam poczułeś, Orzeł wyciśnie z ciebie każdą najmniejszą iskrę świadomości.

Silvio Manuel przygotował la Gordę i mnie do następnej próby. Wyjaśnił, że miejsca mocy to fizyczne dziury w swego rodzaju osłonie, dzięki której świat zachowuje swój kształt. Miejsca mocy można wykorzystywać pod warunkiem, że pozostając w stanie drugiej uwagi, zgromadziło się wystarczająco wiele siły. Obecność Orła można znieść dzięki potędze własnej intencji. Bez intencji nie ma nic. Silvio Manuel powiedział, że ponieważ byłem jedynym, który wszedł w drugi świat, omal mnie nie zabiła nieumiejętność zmiany intencji. Wierzył jednak, że gdy zmusi nas do ćwiczeń, wszyscy nauczymy się przedłużać naszą intencję. Nie potrafił jednak wyjaśnić, czym ona jest. Żartował, że tylko Nagual Juan Matus mógłby to wyjaśnić, ale akurat nie było go w pobliżu.

Niestety nie doszło do następnej próby, gdyż zupełnie opuściła mnie energia. Była to szybka, druzgocąca utrata witalności. W jednej chwili stałem się tak słaby, że zemdlałem w domu Silvia Manuela.

Zapytałem la Gordę, czy wie, co zdarzyło się potem; ja sam niczego nie pamiętam. Odrzekła, iż Silvio Manuel powiedział wszystkim, że Orzeł oddzielił mnie od ich grupy i jestem już gotów przy ich pomocy rozpocząć przygotowania do wypełnienia przeznaczonych mi zadań. Silvio Manuel miał zamiar zabrać mnie nieprzytomnego do świata między równoległymi liniami i pozwolić, by ten świat wyssał z mojego ciała całą bezużyteczną energię, która jeszcze we mnie pozostała. Wszyscy jego towarzysze uznali ten pomysł za dobry, gdyż reguła mówi, że można tam wejść jedynie świadomie. Jeśli ktoś przekroczy przejście bez świadomości, czeka go śmierć, gdyż fizyczny nacisk tego świata wyczerpie z niego całą siłę życiową.

La Gordy przy tym nie było, ale Nagual Juan Matus opowiadał jej, że gdy już nie pozostała we mnie ani odrobina siły witalnej i byłem praktycznie martwy, wszyscy po kolei oddawali mi swoją energię. W tamtym świecie każdy, kto ma w sobie energię życia, może ją przekazać innym, dmuchając na nich. Dmucha się na wszystkie miejsca, w których gromadzą się siły witalne. Pierwszy

przekazał mi energię Silvio Manuel, a potem kobieta Nagual. Pozostałe części mojej osoby ożywił oddech wszystkich członków grupy Naguala Juana Matusa.

Gdy wdmuchnęli we mnie swoją energię, kobieta Nagual wyniosła mnie z mgły do domu Silvia Manuela i położyła na ziemi z głową zwróconą na południowy wschód. La Gorda powiedziała, że wyglądałem jak martwy. Była tam, Genarowie i siostrzyczki także. Kobieta Nagual wyjaśniła im, że jestem chory, ale któregoś dnia wrócę, by pomóc im odnaleźć wolność, bo dopiero wtedy, gdy to zrobię, sam także będę mógł się stać wolny. Potem Silvio Manuel dał mi swój oddech i przywrócił mnie do życia. Dlatego właśnie la Gorda i siostrzyczki pamiętały, że to on był moim mistrzem. Zaniósł mnie do łóżka i położył spać, jakby nic się nie zdarzyło. Gdy się obudziłem, odszedłem i już nie wróciłem. A potem la Gorda zapomniała o wszystkim, bo nikt już nie przeprowadzał jej na lewą stronę. Zamieszkała w mieście, w którym później odnalazłem całą grupę. Nagual Juan Matus i Genaro zorganizowali dwa osobne domostwa. Genaro zajmował się mężczyznami, a Nagual Juan Matus opiekował się kobietami.

Położyłem się spać przygnębiony i słaby. Gdy się obudziłem, znów poczułem się panem siebie. Przepełniała mnie niezwykła, nie znana mi energia. To świetne samopoczucie zakłóciły tylko słowa don Juana, który powtarzał mi, że muszę opuścić la Gordę i w samotności doskonalić swoją uwagę, aż pewnego dnia będę mógł wrócić, by jej pomóc. Powiedział mi także, bym się nie zniechęcał ani nie niepokoił, gdyż posłaniec niosący regułę w końcu ujawni się przede mną i odkryje mi moje prawdziwe zadanie.

Nie widziałem don Juana bardzo długo. Gdy wróciłem, znów zaczął przeprowadzać mnie ze świadomości prawej strony na lewą. Robił to w dwóch celach: po pierwsze, bym mógł nadal się spotykać z jego wojownikami i kobietą Nagualem, a po drugie, gdyż w ten sposób mógł mnie oddać pod bezpośredni nadzór Zuleiki, z którą utrzymywałem stałe kontakty przez wszystkie pozostałe lata mojego terminowania.

Wyjaśnił, że musiał mnie powierzyć Zuleice, gdyż zgodnie z planem Silvia Manuela miałem przechodzić jednocześnie przez dwa rodzaje szkolenia, prawo– i lewostronne. Nauka po prawej stronie dotyczyła stanu normalnej świadomości i miała mnie doprowadzić do racjonalnego przekonania, że ludzkie istoty mają drugą, ukrytą świadomość. Za tę część odpowiedzialny był don Juan. Szkolenie po lewej stronie przydzielono Zuleice – wiązało się ono ze stanem podwyższonej świadomości i dotyczyło wyłącznie posługiwania się drugą uwagą. Z tego względu podczas każdej mojej wizyty w Meksyku spędzałem połowę czasu z Zuleicą, a drugą połowę z don Juanem.

13. ARKANA ŚNIENIA

Zanim don Juan zaczął mnie wprowadzać w drugą uwagę, powiedział, że mam już duże doświadczenie w przechodzeniu w ten stan. Silvio Manuel doprowadził mnie do samego wejścia. Błąd polegał na tym, że nie podano mi wówczas wystarczającego uzasadnienia. Mężczyźni muszą mieć poważne powody, by bezpiecznie wypuścić się w nieznane. Kobiet wojowników to nie dotyczy, wchodzą one w drugą uwagę bez wahania, pod warunkiem, że mają pełne zaufanie do osoby, która je prowadzi.

Don Juan powiedział, że najpierw muszę poznać dokładniej arkana śnienia. W tym celu oddał mnie pod nadzór Zuleiki. Nakazywał mi zachowywać się nieskazitelnie i pilnie ćwiczyć wszystko, czego będzie mnie uczyła, a przede wszystkim zalecał ostrożność i rozwagę w działaniu, by niepotrzebnie nie wyczerpywać sił życiowych. Powiedział, że witalność jest warunkiem wstępnym wejścia w każdy z trzech stanów uwagi, gdyż bez niej wojownik traci cel i kierunek. Wyjaśnił, że w chwili śmierci nasza świadomość także wchodzi w stan trzeciej uwagi, ale tylko na krótką chwilę, by się oczyścić, zanim pochłonie ją Orzeł.

La Gorda mówiła, że Nagual Juan Matus kazał wszystkim swoim uczniom zgłębiać śnienie. Jej zdaniem wszyscy otrzymaliśmy to zadanie równocześnie. Ich szkolenie także dzieliło się na prawo– i lewostronne. Nagual i Genaro udzielali im instrukcji dotyczących normalnej świadomości. Gdy uznali, że uczniowie są gotowi, Nagual przeniósł ich w stan podwyższonej uwagi i pozostawił każdego ze swym odpowiednikiem. Vicente uczył Nestora, Silvio Manuel – Benigna, Genaro – Pablita, Lydią

zajmowała się Hermelinda, a Rosą – Nelida. La Gorda i Josefina były pod opieką Zuleiki, która miała wprowadzić je razem w subtelniejsze tajniki śnienia, by któregoś dnia mogły przyjść mi z pomocą.

Ponadto la Gorda samodzielnie doszła do wniosku, że mężczyzn zabierano również do Florindy, która uczyła ich skradania się. Dowodem na to była drastyczna zmiana w ich zachowaniu. Twierdziła, że jeszcze zanim cokolwiek sobie przypomniała, była pewna, iż uczono ją zasad skradania, ale bardzo powierzchownie – nie kazano jej wykonywać żadnych ćwiczeń, tymczasem mężczyźni otrzymywali praktyczną wiedzę i zadania. Świadczyły o tym zmiany w ich zachowaniu. Stali się pogodni i jowialni. Nauczyli się cieszyć życiem, podczas gdy ona sama i pozostałe kobiety, w miarę jak coraz dogłębniej poznawały śnienie, stawały się bardziej posępne i przygnębione.

La Gorda uważała, że mężczyźni nie potrafili sobie przypomnieć nauki skradania, gdy ich prosiłem, by ujawnili przede mną swoją wiedzę na ten temat, bowiem ćwiczyli je, nie wiedząc, co właściwie robią. Efekty tego szkolenia były jednak widoczne w ich kontaktach z ludźmi. Wszyscy stali się wyrafinowanymi artystami w nakłanianiu ludzi do zachowywania się zgodnie ze swoją wolą. Poprzez ćwiczenia w skradaniu mężczyźni nauczyli się nawet kontrolowanego kaprysu, na przykład traktowali Soledad jak matkę Pablita. Każdemu postronnemu obserwatorowi mogłoby się wydawać, że są oni matką i synem i pozostają w nieprzyjaznych stosunkach, ale w rzeczywistości było to tylko odgrywanie ról. Potrafili przekonać każdego. Czasami Pablito odstawiał taki spektakl, że przekonywał nawet siebie.

La Gorda wyznała, że moje zachowanie wprawiało ich wszystkich w nieopisane zdumienie. Nie wiedzieli, czy jestem pomyleńcem, czy mistrzem kontrolowanych kaprysów. Wszystko wskazywało na to, że wierzę w ich maskaradę. Soledad mówiła im, żeby się nie dali ogłupić, bo naprawdę nie jestem przy zdrowych zmysłach. Sprawiam wrażenie, jakbym wszystko kontrolował, ale jestem do tego stopnia szalony, że nie potrafię się zachowywać jak Nagual. Poleciła wszystkim kobietom zadać mi śmiertelny cios. Powiedziała, że sam o to kiedyś prosiłem, gdy jeszcze byłem w stanie kontrolować swój umysł.

La Gorda mówiła, że minęło kilka lat, zanim nauczyła się śnienia pod nadzorem Zuleiki. W końcu Nagual Juan Matus doszedł do wniosku, że jej umiejętności są wystarczające i zabrał ją do jej prawdziwej odpowiedniczki, Nelidy. To właśnie Nelida uczyła la Gordę, jak należy się zachowywać w świecie. Kształciła w niej swobodę poruszania się w zachodnim ubraniu i dobry smak. Dzięki temu, gdy la Gorda nałożyła miejskie ubranie w Oaxaca, zadziwiła mnie swym wdziękiem i naturalnością, nie wiedziałem bowiem, że ma już spore doświadczenie w tego typu przemianie.

Zuleica była bardzo skuteczna w roli przewodnika po drugiej uwadze. Nalegała, by nasze kontakty odbywały się wyłącznie w nocy, w zupełnych ciemnościach. Dla mnie była tylko głosem w mroku, który rozpoczynał każde spotkanie, każąc mi się skupić wyłącznie na dochodzących do mnie słowach i nie zwracać uwagi na nic więcej. To ten właśnie kobiecy głos la Gorda słyszała w śnieniu.

Zuleica powiedziała mi, że jeśli śni się w pomieszczeniu, najlepiej robić to w zupełnej ciemności, leżąc lub siedząc na wąskim łóżku – albo jeszcze lepiej, w kołysce przypominającej trumnę. Poza domem najlepiej jest śnić w schronieniu jaskini, na piaszczystym terenie, w dziurach wodnych albo przy górskich skałach, opierając się o nie plecami; nigdy na płaskim dnie doliny, w pobliżu rzek, jezior czy morza, gdyż płaskie tereny, podobnie jak woda, są zaprzeczeniem drugiej uwagi.

Każda z moich sesji przesycona była tajemniczymi podtekstami. Zuleica wyjaśniła, że najpewniejszym sposobem bezpośredniego dotarcia do drugiej uwagi są rytualne akty, monotonne pieśni, skomplikowane, wielokrotnie powtarzane ruchy.

Jej szkolenie nie obejmowało podstaw śnienia, gdyż tego już wcześniej nauczył mnie don Juan. Zakładała, że każdy, kto do niej trafia, potrafi już śnić, toteż zajmowała się wyłącznie ezoterycznymi aspektami świadomości lewej strony.

Rozpocząłem naukę u Zuleiki pewnego dnia, gdy don Juan zabrał mnie do jej domu. Dotarliśmy tam późnym popołudniem. Dom wydawał się opustoszały, ale gdy podeszliśmy bliżej, okazało się, że drzwi frontowe są otwarte. Spodziewałem się zobaczyć Zoile lub Martę, lecz za progiem nie było nikogo. Miałem wrażenie, że ten, kto otworzył nam drzwi, bardzo szybko zniknął. Don Juan zaprowadził mnie na patio i kazał usiąść na przykrytej poduszką skrzynce, która pełniła funkcję ławki. Siedzenie było wygniecione, twarde i bardzo niewygodne. Wsunąłem rękę pod cienką poduszkę i wyczułem pod spodem kamienie o ostrych krawędziach. Don Juan powiedział, że moja sytuacja jest nietypowa, bo muszę w pośpiechu zgłębić zawiłości śnienia. Twarde siedzenie miało zapobiec wrażeniu, że jest to zwyczajne spotkanie towarzyskie. Kilka minut wcześniej, zanim dotarliśmy przed dom, don Juan wprowadził mnie w stan drugiej uwagi. Powiedział, że jest to konieczne, by szkolenie

Zuleiki mogło przebiegać w odpowiednio szybkim tempie. Miałem zapomnieć o sobie i absolutnie zaufać swojej przewodniczce. Potem don Juan kazał mi skupić wzrok, maksymalnie się skoncentrować i zapamiętać każdy szczegół patio znajdujący się w moim polu widzenia, a także uczucie, jakiego doznaję, siedząc. Jeszcze raz powtórzył wszystkie instrukcje, by się upewnić, że je zrozumiałem, i odszedł. Wkrótce się ściemniło i ogarnął mnie niepokój. Miałem za mało czasu, by się skupić na szczegółach otoczenia. Za plecami usłyszałem szelest; drgnąłem na dźwięk głosu Zuleiki. Głośnym szeptem kazała mi wstać i iść za sobą. Odruchowo usłuchałem. Nie widziałem jej twarzy, była tylko ciemnym kształtem znajdującym się dwa kroki przede mną. Poprowadziła mnie do niszy w najciemniejszym korytarzu. Choć moje oczy przywykły już do ciemności, wciąż nic nie widziałem i potknąłem się o coś. Zuleica poleciła mi usiąść w wąskiej kolebce i podłożyć sobie pod krzyż coś, co sprawiało wrażenie twardej poduszki.

Potem poczułem, że się cofa i staje kilka kroków za mną. Byłem niezmiernie zdumiony, gdyż wcześniej wydawało mi się, że siedzę tylko kilka cali od ściany. Cichy głos dochodzący zza pleców kazał mi się skoncentrować na wypowiadanych słowach i pozwolić, by mnie poprowadziły. Miałem mieć otwarte oczy i skupić wzrok tuż przed sobą, na poziomie twarzy – Zuleica mówiła, że w tym miejscu wyłoni się z mroku wyraźny punkt, który następnie przybierze jaskrawą, przyjemną, czerwono pomarańczową barwę.

Głos Zuleiki brzmiał łagodnie i monotonnie. Wyraźnie słyszałem każde słowo. Otaczająca mnie ciemność stanowiła skuteczną barierę dla wszelkich zewnętrznych bodźców, które mogłyby mnie rozpraszać. Słyszałem słowa Zuleiki jakby w próżni, a potem uświadomiłem sobie, że cisza w korytarzu rezonuje z ciszą w moim wnętrzu.

Zuleica wyjaśniła, że śniący musi zacząć od skupienia uwagi na barwnym punkcie. Intensywne światło albo niczym nie zakłócona czerń są dla niego na początku bezużyteczne. Z drugiej strony kolor purpurowy, jasnozielony czy ciemnożółty są znakomitymi punktami wyjścia. Ona woli pomarańczowoczerwony, bo z jej doświadczenia wynika, że właśnie ta barwa daje największe wrażenie relaks a. Zapewniła, że gdy raz uda mi się wejść w barwę pomarańczowoczerwoną, będę mógł w każdej chwili przywołać drugą uwagę, jeśli tylko odtworzę sobie kolejność fizycznych wrażeń.

Dopiero po kilku sesjach z głosem Zuleiki moje ciało uświadomiło sobie, czego ona ode mnie chce. Zaletą stanu podwyższonej świadomości było to, że mogłem śledzić własne przejście ze stanu czuwania do śnienia. W normalnych warunkach przejście to jest zatarte, ale w tych szczególnych okolicznościach podczas jednej z sesji rzeczywiście poczułem, jak druga uwaga przejmuje nade mną kontrolę. Pierwszym etapem były dziwne kłopoty w oddychaniu. Nie miałem trudności z wdechem czy wydechem, nie brakowało mi tchu, chodziło raczej o to, że mój oddech nagle zmienił rytm. Przepona zaczęła się kurczyć, zmuszając brzuch do zapadania się i wznoszenia w bardzo szybkim tempie. W rezultacie zacząłem oddychać tak szybko, jak jeszcze nigdy w życiu. Oddychałem dolną częścią płuc, czując wielki ucisk na wnętrzności. Bezskutecznie usiłowałem powstrzymać skurcze przepony. Im bardziej się starałem, tym większy odczuwałem ból.

Zuleica powiedziała, bym pozwolił ciału robić to, co konieczne, i porzucił chęć panowania nad nim i sprawowania kontroli. Chciałem usłuchać, ale nie wiedziałem jak. Skurcze trwały jakieś dziesięć do piętnastu minut i ustały równie nagle, jak się pojawiły. Zaraz potem zarejestrowałem inne dziwne, szokujące uczucie. Na początku odbierałem je jako nietypowe swędzenie, fizyczne wrażenie, które nie było ani przyjemne, ani nieprzyjemne – coś w rodzaju nerwowego drżenia. Wrażenie to stawało się coraz silniejsze, aż skupiłem na nim całą uwagę, bo chciałem się przekonać, w którym dokładnie miejscu w ciele je odczuwam. Ze zdumieniem uświadomiłem sobie, że to miejsce znajduje się nie w moim fizycznym ciele, lecz na zewnątrz, a jednak to czułem.

Zignorowałem polecenie Zuleiki, by wejść w plamę koloru tworzącą się na poziomie moich oczu, i skupiłem się wyłącznie na tym dziwnym wrażeniu na zewnątrz ciała. Zuleica chyba zobaczyła, co się ze mną dzieje, bo zaczęła mi wyjaśniać, że druga uwaga łączy się z ciałem świetlistym, tak jak pierwsza jest cechą ciała fizycznego. Powiedziała, że punkt skupienia drugiej uwagi mieści się tam, gdzie pokazywał Juan Tuma przy naszym pierwszym spotkaniu – między żołądkiem a pępkiem, mniej więcej o półtorej stopy w przód i o cztery cale w prawo od brzucha.

Kazała mi pomasować to miejsce, rozruszać je palcami obu rąk, jakbym grał na harfie. Zapewniła, iż po jakimś czasie odniosę wrażenie, że moje palce przechodzą przez coś przypominającego wodę, a w końcu wyczuję swoją świetlistą osłonkę.

Zacząłem poruszać palcami. Powietrze stawało się coraz gęściejsze, aż wreszcie poczułem coś w rodzaju fizycznej substancji. Po całym moim ciele rozlało się nieokreślone wrażenie przyjemności.

Przeszło mi przez myśl, że dotknąłem jakiegoś nerwu, ale zaraz uświadomiłem sobie absurdalność tego przypuszczenia. Poczułem się głupio i przestałem poruszać palcami.

Zuleica ostrzegła mnie, że jeśli nie będę poruszał palcami, to uderzy mnie w głowę. Im dłużej wykonywałem ruchy rękami, tym bardziej swędzenie zbliżało się do ciała. W końcu poczułem je w odległości pięciu czy sześciu cali od brzucha. Coś we mnie jakby się kurczyło. Rzeczywiście wydawało mi się, że wyczuwam wgłębienie. Potem nadeszło kolejne dziwne wrażenie. Zapadałem w sen, zachowując jednak świadomość. Szumiało mi w uszach – dźwięk przypominał świst powietrza przecinanego przez kawałek drewna. Potem jakaś siła przetoczyła mnie na lewy bok, nie budząc mnie. Zostałem zwinięty jak cygaro i upchnięty w łaskoczącym wgłębieniu. Moja świadomość pozostawała w zawieszeniu, niezdolna się rozbudzić, ale zwinięta tak ciasno, że nie potrafiłem także zasnąć.

Słyszałem głos Zuleiki, która kazała mi się rozejrzeć. Nie mogłem otworzyć oczu, ale dotykiem wyczuwałem, że leżę na plecach w jakimś zagłębieniu. Było mi wygodnie i czułem się bezpieczny. Całe moje ciało było tak zwarte i skupione, że miałem ochotę pozostać tak na zawsze. Głos Zuleiki polecił mi wstać i otworzyć oczy. Nie mogłem tego zrobić. Zuleica powiedziała, że muszę kierować swymi ruchami za pomocą woli, a nie skurczów mięśni.

Miałem wrażenie, że denerwuje ją moja powolność. Wtedy uświadomiłem sobie, że jestem w pełni przytomny, chyba nawet bardziej niż przez całe dotychczasowe życie. Mogłem myśleć racjonalnie, a jednak zdawało mi się, że mocno śpię. Przyszło mi do głowy, że Zuleica wprowadziła mnie w stan głębokiej hipnozy. Przez chwilę mnie to irytowało, a potem przestało mieć znaczenie. Poddałem się uczuciu zawieszenia, swobodnego unoszenia się w powietrzu.

Nie słyszałem już nic więcej. Albo Zuleica przestała się do mnie odzywać, albo też odciąłem się od jej głosu. Nie chciałem opuszczać tej przystani. Nigdy jeszcze nie czułem takiego spokoju i pełni. Po prostu leżałem i nie miałem ochoty wstawać ani nic robić. Czułem rytm własnego oddechu. Naraz się obudziłem.

Podczas następnej sesji Zuleica powiedziała, że zupełnie samodzielnie udało mi się zrobić wgłębienie w świetlistej powłoce, dzięki czemu przyciągnąłem położony na niej odległy punkt bliżej ciała fizycznego i teraz łatwiej mi go będzie kontrolować. Zapewniała wielokrotnie, że od chwili, gdy ciało nauczy się wytwarzać to wgłębienie, łatwiej jest wchodzić w stan śnienia. Zgadzałem się z nią. Odebrałem dziwny impuls, wrażenie, które moje ciało natychmiast nauczyło się powtarzać. Byłem swobodny, na wpół uśpiony, zawieszony w izolacji od wszelkich bodźców, a jednocześnie w pełni rozbudzony i przytomny.

La Gorda powiedziała, że Nagual Juan Matus przez wiele lat próbował wytworzyć to wgłębienie w niej, a także w trzech siostrzyczkach i w Genarach. Chciał w ten sposób obdarzyć ich trwałą umiejętnością skupiania drugiej uwagi. Mówił la Gordzie, że zazwyczaj śniący tworzy wgłębienie pod wpływem impulsu, gdy jest mu ono potrzebne, a potem świetlista powłoka wraca do poprzedniej postaci. Ponieważ jednak jego uczniowie nie mieli przywódcy Naguala, pomógł im wytworzyć trwałe wklęśnięcia świetlistego ciała. Było to dla nich wielką pomocą, ale zarazem ograniczeniem, gdyż wszyscy stali się przez to nadwrażliwi i podatni na zmiany nastroju.

Gdy la Gorda opowiedziała mi o tym, przypomniałem sobie, że kiedyś widziałem to wgłębienie w świetlistych powłokach Lydii i Rosy i wymierzyłem tam kopniak. Wydawało mi się, że znajduje się ono na wysokości górnej części prawego uda, po zewnętrznej stronie, albo nawet tuż przy stawie biodrowym. La Gorda wyjaśniła, że kopnąłem je wtedy we wgłębienie drugiej uwagi i niewiele brakowało, by cios okazał się śmiertelny.

Mówiła dalej, że obie z Josefiną mieszkały przez kilka miesięcy w domu Zuleiki. Zaprowadził je tam Nagual Juan Matus, uprzednio przenosząc je w inny stan świadomości. Nie powiedział im, co będą robić ani czego mają się spodziewać, po prostu zostawił je w korytarzu i odszedł. Siedziały tam aż do zmroku. Potem przyszła do nich Zuleica. Nigdy jej nie widziały, słyszały tylko głos, który wydawał się dochodzić ze ściany.

Od pierwszej chwili, gdy przejęła nad nimi pieczę, Zuleica była bardzo wymagająca. Od razu kazała im się rozebrać i wpełznąć do leżących na podłodze grubych, puszystych bawełnianych worków, które przypominały poncza. Worki przykryły je od stóp do szyi. Potem poleciła im oprzeć się o siebie plecami i usiąść na macie w tej samej niszy, gdzie i ja siedziałem. Powiedziała, że mają wpatrywać się w mrok, aż zacznie się zabarwiać na jakiś odcień. Po wielu sesjach rzeczywiście zaczęły dostrzegać w mroku kolory. Wtedy Zuleica kazała im siedzieć obok siebie i patrzeć w to samo miejsce.

Josefiną uczyła się bardzo szybko. Pewnej nocy wyśliznęła się z poncza i weszła w skrawek pomarańczowo-czerwonego koloru. Zdaniem la Gordy albo Josefiną chciała dosięgnąć skrawka koloru, albo kolor sięgnął po nią. W rezultacie Josefiną błyskawicznie wysunęła się z poncza. Od tej pory Zuleica je rozdzielała i la Gorda zaczęła powolny proces samotnej nauki.

Gdy to usłyszałem, przypomniałem sobie, że Zuleica mnie także kazała wpełzać w puszysty worek. W gruncie rzeczy jej polecenia wyjaśniły mi, dlaczego mam używać worka. Kazała mi skupić się na miękkim dotyku na nagiej skórze, szczególnie na łydkach. Wielokrotnie powtarzała, że zewnętrzna strona ludzkich łydek stanowi znakomite centrum percepcji i że gdyby skórę w tym miejscu udało się rozluźnić i uspokoić, zasięg naszych spostrzeżeń powiększyłby się w sposób, o jakim nawet nam się nie śni. Tkanina była bardzo miękka i ciepła i wzbudzała niezwykłe wrażenie przyjemnego odprężenia w nogach. Czułem bardzo mocną stymulację nerwów w łydkach.

La Gorda potwierdziła to wrażenie fizycznej przyjemności. Stwierdziła nawet, że to przede wszystkim moc poncza pozwoliła jej odnaleźć skrawek pomarańczowo-czerwonego koloru. Ponczo wywarło na niej tak wielkie wrażenie, że skopiowała oryginał i zrobiła sobie takie samo. Efekt nie był równie dobry, ale i tak przynosiło jej ono pociechę i dobre samopoczucie. Wkrótce doszło do tego, że obie z Josefiną zaczęły spędzać cały wolny czas w ponczach, które uszyła la Gorda.

Lydia i Rosa także wykonywały ćwiczenia w ponczach, ale nigdy się do nich szczególnie nie przekonały, podobnie jak ja.

La Gorda wyjaśniła, że ona i Josefina bardzo polubiły poncza dlatego, iż leżąc w nich, odnalazły swoją barwę śnienia. Ja pozostawałem na nie obojętny, bo wcale nie wszedłem w zabarwiony obszar; to raczej kolor przyszedł do mnie. Miała rację. Coś jeszcze oprócz głosu Zuleiki decydowało o wyniku tej wstępnej fazy. Wszystko wskazywało na to, że Zuleica prowadzi mnie tą samą drogą, co la Gordę i Josefinę. Przez wiele sesji wpatrywałem się w ciemność, gotów do zwizualizowania barwnego punktu. Wielokrotnie śledziłem cały proces przejścia od gładkiej czerni do precyzyjnie zarysowanej, intensywnie jaskrawej plamy, a potem absorbowało mnie swędzenie na zewnątrz ciała. Skupiałem się na nim i wchodziłem w stan zrelaksowanego czuwania. W takiej właśnie chwili po raz pierwszy zanurzyłem się w pomarańczowoczerwonej barwie.

Gdy nauczyłem się pozostawać w zawieszeniu między snem a czuwaniem, Zuleica zwolniła tempo. Odnosiłem nawet wrażenie, że się nie śpieszy z wyprowadzaniem mnie z tego stanu. Pozwalała mi w nim pozostawać, nie ingerując i o nic nie pytając, może dlatego, że jej głos przeznaczony był do wydawania poleceń, a nie do zadawania pytań. Nigdy właściwie z nią nie rozmawiałem, w każdym razie nie tak, jak z don Juanem.

Pewnego dnia, gdy znajdowałem się w stanie zrelaksowanego czuwania, dotarło do mnie, że pozostawanie w nim donikąd nie prowadzi, bo choć jest on niezwykle przyjemny, ma bardzo poważne ograniczenia. W następnej chwili poczułem drżenie całego ciała i otworzyłem oczy, a raczej same się otworzyły. Zuleica patrzyła na mnie. Przez moment nie mogłem zebrać myśli. Wydawało mi się, że się obudziłem, ale znalezienie się twarzą w twarz z Zuleica bardzo mnie zaskoczyło. Przywykłem do tego, że słyszę tylko jej głos. Zdziwiło mnie też, że to nie była noc. Rozejrzałem się dokoła. Nie byliśmy w domu Zuleiki. Dotarło do mnie, że śnię, po czym się obudziłem.

Wówczas Zuleica rozpoczęła następny etap nauki. Uczyła mnie, jak się poruszać. Zaczęła od tego, że kazała mi skupić uwagę pośrodku ciała. U mnie środek ciała znajdował się nieco poniżej pępka. Miałem zamieść tym punktem podłogę, to znaczy wykonywać okrężne ruchy brzuchem, jakbym miał tam przyczepioną szczotkę. Próbowałem tego dokonać przez bardzo długi czas. Zuleica nie pozwalała mi wejść w stan zrelaksowanego czuwania. Dążyła do tego, by wywołać we mnie wrażenie, że zamiatam podłogę środkiem ciała w stanie zupełnej przytomności umysłu. Stwierdziła, że dostatecznym ułatwieniem jest to, iż przebywam po lewej stronie – to powinno wystarczyć, bym sobie poradził z ćwiczeniem.

Pewnego dnia, pozornie bez żadnego powodu, udało mi się uzyskać dziwne wrażenie w okolicy żołądka. Nie było to żadne wyraźne odczucie; gdy się na nim skoncentrowałem, uświadomiłem sobie, że jest to kłucie wewnątrz ciała, nie w samym żołądku, ale trochę wyżej. Im bardziej się na nim skupiałem, tym więcej szczegółów zauważałem i niejasne wrażenie wkrótce zmieniło się w pewność. To kłucie czy pobudzenie nerwów w dziwny sposób łączyło mój splot słoneczny z prawą łydką.

Gdy wrażenie stało się ostrzejsze, odruchowo przyciągnąłem prawe udo do piersi, przez co te dwa punkty zbliżyły się do siebie tyle, ile pozwalała moja anatomia. Ogarnęło mnie nerwowe drżenie, a potem wyraźnie poczułem, że zamiatam podłogę środkiem ciała – było to bardzo realne odczucie, które wracało do mnie za każdym razem, gdy zaczynałem się kołysać w pozycji siedzącej.

Podczas następnej sesji Zuleica pozwoliła mi wejść w stan zrelaksowanego czuwania. Tym razem jednak ten stan nie przyniósł mi zwykłego uspokojenia. Wydawało się, że jakaś wewnętrzna bariera samokontroli nie pozwala mi się nim swobodnie cieszyć, jak to było wcześniej, lecz każe mi się skupić na kolejnych prowadzących do niego krokach. Najpierw poczułem swędzenie w punkcie drugiej uwagi na świetlistej powłoce. Masowałem ten punkt, przesuwając po nim palcami, jakbym grał na harfie, aż przybliżył się do mojego brzucha. Czułem go tuż przy skórze. Potem pojawiło się kłucie po zewnętrznej stronie prawej łydki, jednocześnie przyjemne i bolesne. To wrażenie rozprzestrzeniło się na całą nogę, a potem na dolną część pleców. Czułem, że drżą mi pośladki. Przez całe ciało przebiegł nerwowy dreszcz. Zdawało mi się, że palcami stóp dotykam czoła i wiszę do góry nogami pochwycony w jakąś sieć. W tej pozycji moje ciało przypominało ściśniętą literę U. Potem miałem wrażenie, że coś mnie składa na pół i roluje w prześcieradle. Nerwowe dreszcze przebiegające po moim ciele jakby zwijały to prześcieradło ze mną w środku. Gdy to wrażenie minęło, przestałem czuć własne ciało. Byłem tylko amorficzną świadomością, nerwowym spazmem splecionym w ciasny kłębek. Moja świadomość spoczywała w zagłębieniu utworzonym przez siebie samą.

Wtedy zrozumiałem niemożność opisania tego, co zachodzi w śnieniu. Zuleica mówiła, że świadomość lewej i prawej strony są wówczas zwinięte w jeden kłębek i spoczywają w zagłębieniu utworzonym przez centrum drugiej uwagi. By wejść w śnienie, trzeba manipulować obydwoma ciałami, świetlistym i fizycznym. Przede wszystkim należy uzyskać dostęp do centrum gromadzenia drugiej uwagi – inna osoba musi je wepchnąć do środka albo sam śniący musi je wciągnąć od wewnątrz. Po drugie, należy wyprzeć pierwszą uwagę – w tym celu trzeba pobudzić centra fizycznego ciała, zlokalizowane pośrodku brzucha i w łydkach, zwłaszcza w prawej, i maksymalnie zbliżyć je do siebie, aż poczujemy, że się łączą. Wtedy pojawia się uczucie zwijania i druga uwaga samoistnie zaczyna przeważać.

Wyjaśnienia Zuleiki, podane w formie poleceń, były chyba najbardziej przekonywającym opisem tego, co wówczas zachodzi, gdyż żadne z wrażeń zmysłowych, które składają się na śnienie, nie mieści się w zakresie normalnie odbieranych przez nas bodźców. Wszystkie one były dla mnie zaskakujące. Wrażenie swędzenia czy łaskotania na zewnątrz ciała było konkretnie umiejscowione i dlatego wzbudziło we mnie jedynie niewielki fizyczny niepokój. Z kolei uczucie zwijania się w siebie bardzo mocno wytrąciło mnie z równowagi. Składało się na nie wiele rozmaitych wrażeń, które wprawiły moje ciało w stan szoku. W pewnej chwili byłem absolutnie przekonany, że palcami stóp dotykam czoła. Nie potrafię tego zrobić, a jednak nie miałem ani cienia wątpliwości, że wiszę do góry nogami w sieci, złożony wpół w kształt gruszki, i palcami stóp dotykam czoła. Fizycznie siedziałem wtedy z udami przyciągniętymi do piersi.

Zuleica powiedziała jeszcze, że źródłem wrażenia, iż jest się zwiniętym jak cygaro i upchniętym we wgłębieniu drugiej uwagi, jest stopienie prawej i lewej świadomości, w wyniku czego ich kolejność zostaje odwrócona i lewa strona zaczyna dominować. Mówiła, że jeśli będę uważny, uda mi się wychwycić proces odwrotny: gdy obie uwagi znów wracają na swoje miejsca i prawa zaczyna przeważać.

Nigdy nie wyczułem tej chwili, ale jej słowa wywołały we mnie taką obsesję, że usiłowałem obserwować wszystko i w rezultacie wpadłem w pułapkę niezdecydowania. W końcu Zuleica musiała odwołać swoje polecenie. Kazała mi dać sobie z tym spokój, bo mam jeszcze inne rzeczy do zrobienia.

Powiedziała, że przede wszystkim muszę udoskonalić umiejętność poruszania się siłą woli. Na początek poleciła mi otwierać oczy, gdy znajdowałem się w stanie zrelaksowanego czuwania. Wymagało to wielkiego wysiłku. Za którymś razem oczy same nagle mi się otworzyły i zobaczyłem majaczącą nade mną postać Zuleiki. Leżałem, nie potrafiłem jednak określić, gdzie jestem. Zalewało mnie bardzo ostre światło, jakby tuż nade mną znajdowała się potężna żarówka, ale to światło nie raziło w oczy. Bez problemu dostrzegałem Zuleicę.

Kazała mi wstać siłą woli. Powiedziała, że muszę się odepchnąć do góry środkiem ciała. Znajdują się tam trzy grube wypustki, na których mogę się podeprzeć i dźwignąć.

Próbowałem się podnieść na wszelkie możliwe sposoby, ale mi się nie udało. Poczułem rozpacz i fizyczne cierpienie jak w koszmarnych snach z dzieciństwa, kiedy to nie potrafiłem się obudzić, a jednak byłem zupełnie przytomny i desperacko próbowałem krzyczeć.

W końcu Zuleica powiedziała, że muszę przestrzegać pewnej procedury oraz że marnuję energię i zachowuję się jak tępak, irytując się i podniecając, jakbym miał do czynienia ze zwykłym światem. Irytowanie się ma sens jedynie w stanie pierwszej uwagi – esencją drugiej jest spokój. Poleciła mi przywołać wrażenie zamiatania podłogi środkiem ciała. Przyszło mi do głowy, że w tym celu muszę

usiąść. Nie zastanawiając się ani chwili, jak mam to zrobić, usiadłem w pozycji, w jakiej po raz pierwszy uzyskałem tamto wrażenie. Poczułem, że coś się we mnie zakołysało. Nagle się okazało, że stoję. Nie miałem pojęcia, jak udało mi się poruszyć. Przyszło mi do głowy, że jeśli zacznę jeszcze raz od początku, to uda mi się prześledzić kolejność działań. Ledwie o tym pomyślałem, znów się okazało, że leżę. Wstając po raz drugi, uświadomiłem sobie, że nie ma tu żadnej procedury – gdy chcę się poruszyć, muszę tylko zapragnąć tego na bardzo głębokim poziomie. Inaczej mówiąc, musiałem wzbudzić w sobie głębokie przekonanie, że chcę, a właściwie powinienem się poruszyć.

Gdy już zrozumiałem zasadę, Zuleica kazała mi ćwiczyć wszelkie możliwe aspekty ruchów sterowanych wolą. Im dłużej ćwiczyłem, tym bardziej się przekonywałem, że śnienie jest w gruncie rzeczy stanem racjonalnym. Zuleica wyjaśniła, że w śnieniu prawa strona, racjonalna świadomość, owinięta jest w świadomość lewej strony, by dawać śniącemu wrażenie trzeźwości umysłu i racjonalności, ale wpływ tej racjonalności powinien być jak najmniejszy, należy jej używać jedynie jako hamulca, który ma chronić śniącego przed podejmowaniem niepotrzebnych, bezsensownych wyczynów.

Kolejnym krokiem była nauka sterowania śniącym ciałem. Przed pierwszym spotkaniem z Zuleica don Juan kazał mi się wpatrywać w patio, siedząc na skrzynce. Robiłem to gorliwie, całymi godzinami. Za każdym razem byłem sam w domu Zuleiki. Miałem wrażenie, że w dniach, gdy się tam pojawiałem, wszyscy mieszkańcy gdzieś wychodzili albo chowali się przede mną. Cisza i samotność działały na mnie korzystnie i udało mi się utrwalić w pamięci wszystkie szczegóły patio.

Potem Zuleica kazała mi otwierać oczy w stanie zrelaksowanego czuwania i widzieć przed sobą patio. Udało mi się to osiągnąć dopiero po wielu próbach. Najpierw, gdy otwierałem oczy, widziałem jej postać. Wtedy gwałtownym ruchem całego ciała odbijała mnie jak piłkę i kazała wracać do stanu zrelaksowanego czuwania. Za którymś razem, gdy tak mnie odbiła, przeszył mnie silny dreszcz; coś uniosło się z grzechotem z moich stóp do piersi i zacząłem kaszleć; obraz patio w nocy wyłonił się ze mnie, jakby wyszedł z moich oskrzeli. Przypominało to trochę ryk zwierzęcia.

Głos Zuleiki stał się tylko słabym szmerem. Nie rozumiałem, co mówi. Jak przez mgłę zauważyłem, że siedzę na skrzynce. Chciałem wstać, ale poczułem, że moje ciało jest niematerialne – mógł mnie porwać każdy powiew wiatru. Potem bardzo wyraźnie dotarł do mnie głos Zuleiki. Mówiła, żebym się nie ruszał. Próbowałem pozostawać w bezruchu, ale pociągnęła mnie jakaś siła i obudziłem się we wnęce holu. Przede mną stał Silvio Manuel.

Po każdej sesji śnienia odbywającej się w domu Zuleiki don Juan czekał na mnie w holu, w zupełnych ciemnościach. Wyprowadzał mnie z domu i przenosił na zwykły poziom świadomości. Tym razem zamiast don Juana był tam Silvio Manuel. Nie odzywając się ani słowem, włożył mnie do uprzęży i wciągnął na belki podtrzymujące dach. Trzymał mnie tam do południa; dopiero wtedy przyszedł don Juan i ściągnął mnie na dół. Wyjaśnił, że wisząc przez jakiś czas bez kontaktu z ziemią, wyrównuje się energię ciała, i że koniecznie trzeba to robić przed wyruszeniem w niebezpieczną podróż, jaka mnie czeka.

Potrzebowałem jeszcze wielu sesji śnienia, zanim w końcu nauczyłem się otwierać oczy i widzieć albo Zuleicę, albo ciemne patio. Wtedy dopiero uświadomiłem sobie, że Zuleica przez cały czas śniła. Nigdy nie znajdowała się fizycznie za mną w ciemnej niszy. Tego pierwszego wieczoru, gdy wydawało mi się, że siedzę oparty plecami o ścianę, nie myliłem się. Zuleica była tylko głosem ze śnienia.

Podczas jednej z sesji, gdy świadomie otworzyłem oczy, by ją zobaczyć, ze zdumieniem ujrzałem obok niej la Gordę i Josefinę. Wtedy rozpoczęła się ostatnia część szkolenia. Zuleica uczyła całą naszą trójkę podróżować razem z nią. Powiedziała, że nasza pierwsza uwaga jest zakotwiczona w emanacjach ziemi, a druga w emanacjach wszechświata. Rozumiała przez to, że śniący z definicji przekracza ograniczenia codzienności. Zuleica była śniącym podróżnikiem i jej ostatnim zadaniem w pracy z la Gordą, Josefiną i ze mną było przestrojenie naszej drugiej uwagi w taki sposób, byśmy potrafili towarzyszyć jej w wyprawach w nieznane.

Podczas kolejnych sesji głos Zuleiki mówił mi, że jej “obsesja" poprowadzi mnie na spotkanie, gdyż w sprawach związanych z drugą uwagą obsesja śniącego staje się przewodnikiem, a jej obsesja skupiła się na pewnym istniejącym fizycznie miejscu poza ziemią. Miała zamiar przywołać mnie stamtąd, a ja powinienem użyć jej głosu jako liny i podciągnąć się na nim.

Przy dwóch pierwszych próbach nic się nie wydarzyło. Coraz słabiej słyszałem głos Zuleiki i martwiłem się, że nie potrafię za nim podążyć. Nie powiedziała mi, co dokładnie powinienem robić. Czułem się niezwykle ciężki. Nie potrafiłem przełamać ograniczającej mnie ze wszystkich stron siły – ta bariera zatrzymywała mnie w stanie zrelaksowanego czuwania.

Podczas trzeciej sesji bez żadnych świadomych prób niespodziewanie otworzyłem oczy. Patrzyły na mnie Zuleica, la Gorda i Josefiną. Stałem obok nich. Natychmiast uświadomiłem sobie, że znajdujemy się w jakimś zupełnie nie znanym mi miejscu. Jego najbardziej rzucającą się w oczy cechą było jasne, rozproszone światło. Cały krajobraz przeniknięty był białym, silnym, jakby neonowym blaskiem. Zuleica uśmiechała się, zachęcając nas, byśmy się rozejrzeli. La Gorda i Josefiną, podobnie jak ja, zachowywały ostrożność. Spoglądały na mnie i na Zuleicę ukradkowo. Zuleica gestem kazała nam się poruszać. Znajdowaliśmy się na otwartej przestrzeni, nie w pomieszczeniu, pośrodku błyszczącego kręgu. Grunt przypominał twardą, ciemną skałę, ale odbijał większość oślepiającego białego światła, które padało prosto z góry. Co najdziwniejsze, chociaż wiedziałem, że to światło jest zbyt jaskrawe dla oczu, zupełnie mnie ono nie raziło, gdy podniosłem głowę i odnalazłem jego źródło. Było to słońce. Wpatrywałem się prosto w słońce, które, może dlatego, że śniłem, było intensywnie białe.

La Gorda i Josefiną także patrzyły w słońce bez wysiłku. Naraz ogarnął mnie lęk. To światło było obce i bezlitosne – wydawało się, że atakuje nas wyraźnie wyczuwalnym wiatrem. Nie czułem jednak upału. Miałem wrażenie, że jest złośliwe. Pod wpływem nagłego impulsu la Gorda, Josefina i ja zbiliśmy się w ciasną grupę, otaczając Zuleicę jak przestraszone kurczęta. Objęła nas, a potem białe, oślepiające światło zaczęło stopniowo zanikać, aż w końcu zupełnie zgasło, a w jego miejsce pojawiło się inne, łagodne, bardzo kojące, o żółtawym zabarwieniu.

Uświadomiłem sobie, że znajdujemy się w innym świecie. Podłoże miało kolor mokrej terakoty. Nie widziałem gór, ale teren, na którym staliśmy, nie był też płaski. Grunt był popękany i wysuszony. Wyglądał jak nierówne, suche morze terakoty, które rozciągało się dokoła we wszystkich kierunkach – czułem się, jakbym stał pośrodku oceanu. Podniosłem głowę. Niebo straciło swoją denerwującą jaskrawość. Było ciemne, ale nie niebieskie. Nisko nad horyzontem wisiała jasna, rozżarzona gwiazda. W tej chwili zdałem sobie sprawę, że znajdujemy się w świecie o dwóch słońcach, dwóch gwiazdach. Jedna, olbrzymia, właśnie zniknęła za horyzontem, a druga była mniejsza i chyba bardziej odległa.

Chciałem zadawać pytania, przejść się dokoła i rozejrzeć. Zuleica gestem kazała nam się rozluźnić i cierpliwie czekać, wydawało się jednak, że coś nas ciągnie. Naraz la Gorda i Josefina zniknęły, a ja się obudziłem.

Od tego czasu nigdy już nie wróciłem do domu Zuleiki. Don Juan przeprowadzał mnie w inny stan świadomości u siebie w domu albo tam, gdzie się akurat znajdowaliśmy. Wchodziłem w śnienie, gdzie czekały już na mnie Zuleica, la Gorda i Josefina. Wielokrotnie wracaliśmy w to samo nieziemskie miejsce, aż poznaliśmy je bardzo dokładnie. Zawsze, gdy było to możliwe, staraliśmy się omijać czas jaskrawego blasku, dzień, i przenosić się tam w nocy, w porze, gdy mogliśmy obserwować wschód olbrzymiego ciała niebieskiego. Było tak wielkie, że gdy gwałtownie wzbijało się nad poszarpaną linię horyzontu, zakrywało co najmniej połowę widocznego przed nami firmamentu. Było piękne i chwila, kiedy pojawiało się nad horyzontem, zapierała dech w piersiach. Mógłbym stać tam przez całą wieczność tylko po to, by podziwiać ten widok.

Gdy docierało do zenitu, zakrywało prawie całe niebo. Wtedy zawsze kładliśmy się na plecach, by na nie patrzeć. Miało stałe konfiguracje, a Zuleica uczyła nas je rozpoznawać. Zdałem sobie sprawę, że nie jest to gwiazda. Emanowało odbitym światłem – musiało się składać z nieprzejrzystej substancji, bo w relacji do jego olbrzymich rozmiarów odbity blask był bardzo łagodny. Na szafranowożółtej powierzchni widać było zawsze takie same, wielkie brązowe plamy.

Zuleica zabierała nas systematycznie na wędrówki, których nie sposób opisać słowami. La Gorda powiedziała mi, że Josefina podróżowała z Zuleica jeszcze dalej i głębiej w nieznane, gdyż Josefina, podobnie jak sama Zuleica, była trochę szalona. Żadna z nich nie miała w sobie tego rdzenia rozsądku, który pozwala śniącemu zachować trzeźwość umysłu – dlatego nie miały żadnych zahamowań i niczego nie usiłowały racjonalnie wyjaśniać ani uzasadniać.

Jedyne, co Zuleica powiedziała mi o naszych podróżach i co można było uznać za wyjaśnienie, to że moc śniącego, która pozwala mu się skupić na drugiej uwadze, zmienia go w żywy pocisk wystrzelony z procy. Im silniejszy i bardziej nieskazitelny jest śniący, tym dalej w nieznane może wysyłać swoją drugą uwagę i tym dłużej trwa ta projekcja.

Don Juan powiedział, że moje podróże z Zuleica nie były iluzją. Wszystko, co z nią robiłem, służyło opanowaniu umiejętności kontrolowania drugiej uwagi. Inaczej mówiąc, Zuleica uczyła mnie zasad postrzegania w tym obszarze. Nie potrafił jednak wyjaśnić dokładnie natury tych podróży, albo może nie chciał zajmować jednoznacznego stanowiska. Stwierdził, że gdyby próbował wyjaśnić zasady postrzegania w stanie drugiej uwagi w kategoriach pierwszej, to tylko beznadziejnie zaplątałby się w

pułapkę słów. Wolał, bym sam wyciągnął wnioski. Im więcej o tym wszystkim myślałem, tym jaśniejsze stawało się dla mnie, że jego opór był środkiem dydaktycznym.

Podczas szkolenia prowadzonego przez Zuleicę zetknąłem się z tajemnicami, które w oczywisty sposób przekraczały granice mojego racjonalnego umysłu, ale mieściły się w zakresie pojmowania mojej totalnej świadomości. Nauczyłem się podróżować w niepojęte rejony i w końcu doszło do tego, że podobnie jak Emilito i Juan Tuma zgromadziłem kolekcję własnych opowieści o wieczności.

14. FLORINDA

Obydwoje z la Gordą byliśmy zgodni co do tego, iż w czasie, gdy Zuleica wprowadzała nas w tajniki śnienia, mieliśmy już absolutną pewność, że reguła jest mapą i że w naszym wnętrzu istnieje inna, ukryta świadomość, do której można dotrzeć. Don Juan osiągnął wyznaczony przez regułę cel.

Zgodnie z zasadami reguły jego następnym posunięciem miało być przedstawienie mnie Florindzie, jedynej osobie z jego grupy, której jeszcze nie spotkałem. Don Juan powiedział, że muszę się udać do jej domu sam, bo to, co zajdzie między nami, w żaden sposób nie dotyczy innych. Florinda miała pełnić rolę mojej osobistej przewodniczki. Tak samo stałoby się w wypadku, gdybym był Nagualem tego samego typu, co don Juan. Jego również łączyła podobna więź z kobietą z grupy dobroczyńcy, odpowiedniczką Florindy.

Pewnego dnia pozostawił mnie przed drzwiami domu Nelidy i powiedział, że mam wejść do środka, bo czeka tam na mnie Florinda.

– To zaszczyt móc cię poznać – powiedziałem do stojącej przede mną w holu kobiety.

– Jestem Florinda – odrzekła.

Patrzyliśmy na siebie w milczeniu. Byłem pełen podziwu. Świadomość miałem niezwykle wyostrzoną. Nigdy więcej nie zdarzyło mi się doświadczyć podobnego uczucia.

– To piękne imię. – Tylko tyle udało mi się powiedzieć, choć chciałem wyrazić o wiele więcej.

Miękka, powolna wymowa hiszpańskich samogłosek sprawiała, że imię brzmiało płynnie i dźwięcznie – przyczyniało się do tego szczególnie sąsiedztwo “r" i “i". Imię nie było rzadkie, ale ja po prostu nie znałem wcześniej nikogo, kto tak doskonale wyrażałby jego esencję. To imię pasowało do stojącej przede mną kobiety, jakby było specjalnie dla niej stworzone. Może zresztą to ona sama tak idealnie się do niego dopasowała.

Fizycznie do złudzenia przypominała Nelidę, ale wydawała się bardziej pewna siebie, potężniejsza. Miała oliwkową karnację, charakterystyczną dla śródziemnomorskiego typu urody. Mogła być pochodzenia hiszpańskiego lub francuskiego. Była stara, ale nie słaba czy wyniszczona wiekiem. Ciało miała zwinne i smukłe. Długie nogi, wyraziste rysy twarzy, drobne usta, pięknie rzeźbiony nos, ciemne oczy i białe włosy splecione w warkocz. Żadnych zapadniętych policzków czy obwisłej skóry na twarzy i szyi. Była stara, ale w taki sposób, jakby ją na starą ucharakteryzowano.

Gdy myślę o naszym pierwszym spotkaniu, przypomina mi się coś zupełnie z tym nie związanego, ale nasuwającego podobne skojarzenia. Widziałem kiedyś w jakimś tygodniku reprint fotografii pochodzącej sprzed dwudziestu lat. Przedstawiała ona młodą wówczas hollywoodzką aktorkę, ucharakteryzowaną do roli starzejącej się kobiety. Charakteryzacja dodała jej dwadzieścia lat. Obok zamieszczone było aktualne zdjęcie tej samej aktorki, na którym można było zobaczyć, jak naprawdę wygląda po dwudziestu prawdziwych latach trudnego życia. Moim zdaniem Florinda przypominała pierwsze zdjęcie – młodą, sztucznie postarzoną dziewczynę.

– Co my tu mamy? – zapytała i uszczypnęła mnie. – Zdaje się, że nic wielkiego. Miękki. Niewątpliwie pobłażasz sobie, ile się tylko da.

Jej bezpośredniość, a także wyraz oczu przypominały mi don Juana. Gdy zastanawiałem się nad moim związkiem z don Juanem, przyszło mi do głowy, że jego oczy zawsze były spokojne. Nie sposób było dostrzec w nich ożywienia. Nie chodziło o to, że nie były piękne. Widywałem niezwykle piękne oczy, ale nigdy nie zauważyłem, by coś mówiły. Oczy Florindy, podobnie jak don Juana, sprawiały

wrażenie, że widziały wszystko, co tylko można zobaczyć – spojrzenie miały spokojne, ale nie zdawkowe. Ożywienie skryło się w środku i zmieniło w coś, co mógłbym określić tylko jako życie wewnętrzne. Florinda przeprowadziła mnie przez salon na przykryte dachem patio. Usiedliśmy w wygodnych fotelach przypominających sofy. Jej oczy szukały czegoś w mojej twarzy.

– Czy wiesz, kim jestem i co mam dla ciebie zrobić? – zapytała.

Odrzekłem, że wiem o niej i o jej związku ze mną tylko tyle, ile ogólnie wyjaśnił mi don Juan. Zwracając się do niej, nazwałem ją doną Florinda.

– Nie nazywaj mnie doną Florinda – rzekła z dziecinnym gestem irytacji i zażenowania. – Nie jestem jeszcze tak stara ani nawet tak szacowna.

Zapytałem, jak wobec tego powinienem się do niej zwracać.

– Po prostu: Florinda. Co do tego, kim jestem, mogę ci powiedzieć od razu, że jestem kobietą wojownikiem i znam sekrety skradania się. A jeśli chodzi o to, co mam dla ciebie zrobić, powiem ci, że mam cię nauczyć pierwszych siedmiu zasad skradania, pierwszych trzech zasad reguły zwiadowców i pierwszych trzech manewrów skradania.

Dodała, iż jest normalną sprawą, że każdy wojownik zapomina wszystko, co zachodzi w trakcie spotkań odbywających się po lewej stronie, i że upłynie wiele lat, zanim naprawdę nauczę się wykorzystywać to, co chce mi przekazać. Powiedziała, że jej instrukcje to zaledwie początek – naukę zakończymy kiedyś w przyszłości, w zupełnie innych okolicznościach.

Chciałem się dowiedzieć, czy mogę jej zadawać pytania.

– Rób, co chcesz – odrzekła. – Ja wymagam od ciebie tylko zaangażowania w ćwiczenia. W końcu w pewien sposób i tak znasz już wszystko, o czym będziemy mówić. Twoja słabość polega na tym, że brakuje ci zaufania do siebie i nie chcesz uznać swojej wiedzy za moc. Nagual cię zahipnotyzował, bo jest mężczyzną, i dlatego nie potrafisz działać na własną rękę. Tylko kobieta może cię wyzwolić. Na początek opowiem ci historię mojego życia. W ten sposób niektóre sprawy staną się dla ciebie jasne. Mam zamiar opowiadać ci ją po kawałku, więc będziesz musiał przychodzić tu dość często.

Uderzyło mnie to, że Florinda okazuje wyraźną chęć opowiedzenia mi o swoim życiu, podczas gdy wszyscy inni bardzo niechętnie udzielali jakichkolwiek informacji na tematy osobiste. Po wielu latach spędzonych wśród nich tak się do tego przyzwyczaiłem, że to, iż Florinda, chce mi opowiedzieć o sobie, uznałem za dziwny kaprys i natychmiast zacząłem się mieć na baczności.

– Przepraszam bardzo – wtrąciłem – ale jeśli dobrze rozumiem, chcesz mi opowiedzieć o swoim życiu osobistym?

– Dlaczego nie?

Wyjaśniłem obszernie, co don Juan mówił mi o obciążeniu, jakim jest dla wojownika jego własny życiorys, i o potrzebie jego wymazania. Na koniec przyznałem, że zabronił mi mówić o własnym życiu bez względu na okoliczności.

Florinda zaśmiała się wysokim falsetem. Wyglądała na zachwyconą.

– To dotyczy tylko mężczyzn – stwierdziła. – Nie-działanie w życiu osobistym oznacza, że opowiada się niezliczone historie, ale żadna z nich nie ma nic wspólnego z twoim prawdziwym ja. Widzisz, bycie mężczyzną oznacza, że ciągniesz za sobą solidny życiorys. Masz rodzinę, przyjaciół, znajomych, a każdy z nich ma określony obraz ciebie. Bycie mężczyzną wiąże się z odpowiedzialnością. Nie możesz tak łatwo zniknąć. Musisz włożyć wiele wysiłku w wymazanie siebie. Ze mną jest inaczej. Jestem kobietą i to daje mi wielką przewagę. Nie jestem odpowiedzialna. Nie wiesz, że kobiety nie są odpowiedzialne?

– Nie wiem, co rozumiesz przez “odpowiedzialność" – rzekłem.

– Chodzi mi o to, że kobiecie łatwo jest zniknąć – wyjaśniła. – Może na przykład wyjść za mąż. Kobieta należy do męża. Rodziny, które mają dużo dzieci, bardzo szybko pozbywają się córek. Nikt na nie nie liczy i zawsze jest możliwe, że niektóre znikną bez śladu. Ich zniknięcie jest akceptowane bez trudu. Z kolei syn to ktoś, na kogo się liczy. Synowi trudniej jest się wymknąć i rozpłynąć w powietrzu. A nawet jeśli to zrobi, zostawia za sobą ślady. Syn czuje się winny, znikając, a córka nie. Gdy Nagual uczył cię, żebyś nic nie mówił o swoim życiu osobistym, chciał ci pomóc w przezwyciężeniu uczucia, że postępujesz źle wobec swojej rodziny i przyjaciół, którzy w ten czy inny sposób na ciebie liczyli. Po trwających całe życie wysiłkach mężczyźnie wojownikowi w końcu oczywiście udaje się wymazać siebie, ale płaci za to określoną cenę. Staje się skryty i wiecznie musi się mieć na baczności przed

sobą samym. Kobieta nie ma takich problemów. Z góry jest przygotowana na to, że może się rozpłynąć w powietrzu. W gruncie rzeczy wszyscy tego po niej oczekują. Jako kobieta nie jestem zobowiązana do dochowywania tajemnic. Nic mnie one nie obchodzą. Tajemniczość jest ceną, jaką wy, mężczyźni, musicie płacić za waszą ważną rolę w społeczeństwie. Ta walka dotyczy tylko mężczyzn, bo oni niechętnie akceptują pomysł wymazania siebie i wynajdują dziwne sposoby, by mimo wszystko wyskoczyć gdzieś na powierzchnię. Popatrz tylko na siebie: jeździsz po różnych miejscach i dajesz wykłady.

Przy Florindzie ogarniało mnie dziwne zdenerwowanie. W jej obecności nie potrafiłem się wewnętrznie wyciszyć. Mógłbym bez wahania przyznać, że przy don Juanie i Silviu Manuelu także czuję się zdenerwowany i niespokojny, ale to było co innego. Tamci dwaj w gruncie rzeczy wzbudzali we mnie lęk. Przerażał mnie szczególnie Silvio Manuel, a jednak nauczyłem się żyć z tym lękiem. Florinda mnie nie przerażała. Moja nerwowość wynikała raczej z irytacji, z tego, że odbierałem jej towarzyską ogładę jako zagrożenie dla siebie.

Florinda nie wpatrywała się we mnie tak jak don Juan albo Silvio Manuel. Oni potrafili utkwić we mnie spojrzenie i patrzeć nieruchomo, dopóki nie odwróciłem twarzy w geście poddania. Florinda zerkała na mnie tylko przelotnie. Jej wzrok nieustannie wędrował z jednego miejsca na drugie. Miałem wrażenie, że bada nie tylko moje oczy, ale każdy cal twarzy i całego ciała. Mówiąc, szybko przesuwała spojrzenie z mojej twarzy na ręce, na swoje stopy albo na dach domu.

– Czujesz się przy mnie nieswojo, prawda? – zapytała.

Nie byłem przygotowany na to pytanie. Zaśmiałem się. W tonie jej głosu nie było absolutnie nic groźnego.

– Tak – przyznałem.

– Och, to zupełnie zrozumiałe – powiedziała. – Przywykłeś do tego, że jesteś mężczyzną. Kobieta jest dla ciebie istotą stworzoną do zaspokojenia twoich potrzeb. Uważasz, że kobiety są głupie. A to, że jesteś mężczyzną i w dodatku Nagualem, jeszcze bardziej wszystko utrudnia.

Czułem, że powinienem się bronić. Chciałem jej powiedzieć, że ma bardzo dogmatyczne poglądy. Zacząłem z wielkim impetem, ale moje wystąpienie natychmiast spaliło na panewce, gdyż Florinda wybuchnęła radosnym, młodzieńczym śmiechem. Don Juan i don Genaro bardzo często śmiali się ze mnie i ich śmiech także brzmiał młodzieńczo, ale głos Florindy miał inne wibracje. Nie było w nim pośpiechu ani nacisku.

– Może lepiej wejdziemy do środka – powiedziała. – Nic nas nie powinno rozpraszać. Nagual Juan Matus oprowadził cię już dokoła, pokazał ci świat; to było ważne ze względu na sprawy, które chciał ci przekazać. Ja mam do przekazania inny rodzaj wiedzy, który wymaga innego otoczenia.

Usiedliśmy na skórzanej kanapie w pokoju przylegającym do patio. W domu poczułem się swobodniej. Florinda od razu zaczęła swoją opowieść.

Powiedziała, że urodziła się w zamożnej rodzinie w dość dużym meksykańskim mieście. Ponieważ była jedynaczką, rodzice rozpieszczali ją od urodzenia. Bez śladu fałszywej skromności przyznała, że zawsze była świadoma swojej urody. Nazwała piękność demonem, który rozrasta się i rozmnaża, gdy się go karmi podziwem. Z wielkim przekonaniem stwierdziła, że ze wszystkich demonów tego najtrudniej jest poskromić, i jeśli się rozejrzę dokoła w poszukiwaniu pięknych osób, to odkryję w nich największych nikczemników, jakich można sobie wyobrazić.

Nie chciałem się spierać, jednak miałem wielką ochotę powiedzieć jej, że jest trochę dogmatyczna. Chyba to zauważyła, bo mrugnęła do mnie.

– Uwierz, to naprawdę nikczemnicy – ciągnęła. – Sam się przekonaj. Spróbuj tylko nie przyznać im, że są piękni i przez to ważni, a zobaczysz.

Powiedziała, że właściwie nie może w pełni winić rodziców ani siebie samej za to, że stała się tak próżna. Od pierwszych dni życia wszyscy dokoła dawali jej odczuć, że jest kimś ważnym i wyjątkowym.

– Gdy miałam piętnaście lat – mówiła – uważałam siebie za najwspanialszą istotę, jaka kiedykolwiek chodziła po tym świecie. Wszyscy tak twierdzili, a szczególnie mężczyźni.

Przez cały wiek dojrzewania upajała się względami i pochlebstwami tłumów wielbicieli. Gdy miała osiemnaście lat, rozsądnie wybrała na męża najlepszego spośród ni mniej, ni więcej, tylko jedenastu poważnych kandydatów. Wybrańcem był Celestino, człowiek zamożny, starszy od niej o piętnaście lat.

Florinda opisała swoje małżeństwo jako raj na ziemi. Wielki krąg przyjaciół, których miała wcześniej, powiększył się jeszcze o przyjaciół Celestina. W rezultacie jej życie przypominało nieustające wakacje.

Jednak szczęście trwało tylko sześć miesięcy, które minęły jak jeden dzień. Wszystko skończyło się nagle i brutalnie, gdy Florinda zapadła na tajemniczą, ciężką chorobę. Jej lewa stopa, kostka i łydka zaczęły puchnąć. Piękna noga została zniekształcona, opuchlizna powiększała się coraz bardziej, aż na skórze utworzyły się pękające pęcherze. Całą nogę od kolana w dół pokrywały strupy, z których sączyła się nieprzyjemna wydzielina. Skóra stwardniała. Chorobę zdiagnozowano jako słoniowaciznę. Starania lekarzy, by ją wyleczyć, były bolesne i nie przynosiły żadnych rezultatów. W końcu medycy stwierdzili, że tylko w Europie istnieją ośrodki dysponujące wystarczająco nowoczesnymi metodami terapii, by podjąć się leczenia tej choroby.

W ciągu trzech miesięcy raj Florindy zmienił się w piekło na ziemi. Zrozpaczona, cierpiąca, wolała umrzeć, niż żyć tak dalej. Jej cierpienie było tak przejmujące, że pewnego dnia służąca, która już dłużej nie była w stanie tego znieść, wyznała, iż została przekupiona przez byłą kochankę Celestina i dolała Florindzie do jedzenia jakiejś mikstury. Była to trucizna wyprodukowana przez czarowników. Służąca w akcie skruchy obiecała zabrać swą panią do uzdrowicielki, kobiety, o której mówiono, że jest jedyną osobą zdolną uleczyć skutki działania tego rodzaju trucizn.

Florinda zaśmiała się cicho na wspomnienie swojego dylematu. Wychowano ją na gorliwą katoliczkę. Nie wierzyła w czary ani w indiańskich uzdrowicieli. Ale ból był tak okropny, a jej stan na tyle poważny, że zdecydowana była spróbować wszystkiego. Celestino wyraził zdecydowany sprzeciw i chciał wydać służącą władzom. Florinda nie pozwoliła na to, nie tyle ze współczucia, ile z lęku, że sama nie dotrze do uzdrowicielki.

Naraz Florinda podniosła się i powiedziała, że muszę już iść. Trzymając mnie pod ramię, odprowadziła do drzwi, jakbym był jej najstarszym i najdroższym przyjacielem. Wyjaśniła, że jestem już wyczerpany, bo lewostronna uwaga jest szczególnym, delikatnym stanem, którego nie należy nadużywać. Z pewnością nie jest to stan mocy. Na dowód tego przypomniała, że omal nie umarłem, gdy Silvio Manuel próbował mnie zmusić do śmiałego przejścia w drugą uwagę. Stwierdziła, że w żaden sposób nie można zmusić ani siebie, ani nikogo innego do zgromadzenia wiedzy na zawołanie. Jest to powolny proces – w odpowiednim czasie i przy zachowaniu nieskazitelności ciało gromadzi wiedzę bez ingerencji woli.

Przez chwilę staliśmy przy frontowych drzwiach, wymieniając banalne uprzejmości. Naraz Florinda powiedziała, że Nagual Juan Matus przyprowadził mnie do niej właśnie tego dnia, bo wiedział, iż jego czas na tym świecie dobiega końca. Zgodnie z planem Silvia Manuela przeszedłem już przez dwa rodzaje szkolenia. Brakowało jeszcze tylko części, którą miała mi przekazać Florinda. Podkreśliła, że nie jest to właściwie szkolenie, lecz raczej zadzierzgnięcie więzi między nami.

Gdy don Juan zabrał mnie na następne spotkanie z Florinda, zanim zostawił mnie przy drzwiach jej domu, powtórzył to, co wcześniej usłyszałem od niej: rzekł, że dla niego i jego grupy zbliża się chwila wejścia w trzecią uwagę. Zanim zdążyłem o cokolwiek zapytać, wepchnął mnie do środka. To pchnięcie jednocześnie przeniosło mnie w stan maksymalnie wyostrzonej uwagi. Zobaczyłem ścianę mgły.

Florinda stała w holu jakby czekała, aż don Juan mnie tam wepchnie. Ujęła mnie pod ramię i cicho poprowadziła do salonu. Usiedliśmy. Chciałem zacząć rozmowę, ale nie byłem w stanie się odezwać. Florinda wyjaśniła, że pchnięcie dokonane przez wojownika, jakim jest Juan Matus, może spowodować przejście w inny obszar świadomości. Jej zdaniem przez cały czas popełniałem błąd, wierząc, iż ważne są procedury. Procedura wepchnięcia wojownika w inny stan świadomości jest skuteczna tylko wtedy, jeśli obydwaj jej uczestnicy, szczególnie ten, który popycha drugiego, są nieskazitelni i pełni osobistej mocy.

Widok ściany mgły sprawiał, że czułem fizyczne zdenerwowanie. Dygotałem. Florinda powiedziała, że moje ciało drży, bo pozostając w tym stanie świadomości, nauczyło się pragnąć działania, ale mogę się również nauczyć skupiać wyostrzoną uwagę na słowach zamiast na aktywności.

Mówiła dalej, że przeprowadzano mnie na lewą stronę ze względów praktycznych. Nagual Juan Matus zmuszał mnie do wejścia w stan wzmożonej świadomości i pozwalał na kontakty ze swoimi wojownikami jedynie w tym stanie po to, by dać mi punkt wyjścia do późniejszych działań. Jego strategia polegała na tym, by rozwijać małą część mojego drugiego ja, celowo wypełniając ją wspomnieniami z tych kontaktów. Te wspomnienia giną, ale pewnego dnia wyłonią się na

powierzchnię i posłużą jako racjonalny punkt wyjścia, z którego będę mógł rozpocząć podróż w nieskończoną przestrzeń drugiego ja.

Ponieważ byłem bardzo zdenerwowany, Florinda zaproponowała, że uspokoi mnie dalsza część opowieści ojej życiu. Wyjaśniła, że nie jest to historia życia kobiety światowej, ale opowieść o tym, jak płytka kobieta dzięki pomocy innych stała się wojownikiem.

Gdy już zdecydowała się spotkać z uzdrowicielką, nic nie mogło jej powstrzymać. Niesiona na noszach przez służącą i czterech mężczyzn wyruszyła w dwudniową podróż, która zmieniła całe jej życie. Teren był górzysty, nie było dróg i miejscami mężczyźni musieli ją nieść na plecach.

Dotarli do domu uzdrowicielki o zmroku. Dom był jasno oświetlony i pełen ludzi. Uprzejmy starszy człowiek poinformował Florindę, że uzdrowicielka wybrała się na cały dzień do pacjenta, który potrzebował jej pomocy. Mężczyzna wydawał się bardzo dobrze we wszystkim zorientowany. Florinda odkryła, że potrafi z nim swobodnie rozmawiać. Okazał jej troskę i wyznał, że sam także jest pacjentem. Swoją chorobę określił jako nieuleczalny stan zapomnienia o całym świecie. Gawędzili przyjaźnie do późna. Starzec był tak skory do pomocy, że nawet oddał Florindzie swoje łóżko, by mogła wypocząć i zaczekać do następnego dnia, do powrotu uzdrowicielki.

Rankiem Florindę obudził ostry ból. Jakaś kobieta manipulowała jej nogą, przyciskając do niej kawałek wypolerowanego drewna.

– Uzdrowicielka była bardzo ładna – mówiła Florinda. – Spojrzała na moją nogę i potrząsnęła głową. “Wiem, kto ci to zrobił!", powiedziała. “Ktoś za to dobrze zapłacił albo uznał, że jesteś osobą bezużyteczną. Jak myślisz, o którą z tych dwóch rzeczy chodziło?"

Florinda roześmiała się. Uznała, iż uzdrowicielka jest obłąkana albo celowo zachowuje się niegrzecznie. Nie mieściło jej się w głowie, by ktokolwiek na świecie mógł ją uważać za bezużyteczną. Pomimo przeszywającego bólu obszernie wyjaśniła uzdrowicielce, że jest bogatą i wartościową osobą i nikt nie ma prawa nią pomiatać. Zachowanie starszej kobiety uległo natychmiastowej zmianie. Wydawała się przelękniona. Z szacunkiem zaczęła nazywać Florindę “panienką". Wstała z krzesła i wyprosiła wszystkich z pokoju. Gdy zostały same, usiadła na piersi Florindy i zepchnęła jej głowę za krawędź łóżka. Florinda próbowała się opierać. Bała się, że tamta ją zabije. Chciała krzyczeć, by zaalarmować swoich służących, ale uzdrowicielka szybko przykryła jej głowę kocem i zatkała nos. Florinda musiała oddychać ustami, by się nie udusić. Im bardziej uzdrowicielka przygniatała klatkę piersiową Florindy i im mocniej zaciskała jej nos, tym szerzej Florinda otwierała usta. Zanim sobie uświadomiła, co Indianka właściwie robi, zdążyła już wypić cuchnącą zawartość dużej butelki, którą uzdrowicielka przytknęła jej do ust. Kobieta manipulowała butelką tak zręcznie, iż Florinda nawet się nie zakrztusiła, choć głowę miała zwieszoną poza krawędź łóżka.

– Wypiłam tyle tego płynu, że zrobiło mi się niedobrze – ciągnęła. – Indianka kazała mi usiąść i bez mrugnięcia spojrzała mi prosto w oczy. Miałam ochotę wepchnąć sobie palec do gardła i zwymiotować. Ona jednak zaczęła mnie uderzać w twarz, aż rozkrwawiła mi wargi. Indianka biła mnie po twarzy! Pokrwawiła mi usta! Ani moja matka, ani ojciec nigdy nie tknęli mnie nawet palcem. Byłam tak zdumiona, że zapomniałam o dolegliwościach żołądkowych. Uzdrowicielka zawołała moich ludzi i kazała im zabrać mnie do domu. Potem pochyliła się i przykładając usta do mojego ucha, by nikt poza mną nie słyszał jej słów, dodała szeptem: “Jeśli nie wrócisz za dziewięć dni, ty kretynko, to spuchniesz jak ropucha i będziesz żałować, że nie umarłaś".

Florinda powiedziała, że płyn podrażnił jej gardło i struny głosowe. Nie była w stanie wydusić ani słowa. To jednak było najmniejsze z jej zmartwień. Gdy wróciła do domu, czekał na nią wściekły Celestino. Ponieważ nie mogła mówić, obserwowała go spokojnie. Zauważyła, że jego gniew nie ma nic wspólnego z troską o jej zdrowie. Celestino martwił się wyłącznie o swój status społeczny i pozycję bogatego człowieka. Nie do zniesienia była dla niego świadomość, że wpływowi przyjaciele widzieli, iż jego żona zwraca się do indiańskich uzdrowicieli. Szalał,

krzyczał, że poskarży się w sztabie armii, każe żołnierzom pochwycić Indiankę i przyprowadzić ją do miasta, gdzie zostanie wychłostana i wtrącona do więzienia. Nie były to czcze pogróżki – naprawdę naciskał na dowódcę wojsk, by ten wysłał patrol po Indiankę. Żołnierze wrócili po kilku dniach z wiadomością, że uzdrowicielka uciekła.

Pokojówka uspokoiła swą panią zapewnieniem, że jeśli zechce wrócić w góry, uzdrowicielka będzie tam na nią czekać. Choć zaczerwienienie gardła utrzymywało się i dokuczało Florindzie tak bardzo, że nie była w stanie jeść stałych pokarmów, a płyny przełykała z trudem, nie mogła się doczekać dnia powrotu do uzdrowicielki. Lekarstwo złagodziło ból w nodze.

Gdy powiedziała Celestinowi o swoich zamiarach, ten wpadł we wściekłość i zebrał pomocników, żeby na własną rękę zakończyć te bzdury. Wraz z trzema zaufanymi ludźmi wyruszył przed nią konno.

Florinda opowiadała, że spodziewała się wszystkiego, nawet tego, że znajdzie uzdrowicielkę martwą, lecz gdy dotarła do jej domu, zastała tam siedzącego samotnie Celestina. Rozesłał swoich ludzi w trzy różne miejsca w okolicy i nakazał im przyprowadzić Indiankę, w razie potrzeby nawet siłą. Był tam jeszcze starzec, ten sam, którego Florinda spotkała wcześniej. Próbował uspokoić jej męża, zapewniając go, że któryś z jego ludzi na pewno wkrótce wróci z Indianką.

Ledwie tragarze położyli Florindę na pryczy na frontowej werandzie, z domu wyszła uzdrowicielka i zaczęła obrażać Celestina, wyzywając go i wykrzykując pod jego adresem obsceniczne słowa. Celestino wpadł w złość i podbiegł, chcąc ją uderzyć. Starzec próbował go powstrzymać, błagając, by jej nie bił. Padł na kolana i tłumaczył, że to tylko stara kobieta. Celestino jednak był niewzruszony. Oznajmił, że wychłosta Indiankę, nie zważając na jej wiek, i ruszył w jej stronę, naraz jednak stanął jak wryty. Zza krzaków wyszło sześciu mężczyzn. Wyglądali przerażająco i wymachiwali maczetami. Florinda powiedziała, że Celestino był sparaliżowany ze strachu. Stał bez ruchu, z twarzą barwy popiołu. Uzdrowicielka podeszła do niego i powiedziała, że albo pozwoli, by go wychłostała po pośladkach, albo jej pomocnicy porąbią go na kawałki. Choć był niezmiernie dumnym mężczyzną, pochylił się potulnie i pozwolił się wychłostać. W ciągu kilku chwil starucha zmieniła go w bezradnego człowieka. Zaśmiała mu się w twarz. Wiedziała, że Celestino nie ma wyjścia, i pozwoliła mu zatonąć. Wpadł w jej pułapkę jak bezmyślny głupiec, którym w gruncie rzeczy był, odurzony nadmiernym przekonaniem o własnej wartości.

Florinda spojrzała na mnie z uśmiechem i przez chwilę milczała.

– Pierwszą zasadą sztuki skradania jest to, że wojownik sam wybiera pole bitwy – powiedziała. – Wojownik nigdy nie przystępuje do walki, nie znając otoczenia. Przez swoją bitwę z Celestinem uzdrowicielka pokazała mi pierwszą zasadę skradania. Potem podeszła do mnie. Płakałam. Nie byłam w stanie robić nic więcej. Wyglądała na przejętą. Położyła mi pod ramiona koc i mrugnęła do mnie z uśmiechem. "Umowa nadal obowiązuje, kretynko", powiedziała. "Jeśli chcesz żyć, wróć tu jak najszybciej. Ale nie przyprowadzaj ze sobą swojego pana, ty mała dziwko. Przyjdź tylko z tymi, którzy są absolutnie niezbędni".

Florinda przez chwilę zatrzymała na mnie wzrok. Z jej milczenia wywnioskowałem, że czeka na mój komentarz.

– Odrzucenie wszystkiego, co nie jest konieczne, to druga zasada sztuki skradania – powiedziała, nie zostawiając mi czasu, bym mógł wtrącić choć słowo.

Jej opowieść zaabsorbowała mnie tak, że nie zauważyłem zniknięcia ściany mgły. Nie wiedziałem, kiedy to się stało, uświadomiłem sobie po prostu, że już jej nie ma. Florinda podniosła się z krzesła i poprowadziła mnie do drzwi. Staliśmy tam przez chwilę, podobnie jak pod koniec pierwszego spotkania.

Powiedziała, że gniew Celestina pozwolił Indiance zademonstrować również trzy pierwsze zasady reguły zwiadowców. Zrobiła to w taki sposób, że zostało to odebrane przez ciało, nie przez umysł Florindy. Myśli Florinda miała skupione wyłącznie na sobie, gdyż wtedy nie istniało dla niej nic oprócz fizycznego bólu i cierpienia spowodowanego utratą urody, jej ciało jednak zrozumiało treść zdarzeń i później potrzebowało tylko przypomnienia, by ustawić wszystko na właściwym miejscu.

– Wojowników nie chroni świat, dlatego muszą mieć regułę – ciągnęła. – Ale reguła zwiadowców dotyczy wszystkich. Arogancja Celestina zgubiła go, a zarazem stała się początkiem mojej nauki i wyzwolenia. Jego poczucie własnej ważności, które ja też podzielałam, wzbudziło w nas obojgu przekonanie, że stoimy ponad wszystkimi innymi. Uzdrowicielka pokazała nam, czym naprawdę byliśmy: niczym. Pierwszy punkt reguły mówi, że wszystko, co nas otacza, jest nieprzeniknioną tajemnicą. Drugi punkt mówi, że naszym obowiązkiem jest starać się rozwikłać tajemnicę, ale bez nadziei, że kiedykolwiek uda nam się to osiągnąć. Trzeci mówi, że wojownik, świadomy nieprzeniknionej tajemnicy, która go otacza, i tego, że jego obowiązkiem jest starać się ją przeniknąć, przyjmuje należne mu miejsce między tajemnicami i siebie także uznaje za jedną z nich. W rezultacie dla wojownika tajemnica istnienia nie ma końca, niezależnie od tego, czy oznacza bycie kamykiem, mrówką, czy sobą. To jest pokora wojownika. Jesteśmy równi wszystkiemu innemu.

Nastąpiła długa chwila milczenia. Florinda uśmiechnęła się, bawiąc się końcem warkocza, i powiedziała, że mam już dosyć.

Za trzecim razem, gdy miałem się spotkać z Florindą, don Juan nie zostawił mnie przed drzwiami, lecz wszedł ze mną do domu. Zastaliśmy tam wszystkich członków jego grupy. Powitali mnie, jakbym

właśnie powrócił z długiej podróży. Było to niezwykłe wydarzenie – dla mnie połączyło ono Florindę z pozostałymi wojownikami, gdyż wtedy po raz pierwszy widziałem ich razem.

Następnym razem, gdy pojechałem do domu Florindy, don Juan niespodziewanie wepchnął mnie do środka tak jak wcześniej. Przeżyłem wielki wstrząs. Florindą czekała na mnie w holu. Natychmiast zobaczyłem ścianę mgły.

– Opowiedziałam ci, w jaki sposób zademonstrowano mi zasady skradania – rzekła, ledwie usiedliśmy na kanapie w salonie. – Teraz ty musisz zrobić to samo dla mnie. Jak ci je pokazał Nagual Juan Matus?

Odparłem, że nie potrafię sobie przypomnieć tak od razu. Musiałbym się zastanowić, a w tej chwili nie jestem w stanie myśleć. Moje ciało odczuwało lęk.

– Nie komplikuj wszystkiego – powiedziała rozkazująco. – Staraj się zachować prostotę. Użyj wszystkich swoich umiejętności koncentracji, by zdecydować, czy chcesz przystąpić do bitwy, czy nie, gdyż każda bitwa jest walką o życie. To jest trzecia zasada sztuki skradania. Wojownik musi być gotów do zajęcia swojej ostatniej pozycji tu i teraz. Ale nie w pośpiechu, nie na łeb na szyję.

W żaden sposób nie potrafiłem zebrać myśli. Wyciągnąłem nogi i położyłem się na kanapie. Oddychałem głęboko, by rozluźnić mięśnie brzucha, które wydawały się powiązane w supły.

– Dobrze – odezwała się Florindą. – Widzę, że stosujesz czwartą zasadę sztuki skradania. Rozluźnij się, zapomnij o sobie, nie bój się niczego. Tylko wtedy siła, która nami kieruje, otworzy drogę i nas poprowadzi. Tylko wtedy.

Usiłowałem sobie przypomnieć, w jaki sposób don Juan pokazał mi zasady tej sztuki. Mój umysł jednak nie chciał się skupić na doświadczeniach z przeszłości. Don Juan był tylko odległym wspomnieniem. Wstałem i zacząłem się rozglądać dokoła.

Pokój, w którym się znajdowaliśmy, był pięknie urządzony. Podłogę zrobioną z dużych płowożółtych kafli musiał układać znakomity rzemieślnik. Miałem ochotę przyjrzeć się meblom. Zrobiłem krok w stronę dużego ciemnobrązowego stołu. Florindą jednym susem znalazła się przy mnie i potrząsnęła mną energicznie.

– Prawidłowo zastosowałeś piątą zasadę sztuki skradania – powiedziała. – Nie pozwól się teraz rozproszyć.

– A jak brzmi piąta zasada? – zapytałem.

– Wojownik postawiony wobec sytuacji, z którą nie potrafi sobie poradzić, wycofuje się na chwilę. Pozwala myślom odbiec. Zajmuje się czymś innym. Może to być cokolwiek. Właśnie to zrobiłeś. Ale teraz, gdy już tego dokonałeś, musisz zastosować szóstą zasadę: wojownik maksymalnie wykorzystuje czas, liczy się nawet najkrótsza chwila. W bitwie o życie sekunda jest wiecznością, która może zdecydować o wyniku. Celem wojowników jest zwycięstwo, dlatego kondensują czas. Wojownicy nie tracą ani chwili.

Niespodziewanie w mojej świadomości eksplodowała cała lawina wspomnień. Zawołałem z podnieceniem, że bardzo dobrze pamiętam, kiedy don Juan po raz pierwszy zaznajomił mnie z tymi zasadami. Florindą przyłożyła palec do ust, nakazując mi milczenie. Powiedziała, że chciała tylko zmusić mnie do przywołania tych wspomnień, ale nie chce, bym relacjonował jej wydarzenia.

Podjęła swoją opowieść. Gdy uzdrowicielka kazała jej wrócić bez Celestina, dała jej też do wypicia miksturę, która niemal natychmiast złagodziła ból, oraz szepnęła do ucha, że ona, Florinda, musi samodzielnie podjąć niezmiernie ważną decyzję. Na razie powinna uspokoić umysł, zajmując się czymś innym, ale gdy już decyzja zapadnie, nie wolno jej tracić ani chwili.

W domu Florinda oznajmiła, iż chce wrócić w góry. Powiedziała to z tak niewzruszonym przekonaniem, że Celestino nie widział żadnego sensu w sprzeciwianiu się.

– Prawie od razu wróciłam do uzdrowicielki – ciągnęła Florinda. – Tym razem jechaliśmy konno. Zabrałam ze sobą zaufanych służących: dziewczynę, która dała mi truciznę, i mężczyznę, który zajmował się końmi. Ciężko było przejść przez te góry, smród mojej nogi bardzo denerwował konie, ale jakoś się udało. Nie wiedząc o tym, zastosowałam trzecią zasadę sztuki skradania. Położyłam na szali moje życie, czy też to, co z niego zostało. I tak byłam umierająca. To prawda, że ludzie, którzy tak jak ja, są na wpół żywi, nie z powodu wielkiego cierpienia, ale z wielkiej niewygody, z reguły stają się tak leniwi i słabi, że nie potrafią się zdobyć na żaden wysiłek. Pozostałam w domu uzdrowicielki przez sześć dni. Już drugiego dnia poczułam się lepiej. Opuchlizna zmalała. Wycieki z nogi ustały. Nic mnie już nie bolało. Byłam tylko trochę osłabiona i kolana mi drżały, gdy próbowałam chodzić.

Szóstego dnia Indianka zabrała mnie do swojego pokoju. Obchodziła się ze mną ostrożnie i troskliwie. Posadziła mnie na swoim łóżku i dała mi kawy. Sama usiadła na podłodze u moich stóp, zwrócona do mnie twarzą. Dokładnie pamiętam jej słowa. "Jesteś bardzo, bardzo chora i tylko ja potrafię cię wyleczyć", powiedziała. "Jeśli tego nie zrobię, umrzesz straszną śmiercią. Ponieważ jesteś debilką, czeka cię gorzki koniec. Z drugiej strony mogłabym cię wyleczyć w jeden dzień, ale nie zrobię tego. Będziesz musiała nadal tu przychodzić, aż zrozumiesz, co chcę ci pokazać. Dopiero wtedy uzdrowię cię zupełnie; w innym wypadku, ponieważ jesteś kretynką, nigdy nie wrócisz do sił".

Florinda powiedziała, że uzdrowicielka, chcąc jej pomóc, cierpliwie wyjaśniała jej wszelkie niuanse związane z podjęciem decyzji. Florinda nie rozumiała z tego ani słowa. Te wyjaśnienia jeszcze mocniej utwierdziły ją w przekonaniu, że Indianka jest obłąkana.

Gdy uzdrowicielka uświadomiła sobie, że nic z tego, co mówi, nie dociera do Florindy, stała się surowsza. Florinda musiała wielokrotnie powtarzać, jak dziecko, że bez pomocy uzdrowicielki jej życie jest skończone i że kobieta ma wybór: może znieść działanie lekarstwa i zostawić ją, by bez żadnego ratunku czekała na śmierć. Florinda zaczęła błagać Indiankę, by dokończyła kurację i odesłała ją do domu, do rodziny. Starucha straciła cierpliwość, podniosła butelkę z lekarstwem, rozbiła ją i powiedziała Florindzie, że już z nią skończyła.

Wtedy Florinda zaczęła płakać – były to pierwsze prawdziwe łzy w jej życiu. Powiedziała uzdrowicielce, że chce tylko zostać uleczona i że bardzo chętnie za to zapłaci. Kobieta odrzekła, że już za późno na zapłatę w pieniądzach, że chce od Florindy jej uwagi, a nie pieniędzy.

Florinda przyznała, że przez całe swoje życie przywykła do tego, iż dostawała wszystko, czego zapragnęła. Wiedziała, jak obstawać przy swoim. Upierała się, że do uzdrowicielki na pewno przychodzą tysiące na wpół żywych pacjentów, takich jak ona sama, i że kobieta bierze od nich pieniądze – dlaczego w tym wypadku miałoby być inaczej? Odpowiedź, która dla Florindy nie była żadnym wyjaśnieniem, brzmiała, że jako widząca, Indianka widziała świetliste ciało Florindy i że jest ono identyczne jak jej własne. Florinda uznała, że uzdrowicielka musi być szalona, skoro nie zdaje sobie sprawy z dzielącej je przepaści. Tamta była prostą Indianką, niewykształconą i prymitywną, Florinda zaś była bogata, piękna i biała.

Zapytała, co uzdrowicielka zamierza z nią zrobić. Ta wyjaśniła, że kazano jej wyleczyć Florindę, a potem nauczyć ją czegoś niezmiernie ważnego. Florinda ciekawa była, kto wydał kobiecie takie polecenie. Usłyszała, że był to Orzeł – ta odpowiedź przekonała ją, iż Indianka jest zupełnie szalona. A jednak nie miała żadnej alternatywy, musiała się zgodzić. Powiedziała, że zrobi wszystko, co trzeba.

Kobieta natychmiast złagodniała. Dała Florindzie lek, który ta miała zabrać ze sobą do domu, i kazała jej wrócić najszybciej, jak to możliwe.

– Jak sam wiesz – ciągnęła Florinda – nauczyciel musi pochwycić ucznia w pułapkę. Jej pułapką było lekarstwo dla mnie. Miała rację. Byłam taka głupia, że gdyby od razu mnie wyleczyła, wróciłabym do swojego bezsensownego życia, jakby zupełnie nic się nie zdarzyło. Czyż wszyscy nie jesteśmy tacy?

Florinda wróciła w góry po tygodniu. Na miejscu powitał ją ten sam stary człowiek, którego spotkała wcześniej. Rozmawiał z nią, jakby byli najlepszymi przyjaciółmi. Powiedział, że uzdrowicielka wybrała się gdzieś kilka dni wcześniej i nie będzie jej jeszcze przez kilka następnych, ale zostawiła mu lekarstwo na wypadek, gdyby Florinda się zjawiła. Bardzo przyjaźnie, lecz stanowczo oznajmił Florindzie, że wobec nieobecności uzdrowicielki ma przed sobą alternatywę: może wrócić do domu, ale wtedy jej stan prawdopodobnie się pogorszy z powodu trudów ciężkiej podróży, albo może pozostać i wypełniać szczegółowe zalecenia pozostawione przez Indiankę. Dodał, że jeśli Florinda zdecyduje się zostać i natychmiast rozpocząć leczenie, to po trzech lub czterech miesiącach będzie już zupełnie zdrowa. Jest jednak jeden szkopuł: jeśli zechce pozostać, będzie musiała odesłać służących i spędzić w domu uzdrowicielki osiem kolejnych dni.

Florinda powiedziała, że nie wahała się ani chwili: została. Stary człowiek natychmiast dał jej pozostawioną przez Indiankę miksturę. Starał się dodać jej otuchy. Swobodna rozmowa z nim wzbudziła we Florindzie optymizm i wiarę.

Dwoje służących wyjechało następnego ranka po śniadaniu. Florinda nie czuła lęku. Miała do starca bezgraniczne zaufanie. Powiedział jej, że zgodnie z zaleceniami uzdrowicielki musi zbudować skrzynię, która posłuży do leczenia. Kazał dziewczynie usiąść na niskim krześle stojącym pośrodku kręgu jałowej ziemi. Gdy tam siedziała, starzec przedstawił ją trzem młodym ludziom. Powiedział, że to jego pomocnicy. Dwaj byli Indianami, trzeci był biały. We czterech w niecałą godzinę skonstruowali skrzynię wokół krzesła, na którym siedziała Florinda. Gdy skończyli, znalazła się w zamkniętej klatce.

Ażurowa pokrywa pozwalała na dopływ powietrza. Jedna ze ścian, umocowana na zawiasach, służyła jako drzwi.

Stary człowiek otworzył drzwi i pomógł Florindzie wyjść na zewnątrz. Zabrał ją do domu i poprosił, by pomogła mu przygotować lekarstwo, które powinno być zrobione przed powrotem uzdrowicielki.

Florinda z zainteresowaniem obserwowała go przy pracy. Sporządził napar z roślin o ostrym zapachu i przygotował wiadro gorącego płynu. Zaproponował jej, by dla poprawy samopoczucia zanurzyła nogę w wiadrze, a jeśli ma ochotę, to może też wypić miksturę, którą przygotował, zanim straci ona swoją moc. Florinda usłuchała go, nie zadając żadnych pytań, i poczuła znaczną ulgę.

Następnie stary człowiek przydzielił jej osobny pokój i kazał młodym mężczyznom wstawić klatkę do środka. Powiedział, że do powrotu uzdrowicielki może upłynąć jeszcze wiele dni, a tymczasem Florinda powinna dokładnie wypełniać pozostawione instrukcje. Gdy się zgodziła, przedstawił jej listę poleceń. Miała dużo chodzić w poszukiwaniu roślin potrzebnych do zrobienia lekarstwa. Powinna także pomóc je przygotować.

Spędziła w domu uzdrowicielki nie osiem, lecz dwanaście dni, padały bowiem ulewne deszcze i służący się spóźnili. Dopiero dziesiątego dnia uświadomiła sobie, że Indianka nigdzie nie odeszła i że to starzec był prawdziwym uzdrowicielem.

Zaśmiała się na wspomnienie swego szoku. Starzec podstępem zmusił ją do tego, by aktywnie brała udział w swoim leczeniu. Co więcej, pod pretekstem, że życzyła sobie tego uzdrowicielka, codziennie wstawiał Florindę do klatki na co najmniej sześć godzin, by mogła wypełnić pewne zadanie, które nazwał “przeglądem".

W tym punkcie relacji Florinda przyjrzała mi się i stwierdziła, że mam dosyć; czas, żebym już poszedł.

Podczas naszego następnego spotkania wyjaśniła, że starcem był dobroczyńca, a ona sama była pierwszą kobietą zwiadowcą, którą kobiety z jego grupy znalazły dla Naguala Juana Matusa. Wtedy jednak nie miała o tym pojęcia. Choć dobroczyńca nie ukrywał przed nią, że przeprowadza ją na inne poziomy świadomości, nic to nie dało. Wychowano ją po to, by była piękna – stworzyło to wokół niej nieprzeniknioną tarczę, która uodparniała ją na wszelkie zmiany.

Dobroczyńca doszedł do wniosku, że trzeba jej czasu, i wymyślił plan, by do bitwy Florindy wciągnąć Celestina. Sprawił, że dostrzegła w mężu cechy, o których istnieniu wiedziała już wcześniej, ale brakowało jej odwagi, by w pełni dopuścić do siebie tę świadomość. Celestino był bardzo zaborczy w stosunku do wszystkiego, co posiadał – pieniądze i Florinda stanowiły najważniejszą część jego dobytku. Musiał przełknąć zniewagę, gdy doznał upokorzenia z rąk uzdrowicielki, bo uzdrowicielka była tania, a Florinda rzeczywiście odzyskiwała zdrowie. Spokojnie czekał na chwilę, gdy kuracja zostanie zakończona, by wówczas dokonać zemsty.

Dobroczyńca powiedział Florindzie, iż jej zbyt szybki powrót do zdrowia może okazać się niebezpieczny, gdyż Celestino, który decydował o wszystkim w domu, może uznać, że nie ma już potrzeby, by Florinda odwiedzała uzdrowicielkę. Dobroczyńca dał więc Florindzie maść, którą miała posmarować drugą nogę. Specyfik okropnie śmierdział i wywoływał podrażnienie skóry przypominające nawrót choroby. Starzec poradził Florindzie, by stosowała maść za każdym razem, gdy będzie chciała się z nim spotkać.

Florinda mówiła, że kuracja trwała rok. W tym czasie dobroczyńca przedstawił jej regułę i musztrował ją jak żołnierza w sztuce skradania się. Kazał jej stosować zasady skradania do wszystkiego, co robi – na początku były to drobiazgi, potem najważniejsze sprawy życiowe.

W ciągu tego roku poznał ją także z Nagualem Juanem Matusem. Florinda stwierdziła, że był to niezwykle bystry i rozważny, ale zarazem najbardziej niepokorny i budzący lęk młody człowiek, jakiego kiedykolwiek spotkała. Powiedziała, że Nagual Juan Matus pomógł jej uciec od Celestina. Obydwaj z Silviem Manuelem wykradli ją z miasta przez kordon policji i wojska. Celestino oficjalnie zgłosił jej ucieczkę władzom, a ponieważ był wpływowym człowiekiem, użył wszystkich możliwości, by ją zatrzymać.

Dobroczyńca musiał się przez to przenieść do innej części Meksyku, Florinda zaś przez kilka lat ukrywała się w jego domu. Odpowiadała jej ta sytuacja, gdyż musiała dokonać przeglądu, a do tego niezbędny jest całkowity spokój i samotność.

Wyjaśniła, że przegląd jest mocnym punktem zwiadowców, tak jak używanie śniącego ciała stanowi siłę śniących. Przegląd polega na przypomnieniu sobie całego życia aż do najdrobniejszych i najmniej istotnych szczegółów. Klatka, którą podarował jej dobroczyńca, była zarazem narzędziem i

symbolem. Jako narzędzie miała pomóc w nauce koncentracji, gdyż Florinda musiała w niej siedzieć całymi latami, aż przed jej oczami przewinie się całe dotychczasowe życie. Był to jednocześnie symbol ludzkich ograniczeń. Dobroczyńca powiedział, że gdy Florinda skończy przegląd, może połamać klatkę na znak, że nie wiążą jej już ograniczenia własnej osobowości.

Florinda opowiadała, iż zwiadowcy zamykają się w klatkach albo w jamach w ziemi, by nie tylko wspominać, ale powtórnie przeżyć każdą chwilę dotychczasowego życia. Tak dokładnie muszą odtworzyć swoje życie, gdyż dar Orła dla ludzi obejmuje również zgodę na przyjęcie namiastki zamiast prawdziwej świadomości, o ile jest ona jej doskonałą kopią. Ponieważ Orzeł karmi się świadomością, można go zaspokoić doskonałym przeglądem w miejsce prawdziwej świadomości.

Potem podała mi podstawowe zasady robienia przeglądu. Powiedziała, że pierwszy etap polega na krótkim przypomnieniu sobie wszystkich ważnych zdarzeń z własnego życia.

W drugim etapie należy je dokładnie przejrzeć. Robi się to w uporządkowany sposób, zaczynając od chwili tuż przed zamknięciem w klatce. Teoretycznie można przejść przez wszystkie wydarzenia aż do momentu narodzin.

Florinda zapewniła mnie, że wzorcowy przegląd może zmienić wojownika tak samo – jeśli nie bardziej – jak absolutna kontrola nad śniącym ciałem. Pod tym względem śnienie i skradanie się prowadzą do tego samego rezultatu – do wejścia w stan trzeciej uwagi. Ważne jest jednak to, by wojownik znał i ćwiczył obydwie umiejętności. Kobiety opanowują jedno lub drugie, w zależności od konfiguracji świetlistego ciała. Z kolei mężczyźni mogą osiągnąć pewien stopień zaawansowania w obu tych sztukach, ale nigdy nie będą w nich równie skuteczni, jak kobiety w swoich specjalnościach.

Florinda wyjaśniła, że najważniejszym elementem przy dokonywaniu przeglądu jest oddychanie. Oddech, jako funkcja dająca życie, jest magiczny. Stwierdziła, że odtwarzanie wydarzeń jest łatwe, jeśli uda się zredukować obszar stymulacji wokół ciała. Dlatego właśnie buduje się klatki – oddech wyciąga na powierzchnię głęboko ukryte wspomnienia. Teoretycznie zwiadowcy powinni sobie przypomnieć każde uczucie, jakiego doświadczyli w ciągu całego życia, i proces ten zaczyna się od oddechu. Florinda uprzedziła mnie, że wszystko, o czym mówi, to zaledwie wstęp, szczegóły zaś poznam później, w innych okolicznościach.

Podjęła swoją opowieść. Dobroczyńca kazał jej spisać listę wydarzeń, które powinna przeżyć powtórnie. Powiedział, że cały proces zaczyna się od wstępnego oddechu. Zwiadowca opiera brodę na prawym ramieniu i oddychając powoli, obraca głowę o sto osiemdziesiąt stopni, tak że kończy oddech na lewym ramieniu. Gdy wdech się kończy, głowa wraca do normalnej pozycji. Przy wydechu należy patrzeć prosto przed siebie.

Następnie zwiadowca skupia się na pierwszym zdarzeniu z listy i pozostaje przy nim, aż przyjrzy się wszystkim związanym z nim uczuciom. Gdy przypomina sobie uczucia, których wówczas, niezależnie od rodzaju wydarzenia, doznawał, powoli wciąga powietrze, obracając głowę z prawej strony na lewą. Celem tego oddechu jest odzyskanie energii. Florinda powiedziała, że świetliste ciało nieustannie wytwarza podobne do pajęczyny włókna, które wyrastają ze świetlistej substancji i poruszają się pod wpływem wszelkich emocji. Dlatego każdy kontakt czy sytuacja, która pobudza nasze emocje, potencjalnie wyczerpuje świetliste ciało. Oddychając z prawej strony na lewą i jednocześnie przypominając sobie dawne uczucia, zwiadowcy zbierają przez magię oddechu pozostawione za sobą włókna. Następny oddech, z lewej strony na prawą, to wydech, przy którym zwiadowcy wyrzucają z siebie włókna pozostawione w ich ciałach przez inne świetliste ciała biorące udział we wspominanym wydarzeniu.

Florinda powiedziała, że są to podstawy sztuki skradania się i że wszyscy członkowie grupy muszą przejść przez ten etap, zanim rozpoczną trudniejsze ćwiczenia. Dopóki zwiadowca nie ukończy tego etapu i nie odzyska włókien, które pozostawił w świecie, oraz nie pozbędzie się tych, które pozostawili w nim inni, nie będzie potrafił opanować kontrolowanego kaprysu, bowiem te obce wypustki pozwalają w nieograniczony sposób rozwijać w sobie poczucie własnej ważności. Kontrolowany kaprys nie jest sposobem na ogłupianie czy karanie kogokolwiek, nie służy też temu, by czuć się lepszym od innych, i dlatego, by go stosować, trzeba umieć śmiać się z siebie. Florinda powiedziała, że jednym ze skutków szczegółowego przeglądu jest szczery śmiech, jaki w nas wzbudza uświadomienie sobie, że wszelkie kontakty międzyludzkie opierają się na nudnym wytwarzaniu wciąż na nowo poczucia własnej godności.

Podkreśliła, że reguła uznaje skradanie się i śnienie za sztuki – dlatego są one czymś, co się wykonuje. Życiodajna natura oddechu sprawia, że ma on zdolności oczyszczania. Właśnie dzięki temu przegląd ma znaczenie praktyczne.

Podczas naszego następnego spotkania Florinda podała mi, jak to określiła, instrukcje z ostatniej chwili. Powiedziała, że ponieważ Nagual Juan Matus i cała jego grupa uznali, iż nie potrzebuję wchodzić w kontakty ze zwykłym światem, uczyli mnie śnienia zamiast skradania się. Osąd ten został jednak radykalnie zmodyfikowany i wówczas wszyscy znaleźli się w niezręcznym położeniu – nie mieli już czasu, żeby nauczyć mnie sztuki skradania. Dlatego musieli zostawić Florindę za sobą, na peryferiach trzeciej uwagi, by mogła wypełnić swe zadanie później, gdy będę do tego gotów. Gdyby jednak się okazało, że mogę opuścić ten świat wraz z nimi, zostałaby uwolniona od tej odpowiedzialności.

Florinda powiedziała, że jej dobroczyńca uważał trzy podstawowe techniki skradania się – klatkę, listę wydarzeń do powtórnego przeżycia i oddech zwiadowcy – za najważniejsze zadania, które wojownik ma do wypełnienia. Jego zdaniem szczegółowy przegląd był najwygodniejszą drogą do utraty ludzkiego kształtu. Dlatego zwiadowcom po podsumowaniu własnego życia łatwiej jest stosować techniki nie-działania dotyczące tożsamości, na przykład wymazywanie życiorysu, utratę poczucia własnej ważności, przełamywanie rutyny i tak dalej.

Florinda mówiła, że dobroczyńca przedstawił im wszystkim te zasady, najpierw demonstrując je w działaniu, a potem podając uzasadnienie wojownika dla swoich uczynków. W jej wypadku dobroczyńca, jako mistrz skradania się, wykorzystał jej chorobę i uzdrowienie. Jego postępowanie było zgodne z drogą wojownika, a ponadto stanowiło mistrzowskie wprowadzenie do siedmiu głównych zasad skradania się. Najpierw ściągnął Florindę na swój teren, gdzie była zdana na jego łaskę; zmusił ją, by odrzuciła to, co nie było niezbędne; nauczył ją stawiać własne życie na szali przy podejmowaniu decyzji; pokazał, jak się rozluźniać; wprowadził ją w nowy dla niej nastrój optymizmu i wiary w siebie, by pomóc jej zweryfikować własne możliwości; nauczył ją wykorzystywać czas; i w końcu pokazał jej, że zwiadowca nigdy nie wysuwa się na pierwszy plan.

Największe wrażenie zrobiła na Florindzie ta ostatnia zasada. Jej zdaniem była ona najlepszym podsumowaniem wszystkiego, co chciała mi przekazać w swych instrukcjach z ostatniej chwili.

– Mój dobroczyńca był przywódcą – powiedziała. – A jednak, patrząc na niego, nikt by na to nie wpadł. Zawsze wysuwał na pierwszy plan jedną ze swych kobiet wojowników, a sam kręcił się wśród pacjentów, udając, że jest jednym z nich, albo też grał starego durnia, który zamiata suche liście ręcznie zrobioną miotłą.

Florinda wyjaśniła, że po to, by użyć siódmej zasady sztuki skradania się, najpierw trzeba zastosować sześć pierwszych. Dobroczyńca zawsze obserwował wszystko zza kulis i dzięki temu potrafił uniknąć konfliktów albo im zapobiegać. Jeśli dochodziło do walki, atakowano nie jego, lecz jego przednią straż, kobietę wojownika.

– Mam nadzieję, że do tej pory już zrozumiałeś – ciągnęła Florinda – iż tylko mistrz skradania się może być mistrzem kontrolowanych kaprysów. Kontrolowany kaprys nie oznacza, że steruje się ludźmi. Oznacza on, jak wyjaśnił mój dobroczyńca, że wojownik stosuje siedem pierwszych zasad skradania się do wszystkiego, co robi, od spraw najbardziej banalnych do sytuacji z pogranicza życia i śmierci. Zastosowanie tych zasad przynosi trojakie skutki. Po pierwsze, zwiadowca uczy się nigdy nie traktować siebie poważnie – uczy się śmiać się z siebie. Jeśli się nie obawia, że wyjdzie na durnia, to może ogłupić każdego. Po drugie, zwiadowca uczy się nieskończonej cierpliwości. Zwiadowcy nigdy się nie śpieszą i nigdy nie są zdenerwowani. A po trzecie, zwiadowca nabywa umiejętność nieograniczonej improwizacji.

Florinda wstała. Jak zwykle siedzieliśmy w jej salonie. Uznałem, że nasza rozmowa jest zakończona, jednak Florinda powiedziała, że jest jeszcze jeden temat, który chce ze mną poruszyć, zanim się pożegnamy. Zaprowadziła mnie na inne patio. Nigdy jeszcze nie byłem w tej części budynku. Zawołała kogoś cicho i z pokoju wyszła kobieta. W pierwszej chwili nie poznałem jej, dopiero gdy zwróciła się do mnie po imieniu, zdałem sobie sprawę, że to dona Soledad. Jej przemiana była zdumiewająca. Była teraz młodsza i bardziej rosła.

Florinda powiedziała, że Soledad ostatnie pięć lat spędziła w klatce przeglądu. Orzeł przyjął jej wspomnienia w miejsce świadomości i pozwolił jej odejść wolno. Dona Soledad potwierdziła skinieniem głowy. Florinda nagle zakończyła spotkanie, mówiąc, że czas już, bym odszedł, bo nie mam więcej energii.

Jeszcze wielokrotnie odwiedzałem dom Florindy. Za każdym razem widziałem ją tylko przez kilka chwil. Powiedziała, że postanowiła już więcej niczego mnie nie uczyć, bo będzie lepiej, jeśli ograniczę się do kontaktów z dona Soledad.

Spotkałem się z dona Soledad kilkakrotnie, ale treść naszych spotkań nadal pozostaje dla mnie niezrozumiała. Za każdym razem, gdy znajdowaliśmy się w jej pokoju, nakazywała mi usiąść na podłodze, twarzą na wschód. Sama siadała po mojej prawej stronie, dotykając mnie, potem zatrzymywaliśmy obracającą się ścianę mgły i na koniec obydwoje znajdowaliśmy się twarzą na południe, w stronę środka pokoju.

Nauczyłem się już zatrzymywać obroty ściany wspólnie z la Gordą. Miałem wrażenie, że dona Soledad pomaga mi uświadomić sobie inny aspekt tej umiejętności. Z la Gordą doszliśmy do słusznego wniosku, że tylko część nas samych zatrzymuje ścianę. Było to tak, jakbym nagle dzielił się na pół: część mojego “ja" patrzyła prosto przed siebie i widziała nieruchomą ścianę po prawej stronie, a druga, większa część obracała się o dziewięćdziesiąt stopni w prawo i patrzyła wprost na mgłę.

Za każdym razem, gdy wraz z dona Soledad zatrzymywaliśmy ścianę, pozostawaliśmy w miejscu i patrzyliśmy na nią; ani razu nie weszliśmy w obszar między równoległymi liniami, co wielokrotnie robiłem z kobietą Nagualem i la Gordą. Dona Soledad za każdym razem kazała mi wpatrywać się w mgłę, jakby to było lustro. Doświadczałem wówczas wrażenia niezwykłego rozbicia. Czułem się, jakbym pędził gdzieś na złamanie karku. Widziałem formujące się we mgle fragmenty krajobrazu i naraz znajdowałem się w innej rzeczywistości fizycznej: był to górzysty teren, surowy i niegościnny. Dona Soledad zawsze była tam w towarzystwie pięknej kobiety, która na mój widok śmiała się donośnie.

Moja niezdolność do zapamiętania, co robiliśmy potem, była jeszcze większa niż niezdolność zapamiętania, co kobieta Nagual, la Gorda i ja robiliśmy w obszarze między równoległymi liniami. Dona Soledad i ja chyba wchodziliśmy w jeszcze inny, nie znany mi obszar świadomości. Wydawało mi się, że moja świadomość jest już w stanie maksymalnego wyostrzenia, a jednak istniało coś, co było jeszcze bardziej wyraziste. Ten aspekt drugiej uwagi, który najwyraźniej chciała mi pokazać dona Soledad, był bardziej złożony i trudniej dostępny niż wszystko, czego świadkiem byłem wcześniej. Przypominałem sobie tylko wrażenie ruchu, fizyczne uczucie kojarzące się z wielomilowym marszem albo wspinaczką po stromych górskich ścieżkach. Poza tym moje ciało było przekonane, choć nie miałem pojęcia dlaczego, że dona Soledad, ta kobieta i ja wymienialiśmy jakieś słowa, myśli i uczucia, ich treści nie potrafiłem jednak przywołać.

Po każdym spotkaniu z dona Soledad Florinda natychmiast kazała mi wychodzić. Dona Soledad prawie niczego nie wyjaśniała słowami. Miałem wrażenie, że stan tak znacznie wyostrzonej świadomości działa na nią w ten sposób, iż trudno jej mówić. Pośród tego surowego pejzażu widzieliśmy coś jeszcze oprócz pięknej kobiety, albo może robiliśmy coś, co pozbawiało nas tchu. Ona sama niczego nie mogła sobie przypomnieć, choć próbowała.

Poprosiłem Florindę, by wyjaśniła mi naturę moich podróży z doną Soledad. Odrzekła, że do jej ostatnich zadań należało wprowadzenie mnie w stan drugiej uwagi na sposób zwiadowców i że lepiej od niej potrafi wprowadzić mnie w ten świat dona Soledad.

Podczas spotkania, które miało być naszym ostatnim, Florinda, jak zawsze, odkąd rozpoczęliśmy szkolenie, czekała na mnie w holu. Ujęła mnie pod ramię i poprowadziła do salonu. Usiedliśmy. Ostrzegła, bym jeszcze nie próbował zrozumieć sensu moich podróży z dona Soledad. Wyjaśniła, że zwiadowcy zasadniczo różnią się od śniących, gdyż w inny sposób używają otaczającego ich świata, i że dona Soledad pomagała mi obrócić głowę. Gdy don Juan po raz pierwszy przedstawił mi pojęcie obracania głowy wojownika w nowym kierunku, rozumiałem to jako metaforę określającą zmianę postawy. Florinda wyjaśniła, że ten opis jest trafny, ale nie jest metaforą. To prawda, że zwiadowcy obracają głowę, robią to jednak nie po to, by spojrzeć w nowym kierunku, lecz by spojrzeć w inny sposób na czas. Zwiadowcy stają twarzą do nadchodzącego czasu. Normalnie patrzymy na czas, który od nas odchodzi. Tylko zwiadowcy potrafią to zmienić i spojrzeć wprost na czas, który się do nas zbliża.

Florinda wyjaśniła, że obrócenie głowy nie oznacza, iż widzi się przyszłość, lecz że postrzega się czas jako coś namacalnego, choć niezrozumiałego. Dlatego nie powinienem jeszcze starać się zrozumieć, co właściwie robiłem z dona Soledad. Wszystko to nabierze dla mnie sensu, gdy nauczę się postrzegać własną totalność. Wtedy będę miał wystarczająco wiele energii, by rozwiązać tę tajemnicę.

Tonem takim, jakby w nagrodę wyjawiała mi jakiś sekret, Florinda dodała, że dona Soledad jest znakomitym zwiadowcą – nazwała ją największą ze wszystkich. Powiedziała, że dona Soledad może przekroczyć równoległe linie, kiedy tylko zechce, i że dokonała jeszcze czegoś, czego nie potrafił zrobić żaden z wojowników grupy don Juana – dzięki nieskazitelności swej techniki skradania się dona Soledad odnalazła swoją równoległą istotę.

Florinda wyjaśniła, że wszystko, co robiłem z Nagualem Juanem Matusem, Silviem Manuelem, Genarem czy Zuleicą dotyczyło tylko niewielkich części drugiej uwagi. Dona Soledad także pomagała mi dostrzec jedynie jej fragment, ale należący do innej części.

Oprócz tego, że pomogła mi stanąć twarzą do nadchodzącego czasu, dona Soledad zaprowadziła mnie do swojej równoległej istoty. Florinda określiła tę równoległą istotę jako przeciwwagę, którą wszystkie żywe stworzenia muszą posiadać tylko dlatego, że są świetlistymi istotami wypełnionymi niewytłumaczalną energią. Istota równoległa do dowolnej osoby to inna osoba tej samej płci, blisko i nierozerwalnie z tą pierwszą połączona. Współistnieją one w świecie w tym samym czasie. Dwie równoległe istoty są jak dwa końce tego samego kija.

Jest niemal niemożliwe, by wojownik odnalazł swoją równoległą istotę, gdyż w jego życiu występuje zbyt wiele czynników, które go rozpraszają, wiele innych priorytetów. Ale ten, kto potrafi to osiągnąć, tak jak dona Soledad, odnajdzie w swojej równoległej istocie niewyczerpane źródło młodości i energii.

Florinda podniosła się i zaprowadziła mnie do pokoju doni Soledad. Może dlatego, że wiedziałem, iż ma to być nasze ostatnie spotkanie, byłem onieśmielony. Gdy powtórzyłem doni Soledad, co powiedziała mi Florinda, zareagowała uśmiechem. Z pokorą, którą uznałem za prawdziwą pokorę wojownika, odrzekła, że niczego mnie nie uczyła, chciała tylko pokazać mi swoją równoległą istotę, gdyż tam właśnie znajdzie schronienie, gdy Nagual Juan Matus i jego wojownicy opuszczą ten świat. Zaszło jednak coś, czego nie potrafi zrozumieć. Florinda powiedziała jej, że wzajemnie wzmacnialiśmy swoją energię i dzięki temu potrafiliśmy spojrzeć wprost nie na małe fragmenty nadchodzącego czasu, jak ona by sobie życzyła, lecz na jego wielkie, niezrozumiałe odłamy, zgodnie z wolą mojej buntowniczej natury.

Rezultat naszego ostatniego spotkania był jeszcze bardziej zaskakujący. Dona Soledad, jej równoległa istota i ja pozostaliśmy razem przez, jak mi się wydawało, niezmiernie długi czas. Dokładnie widziałem rysy twarzy równoległej istoty. Miałem wrażenie, że próbuje mi powiedzieć, kim jestem. Ona chyba także wiedziała, że jest to nasze ostatnie spotkanie. W jej wzroku dostrzegałem przejmującą ulotność. Potem jakaś siła podobna do wiatru odepchnęła nas w coś, czego nie potrafiłem nazwać.

Florinda pomogła mi wstać. Ujęła mnie za ramię i poprowadziła do drzwi. Dona Soledad poszła z nami. Florinda powiedziała, że trudno mi będzie odzyskać pamięć wszystkiego, co miało tu miejsce, bo pobłażam sobie w racjonalności i sytuacja może się tylko pogorszyć, gdy oni wszyscy odejdą i nie pozostanie nikt, kto mógłby mi pomóc przejść na inny poziom świadomości. Dodała, że dona Soledad i ja spotkamy się jeszcze kiedyś w zwykłym świecie.

Wtedy właśnie zwróciłem się do doni Soledad i prosiłem ją, by pomogła mi się pozbyć nawyku pobłażania sobie. Powiedziałem, że jeśli jej się nie powiedzie, to powinna mnie zabić. Nie chciałem żyć ograniczony ubóstwem własnego racjonalnego umysłu.

– Nie powinieneś tak mówić – odezwała się Florinda. – Jesteśmy wojownikami, a wojownik ma tylko jeden cel: wolność. To żadna sztuka umrzeć i zostać pochłoniętym przez Orła. Ale prześlizgnąć się za jego plecami i uzyskać wolność – oto największe zuchwalstwo.

15. PIERZASTY WĄŻ

Gdy don Juan i jego grupa wojowników osiągnęli już wszystkie cele określone przez regułę, gotowi byli do wykonania końcowego zadania, czyli opuszczenia zwykłego świata. La Gorda, inni uczniowie i ja mieliśmy być świadkami tego wydarzenia. Pozostawał tylko jeden nie rozwiązany problem: co zrobić z uczniami? Don Juan powiedział, że powinni oni zostać włączeni do jego grupy i odejść wraz z nim, nie byli na to jednak gotowi. Ich reakcje podczas próby przejścia przez most wyjawiły mu ich słabość.

Don Juan doszedł do wniosku, że jego dobroczyńca mądrze zrobił, wiele lat gromadząc mu grupę wojowników. Przyniosło to pozytywne skutki, podczas gdy decyzja don Juana, by szybko znaleźć mi kobietę Naguala i całą grupę, omal nie doprowadziła nas do zguby.

Rozumiałem, że don Juan wyraża w ten sposób nie żal, lecz afirmację wolności wojownika, by wybierać i ponosić konsekwencje swoich wyborów. Co więcej, mówił mi, że poważnie zastanawia się

nad wzięciem przykładu z dobroczyńcy – gdyby to zrobił, szybko by się przekonał, że nie jestem takim Nagualem jak on, a wówczas nikt oprócz mnie nie zostałby wciągnięty w działanie. Ponieważ jednak rzeczy wzięły taki obrót, Lydia, Rosa, Benigno i Pablito zostali poważnie upośledzeni; la Gorda i Josefina potrzebowały czasu, by się udoskonalić; tylko Soledad i Eligio byli bezpieczni, gdyż skutecznością przewyższali chyba nawet wojowników z grupy don Juana. Don Juan dodał, że tylko od nich wszystkich zależy, czy zaakceptują swoją korzystną lub niekorzystną sytuację i czy będą potrafili bez żalu, rozpaczy i rozczulania się nad sobą obrócić swoje przekleństwo lub błogosławieństwo w wyzwanie godne całego życia.

Stwierdził, że nie wszystkie działania związane z naszą grupą okazały się chybione – niewielkie role, jakie mieliśmy do odegrania wśród jego wojowników, zakończyły się pełnym sukcesem pod tym względem, że reguła okazała się odpowiednia dla wszystkich poza mną osób w grupie. Zgadzałem się z nim w pełni. Przede wszystkim kobieta Nagual ze wszech miar odpowiadała wymogom reguły. Była zrównoważona i opanowana; tocząc walkę, potrafiła jednocześnie zachować pełną swobodę. Bez żadnych szczególnych przygotowań dawała sobie radę z przewodzeniem uzdolnionym wojownikom don Juana, choć byli od niej ponad dwukrotnie starsi. Wszyscy oni, mężczyźni i kobiety, zapewniali, że jest ona wierną kopią kobiety Naguala, którą znali wcześniej. Była doskonałym odbiciem wszystkich kobiet wojowników, a tym samym odzwierciedlała pięć kobiet, które don Juan znalazł do mojej grupy, gdyż one z kolei były kopiami swych starszych odpowiedniczek. Lydia przypominała Hermelindę, Josefina – Zuleicę, Rosa i la Gorda były podobne do Nelidy, a Soledad do Delii.

Mężczyźni także stanowili repliki wojowników don Juana: Nestor był kopią Vicente, Pablito – Genara, Beni-gno – Silvia Manuela, a Eligio przypominał Juana Tu-mę. Reguła rzeczywiście była głosem potężnej siły, która stworzyła z tych ludzi harmonijną całość. Jedynie dziwny kaprys losu sprawił, że stali się zabłąkaną grupą, pozbawioną przywódcy, który odnalazłby dla nich przejście prowadzące do innej świadomości.

Don Juan powiedział, że każdy z członków mojej grupy musi się przedostać do obszaru drugiej świadomości na własną rękę. Nie potrafił określić, jak duże mają na to szansę, gdyż zależało to od każdego z nich indywidualnie. On sam pomagał wszystkim w nieskazitelny sposób, dlatego jego duch był wolny od zmartwień i trosk, a umysł – od próżnych spekulacji. Zostało mu do zrobienia jeszcze tylko jedno: musiał nam pokazać w praktyce, co oznacza przekroczenie równoległych linii całą swoją istotą.

Powiedział, że mogę pomóc co najwyżej jednej osobie z mojej grupy. Wybrał la Gordę, ze względu na jej talent oraz dlatego, że znałem ją już wcześniej. Rzekł, że nie wystarczy mi energii, by pomóc innym, bo mam jeszcze inne obowiązki do wypełnienia i muszę wstąpić na inne ścieżki, prowadzące do wykonania mojego prawdziwego zadania. Wyjaśnił, że każdy z jego wojowników wie, co to za zadanie, ale dotychczas nie odkryli go przede mną, bo najpierw muszę udowodnić, że jestem tego wart. Ponieważ jednak oni zbliżają się już do końca swojej ścieżki, a ja wiernie wypełniałem dane mi instrukcje, konieczne stawało się przynajmniej częściowe wyjawienie mi prawdy.

Gdy nadszedł czas odejścia don Juana z tego świata, dowiedziałem się o tym od niego w stanie normalnej świadomości, umknęła mi jednak waga jego słów. Don Juan do ostatniej chwili próbował doprowadzić mnie do połączenia obydwu stron mojej uwagi. Gdyby mu się powiodło, sytuacja niezmiernie by się uprościła. Ponieważ jednak do tego nie doszło i jego słowa dotarły tylko do mojego racjonalnego umysłu, przeniósł mnie na inny poziom świadomości, bym mógł zrozumieć znaczenie tego wydarzenia w szerszej perspektywie.

Don Juan już wcześniej wielokrotnie mnie ostrzegał, że pozostawanie w świadomości lewej strony daje tylko taką przewagę, iż nasza percepcja doznaje znacznego przyśpieszenia. Zarazem jednak jest to upośledzenie, bo możemy skupić ową niezwykłą przenikliwość tylko na jednej rzeczy naraz – dlatego stajemy się zależni i wrażliwi. Będąc po lewej stronie, nie potrafimy działać samodzielnie i dlatego muszą nas ochraniać wojownicy, którym udało się osiągnąć pełnię własnej osoby i wiedzę, jak należy chronić siebie w tym stanie.

La Gorda opowiedziała mi, że któregoś dnia Nagual Juan Matus i Genaro zebrali wszystkich uczniów w jej domu. Nagual przeprowadził ich w świadomość lewej strony i powiedział, że jego czas na Ziemi dobiegł końca.

W pierwszej chwili nie uwierzyła. Sądziła, że próbuje ich przestraszyć, by zaczęli działać jak wojownicy. Ale potem uświadomiła sobie, że w jego oczach pojawił się blask, jakiego jeszcze nigdy tam nie widziała.

Po przeprowadzeniu ich w inny stan świadomości don Juan rozmawiał z każdym po kolei, podsumowując i odświeżając wszystkie pojęcia i procedury, z którymi ich zapoznał. Ze mną też odbył podobną rozmowę. Spotkaliśmy się na dzień przed odejściem jego grupy. W moim wypadku przeprowadził to podsumowanie w obydwu stanach świadomości. Kilkakrotnie przenosił mnie z jednego stanu w drugi, jakby chciał się upewnić, że w każdym z nich wchłonę jak najwięcej.

Na początku nie potrafiłem sobie przypomnieć, co się działo później. Któregoś dnia la Gordzie wreszcie udało się przełamać bariery mojej pamięci. Powiedziała mi, że znajduje się wewnątrz mojego umysłu, jakby we mnie czytała. Stwierdziła, że przeszkodą w odzyskaniu przeze mnie pamięci jest lęk przed przypomnieniem sobie bólu. To, co zaszło w domu Silvia Manuela w nocy przed odejściem grupy don Juana, dla mnie nierozdzielnie łączyło się z cierpieniem. La Gorda miała bardzo wyraźne wrażenie, że się boję, ale nie wiedziała, czego. Nie pamiętała też, co konkretnie zaszło w tym domu, a ściślej mówiąc, w pokoju, w którym siedzieliśmy.

Słuchając jej, miałem wrażenie, że wpadam w przepaść. Uświadomiłem sobie, że w moim umyśle zachodzi proces połączenia w całość dwóch oddzielnych wydarzeń, których świadkiem byłem w różnych stanach świadomości. Po mojej lewej stronie zamknięte były wspomnienia ostatniego dnia spędzonego na tym świecie przez don Juana i jego grupę wojowników, a po prawej pamięć o tym, że tego dnia skoczyłem w przepaść. Próbując połączyć ze sobą te dwie strony, doświadczyłem fizycznego uczucia spadania. Kolana ugięły się pode mną i runąłem na podłogę.

Gdy opisałem to doświadczenie i swoją interpretację, la Gorda powiedziała, że w mojej świadomości prawej strony bez wątpienia pojawiło się właśnie to wspomnienie, które w niej wywołały moje słowa. Przypomniała sobie, że odbyliśmy jeszcze jedną próbę przekroczenia równoległych linii z Nagualem Juanem Matusem i jego grupą. Obydwoje, wraz z resztą uczniów, próbowaliśmy przejść przez most.

Nie potrafiłem przywołać tego wspomnienia. Jakaś hamująca siła nie pozwalała mi dotrzeć do związanych z nim myśli i uczuć. La Gorda powiedziała, że Silvio Manuel kazał Nagualowi Juanowi Matusowi przygotować mnie i wszystkich uczniów do przejścia. Nie chciał mnie zostawić na tym świecie, bo uważał, że nie mam żadnych szans, by wypełnić swoje zadanie. Nagual nie zgadzał się z nim, ale bez względu na swoje uczucia przeprowadził przygotowania.

La Gorda pamiętała, że przyjechałem do niej, by zabrać ją wraz z innymi uczniami do domu Silvia Manuela. Pozostali tam, a ja wróciłem do Naguala Juana Matusa i Genara, by przygotować wszystko do przejścia przez most.

Zupełnie nie mogłem sobie tego przypomnieć. La Gorda zaproponowała, bym wykorzystał to, że jesteśmy ze sobą bardzo mocno połączeni, i użył jej jako przewodnika. Zapewniła, że mogę czytać w jej umyśle i może znajdę tam coś, co pozwoli mi odzyskać pełną pamięć wydarzeń.

W myślach miałem wielki zamęt. Niepokój nie pozwalał mi się skupić na słowach la Gordy, ona jednak nie przestawała mówić. Opowiedziała mi wszystko, co pamiętała z naszej drugiej próby przejścia przez most. Silvio Manuel wygłosił do nich przemowę. Powiedział, że ćwiczyli wystarczająco wiele i mogą poważyć się na jeszcze jedną próbę – by wejść w pełni w drugą jaźń, muszą tylko odrzucić intencję pierwszej uwagi. Jeśli uda im się przejść do świadomości drugiej strony, moc Naguala Juana Matusa i jego grupy bez trudu zabierze ich i przeniesie w trzecią uwagę, będzie to jednak niemożliwe, jeśli pozostaną w stanie normalnej świadomości.

W pewnej chwili przestałem słuchać la Gordy. Dźwięk jej głosu rzeczywiście był dla mnie przekaźnikiem. Naraz wspomnienie całego tego wydarzenia wypłynęło na powierzchnię mojego umysłu. Ciężar wspomnień był tak wielki, że zachwiałem się pod jego impetem. La Gorda umilkła. Gdy opisałem, co do mnie wróciło, ona także przypomniała sobie wszystko i udało nam się poskładać w całość ostatnie fragmenty oddzielnych wspomnień z naszych dwóch stanów świadomości.

Przypomniałem sobie, że don Juan i don Genaro przygotowali mnie do przejścia, gdy byłem w stanie normalnej świadomości. Racjonalnie sądziłem, że przygotowują mnie do skoku w przepaść.

La Gorda przypomniała sobie, że Silvio Manuel przygotowywał resztę grupy, podciągając wszystkich pod belki dachu w skórzanych uprzężach. W każdym pokoju jego domu znajdowała się jedna osoba. Wisieli tak niemal przez cały dzień.

La Gorda stwierdziła, że posiadanie takiej uprzęży we własnym pokoju jest znakomitym pomysłem. Genaro-wie, nie zdając sobie sprawy, co właściwie robią, odnaleźli wspomnienie uprzęży, w których byli zawieszeni, i w oparciu o nie opracowali swoją grę. Łączyła ona terapeutyczne i oczyszczające właściwości stanu oddzielenia od ziemi z ćwiczeniem koncentracji, niezbędnej, by przenosić się ze

świadomości prawej do lewej strony. W gruncie rzeczy owa gra pomagała im dotrzeć do ukrytych wspomnień.

La Gorda opowiadała, że wisieli w uprzężach przez cały dzień. O zmierzchu Silvio Manuel ściągnął ich na ziemię. Wtedy wszyscy poszli z nim na most i czekali na Naguala Juana Matusa, Genara i na mnie. Nagual Juan Matus wyjaśnił im, że przygotowywanie mnie zajęło im więcej czasu, niż przypuszczali.

Przypomniałem sobie, że don Juan i jego wojownicy przeszli przez most przed nami. Automatycznie dołączyli do nich dona Soledad i Eligio. Kobieta Nagual szła ostatnia. Gdy znaleźli się po drugiej stronie mostu, Silvio Manuel dał nam sygnał. Ruszyliśmy jednocześnie, w całkowitym milczeniu. W połowie mostu okazało się, że Lydia, Rosa i Pablito nie potrafią uczynić już ani kroku więcej. Benigno i Nestor doszli dalej, ale i oni zatrzymali się przy końcu mostu. Tylko la Gorda, Josefina i ja dotarliśmy do miejsca, gdzie don Juan czekał na nas ze swą grupą.

To, co działo się później, bardzo przypominało naszą pierwszą próbę przekroczenia mostu. Silvio Manuel i Eligio przytrzymywali z obu stron coś, co sprawiało na mnie wrażenie wyraźnej szczeliny. Wystarczyło mi siły, by skupić na tym uwagę. Szczelina nie była częścią wzgórza znajdującego się tuż za mostem ani rozwarciem w ścianie mgły, choć dostrzegałem wokół niej mgliste opary. Było to ciemne, tajemnicze i dosyć wąskie przejście o wysokości człowieka, które istniało zupełnie samodzielnie i wyraźnie odcinało się od otoczenia. Don Genaro żartem nazwał je “kosmicznym sromem". Ta uwaga wywołała chóralny śmiech jego towarzyszy. La Gorda i Josefina stanęły po moich obu stronach i razem weszliśmy do środka.

Natychmiast poczułem miażdżący ucisk tej samej nieobliczalnej siły, która za pierwszym razem omal nie rozerwała mnie na strzępy. Poczułem, że la Gorda i Josefina stapiają się ze mną. Moje ciało było szersze od ich ciał i owa siła przycisnęła mnie do nich obydwu.

W następnej chwili poczułem, że leżę na ziemi, przygnieciony przez la Gordę i Josefinę. Silvio Manuel pomógł nam się podnieść. Powiedział, że nie możemy teraz do nich dołączyć, ale może później, gdy już osiągniemy doskonałość, Orzeł pozwoli nam przejść na drugą stronę.

W drodze powrotnej do swojego domu Silvio Manuel szepnął do mnie, że tej nocy moja ścieżka rozeszła się z ich ścieżką. Powiedział, że nasze ścieżki nigdy już się nie spotkają i że teraz jestem sam. Napominał, bym był oszczędny i maksymalnie wykorzystywał swoją energię, nie marnując ani odrobiny. Zapewnił, że jeśli uda mi się osiągnąć pełnię własnej istoty i nie wyczerpać się przy tym nadmiernie, to powinno mi wystarczyć energii na wypełnienie swojego zadania. Jeśli jednak zużyję zbyt wiele sił, zanim utracę ludzką postać, będzie po mnie.

Zapytałem, czy jest jakiś sposób na to, by uniknąć wyczerpania. Silvio Manuel potrząsnął głową i odrzekł, że to, czy mi się powiedzie, czy nie, nie zależy od mojej woli. Następnie wyjawił mi, na czym polega moje zadanie, nie powiedział jednak, jak mam je wypełnić. Rzekł tylko tyle, że pewnego dnia Orzeł postawi na mojej drodze kogoś, kto mi powie, jak mam to zrobić. Dopóki tego nie dokonam, nie uzyskam wolności.

Gdy wróciliśmy do domu, wszyscy zgromadziliśmy się w największym pokoju. Don Juan usiadł pośrodku, twarzą na południowy wschód. Otaczało go osiem kobiet wojowników, które siedziały parami w punktach głównych, także zwrócone twarzami na południowy wschód. Potem trzech mężczyzn wojowników usiadło na zewnątrz kręgu, tworząc trójkąt. Na jego południowo-wschodnim wierzchołku znajdował się Silvio Manuel. Dwie kobiety kurierzy siedziały po jego bokach, a dwaj mężczyźni kurierzy przed nim, tuż przy ścianie.

Kobieta Nagual kazała mężczyznom z mojej grupy usiąść przy wschodniej ścianie, a kobietom przy zachodniej. Potem poprowadziła mnie na miejsce tuż za don Juanem. Usiedliśmy tam razem.

Wydawało mi się, że trwa to tylko krótką chwilę, poczułem jednak niezwykły przypływ energii w całym ciele. Miałem wrażenie, że usiedliśmy i natychmiast znów wstaliśmy. Gdy zapytałem kobietę Naguala, dlaczego wstajemy tak szybko, odrzekła, że siedzieliśmy przez kilka godzin i że pewnego dnia, zanim wejdę w stan trzeciej uwagi, wszystko sobie przypomnę.

La Gorda powiedziała, że jej się również wydaje, iż siedzieliśmy tam tylko krótką chwilę. Nikt zresztą nie powiedział jej, że było inaczej. Nagual Juan Matus oznajmił jej tylko, że ma obowiązek pomóc innym uczniom, szczególnie Josefinie, i że ja któregoś dnia wrócę do niej, by dać jej impuls do wykonania ostatniego kroku, który ma ją doprowadzić do całkowitego przejścia w drugą jaźń. La Gorda była związana ze mną i z Josefiną. We wspólnym śnieniu, które odbywało się pod nadzorem Zuleiki, wymieniliśmy między sobą olbrzymie ilości świetlistej substancji. Dlatego właśnie nasza trójka potrafiła wytrzymać nacisk drugiej jaźni przy wchodzeniu w nią z ciałem. Don Juan powiedział jej

jeszcze, że tym razem moc wojowników z jego grupy znacznie ułatwiła przejście, ale gdy będzie musiała dokonać tego samodzielnie, powinna to zrobić w śnieniu.

Gdy wstaliśmy, Florinda zbliżyła się do mnie, wzięła mnie za ramię i razem obeszliśmy pokój. W tym czasie don Juan i jego wojownicy rozmawiali z innymi uczniami.

Florinda powiedziała, że nie powinienem dopuścić do tego, by wydarzenia na moście zamąciły mi w głowie. Nie powinienem wierzyć, jak wierzył kiedyś Nagual Juan Matus, że istnieje rzeczywiste, fizyczne przejście w drugą jaźń. Szczelina, którą widziałem, była po prostu konstrukcją utworzoną przez ich intencję, której kształt nadało połączenie obsesji Naguala Juana Matusa na punkcie przejść i absurdalnego poczucia humoru Silvia Manuela – kombinacja jednego z drugim stworzyła kosmiczny srom. Dla niej samej w przejściu z jednej jaźni do drugiej nie było nic fizycznego. Kosmiczny srom stanowił fizyczną projekcję mocy tych dwóch mężczyzn, dzięki której udało im się poruszyć koło czasu.

Florinda wyjaśniła, że gdy ona albo jej towarzysze mówią o czasie, nie mają na myśli tego, co mierzy się ruchem zegarów. Czas jest esencją uwagi, substancją, z której Orzeł tworzy swoje emanacje. Człowiek zaznajamia się z czasem, wchodząc w dowolny aspekt drugiej jaźni.

Powiedziała, że tej nocy, gdy siedzieliśmy na przypisanych nam pozycjach, wojownicy don Juana mieli ostatnią szansę, by pomóc mi i innym uczniom stanąć twarzą do koła czasu. Porównała koło czasu do stanu podwyższonej świadomości, który jest częścią drugiej jaźni, podobnie jak świadomość prawej strony jest częścią jaźni należącej do codziennego życia – można je opisać jako nieskończenie długi i szeroki tunel, pokryty lustrzanymi bruzdami. Tych bruzd jest niewyobrażalnie wiele, a każda z nich ciągnie się w nieskończoność. Każda żywa istota jest zmuszona przez siłę życiową do patrzenia w jedną z tych bruzd. Patrzenie w nią oznacza uwięzienie w niej, życie tą bruzdą.

Florinda stwierdziła, że to, co wojownicy nazywają wolą, należy do koła czasu. Jest to coś w rodzaju nici, po której pnie się winorośl, albo sztywnej wypustki, którą wszyscy posiadamy. Ostatecznym celem wojownika jest zahaczyć tę wypustkę o koło czasu, dzięki czemu można nim obracać. Wojownicy, którym udało się obrócić koło czasu, mogą zajrzeć w każdą bruzdę i wyciągnąć z niej to, co chcą, na przykład kosmiczny srom. Przymusowe zamknięcie w jednej bruździe czasu oznacza, że widzi się tylko należące do niej obrazy, w miarę jak się od nas oddalają. Z kolei wyzwolenie spod ich siły oznacza, że można patrzeć w każdym kierunku, na obrazy zbliżające się lub oddalające.

Florinda umilkła. Objęła mnie i szepnęła mi do ucha, że któregoś dnia, gdy już osiągnę pełnię własnej istoty, wróci i wówczas zakończymy nasze szkolenie.

Don Juan polecił wszystkim podejść do mnie. Otoczyli mnie kręgiem. On sam odezwał się do mnie pierwszy. Powiedział, że nie mogę do nich dołączyć w tej podróży, bo nie wolno mi porzucić mojego zadania. W tych okolicznościach nie pozostaje im nic innego, jak tylko życzyć mi wszystkiego najlepszego. Dodał, że wojownicy nie mają własnego życia. Od chwili, gdy zrozumieją naturę świadomości, przestają być osobami i ludzki punkt widzenia nie jest już dla nich istotny. Jako wojownik, otrzymałem swoje zadanie i tylko to się liczy. Muszę pozostać, by wypełnić swój nieznany obowiązek. Ponieważ wyrzekłem się już własnego życia, mogą mi powiedzieć tylko tyle, bym postarał się ze wszystkich sił. Ja sam z kolei mogę im powiedzieć tylko to, że zrozumiałem i zaakceptowałem swój los.

Potem podszedł do mnie Vicente. Cichym głosem powiedział, że zadaniem godnym wojownika jest osiągnięcie niezmiernie subtelnej równowagi między pozytywnymi i negatywnymi siłami. Nie oznacza to, że wojownik powinien dążyć do kontrolowania wszystkiego, lecz że powinien się starać sprostać każdej możliwej sytuacji, spodziewanej czy niespodziewanej, z równą skutecznością. Zachowując doskonałość w doskonałych okolicznościach, pozostaje się tylko papierowym wojownikiem. Moim zadaniem jest pozostać, ich – pójść przed siebie w nieznane. Obydwa cele wymagają całkowitego oddania. Dla wojownika podniecenie z powodu pozostania na miejscu jest równie wielkie, jak podniecenie podróżą. Obydwie te drogi są sobie równe, bo obydwie są spełnieniem świętego obowiązku.

Następnie podszedł do mnie Silvio Manuel. Mówił o praktycznych sprawach. Podał mi formułę, pieśń przeznaczoną na chwilę, gdy poczuję, że zadanie przerasta moje siły – ta właśnie pieśń wróciła do mnie, gdy po raz pierwszy przypomniałem sobie kobietę Naguala.

Oddałem się mocy, która kieruje moim losem.
Nie mam nic, więc niczego nie muszę bronić.
Nie ma we mnie myśli i dlatego widzę.
Nie boję się niczego, więc pamiętam siebie.
Samotny i swobodny,
przemknę za plecami Orła i stanę się wolny.

Ya me di al poder que a mi destino rige.
No me agarro ya de nada, para asi no tener nada que defender.
No tengo pensamientos, para asi poder ver.
No temo ya a nada, para asi poder acordarme de mi.
Sereno y desprendido,
me dejard el dguila pasar a la libertad.

Silvio Manuel powiedział, że pokaże mi praktyczny manewr drugiej uwagi, i natychmiast zmienił się w świetliste jajo. Wrócił do normalnego wyglądu i powtórzył tę przemianę jeszcze trzy czy cztery razy. Bardzo dobrze rozumiałem, co robi, nie musiał mi tego wyjaśniać, ale nie potrafiłem ująć w słowa tego, co wiem.

Silvio Manuel uśmiechnął się, widząc mój problem. Rzekł, że po to, by pozbyć się intencji zwykłego życia, potrzebna jest ogromna siła. Właśnie odkrył przede mną sekret, jak się tej intencji pozbywać. Jeśli chcę zrobić to, co przed chwilą zrobił on, muszę skupić uwagę na świetlistej powłoce.

Jeszcze raz zmienił się w świetliste jajo i wtedy wyraźnie uświadomiłem sobie coś, co wiedziałem przez cały czas. Silvio Manuel na chwilę skupił wzrok w punkcie drugiej uwagi. Głowę trzymał prosto, jakby patrzył przed siebie – tylko jego spojrzenie wędrowało w dół. Powiedział, że wojownik musi wywołać w sobie intencję. Sekret leży w spojrzeniu. Intencją przywołują oczy.

Ogarnęła mnie euforia. Wreszcie byłem w stanie sprecyzować w myślach coś, o czym wiedziałem, nie wiedząc, że wiem. Wydaje się, że widzenie ma związek ze zmysłem wzroku dlatego, że potrzebujemy oczu, by skupić spojrzenie na intencji. Don Juan i wojownicy z jego grupy wiedzieli, jak używać oczu, by pochwycić inny aspekt intencji, i nazwali ten akt widzeniem. Silvio Manuel pokazał mi prawdziwą funkcję oczu, którą było chwytanie intencji.

Użyłem wtedy świadomie oczu do przywołania intencji. Skupiłem je na punkcie drugiej uwagi. Naraz don Juan, jego wojownicy, dona Soledad i Eligio stali się świetlistymi jajami, ale la Gorda, trzy siostrzyczki i trzech Genarów – nie. Przesuwałem wzrok w jedną i w drugą stronę między bąblami światła i ludźmi, aż usłyszałem trzaśniecie u podstawy karku i wszyscy w pokoju zmienili się w świetliste jaja. Przez chwilę nie potrafiłem ich od siebie odróżnić, ale potem moja percepcja wyostrzyła się i zachowywałem jednocześnie dwa aspekty intencji, dwa obrazy. Widziałem fizyczne ciała, a także ich świetlistość. Te dwa obrazy nie były na siebie nałożone, tylko oddzielone, chociaż nie miałem pojęcia, w jaki sposób. Odbierałem wizję na dwóch kanałach jednocześnie. Widzenie było od początku do końca funkcją oczu, a zarazem pozostawało od nich niezależne. Gdy zamknąłem powieki, wciąż widziałem świetliste jaja, ale nie widziałem już fizycznych ciał.

W pewnej chwili poczułem wyraźnie, że wiem już, jak kierować uwagę na własną świetlistość. Wiedziałem także, że aby wrócić do fizycznego poziomu, wystarczy skupić wzrok na własnym ciele.

Następnie stanął przy mnie don Genaro. Powiedział, że Nagual Juan Matus w pożegnalnym podarunku dał mi obowiązek, Vicente – wyzwanie, Silvio Manuel obdarował mnie magią, a on ma zamiar dać mi humor. Obrzucił mnie wzrokiem od stóp do głów i stwierdził, że jeszcze nigdy nie widział równie żałosnego Naguala. Potem przyjrzał się uczniom i rzekł, że jedyne, co nam pozostaje, to zachować optymizm i starać się dostrzegać pozytywną stronę wszystkiego. Opowiedział nam żart o dziewczynie ze wsi, uwiedzionej i porzuconej przez miejskiego gogusia. Gdy w dniu ślubu dowiedziała się, że oblubieniec zniknął, pocieszyła się trzeźwą myślą, że nie wszystko przepadło. Co prawda straciła dziewictwo, ale jeszcze nie zabiła prosiaka przeznaczonego na wesele.

Don Genaro stwierdził, że znajdujemy się w podobnej sytuacji, co porzucona narzeczona, i jedyny sposób, by się z niej wydostać, to trzymać się naszych prosiaków, cokolwiek by to miało oznaczać, i śmiać się z siebie. Tylko przez śmiech możemy zmienić swoje położenie.

Zachęcał nas gestami do głośnego śmiechu. Widok uczniów, którzy usiłowali się roześmiać, był równie niedorzeczny jak moje własne próby. Naraz zauważyłem, że śmieję się wraz z don Juanem i jego wojownikami.

Don Genaro, który zawsze żartem nazywał mnie poetą, poprosił, bym głośno przeczytał wiersz. Powiedział, że chce podsumować swoje sentymenty i zalecenia wierszem, który celebruje życie, śmierć i śmiech. Miał na myśli fragment wiersza Jose Gorostizy Śmierć bez końca.

Kobieta Nagual podała mi książkę. Przeczytałem fragment, który zawsze bardzo się podobał don Juanowi i don Genarowi.

Och, jaka ślepa radość,
jaka zachłanność
na powietrze, którym oddychamy,
usta, oko, dłoń.
Jakże nas korci,
by spalić się do końca
w jednym wybuchu śmiechu.
Och, ta bezczelna, obraźliwa śmierć,
co czyha na nas z daleka,
gdy my z rozkoszą umieramy z tęsknoty
za filiżanką herbaty...
za delikatną pieszczotą.

W tych okolicznościach wiersz zabrzmiał niezwykle przejmująco. Przeszył mnie dreszcz. Teraz z kolei podeszli do mnie Emilito i kurier Juan Tuma. Nie powiedzieli ani słowa. Ich oczy lśniły jak czarne kamyki, wyrażając wszystkie uczucia. Kurier Juan Tuma przypomniał cicho, że kiedyś u siebie w domu zapoznał mnie z tajemnicami Mescalito. Rzekł, że tamto spotkanie było zwiastunem innego, które dopiero nastąpi na kole czasu, i że wówczas zapozna mnie z ostateczną tajemnicą.

Słowa Emilita zabrzmiały jak echo słów Juana Tumy. Rzekł, że obydwaj wierzą, iż wypełnię swoje zadanie. Będą czekać, gdyż pewnego dnia do nich dołączę. Kurier Juan Tuma dodał, że Orzeł przyłączył mnie do grupy Naguala Juana Matusa po to, by mnie wyratować. Jeszcze raz objęli mnie i wyszeptali, że powinienem wierzyć w siebie.

Po kurierach podeszły do mnie kobiety. Po kolei uścisnęły mnie, szepcząc mi do ucha życzenia obfitości i spełnienia.

Ostatnia zbliżyła się kobieta Nagual. Usiadła i wzięła mnie na kolana, jakbym był dzieckiem. Emanowała ciepłem i szlachetnością. Brakowało mi tchu. Wstaliśmy i zaczęliśmy się przechadzać po pokoju, rozmyślając nad naszym losem. Nieodgadnione siły doprowadziły nas do tego kulminacyjnego momentu. Czułem niezmierny podziw i smutek.

Potem kobieta Nagual ujawniła mi fragment reguły, który odnosił się do trzyczęściowego Naguala. Była niezwykle podniecona, a jednak zachowywała spokój. Odznaczała się niezrównanym intelektem, a mimo to niczego nie próbowała uzasadniać logicznie. Ostatni dzień na tym świecie był dla niej wielkim przeżyciem. Mnie także udzielił się jej nastrój. Aż do tej chwili nie do końca uświadamiałem sobie ostateczność naszej sytuacji. Ponieważ znajdowałem się po lewej strome, bezpośrednia percepcja wybijała się na pierwszy plan, a przez to nie potrafiłem wybiec myślami poza obecną chwilę. Jednak nastrój kobiety Naguala rozbudził dużą część mojej świadomości prawej strony, która potrafiła przewidzieć, jakie uczucia wkrótce mnie ogarną. Uświadomiłem sobie, że już nigdy jej nie zobaczę. To było nie do zniesienia!

Don Juan mówił mi wcześniej, że po lewej stronie nie ma łez, że wojownik nie potrafi już płakać, a jedynym sposobem na wyrażenie cierpienia jest dreszcz przychodzący z głębi wszechświata. To tak, jakby jedną z emanacji Orła było cierpienie. Dreszcz wojownika jest nieskończony. Poczułem ten dreszcz, gdy kobieta Nagual mówiła do mnie i mnie obejmowała.

Otoczyła ramionami moją szyję i przycisnęła głowę do mojej głowy. Miałem wrażenie, że wykręca mnie jak mokrą szmatę. Czułem, że coś wychodzi z mojego ciała, czy też przechodzi z jej ciała w moje. Moje cierpienie było tak wielkie i spadło na mnie z takim impetem, że wpadłem w szał. Upadłem na podłogę. Kobieta Nagual wciąż mnie obejmowała. Jak we śnie pomyślałem, że chyba skaleczyłem ją w czoło podczas upadku. Oboje mieliśmy zakrwawione twarze. Krew odbijała się w jej oczach.

Don Juan i don Genaro podnieśli mnie szybko. Wstrząsały mną dreszcze, jak przy ataku choroby. Kobiety wojownicy otoczyły kobietę Nagual, a potem stanęły w szeregu pośrodku pokoju. Dołączyli do nich mężczyźni. Wszyscy razem błyskawicznie utworzyli łańcuch energetyczny. Rząd postaci maszerował przede mną. Każdy po kolei zbliżał się do mnie i zatrzymywał na chwilę, nie rozrywając jednak szeregu. Wyglądało to tak, jakby wszyscy znajdowali się na taśmie transportera, która ich niosła, przesuwając po kolei przed moją twarzą. Najpierw przeszli mężczyźni kurierzy, potem kobiety

kurierzy, potem mężczyźni wojownicy, potem śniące, zwiadowcy i wreszcie kobieta Nagual. Przechodząc obok mnie, zatrzymywali się na sekundę czy dwie, by się pożegnać, a potem znikali w mroku tajemniczej szczeliny, która pojawiła się w pokoju.

Don Juan pomasował mi plecy, częściowo łagodząc w ten sposób nieznośne cierpienie. Powiedział, że rozumie mój ból, gdyż wie, iż związek mężczyzny Naguala z kobietą Nagualem jest czymś, czego nie sposób wyrazić słowami. Jest on rezultatem emanacji Orła – niczym nie da się zapełnić pustki, która powstaje, gdy dwoje takich ludzi zetknie się ze sobą, a potem zostaną rozdzieleni – bo nie jest to pustka towarzyska, lecz ruch emanacji Orła.

Następnie zaproponował, że przesunie mnie w położoną najdalej na prawo część świadomości. Powiedział, że jest to miłosierny, choć tymczasowy manewr – na razie pozwoli mi zapomnieć, ale nie ukoi bólu, gdy już odzyskam pamięć.

Dodał jeszcze, że odzyskiwanie pamięci jest zupełnie niezrozumiałym procesem. W gruncie rzeczy jest to akt powrotu do własnej tożsamości, który się nie ogranicza do przypomnienia sobie wydarzeń, jakie miały miejsce, gdy wojownik znajdował się po lewej stronie, tylko trwa i prowadzi do przywołania wszystkich wspomnień zgromadzonych przez świetliste ciało od chwili urodzenia.

Systematyczne spotkania, w których wojownicy biorą udział, znajdując się w stanie podwyższonej świadomości, są tylko środkiem służącym do tego, by sprowokować drugą jaźń do ujawnienia się przez wspomnienia. Choć wydaje się, że proces odzyskiwania pamięci dotyczy tylko wojowników, ma on związek z każdą ludzką istotą.

Każdy z nas może bezpośrednio dotrzeć do wspomnień swojego świetlistego ciała, a skutków tego nie sposób przewidzieć.

Potem don Juan powiedział, że jego grupa odejdzie tego dnia o zmierzchu. Pozostało im do zrobienia jeszcze tylko jedno: muszą stworzyć szczelinę, przerwę w kontinuum mojego czasu. Zamierzają mnie zmusić do skoku w przepaść – pozwoli to przerwać emanację Orła, która jest odpowiedzialna za moje wrażenie jedności i ciągłości. Miałem wykonać ten skok w stanie normalnej świadomości. Chodziło o to, by przeważyła moja druga uwaga, bowiem nie zginę na dnie przepaści, lecz wejdę w drugą jaźń. Gdy moja energia się wyczerpie, opuszczę drugą jaźń, ale znajdę się gdzieś indziej, nie na tym samym szczycie góry, z którego odbędzie się skok. Powiedział, że pojawię się w moim ulubionym miejscu, gdziekolwiek się ono znajduje. To właśnie będzie przerwa w moim kontinuum czasowym.

Potem wypchnął mnie ze świadomości lewej strony. Zapomniałem o swoim cierpieniu, celu i zadaniu.

O zmierzchu tego dnia Pablito, Nestor i ja skoczyliśmy z urwiska. Uderzenie Naguala było tak precyzyjne i miłosierne, że pamięć niesłychanie ważnego zdarzenia, którym było pożegnanie z jego grupą, skryła się zupełnie pod wspomnieniem innego niesłychanie ważnego zdarzenia, czyli skoku po pewną śmierć, który jednak udało się nam przeżyć. Choć to wydarzenie budziło grozę, bladło w porównaniu z tym, co odbywało się na innej płaszczyźnie.

Don Juan zmusił mnie do skoku w tej samej chwili, gdy cała jego grupa rozpalała swoją świadomość. Miałem podobną do snu wizję szeregu wpatrzonych we mnie ludzi. Potem zracjonalizowałem ją sobie jako jedną z długiego szeregu wizji czy halucynacji spowodowanych skokiem. Była to ciasna interpretacja mojej prawostronnej świadomości, przytłoczonej grozą owego wydarzenia.

Po lewej stronie jednak uświadamiałem sobie, że wszedłem w drugą jaźń. Przejście to nie miało nic wspólnego z moim racjonalnym umysłem. Zanim wojownicy z grupy don Juana zniknęli w rozbłysku jaskrawego światła, zanim Orzeł pozwolił im przejść, pochwycili mnie na moment, który trwał wiecznie. Wiedziałem, że znajdują się w zasięgu emanacji Orła, poza moim zasięgiem. Czekali na don Juana i don Genara. Widziałem, jak don Juan obejmuje prowadzenie. A potem pozostał po nich tylko sznur przepięknych świateł na niebie. Zerwał się dziwny wiatr – światła kurczyły się i rozkurczały w jego porywach. Na jednym końcu świetlistego sznura pojawił się wielki blask. Tam był don Juan. Pomyślałem o pierzastym wężu z legendy Tolteków. A potem światła zniknęły.